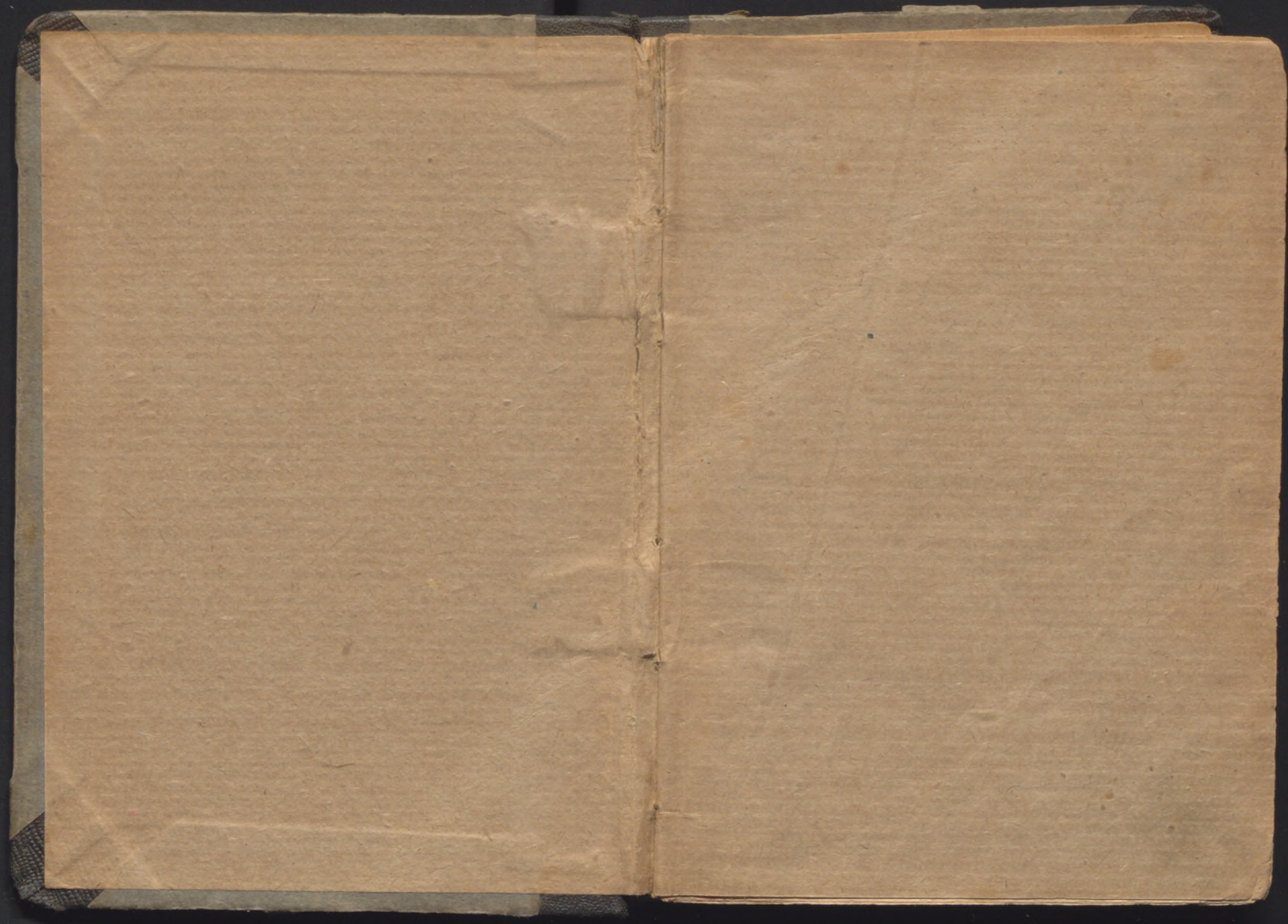


Biblioteka  
UMK  
22 Toruń

010/343-349



KAROL DICKENS.

0 10/343-349



# Ciężkie czasy

POWIEŚĆ

Przekład z angielskiego

**Wili Zyndram-Kościałkowskiej.**



4

42

1899

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.

że nagromadzone to pod nim fakty tak rozsadzają powyginany czerep czaszki. Kwadratowy tułów mowcy, kwadratowe nogi, ramiona, ba, sam krawat co go schwyił za gardło niby fakt uparty, nieprzemóżony, wszystko podkreślało powyższe słowa:

W życiu warte fakty, same pozytywne fakty. Mówiący to i słuchający go nauczyciel szkoły i jeszcze trzecia obecna przy tem dorosła osoba, skłonili z uznaniem głowy, przeciągając wzrokiem po spadzistości napelnionej drobnymi dzbanuszkami przeznaczonemi ku napelnianiu ich aż po brzegi, po same, faktami, samemi pozytywnymi faktami.

#### Rozdział II.

#### Rzeź Niewiniątek.

„Tomasz Gradgrind, człek pozytywny, wyznawca teoryi faktów, rzeczy dających się obliczyć, objąć, do szpiku kości przejęty zasadą, że dwa a dwa cztery, wyraźnie cztery a nie trzy, nie pięć. Stanowczo Tomasz Gradgrind, z nieodstępną miarą, wagą, tablicą mnożenia, gotów wymierzać, rozważać każdy ułamek natury ludzkiej i orzec dokładnie takowego zawartość i wartość. Wszystko to bowiem jest kwestyą miary i wagi — wyliczeń, miary i wagi! Jakiś tam, Jerzy Gradgrind lub Józef — jeśliby tacy istnieli — mógłby może w tem dopatrzeć coś innego, coś więcej, ale nie on, Tomasz Gradgrind. On! nigdy! przienigdy!

Tak się zwykł był przedstawiać czy to prywatnie czy szerszej publiczności i tak obecnie przedstawiał się

garstce drobnych dzbanuszków, — czyli uczni i uczennic szkoły — przeznaczonych na wylew na nie faktów. I istotnie, na szarem tle szkolnej izby wyglądał jak błyszczące działo naładowane faktami, gotowe jednym wystrzałem zmieść, zmiażdżyć cały ten dziecięcy światek. Podobnym był jeszcze do stosu galwanicznego naładowanego ponurą substancyą, która w młodocianych tych główkach miała zmienić w ciężki mechanizm, każdy podmuch wyobraźni.

— Liczba dwudziesta! — zwrócił się wskazujący palec pana Gradgrind'a ku jednej z uczennic.

— Nie znam jej — co to za jedna?

— Sissy Jupe — odrzekło dziewczę dygając, zarumienione po uszy.

— Sissy! co to Sissy? to nie żadne imię. Takiego nie ma imienia. Nie nazywaj siebie Sissy, nazywaj się właściwem imieniem: Cecylia.

— Ojciec woła na mnie „Sissy“, — tłumaczyła się zakłopotana dziewczynka.

— Otóż to! Najniepotrzebniej, najniepraktyczniej, — twierdził Pan Gradgrind. — Powiedz mu by zaniechał tego Cecylia Jupe, tak właśnie, Cecylia. Czemuże się trudni twój ojciec?

— Konną jazdą, — brzmiała cicha odpowiedź.

Pan Gradgrind zmarszczył brwi. Wspaniałym ruchem ręki rozwiął mglistość orzeczenia.

— To do nas nie należy, — zaopiniował. — Niepowinnaś tu o tem wzmiankować. Hmm! Ojciec twój zatem, ujeżdża konie, wszak tak?

— Tak panie, z pańskiem pozwoleniem, ujeżdża gdy trzeba, u nas, w cyrku...

— Mówiłem ci, byś nie wspominała tu o tem. Hmm! Ojciec twój jest więc berejterem, ujeżdżaczem, dobrze. Zapewne i leczy chore konie. Co?

— Tak, panie.

— Jest przeto weterynarzem, konowałem. Z tej okazji daj nam określenie konia.

Sissy milczała wystraszona.

Liczba dwudziesta nie może określić konia? — zawołał pan Gradgrind, podnosząc brwi ku większemu zbudowaniu dziatwy. — Liczba dwudziesta nie posiada faktów odnośnie do najpospolitszego ze zwierząt? Chłopcy! Kto da dokładne określenie konia? Ty Bitzer.

I wskazujący, kwadratowy palec pana Gradgrind zatrzymał się na interpelowanym dla tego zapewne, że skąpy promień słońca, wtargnąwszy przez okno do szkolnej izby i oblawszy czarnooką i czarnowłosą główkę siedzącej u okna Sissy, potrącił o siedzącego pod ścianą w tej samej linii chłopca, z jego piegowatego czoła zmiatając, rzekłbyś resztki świeżości. Pod bladym tem czołem, nikt by nie dostrzegł wypływających oczu, gdyby nie cień rzęs jasnych, krótkich, trzepocących się na bledszych jeszcze policzkach. Krótko przyszyrzyżone włosy pokrywały piaskowym odcieniem głowę nad piegowatym czołem a bledość skóry chłopca była taka, jak gdyby rozcięta krwawie się miała na białe.

— Bitzer — powtórzył pan Gradgrind — opisz konia.

— Czworonożny, trawożerny, zębów czterdzieści, w tem trzonowych dwadzieścia cztery, przeżuwiają-

cych dwanaście i ocznych cztery. Lenieje na wiosnę, a w bagnistych okolicach zmienia racice. Zęby w psku służą do obliczania lat jego wieku.

— Czy teraz liczba dwudziesta potrafi poznać konia, po jego znamionach? — spytał pan Gradgrind, z widocznym zadowoleniem wysłuchawszy tego, co jednym tchem wyrecytował Bitzer.

Sissy dygnęła, zaczerwieniła się bardziej jeszcze, jeśliby się bardziej zaczerwienić mogła, a Bitzer po szybkim obrzuceniu pana Gradgrind'a wyblakłych swych oczu spojrzeniem, natychmiast zgaszonym opadnięciem bladych rzęs, podobnych do niespokojnych skrzydeł bladej émy nocnej, usiadł trąc pięścią piegowate czoło.

Teraz wysunęła się naprzód trzecia dorosła będąca tam osoba, mężczyzna ostry, suchy, nadęty, nosobienie państwowego urzędnika. We własnym i innych wielu rozumieniu: filar społeczeństwa, jawny, opatentowany szermierz interesów państwa, zawsze gotów zawojuować Anglią całą, skakać o łada nic do publicznego gardła, rządzić kierunkiem wiatrów samych, kułakową argumentacją, popierać czynem, przekonywać każdego z osobna i wszecch razem, walczyć na lewo, na prawo, jak się zdarzy, każdą okoliczność wycisnąć jak cytrynę i wyciśniętą odrzucić. Zawsze gotów zbijać z tropu, ogluszać, oszołomiać przeciwnika, w przekonaniu, że ma sobie powierzone z góry przyśpieszenie nadejścia błogosławionej onej Ery, gdy państwowy komisarz zapanuje nad światem całym.

— Doskonale! zawołał, krzyżując na piersiach zamaszyste ramiona. — Mamy tedy konia. — A teraz

powiedźcie mi panowie, to jest: chłopcy i dziewczęta! powiedźcie, czybyście chcieli, aby ta oto izba wyklejoną była papierem przedstawiającym konie?

Po krótkim wahaniu połowa dziatwy wykrzyknęła „tak, o tak!” gdy druga połowa, baczniejsza na zmarszczenie brwi pytającego, jak to zwykle bywa w podobnych razach, przeczyła: „nie“.

— Naturalnie że nie, pochwalił pytający, — ale dlaczego „nie“? wytłómaczcie dlaczego.

Po długiej pauzie, jeden z chłopców, gruby i krępy sapiąc i dysząc, zdobył się na wyjaśnienie. Dlatego, a no, dla tego mianowicie, że wołałyby raczej malować niż wyklejać ściany.

— Ależ nie możesz malować, musisz wyklejać, zawołał pytający.

— Właśnie, że musisz, czy ci się chce czy nie, musisz — poparł go pan Gradgrind. Nie powinienesz ani chcieć, ani niechcieć, to nie twoja rzecz.

— Zaraz to wam objaśnię — począł urzędnik, wytłómaczę, dlaczego nie możecie wyklejać pokoi waszych obiciem, na którym byłyby przedstawiane konie. Czyście kiedy widzieli, by szlachetne te zwierzęta galopowały po ścianach, tak z góry w dół, z dołu w górę? Czyście widzieli?

— Tak, widzieliśmy — brzmiało pierwsze pół chóru.

— Nie, nigdy! wtórowało drugie.

— Zapewne, że nigdy, — twierdził dygnitarz, wzgardliwym spojrzeniem obrzucając pochylone głowy twierdzących. — To, czegoście nie widzieli i widzieć nie mogli, nie istnieje, istnieć nie może, faktem nie jest. Nie mówcie, że się coś podobnego wam podoba,

gdyż smak sam winien być odmienną nazwą dokonanego faktu.

Pan Gradgrind potakiwał.

— Nowy mamy wynalazek, odkrycie wielkie! zasadę nową! wołał zadowolony z orzeczenia swego, urzędnik. A teraz baczność! Przypuśćmy, że tę oto izbę, zamierzamy wysłać kobiercem. Przypuśćmy! Czybyście wybrali kobierzec kwiecisty?

Ponieważ doświadczenie nauczyło zebrałą dziatwę że „nie“ było stósowniejszą na stawiane im pytania odpowiedzią, większość dziecięcych głosów ozwała się przecząco, lecz wśród mniejszości twierdzących brzmiał cichy głosik Sissy.

— Liczba dwudziesta! — wskazał na nią surowy palec egzaminatora.

Sissy powstała z miejsca drżąc i rumieniąc się po uszy.

— Jeślibyś miała wysłać kobiercem twój, czy tam męża twego — naturalnie jeślibyś dorosłą była, pokój, czy wybrałaś kobierzec kwiecisty?

— Tak, panie, lubię kwiaty, brzmiała nieśmiała odpowiedź.

— A dlatego, że je lubisz, mięłabyś je stawiając na nie stoły, stołki, dając deptać butami.

— Wszak nie żywe... to by im nie szkodziło... pozostałyby świeże, malowane... wyobrażam sobie...

— W tem sęk! — wrzasnął na tłómaczącą się dziewczynkę jegomość — po co masz sobie wyobrażać, po co? Nie powinnaś nie sobie wyobrażać.

— Nie, nie powinnaś Cecyljo Jupe, — twierdził

z namaszczeniem Tomasz Gradgrind, — nie możesz sobie na to pozwalać.

— Fakty, fakty, same fakty, — powtarzał jegomość, a p. Gradgrind potakiwał:

— Fakty, pozytywne fakty.

— Zawsze, wszędzie winniście się rządzić faktami, uczył jegomość. — Miejmy nadzieję, — ciągnął z namaszczeniem, — że w niedalekiej przyszłości posiadziemy wydział dla szczepienia i rozpowszechniania faktów, na którego czele staną komisarze zdolni zmusić naród do zostania narodem pozytywnym, rządzącym się samymi faktami. Zanim to nastąpi, słowo „wyobrażenia“ wykreślmy z życia, dykcyonarza i bieżącej mowy. Odrzućmy przedmioty niezgodne z faktami, chociażby się zdawały służyć do użytku lub ozdoby. Wszak faktycznie nie chodzą po kwiatkach, na cóż je deptać macie na kobiercach? Faktycznie kwiaty się nie ścielą, podzwrotnikowe ptaki nie gnieźdzą na garnkach, po cóż je pokrywać ptakami i motylami? Faktycznie nie spotykacie koni galopujących wszereż i wzdłuż ścian domów, po cóż oklejać je podobnem obiciem? Czyż nie lepiej używać samych matematycznych i geometrycznych linii i kombinacyj barw podstawowych, kształtów podlegających rozbiorem, wytrzymujących próby? W tem sęk, na tem polega nowość metody. To jest znamieniem odkryciem, zgadza się ze stwierdzonymi faktami, na tem też dobry smak polega.

Sissy dygnęła i usiadła. Małą była jeszcze i wyglądała wystraszoną ogromem faktów, jakimi życie mogło w nią ugodzić.

— A teraz, — zauważył jegomość, — jeśli pan

M'Choakumchild, zechce rozpocząć w obecności naszej, pierwszy swój wykład, — miło mi będzie panie Gradgrind, stosując się do pańskich życzeń, zaznajomić się z jego metodą nauczania.

Pan Gradgrind nic nie miał przeciw temu.

— Czekamy panie M'Choakumchild<sup>1)</sup>.

Nauczyciel przystąpił do wykładu. Podobny był do tysiąca swych kolegów, wyszłych z tej samej co on fabryki; do jednostajnych klawiszy fortepianu. Przeszedł niezliczoną liczbę ćwiczeń, odpowiadał na nieskończone tomy zapytań, ortografia, etymologia, synteza, prosodia, biografia, astronomia, geografia i kosmografia, liczby złożone, algebra, geometria, agronomia, muzyka, rysunek, wchodziły w zakres jego kompetencji. Minał szczęśliwie kamienie obrazy najróżnorodniejszych egzaminów, rwał laury ze szczytów nauk ścisłych, nie licząc już języków tak nowożytnych jak starożytnych: łaciny, greckiego, francuskiego, niemieckiego. Wiedział wszystko, aż do najdrobniejszego szczegółu, o wodach i źródłach świata całego, o historii wszech ludów. Znał nazwy i właściwości wszystkich rzek i gór, każdej gleby wydajność, obyczaj każdego kraju, mórz i lądów granice. Słowem, przepełniony był faktami! tylko... kto wie! — czy przy mniejszem niemi przeladowaniu, nie myślałby więcej i prawidłowiej.

Rozpoczął wstępny wykład na wzór Morgiany w bajce o czterdziestu złodziejach, od zagładania w dzbanuszki stojące przed nim w ordynku, by się przekonać o ich zawartości. Brawo, panie M'Choakum-

<sup>1)</sup> Dosłownie „Dusicieldziecki“.

child! Czyś jednak pewien, że ciężka a wrząca strawa, którą je masz wypełnić po brzegi, po same, wypłeni zaczajone w nich ziarna fantazyi, czy też może czasem tylko zgłuszy do czasu i wykrzywi. Kto wie!

## Rozdział III.

## S z e c e l n i a.

Pan Gradgrind wracał do domu w stanie wielkiego zadowolenia. Pragnął by szkoła, której był opiekunem, była wzorową, by każdy uczeń tej szkoły służyć mógł za wzór do naśladowania, tak jak własne jego dzieci gotowemi do naśladowania były wzorami.

Miał ich pięcioro a wszystkie wzorowe, uczone różnych rzeczy, wciągane do nauk, ćwiczone od urodzenia. Z chwilą jak zaczęły chodzić, zaczęły też uczęszczać do szkoły i pierwszym doznaniem wrażeniem była im olbrzymia deska czarna jak smoła, a przed nią chudy ludożerca, kreślący na niej kredą zagmatwane jakieś znaki.

Nie sądzicie przeto, by o ludożercy, o tamtym, z bajki, dzieci te cośkolwiek, kiedykolwiek słyszały. Użyłem utartej nazwy i tyle, ku określeniu potworu, o Bóg wie ilu już główkach, a zawsze na tych samych cieńkich plecach! zagarniającego biedne dzieci do więziennej celi, ciągnącego je za włosy do ponurej nory fabrykatów statystycznych.

Nie! wzorowe dzieci p. Gradgrind'a nie dostrzegały fantazyjnych rysów na tarczy księżycy. Był on dla nich w pierwszej nim mówić zaczęły miesiącem, tylko miesiącem. A nigdy nie podziwiała gwiazd mrugających na ciemnym tle nocy, nie wyciągały do nich i po nie rączką,

gdyż od urodzenia, od samego, wiedziały o Wielkiej Niedźwiedzicy, od urodzenia, od samego, umiały rozsy-pywać i zgarniać mlecznych dróg światy niby marnego żwiru furę. I nie zdarzyło się im nigdy, przenigdy! żywą, mlekodajną krowę wziąć za jedną z tą przedziwną, krzyworózką co roztrąciła psa, a ten popędził kota, który zdusił szczura, co to się był objadł słodowiu, a tem mniej jeszcze z tą bardziej jeszcze przedziwną, co — pamiętacie — połknęła małego Tomcia. Dzieci pana Gradgrind'a nie słyszały nic zgola o najpopularniejszych znakomitosciach dziecięcego światka. Krowa była dla nich po prostu tem, czem była: czworonożnem, trawożernem, przeżuającym zwierzęciem!

Do swego pozytywnego domu, zwanego Stone Lodge<sup>1)</sup> p. Gradgrind kierował kroki. Zanim wniósł Stone-Lodge, wycofał się z hurtownego handlu żelazem a teraz upatrywał dogodną chwilę wstąpienia do parlamentu. Stone-Lodge wznosiło się na wzgórzu o małą milę od wielkiego miasta oznaczonego nazwą Coketown, w pewnym zasługującym ze wszęch miar na zaufanie, przewodniku. Rysowało się na tle krajobrazu, niczem nie przysłoniętym czworobokiem, z ciężkim portykiem, osłaniającym frontowe okna tak samo jak najeżone brwi p. Gradgrind'a osłaniały jego oczy. — Słowem domostwo to było ciężkie, praktyczne, ściśle wyrachowane, wymierzone: sześć okien po tej, sześć po tamtej stronie, drzwi wchodowych dwanaście w prawem, dwanaście w lewym skrzydle i na tyłach okien dwa tuziny. Trawnik, ogród, młodociana alea pod cyrkiem

<sup>1)</sup> Kamienica.



na kształt rubryk w rachunkowej księdze. Gaz, wodociągi, wentylacja, kanalizacja, wszystko w przednim gatunku, belki, szyny żelazne, ogniotrwałe, windy dla służby, ich szcزتok i miotel, słowem wszystko czego pozytywna dusza zapagnąć może.

Czy wszystko? Tak by się zdawać mogło. Przytem zbiory i gabinety odnośne do nauki dzieci: zbior jeden mięczaków, metalurgiczny drugi i mineralogiczny także, a w nich kolekcye w porządku, z odnośnemi nadpisami, wszystko pod etykietą. Kamienie i ułamki kwasu wyglądały gwałtem wydarte z macierzystego łona ziemi, a jeśli dzieci pana Gradgrind'a wyciągali stąd jaką korzyść, to już dzięki samej łaskawości Niebios, pozwalającej im ciągnąć korzyści z czego bądź.

Teraz właśnie ojciec ich wracał do domu w jak najlepszym usposobieniu. Był kochającym, dobrym, we właściwym sobie sposób, ojcem, lecz jeśli by przyparty do muru, jak niedawno Sissy, zmuszony był określić swe rozumienie ojcostwa, nazwałby się niewątpliwie: praktycznym ojcem. Słowo „praktyczność“, w zastosowaniu do jego osoby, napępniało go zawsze dumą, to też na każdym publicznem zebraniu w Coketown, każdy ze współobywateli szafował dlań za szczytnem mianem: „praktycznego“.

Pan Gradgrind wiedział, że mu się to należy, cieszył się tem jednak i szczycił.

Doszedł był właśnie do krańców, kędy miasto przestając być grodem a nie zmieniając się jeszcze w wieś i pole, łączy w sobie same ujemne cechy tak wsi jak grodu. Doleciał go dźwięk muzyki. Obejrzał się. Cyrk wywiesił tu chorągiew nad drewnianą

szopą, w której się rozgościł. Afisz opiewał występ słynnego jeźdźcy Sleary. On sam, u wnijsia w niszyc coś z gotycka przybranej w akademickiej pozyc, pobierał opłatę za wejście, a tymczasem cudzo zrzęcnosci miss Józefina Sleary, wedle brzmienia afisza otwierała przedstawienie „tyrolskim tańcem kwiatów“. Pomiędzy wieloma innymi osobliwościami, *signor* Jupe miał wystąpić z cudownie dresowanym psem Merrylegi, wykonać zadziwiające sztuki, dźwigać na karku i wyrzucać niby piłki, w powietrze tysiącfuntowe ciężary, dokonać nigdzie przedtem nie widzianych rzeczy! wszystko to przepłatając icsie szekspirowskimi facecyami i odcinkami. Na zakończenie zaś występował w popisowej roli, w „podróży krawca do Brendfordu“.

Tomasz Gradgrind, naturalnie nie zwracał uwagi na te bzdurstwa i jak przystało na statecznego a praktycznego obywatela, szedł dalej, odganiając się natrętnym brzęczeniem jarmarcznej kapeli, a autorów i wykonawców fars wszelakich, odselając w duchu do najodpowiedniejszych dla nich miejsc, do domów poprawy. Dopiero na zakręcie drogi, zrównał się z boczną ścianą budy, kędy pewna liczba dzieci, przez szczeliny w nie dbale zbitych deskach, podpatrywała cyrkowe przedstawienie.

Zatrzymał się. I oto — myślał z goryczą i wzgardą, — niecne włóczęgi demoralizują nam młodzież, dzieci odciągają od szkoły.

A że go zaledwie wydeptany pas trawnika dzielił od ciekawskich, podpatrujących ukradkiem, przez szczeliny, co się w cyrku dzieje, wyjął lornetkę z kieszeni kamizelki, by poznać i zgromić poznanych pso-

tników. O nieba! rzecz nieprawdopodobna, a jednak prawdziwa! fakt, fakt dokonany! własna to jego Ludwika, wzór dziewcząt, przypadła do szczeliny szalasu! Rodzony to jego Tom, wzór chłopców, leży brzuchem na ziemi, usiłując dopatrzeć choć jedno mignięcie nóżek zgrabnej tancerki wykonywującej ewolucje tyrolki z kwiatami!

Oślepiiony, ogłuszony, z tropu zbity pan Gradgrind podbiegł, porwał winowajców za ramiona.

— Ludwiko! Tomaszu!

Podnieśli się szybko, zmieszani, zarumienieni, lecz Ludwika śmielej od Toma spojrziała ojeu w oczy. Co prawda, Tom nie podnosił oczu wcale, dając się automatycznie wieść do domu.

— W imię szaleństwa, próżniactwa, bezceństwa — zawołał pan Gradgrind wiodąc swe dzieci za ręce — coście tu porabiali?

— Chcieliśmy widzieć jak to wygląda, — odrzekła sucho Ludwika.

— Jak wygląda?

— A no tak, ojeze.

Oboje, a zwłaszcza dziewczyna, smutni byli, zmieszani, w oczach jednak Ludwiki palił się płomień, nie mający rzekłbyś co oświecać, promień zagłodzony, karmiący się samą sobą, wyobraźni. Nie odblysk zwykły młodości, swobody, wesołości, lecz owszem, coś niespokojnego, bolesnego, coś właściwego ślepym, idącym po omacku.

Dziecko to jeszcze było, dziewczyna piętnasto czy szesnasto letnia, lecz bliskim był już dzień, w którym przedzierżgnąć się miała w kobietę, i coś podobnego

przemknąć musiało w tej chwili w myśli patrzącego na nią ze smutkiem ojca. Była ładną. Byłaby upartą, gdyby — tak się przynajmniej jej na wskroś praktycznemu ojcu zdawało — gdyby uporu nie przełamało odpowiednie wychowanie.

— Tomciu! — począł z przejęciem się ojciec, — pomimo oczywistości, nie chce mi się wierzyć, byś z zasadami jakie w ciebie wpoilem, z wychowaniem jakie ci daję, mógł przywieść tu siostrę.

— Ja go przyprowadziłam — przerwała żywa Ludwika, — prosiłam go, by mię wziął z sobą.

— Przykro mi to bardzo, przykro niewymownie. Nie zmniejsza to winy Tomasza a tylko powiększa twoją, Ludwiko.

Spojrziała na ojca — w oku jej łez nie było.

— Ty Tomaszu i ty Ludwiko, — ciągnął pan Gradgrind, — wy co macie sobie otwarty przystęp do wiedzy, do nauk, wykarmieni faktami, pozytywnymi faktami, nawykli do matematycznej ścisłości, wy, tu, w podobnym miejscu! w tak poniżającym położeniu! Doprawdy, przyjsć do siebie nie mogą.

— Gdybyś ojeze wiedział, jak się nudzę, jakem zmęczona, — odparła Ludwika.

— Zmęczona? Jak? Czemu? — pytał zdumiony ojciec.

— Wszystkiem — odrzekła.

— Milcz! — zawołał pan Gradgrind. Dziecko jesteś i nie wiesz sama, co mówisz.

Z pół mili szli w milczeniu. Przerwał je pan Gradgrind.

— Co powiedzą na to najlepsi twoi przyjaciele, —

począł przekonywająco. — Czyż ci nie idzie o ich opinię? Co powie p. Bounderby?

Na wzmiankę tę Ludwika obrzuciła ojca szybkim, badawczym spojrzeniem. Ojciec nie zauważył tego, a gdy spozjrzał na nią, spotkał się z opuszczonemi powiekami.

— Co powie na to p. Bounderby, — powtarzał z naciskiem i aż do progu domu wiodąc za rękę oboje winowajców, od czasu do czasu powtarzał:

— Co powie, co na to powie p. Bounderby?

#### Rozdział IV.

#### Pan Bounderby.

Kimże był ów p. Bounderby?

Przyjacielem od serca pana Gradgrind'a o tyle, o ile człek całkowicie pozbawiony niepotrzebnego balastu uczuciowości, może być przyjacielem człowieka, również pozbawionego niepotrzebnego tego balastu.

W takiej mierze był, lub jeśli czytelnik woli, nie był pan Bounderby przyjacielem pana Gradgrind'a.

Był to człek bogaty, bankier, kupiec, przemysłowiec, człek ciężki, ważny, pozytywny, z metalicznym dźwiękiem głośnego śmiechu, cały z szorstkiego, grubego materiału, rozciągniętego rzekłbys i wydętego na pokaz. Człowiek o wielkiej, wydętej głowie, o bombiastem czole, z nabrzmiałemi na skroniach żyłami, ze skórą tak naprężoną na twarzy, że się zdawało, iż nie potrafi przymknąć powiek nad wylapiastemi oczami. Balon — balon na pęknięciu. Nie mógł się nigdy dość przechwalić tem, że się z niczego dorobił

wszystkiego. Ustawicznie, donośnie chwalił się i głosił nędzę, z której wyszedł, nieuctwo, z jakiego się otrząsł. Dumny parweniuszostwem, samochwał rozgłośnej pokory.

O rok lub dwa młodszy od najpraktyczniejszego ze swych przyjaciół, wyglądał starzej od pana Gradgrind'a, do czterdziestu siedmiu czy ośmiu lat, jakie liczył, można mu było, na wygląd dołożyć siedem, osiem lat i więcej. Włosy miał rzadkie, rzekłbys, że je rozwiął ustawicznym gadaniem, a te co mu pozostały, jeżyły się, rzekłbys, od podmuchu wieczystych przechwałek.

A teraz stojąc przed kominkiem w salonie Stone-Lodge i wygrzewając się u ognia, opowiadał, po raz już nie wiem który, pani Gradgrind, wspomnienia wywołane zbliżającym się dniem swych urodzin. Wygrzewał się po części dlatego, że dzień był chłodny, chociaż słoneczny i wiosenny; poczęści dla wilgoci panującej wieczyście w Stone Lodge, po części zaś dla dogodnej pozycyi, którą w ten sposób zajmował względem pani Gradgrind.

— Nie miałem butów, — prawil, — co zaś do skarpetek, tych z nazwy bogdaj nie znałem. Dzień schodził mi pod płotem, a noc w chlewie i tak aż do dziesiątego roku mego życia. Co prawda, to i urodziłem się pod płotem.

Pani Gradgrind, drobna, szczupła, blada kobiecinka o wieczyście zaczerwienionych powiekach, zawsze otulona niezliczoną ilością der i chustek, przedstawiała skończony obraz fizycznej i umysłowej słabości. Co dzień przyjmowała, zawsze bezskuteczne lekarstwa, a gdy czasem usiłowała otrząść się z chronicznej swej

niemocy, za każdym razem spadał na nią grad zbijających ją z nóg faktów. Teraz słuchając pana Boun-derby wyraziła nadzieję, że podpłocia i chlewy, w jakich się hodował, nie były przynajmniej wilgotne?

— Jakto nie! — zawołał — pełne wody, wody po pas.

— Oj, oj, aż nadto dla zakatarzenia niemowlecia.

— Katar! — śmiał się na całe gardło samo-chwał. — Furda katar! Trzeba pani wiedzieć, żem się urodził z chronicznem zapaleniem płuc i półtuznem innych zapaleń. Przez lata, przez całe, żarły mię naj-rozmaitsze kalectwa i choroby. Nędzniejszego dziecka nie było pod słońcem, umiałem tylko jęczeć i stękać, a byłem tak odarty i brudny, że pani wahałabyś się tknąć mię temi oto szczypcami.

Pani Gradgrind spojrzała obojętnie na szczypce od kominka jako na najbliższy obchodzący ją w tej chwili przedmiot.

— Jak zdołałem wywinąć się z tego, przewal-czyć, sam już dziś nie wiem, ciągnął pan Boun-derby. — Zdecydowany byłem, w tem rzecz. Odnaczałem się zawsze siłą woli i musiałem ją posiadać w wysokim stopniu od samej kolebki, gdyż oto jestem, czem mię pani widzi, pani Gradgrind. Wszystko zawdzięczam samemu sobie.

Pani Gradgrind zauważyła cicho i miękko, że może jego matka...

— Moja matka! moja! — zaśmiał się pan Boun-derby.

Mrs Gradgrind zmilkała ogłuszona.

— Matka moja, — prawil pan Boun-derby — rzuciła mię, opuściła, zostawiła na łaskę i niełaskę

babki, a babka moja, o ile mię pamięć nie myli — była najwścieklejszą pod słońcem wiedźmą. Jeśli mi udało się dostać skąd parę dziurawych trzewików, przepijała je natychmiast. Pełz to razy, widziałem babkę moją w barłogu, wypijającą na czczo czternaście kieliszków alkoholu.

Mrs Gradgrind uśmiechnęła się, nie dając innego znaku życia, podobna do przeźroczyściego cienia kobiety, przez który przebija stojące po za nią światło.

— Babka moja, — prawil dalej Boun-derby, trzymała sklepik z łożówkami i śledźmi. Dziurawy kosz od jaj, był mi kolebką w tej przekłętą norze. Ucie-klęm stamtąd, skoro ustać mogłem na nogach. Zo-stałem włóczęgą i zamiast jednej baby potracającej mię i znęcającej się nademną, przechodni wszyscy, bez wyjątku, zaczęli potracać mię i deptać. Mieli rację. Zawalidrogą byłem, istną zarazą, hańbą społeczeństwa. Czulem to, o! czulem aż nadto dobrze.

Dumny i pyszny tem, że był niegdyś zawalidrogą, zarazą i hańbą społeczeństwa, pan Boun-derby prze-chwalał się z niezrównaną chępliwością.

— Musiałem się wywlec z tego bagna — pra-wil dalej — przyznasz pani sama, pani Gradgrind żem musiał. Wydźwignąłem się, choć mi nikt pomocnej nie podał ręki. Włóczęga, żebrak, wyrobnik, stróż, woźny, pisarz, wspólnik — wreszcie przemysłowiec, Jozue Boun-derby z Coketown, takie są moje koleje i przejścia, takie dościsłe dziś stanowisko. Ktoby dziś uwierzył, że ja, Jozue Boun-derby z Coketown, uczyłem się czytać na szyldach i czas mierzyłem na kompasie, zanim mię jakiś kulawiec, pijak, złodziej, znany nicpoń

nie nauczył rozoznawać godziny na ratuszowym zegarze. Zechciej pani odpowiadać Jozuemu Bounderby z Coketown, o wzorowych szkołkach i szkołach, o wszystkich temu podobnych facecyach a Jozue Bounderby z Coketown, przyzna się pani otwarcie, bez wstydu, że w młodości swej nie korzystał z takich udogodnień i ani słyszał o nich. A jednak — gdy idzie o ludzi z głową, wolą, charakterem — nie zaprzeczam wprawdzie dobrodziejstw wychowania, przyjmuję je jako fakt, dokonany fakt tylko... nie zdołasz pani wykreślić z mego życia to, co też faktem było, dokonanym faktem.

Zamilkł a zamilkł właśnie w chwili, gdy przyjaciel jego a pan Stone-Lodge, wiodąc za ręce winowajców, wkroczył do salonu. Spozstrzegłszy pana Bounderby, pan Gradgrind zatrzymał się i spojrział znacząco na córkę.

— Otóż go i masz, swego Bounderby.

— Cóż tam! zauważył ten ostatni, czemu Tom tak osowiały.

Mówił o chłopcu, lecz spoglądał na dziewczynę

— Podpatrywaliśmy, co się dzieje w cyrku, rzekła wyniosłe, lecz nie podnosząc oczu Ludwika, — i ojciec nas przyłapał na gorącym uczynku.

— Ah! pani Gradgrind, zwrócił się mąż do żony — spodziewałbym się raczej zastać moje dzieci czytające poezye!

— O nieba! — zachlipała pani Gradgrind! — Jak można, Ludwiko! i ty Tomasz! jak można. Nigdybym się po was tego nie spodziewała. To wy-

starcza, aż nadto, by obrzydzić każdemu rodzinę... Chciałabym jej wcale nie mieć. Pocóżście to czynili?

Pana Gradgrind'a nie zadawalniali te nie dość dobitne uwagi jego żony. Zmarszczył brwi.

— Jak gdyby — ciągnęła ta ostatnia, — przy obecnym moim bólu głowy, nie dość wam było muszli i kamieni i tych innych osobliwości, w jakie tu zaopatrzeni jesteście. Zechciało się im cyrku, patrzcie! Wszak tak samo jak ja, wiecie, że dzieci nie mają cyrkowych nauczycieli, ani cyrkowych zbiorów, ani lekcyj. Więc czegoście byli ciekawi w tym cyrku? Czy mało macie zajęcia w domu? W obecnym stanie biednej mojej głowy, nie zdołam spamiętać nazw, połowy faktów, któremi was tu karmią.

— W tem rzecz, dąsała się Ludwika.

— Nie mów, że w tem rzecz, bo tak nie jest, — gderała matka. — A teraz idź i zajmij się jaką ...ologią.

Pani Gradgrind nie miała pretensyi do surowości i zwykle ogólnikowo odsełała swe dzieci do lekcji.

Co prawda, to na ogół wyobrażenia pani Gradgrind odnośnie faktów szwankowały im, a mąż jej wywyższając ją na stopę towarzyszki swego życia, miał głównie na względzie przyzwoity jej wygląd i brak nonsensu jakim się odznaczała, a pod mianem nonsensu pan Gradgrind rozumie wyobraźnię, od której napadów żona jego była istotnie wolną o tyle, o ile nie do szczętu jeszcze zidjotyzowana istota uwolnić się od czegoś zdoła.

Teraz, sam fakt pozostania w towarzystwie męża i pana Bounderby wystarczał jej do ostatecznego zbicia

z tropu. Zapadła w obojętne milczenie, z którego też nikt już jej nie myślał wyrwać.

— Bounderby — począł pan Gradgrind, przysuwając sobie krzesło do ognia, — tyle zwykle okazujesz przychylności dzieciom moim, Ludwice zwłaszcza, że nie mogę zataić przed tobą, jak dalece martwię się tem, co zaszło. Sam wiesz, jak pracowałem i pracuję nad wychowaniem mych dzieci, nad wykształceniem ich rozsądku. Rozsądek, jak to sam wiesz, uważam za jedyną dźwignię w wychowaniu młodzieży, a tu, tymczasem wypadki dnia dzisiejszego, aczkolwiek mało ważne, same przez się, zdają się wykazywać kielkowanie w umyśle Ludwiki i Tomasza, jakichś pierwiastków obcych, w każdym razie takich, o zasiewaniu i pielęgnowaniu których nie myślałem nigdy i które z rozsądkiem nie chyba nie mają wspólnego?

— Zapewne — zauważył pan Bounderby — nie nie ma rozsądnego w podpatrywaniu co robi kupa jakichś włóczęgów. Gdy byłem włóczęgą nikt się mną nie interesował, tegom pewny.

— Rzecz w tem — ciągnął najpraktyczniejszy z ojców i wychowawców, nie odrywając oczu od ognia — z czego ta niezdrowa ciekawość się zrodzić mogła?

— Powiem ci krótko: z rozpróżnianej wyobraźni.

— Nie zdaje mi się, — zaprzeczył najpraktyczniejszy z ojców i wychowawców — chociaż przyszło mi to na myśl w powrocie naszym do domu.

— Rozpróżniana wyobraźnia, — prawił pan Bounderby, — rzecz niebezpieczna dla każdego, a cóż

dopiero dla dziewczęcia jak Ludwika. Pal ją... przepaszam panią Gradgrind za dosadne wyrażenia jakich używam, ale na to nie ma rady, nie jestem wytwornym dżentlemanem, o nie. Ktoby się tego spodziewał po mnie, zawiódłby się okrutnie. Nie otrzymałem odpowiedniego wychowania.

— Czy też — rozważał pan Gradgrind, ręce zapuszczając w kieszenie a wzrok ponury w ogień, czy też czasem nauczyciel który lub służący, nie napomknął im czegoś niestosownego? Może książka jaka niepotrzebna wpadła im w ręce? Czy pomimo bażności książka romantyczna nie wdarła się czasem do domu mego, bo zaskiwiającem iście jest całe to zajście w obec praktycznego kierunku, w którym wychowywałem od kolebki dzieci moje.

— Zaczekaj! domyślam się, kto winien, — zawołał Bounderby, stojący ciągle przed kominem i przeżuwający wielkość swej pyszniejszej się ustawicznie pokory, — wszak macie w szkole córkę jednego z tych obieżyświatów, co?

— Cecylię Jupe! — uderzył się palcem w czoło pan Gradgrind. — A! tak!

— Aha! poczekaj! Jakim się sposobem dziewczyna dostała do szkoły?

— Jak? faktem jest, że ją pierwszy raz dopiero dziś dostrzegłem. Sama zgłosiła się, prosząc o przyjęcie jako nie należąca właściwie do miasta i... Masz rację Bounderby, masz zupełną rację!

— Poczekaj! — zawołał raz jeszcze pan Bounderby — czy ją Ludwika widziała, gdy się tu zgłosiła?

— Zapewne... wstawiała się za nią... lecz, Lu-

dwika, o czem nie wątpię, widzieć ją musiała pod okiem swej matki.

— Pani Gradgrind, — jak to było? — indagował pan Bounderby.

— Oh! zdrowie moje! zdrowie! — zajęczała pani Gradgrind. — Jak to było? A no! dziewczę pragnęło wstąpić do szkoły, a pan Gradgrind życzy sobie by dziewczęta wstępowały do szkoły, i Ludwika i Tom oboje mówili mi, że ona sobie tego życzy i że ojciec ich życzy sobie, by dziewczęta wstępowały do szkoły. Jak tu zaprzeczyć faktem?

— Powiem ci prosto, Gradgrind, — zadecydował pan Bounderby, — wyrzuć to dziewczę ze szkoły, a położysz koniec zgorzeniu.

— Gotów jestem tak sądzić..

— Bez wahania! to moje motto od dzieciństwa, od najwcześniejszego. Gdy mi przyszło na myśl zbiedz z mej nory i od mojej wiedźmy babki, zbiegłem bez wahania, natychmiast.

— Możebyś się przeszedł ze mną — zaproponował przyjacielowi pan Gradgrind, — mam gdzieś adres jej ojca. Możebyśmy poszli razem?

— I owszem, byle natychmiast.

Pan Bounderby nacisnął na głowę kapelusz jak człowiek nadto zajęty wywyższaniem się i nie mający czasu do tracenia na czeze ceremonie, a wsuwając ręce w kieszenie:

— Nie noszę rękawiczek, — mówił, — nie włazi się w rękawiczkach po drabinie. Ho! ho! nie doścignąłbym obecnego mego położenia, jeślibym je nosił.

Czekając zaś w sieni na pana Gradgrind'a, który poszedł na górę po adres ojca Cecylii Jupe, uchylił drzwi szkoły, zaglądając do wesołego, jasnego pokoju, co pomimo szaf z książkami, map i tablic, robił raczej wrażenie balwierni.

Ludwika oparta o okno, wyglądała niem obojętnie, Tom sapał mściwie przed ogniem, Adaś i Malthus, młodsze pokolenie Gradgrindów, siedzieli po kątach na pokucie a mała Johasia wysmarowawszy się należycie kredą i atramentem, zasnęła w najlepsze nad najpopolitszemi z ułamków.

— Wszystko w porządku, Ludwiko, wszystko w porządku Tomciu? rzekł drzwi uchylając, pan Bounderby — nie powtórzycie tego powtórnie, prawda? Co do ojca, moja to rzecz, odpowiadam wam za niego. Co Ludwiko, zasłużyłem co najmniej buziaka.

— Możesz go pan wziąć, panie Bounderby, — odrzekła chłodno, posuwając się zwolna naprzód i nadstawiając mu niechętnie policzek.

— Pieszczotko moja! faworytko! — rzekł pan Bounderby.

— Do widzenia, dzieci.

Wyszedł, lecz Ludwika długo jeszcze stała w miejscu, wycierając twarz chusteczką do nosa tak mocno, że poczerwieniała cała. Tarła ją po pięciu jeszcze minutach.

Daj pokój, — upominał ją brat nadąsany — wyskrobiesz dziurę w twarzy.

— Możesz mi wyciąć kawałek policzka Tomciu, jeśli ci się podoba, rzekła, — nie zapłacę pewnie.

## Karerton.

Coketown, kędy obecnie panowie Bounderby i Gradgrind, skierowali swe kroki, było siedliskiem i popisem faktów. — Nie było w niem więcej miejsca na wyobraźnię jak w ciasnej głowie samej pani Gradgrind. Wsluchajmy się chwilę w kamertonową nutę tego miasta, zanim dalej nucię będziemy zaczęłą piosenkę.

Było to miasto z cegły czerwonej lub co czerwoną była, zanim ją osmolili dymy i popioły, dość, że wyglądało jak twarz dzikusa malowana na czerwono i czarno. Było to miasto wysokich kominów i kwadratowych fabryk, po nad którymi snuły się nieprzerwane kłęby brych dymów. Środkiem czernił się kanał cuchnący, rzeka z zafarbowaną na czerwono wodą a nad nią budynki o niezliczonych oknach zionęły pustką i wilgocią śród ustawicznego szumu i zgrzytu maszyn a tłoczki parowych kotłów, opadały i podnosiły się dzień cały z monotonią łbów popadłych w melancholię słoni. Było tam kilka szerokich, zupełnie jedna do drugiej podobnych ulic i jeszcze więcej, jeszcze podobniejszych pomiędzy sobą zaułków, zamieszkałych przez ludzi równie podobnych pomiędzy sobą, wychodzących o tych samych godzinach, do jednakowej pracy, z jednostajnym stukiem drewnianego obóvia o kamienie, ludzi dla których dzień wczorajszy nie różnił się niczem od dzisiejszego a rok każdy był identyczny z przeszłym i z przyszłym rokiem.

Te właściwości Coketownu były zresztą nieodzielne od trąci jego istnienia. Przeciwstawiać mu

można było komfort, ozlaczający życie gdzie indziej, elegancję i wytworność kobiet światowych, któreby nawet nie raczyły wspomnieć o istnieniu tego miasta. Reszta charakterystycznych jego rysów pozostawała dowolną a mianowicie:

Mało co tu było po za obrębem pracy. Jeśli członkowie pewnego zgromadzenia decydowali wznieść kaplicę — a decyzya ta zapadała pomiędzy członkami osiemnastu odmiennych stowarzyszeń — wznosili nieodmiennie coś nakształt magazynu z czerwonej cegły. Czasem — w rzadkich wypadkach nadzwyczajnej ornamentyki — stawiano klatkę zamiast dzwonnicy na dachu. Jedynym wyjątkiem był nowy kościół, otynkowany, z kwadratową wieżą nad drzwiami, z niskimi drewnianymi szczytami po rogach. Wszystkie zresztą szyldy i nadpisy w mieście były malowane czarno na białem, a więzienie mogło być równie dobrze wzięte za szpital, jak za ratusz, tak dalece publiczne budynki podobne były pomiędzy sobą. Faktem, była szkoła pana M'Choakumchild'a i faktem szkoła rysunków. Faktem stosunek pomiędzy majstrem i wyrobnikiem. Faktem wszystko oo zachodziło pomiędzy chorymi w szpitalu i cmentarzem i nie istniało tu nic coby się nie dało wymierzyć, zredukować do pewnych rozmiarów, sprzedać najdrożej a kupić najtaniej — nie istniało i istnieć nie miało, po wiek wieków, Amen.

Miasto stojące samą siłą faktów, świadczące o ich wszechpotędze, musiało się rozwijać pomyślnie.

— Niezupełnie. Jakto, niezupełnie?

Z ogniska fabryk i parowych kotłów Coketown nie wychodziło jak złoto przepczyszczone w ogniu. Po



pierwsze narzucało się niepokojące pytanie, kto należał do osiemnastu stowarzyszeń, na które się miasto rozpadło? Bądź co bądź nie ludność robocza. Dziwnie nawet było przechadzać się po ulicach miasta w niedzielę rano i stwierdzać, jak mało kogo przekonywały ogłuszające dzwony osiemnastu kaplic, należących do osiemnastu różnych stowarzyszeń, jak mało kogo wywoływały z ciasnych zaułków i ciasniejszych mieszkań kędy się ludność robocza gnieździła.

Sluchali dzwonów, jak gdyby nie rozumiejąc wcale ich głosu. Nie samych przybyszy uderzać to musiało, skoro członkowie stowarzyszeń na każdej sesji w parlamencie zanosili prośby o przedsięwzięcie radykalnych środków ku wpajaniu religijności w roboczą ludność.

Po za tem sypały się jeszcze skargi towarzystwa wstrzemięźliwości: na rozwielenione w Coketown pijaństwo.

Na wieczorkach i zebraniach utrzymywano, że żadne ludzkie i Boskie prawa, wstrzymać od pijaństwa roboczej ludności nie zdołają. Chyba medale? Gdyby też spróbować? Aptekarze i handlarze korzeni utrzymywali, że ci co nie piją, zażywają opium.

Do wszystkich tych niekorzystnych świadectw dołączmy najniekorzystniejsze, świadomego snać rzeczy, więziennego kapelana, utrzymującego, że taż sama ludność, chętnie uczęszcza na tajne schadzki, słucha gorszących śpiewek, przypatruje się nieskromnym tańcom, kto wie czy nie bierze w nich udziału, bo czyż dwudziestoletni młodzieniec skazany na półtora roczne więzienie sam nie wyznał — na bezwzględną wprawdzie nie zasługiwał on wiare! — że schadzki podobne, hu-

hardo Bitzer. — To ona gonila za mną. — Ci sztukatorzy nigdy nie mówią prawdy, znani łgarze. Pan wie, te linoskoki to zawsze łgają. Całe miasto wie o tem. Taka to prawda jak to, że nie mają pojęcia o tablicy mnożenia. Upewniam o tem pana.

— Tak mię przestraszył ten zły, brzydki chłopiec, — tłómaczyła się Sissy.

— O! patrzcie ją! — wrzeszczał blady Bitzer, — przestraszyła się komedyantka, sztukatorka, cyrkówka. Ani bym się na nią spojrział. Spytałem ją po prostu, czy potrafi jutro określić konia i chciałem jej powtórzyć lekcję, a ta w nogi. Ja za nią, chcąc ją nauczyć, jak zapytana ma odpowiadać w szkole. Uf! Ty! nie wyklamywałabyś się tak, gdybyś nie była komedyantką! linoskoczką!

— A co, zauważył pan Boanderby, zwracając się do pana Gradgrind. — Rzemiosło jej znane w szkole. Nie dziw się proszę, jeśli jutro znajdziesz podpatrujących przez szczeliny, co się w cyrku dzieje, większą połowę uczni i uczennice.

— Masz rację — odrzekł pan Gradgrind i zwracając się do bladego chłopca:

— Wracaj do domu, a ty Cecyljo Jupe wstrzymaj się jeszcze chwilę. Bitzer, pamiętaj, bym cię na czemś podobnem nie złapał powtórnie. Dowiesz się jeszcze o mnie od nauczyciela, a teraz marsz!

Chłopiec przestał mrugać oczami, potarł raz jeszcze piegowate czoło, spojrział z podelba na Sissy, zawrócił się i odszedł.

— A teraz — zwrócił się pan Gradgrind do dziewczęcia — zaprowadź tu pana i mnie do swego

ojca. Właśnieśmy go szukali. Ale! ale co tam masz pod chustką? butelkę, co?

— Wódki — twierdził pan Bounderby.

— O nie! wcale nie wódkę panie! — zaprotestowała dziewczynka — balsam — dziewiętny balsam.

— Co takiego? — wrzasnął pan Bounderby.

— Dziewiętny balsam dla natarcia ojca.

Pan Bounderby roześmiał się.

— Do stu dyabłów, po co masz go nacierać?

— U nas się tem leczą, gdy się stłuką spadając z konia — objaśniała dziewczynka, oglądając się, czy jej napastnik naprawdę odszedł. — Nieraz się tłuką biedni, aż pożał się Boże.

— Mają, co zastępują! Hultaje!

Spojrzała na mówiącego na poły wystraszona, zdziwiona na poły.

— Na honor! — zaklął pan Bounderby — gdym był o cztery czy pięć lat młodszy od ciebie, bywałem nieraz stłuczony na gorzkie jabłko. Żadne by mi nie pomogły wówczas oleje, balsamy, nacierania. A nie przez swawolę, zgorzzenie, wykrzywanie się w cyrku, byłem stłuczony, lecz poprostu zбитy, skatowany. Rozumiesz zбитy, skatowany. Ho! ho! nie tańczyłem ja na sznurze, sztuk łamanych nie pokazywałem! Skakałem po twardej ziemi, gdy ćwiczone mię sznurami.

Pan Gradgrind aczkolwiek praktyczny a co zatem idzie dość twardy, nie był nim tak absolutnie jak pan Bounderby. Wszystko wzięwszy w rozagę, nie był to wcale zły człowiek, byłby nawet dobrym, gdyby nie pewne przerachowanie się przed laty, przed wielu,

co przeważało szalę. A teraz, na zawrocie ciasnego zaułka, spytał dziewczynkę łagodnie:

— Czy to jest Pod's End?

— Tak panie, z pańskim przeproszeniem, w tym właśnie domu mieszkamy.

Zmrok zapadał. Dziewczynka zatrzymała się u drzwi ciasnego, ubogiego zajazdu. W oknach paliły się mętne światła. Zajazd był brudny, odarty, rzekłbyś, że służąc pijakom i obdartusom samym sam się wyrobił na wzór ich i podobieństwo.

— Tuż za izbą stołową, wprost na wschody — tłómaczyła dziewczynka. — Niech panowie raczą się wstrzymać chwilkę, zaraz zapalę świecę... Niech się pan nie przestraszy, słysząc szczekanie psa — to nasz Merryleg, burczy lecz nie kąsa nigdy.

— Merryleg<sup>1)</sup> i balsam dziewiętny! — śmiał się rozgłośnie pan Bounderby, — kapitalne! kapitalne! i to dla takiego jak ja człowieka, co sam sobie wszystko zawdzięcza.

#### Rozdział VI.

#### Cyrkowe Towarzystwo.

Zajazd był pod godłem Pegaza. Czemu raczej nie Szkapy? Lecz wyraźnie pod szyldem, wyobrażającym szkapę, stało wypisane czarno na białem: „Pegaz“, a pod tem wierszowane zaproszenie przechodni na piwo, wódkę i wino, wszystko przedniej niebywałej doskonałości. Oprócz tego po nad stołem w szynkarni

<sup>1)</sup> Dosłownie: wesolonogi.

pstrzył się szyld drugi, teatralny, z prawdziwym już Pegazem, mytologicznym, skrzydlatym zawisłym wśród gwiazd złocistych, w nieodzownym purpurowym czapraku. Szczęściem na dworze było już nadto ciemno, w szynkowni nie dość jasno i oba idealistyczne te szyldy uszły baczno i krytycznego oka praktycznych dżentlemenów. Weszli za dziewczynką na wschody, nie spotkawszy nikogo i zatrzymali się w ciemności, czekając aż przewodniczka ich zapali świecę. Co chwila spodziewali się słyszeć warczenie i szczekanie psa, lecz mądry Merryleg, zachowywał się jakoś spokojnie, chociaż Cecylia otworzyła już drzwi poddasza.

— Ojca nie ma — rzekła zdziwiona bardzo. — Proszę panów! niech panowie raczą wejść, wnet zawołam ojca.

Weszli — Sissy podała im krzesła i wybiegła spiesźnie. Pokój był niski, ciasny, ubogi. W kącie łóżko, szlafmyca przystrojona pawiem piórkiem i harcopf, w którym popołudniu *signor* Jupe występował z seksualnym humorem, wisiały na ścianie. Oprócz tych dwóch przedmiotów nie było widać nigdzie żadnych innych części ubrania, pokój był pusty, jak wymieciony. Co do Merrylega, musiał być chyba gdzieś zamknięty, gdyż próżnoby ludzkie oko szukało psa po całym obwodzie zajazdu pod „Pegazem“. Szczekania lub warczenia nie dochodziły ludzkiego ucha, słysząc tylko było szybkie otwieranie i głośne zamykanie drzwi, zapytania, wykrzykniki. Sissy szukała ojca, nie mogąc go znaleźć. Wróciła biegnąc, rozwarła rozbitą jakąś skrzynię. Pustą była... powiodła do koła wystraszoną wrokiem... załamała ręce.

— Ojciec — zawołała — zszedł zapewne do szalasu... tak! pewnie go tam znajdę, chociaż nie wiem po co by tam poszedł. Z przeproszeniem panów! za chwilę wrócę, z ojcem.

Wybiegła, bez kapelusza, tak jak stała, z rozpuszczonymi czarnymi włosami.

— Co jej w głowie — ozwał się pan Gradgrind — wróci za chwilę! piękna mi to będzie chwila. Do szopy stąd dobrej pół mili\*).

Za nim pan Bounderby odpowiedział, na progu zjawił się jakiś młodzieniec i po krótkim „Z pańskim pozwoleniem“ wszedł, nie wyjmując rąk z kieszeni. Na jego ogoloną, bladą i chudą twarz opadały gęste, kędzierzawe, czarne włosy, rozdzielone nad czołem. Członki miał rozrosłe, potężne, lecz krótsze niż tego wymagają prawidłowe proporcje, a piersiową deskę i kark nazbyt na swą urodę rozwinięte. Odziany był w kurtę i obcisłe spodnie, szyję miał okrytą włóczkową chustą, cuchnął olejem, słomą, trocinami, stajnią i pomarańczową skórą. Obraz szczególny Centaura, mieszanina stajennego chłopca i sztukatora. Nikt by na pewno nie mógł określić kiedy przestawał być pierwszym a zaczynał być drugim. Na afiszu figurował jako Mr. E. W. B. Childers, sławny strzelec z puszczy i stepów północnej Ameryki, pogromca dzikich zwierząt. Zwykle w zadziwiających rzeczach, które dokażywał, posługiwał się rodzonym synem niemowlęciem, niezwykle drobnym z niezwykle starą twarzą chłopcem — noszony przez ojca na głowie, plecach, ra-

\*) Mila angielska.

mionach, za jedną rączkę, za piętę — podrzucany nogą jak piłka, rzekome niemowle, wyfryzowane, wybielone, wyróżzone, wyskrzydłone, figurowało też często jako Amor, ku większemu zadowoleniu publiczności, w prywatnem zaś życiu odznaczało się zawsze przykrótkim kubrakiem, głosem mrukliwym kwaśnym, stajennymi ruchami i nałogami.

— Za pozwoleniem — ozwał się Mr. E. W. B. Childers, rozglądając się po pustym pokoju — panowie żądali widzieć kolegę Jupe?

— Właśnie — odrzekł pan Gradgrind — córka pobięła po niego, lecz że to daleko, nie możemy czekać i moglibyśmy panu zostawić nasze zlecenie.

— Bo to, mój przyjacielu — począł pan Bounderby — należym, uważasz, do rzędu ludzi znających wartość czasu, o czem podobni wam wyobrażenia nie mają.

— Nie mam honoru znać panów! — odrzekł Mr. Childers, mierząc od stóp do głowy pana Bounderby — lecz wnosząc z wyglądu czas przynosi panu lepsze niż mnie dochody.

— Które też udaje się panu zapewne lepiej przechować — zakrzyczał stojący we drzwiach Amor.

— Milcz Kidderminster! — zawołał Mr. Childers, tak się bowiem mianował słynny Amor a domniemy syn linoskoka.

— Po co nas zaczepia — wrzeszczał ten rozzłoszczony. Jeśli ma nam dać zarobek, to niech kupi bilet w kasie i tyle tego.

— Cyt! Kidderminster, ciszej! — podniósł głos Mr. Childers, a zwracając się do pana Gradgrind'a:

— Miałem honor mówić do pana... Wiadomo panu lub może i nie wiadomo, gdyż nie wiem czy pan uczęszcza na nasze przedstawienia, że kolega Jupe chybiał skoki w ostatnich czasach.

— Chybiał... co chybiał? — spytał pan Gradgrind, spoglądając pytająco na pana Bounderby.

— Co, jeśli nie cel, przedrzeźniał Mr. Kidderminster — dziś jeszcze obiecywał rozwiązać cztery podwiązki a nie rozwiązał żadnej i chybił roztrącenie bandery.

— Słowem, objaśnił Mr. Childers — nie wykonywał, co musiał wykonywać, chybiał skoki, koziółki, dowcipy.

— A! — zauważył pan Gradgrind — panowie to nazywacie chybieniem celu.

— Tak, nie inaczej — odrzekł Mr. E. W. B. Childers.

— Balsam dziewiętny, Merryleg, skok chybiony, podwiązki, bandery, koziółki! — śmiał się na całe gardło pan Bounderby, — na honor! Osobliwsza kompania! osobliwsza dla człeka, co sam sobie wszystko zawdzięcza, co się sam wyniósł.

— To się poniż, — zakrzyczał Amor, — miłościwy Milordzie, zniż się jeśliś się nadto wyniósł.

— Co to za nieznośny chłopiec, — zauważył marszcząc się pan Gradgrind.

— Sprowadzilibyśmy królewiatko dla przyjęcia pana dobrodzieja, jeśli byśmy byli uprzedzeni o jego wizycie — przedrzeźniał Kidderminster. — Trzeba było sobie zaobstalować książątko. Oj, po ciasnej „Johasi“ przywykł pan skakać.

— Co za niesforny chłopiec — zawołał zniecierpliwiony pan Gradgrind.

— Wynoś się, — huknął pogromca dzikich zwierząt, wyrzucając Kidderminster'a za drzwi. — Ciasna czy wolna „Johasia“ — tłumaczył — oznacza naprężoną czy wolno puszczoną linę... Słucham pana, pan mi miał dać zlecenie dla kolegi Jupe.

— Właśnie.

— Hmm! — w takim razie wnoszę, że je nie prędko otrzyma. Pan go znał, kolegę Jupe?

— Nie widziałem go dotąd.

— W takim razie wątpię, czy go pan kiedy zobaczy. Wątpię. Wnoszę bowiem że drapnął...

— Jakto, drapnął! czy pan rozumiesz przez to, że opuścił córkę.

— Coś, niby — odparł z ukłonem Mr. Childers — jak kiep; bo wyszedł wczoraj, przedwczoraj, dzisiaj. Spozrzegł, że się rwie i nie mógł snuć tego przenieść.

— Czemuże tak... zekpiął, — wykrztusił pan Gradgrind.

— Hmm! członki straciły elastyczność, stwardniały mięśnie, człowiek wyczerpany, skończony! Gęgać to jeszcze może, ale tyle tego!

— Gęgać! — ha ha! coraz lepiej — śmiał się pan Bounderby; — Gęgać!

— Pappać, — jeśli się to panu lepiej podoba — objaśnił Mr. E. W. B. Childers, niechętnie spoglądając przez ramię na pana Bounderby i ściskając ramiona przy czem się całe jego gęste włosy przerzuciły z jednego boku na drugi. — Co najciekawsze to, że kolegę

Jupe więcejby bólało, gdyby jego córka spozrzęła, że ojciec w piętę goni, niż to, że ją opuścić musiał.

— Słyszysz Gradgrind! zaśmiał się pan Bounderby. — Słyszysz! Wyborne! co? Ojciec tak dalece rozkochany w córce, że aż drapnął od niej. Cha! Cha! Kapitalne! Co? Nie zawsze, bo powiem ci przyjacielu! — to do pana Childers — zajmowałem obecne stanowisko, i widzisz, to też podobne bajdy nie wzruszają mię zgoła. Zdziwisz się może, lecz ci powiem, że mię rodzona moja opuściła matka.

Mr. E. W. B. Childers, wcale się temu nie dziwił.

— Powiem ci przyjacielu! — powiedział pan Bounderby, żem się urodził w chlewie i matka mię opuściła. Czy ją tłumaczę? Wcale nie! Uniewinnić nie mogę, za nic nie mogę uniewinnić. Więc jakże ją mam nazwać? Najniegodziwszą pod słońcem kobietą, najniegodziwszą bym też nazwał, gdybym nie miał babki gorszej jeszcze, prawdziwej czarownicy, nałogowej pijaczki. Uważasz przyjacielu! nie mam rodowej dumy? Wcale nie. Nie wdaję się w sentymety. Kota nazywam kotem i matkę Joziasza Bounderby z Coketown, właściwem mianem, tak samo jak gdyby była matką nie Joziasza Bounderby z Coketown, lecz pierwszego lepszego z brzegu, jakiegoś tam naprzykład Joziasza z Wappingu. Tak i waszego kolegę Jupe nazwę jak na to zasługuje: niegodziwcem, nałogowym włóczęgą, obieżyświatem! Mówię to głośno, po angielsku.

— Nie zależy mi wcale na tem po jakimu pan mówisz — odparł Mr. E. W. B. Childers — ani na tem za co pan masz lub nie masz mego kolegę Jupe. Opowiadam przyjacielowi pańskiemu, jak rzeczy stoją

a jeśli to nie zadawalnia pana, możesz wyjść za drzwi. Uważam, że pan lubisz głos zabierać. — Wolno we własnym domu, ale nie tu. Wnoszę, że masz pan dom własny? Co?

— Być może, — odparł śmiejąc się i pobrzękując w kieszeni kieszka pan Bounderby.

— Więc rób pan cały ten rumor pod własnym dachem... Ten bo widzi pan pułap nie zbyt mocny i zawalić się może.

Rzekłszy to, obrzucił pana Bounderby wzdardliwym spojrzeniem i odwracając się do pana Gradgrind, ciągnął dalej.

— Kolega Jupe, wysłał przed godziną córkę do miasta, poczem nałożywszy kapelusz na głowę z węzelkiem uwiązany w chusteczce do nosa pod pachą, sam się wyniósł. Biedna Sissy, nie uwierzy nigdy, przemięty, że ją ojciec opuścił.

— Dlaczego nie uwierzy, — pytał pan Gradgrind?

— Bo ci dwoje jedno rzekłbyś mieli serce. Nie rozłączali się dotąd na chwilę, ojciec przepadał za córką — mówił Mr. Childers zaglądając w pustą a otworem stojącą skrzynię. Musimy tu zauważyć, że tak Mr. Childers, jak Kidderminster, mieli szczególnie sposób chodzenia, z szeroko rozstawionymi rękoma i nogami, sztywni w kolanach. Chód podobny był zresztą wspólny wszystkim męzkim członkom cyrkowego towarzystwa firmy Sleary, uważany zresztą jako świadectwo doskonałości ich konnej jazdy.

— Biedna Sissy, — ubolewał zaglądając w pustą skrzynię i trzęsąc włosami Childers. — Biedna! Po co ją edukował, mając z niczem puścić!

— Bardzo pięknie, że sam nie ucząc się nigdy, niczego... począł pan Gradgrind, lecz linoskok mu przerwał.

— Jakto nigdy niczego! Uczylem się przecie od siódmego roku życia.

— Doprawdy! — zauważył pan Gradgrind, zawstydzony, że go spostrzegawczość zawiodła. — Doprawdy! Nie sądziłbym by tak wcześniej przyuczano.

— Do hultajstwa! — skończył wybuchając śmiechem Bounderby, ale Mr. E. W. B. Childers, nie raczył zwrócić uwagi na tę przerwę.

— Ojciec Sissy wbił sobie w głowę — mówił — że ją wychować musi starannie. Zkąd mu się to wzięło, nie wiem, dość że o tem tylko marzył i wszędzie, gdy się nadarzyła zręczność, starał złapać coś to z czytania, to z pisania, z rachunków, z Bóg wie czego! I tak już od lat siedmiu.

Mr. E. W. B. Childers wyjął rękę z kieszeni, potarł czoło i kark, patrząc uważnie na pana Gradgrind'a. Od pierwszego spojrzenia rozumiał, że winien go pozyskać dla opuszczonego przez ojca dziewczęcia.

— Gdy Sissy weszła tu do szkoły — mówił — ojciec jej cieszył się jak król, aż to mię zdziwiło, gdyż myślałem, żeśmy tu przechodnie, dziś tu, jutro tam. Ułożył już coś był sobie widać i cieszył się biedak z zapewnienia córce edukacji... to też jeśli pan przypadkiem zaszedł tu z pomysłą dla tego biednego dziecka wieścią, bardzo w porę, bardzo.

— Przeciwnie — odparł pan Gradgrind, — zaszedłem z tem, by oznajmić jej ojcu, że stosunki jej rodzinne i... towarzyskie, a no tak, towarzyskie są

przeszkodą do dalszego uczęszczania do szkoły. Teraz zaś, jeśli ojciec opuścił ją istotnie i bez współudziału w tej sprawie... Bouncerby proszę cię na stronę, chciałbym zasięgnąć twej rady.

Mr. Childers wyszedł natychmiast z pokoju, pozostając na schodach, gładząc ogoloną twarz i pogwiżdżając z cicha, co mu nie przeszkodziło łapać echem stanowcze pana Bouncerby: „Ależ nie“, „nie radzę ci“, „w żaden sposób“ i łagodniejsze pana Gradgrind: „Pomyśl tylko! chociażby ze względu na Ludwikę — jaki to świetny przykład... przykrócenie niezdrowej ciekawości...“

Tymczasem przezorni członkowie cyrkowego towarzystwa pod firmą Sleary, zbrali się w sieni, szepcząc coś między sobą i z panem Childersem. Było tam dwie czy trzy, wcale przystojne młode kobiety, dwóch czy trzech mężów, parę matek, kilkoro dzieci występujących zwykle w apoteozach. Ojciec rodziny dźwigał na drągu w czasie przedstawień ojca drugiej rodziny, gdy trzeci służył tamtym obu za fundament do piramidy z żywych ludzi, której czołem bywał Kidderminster. Wszyscy trzej wykonywali zadziwiające skoki na toczących się beczkach i kołach, chodzili po butelkach, połykali noże i widelce, skręcali blachy, niby papieru arkusze, jeździli na byle czym, byle jak, wskakiwali na byle co, przebijali się każdym rożnem. Wszystkie kobiety skakały po linie, tańczyły najdziwniejsze kroki, dosiadały nieosiodłane rumaki, pokazując obojętnie jak najliczniejszym widzom, obnażone ramiona i kolana. Jedna z nich zwykła była wjeżdżać do każdego nowego miasta, powożąc greckim rydwanem,

zaprzężonym w sześć koni. Wszystkie zdawały się pewne siebie i nader swobodne. Niezbyt porządnie ubrane, zaniedbujące domowe gospodarstwo, wszystkich razem zebrane wiadomości nie złożyłyby się na napisanie jednego ortograficznego listu, a jednak wyglądały one dziwnie jakoś potulnie i naiwnie, niezdolne rzekłbys zranić lub upokorzyć nikogo, gotowe współczuć każdej niedoli, wspomagać się wzajemnie, zasługując bądź co bądź na tyleż często szacunku, co niejedne z ich szczęśliwszych siostr na świecie.

Ostatni zjawił się sam przedsiębiorca, pan Sleary, mężczyzna silny, z jednym okiem nieruchomem a drugim dziwnie biegającym i głosem — jeśli tak rzecz można, wychodzącym jak z rozerwanego miechu. Obwisłe miał policzki, chwiejącą się głowę. Wyglądał wiecznie na pół podchmielonego.

— Panie! począł świszcząc, gdyż astma nie dozwalała mu wymawiać czysto wielu sylab, — sługa pański! Fatalny mamy dziś dzień, fatalny! Państwo słyszeli o ucieczce domniemanej mego głównego klauna. Uciekł ze swym psem razem.

Zwracał się do pana Gradgrind'a, który skinął głową.

— Zatem panie! Szanowny panie — ciągnął zdejmując kapelusz i opylając go starannie chustką do nosa pan Sleary — zamierzasz pan coś przedsięwziąć odnośnie tej biednej dziewczyny?

— Istotnie, mam jej coś zaproponować, gdy wróci, — odrzekł pan Gradgrind.

— Rad temu jestem, bardzo rad. Nie dlatego abym chciał się jej pozbyć, bynajmniej! gotów jestem

wziąć ją do nauki, chociaż, prawdę mówiąc, już nieco zapóźno. Głos mam przyciszony, niewyraźny dla nieoswojonych z nim, ale bo widzi pan, ciągle przechodzenie z gorąca do zimna, z zimna do gorąca zepsułoby głos i panu, gdyby pan był w mojem położeniu.

— Zapewne — zgodził się pan Gradgrind.

— Czemżebym mógł służyć panu, może kieliszeczek szery — proponował gościnnie przedsiębiorca cyrku.

— Dziękuję panu. Niczem.

— Niech pan nie odmawia. A pan — zwrócił się do pana Bounderby, — panowie może na czczo? Szklaneczkę gorzkiego, co?

Tu córka jego Józefa, ładne osiemnastoletnie jasnowłose dziewczę, które w drugim roku życia przywiązywane było do konia, a w dwunastym napisało testament, z którym się odtąd nosiło i woziło, a w którym stało, jako to do grobu wieść ją miała para ulubionych srokatych kuców, — zawołała nagle: „Cicho, wraca! Jakoż do pokoju wbiegła Sissy równie szybko jak była przed tem wybiegła. Powiodła okiem do koła. — Ojca nie było! Zrozumiała! krzyknęła chowając twarz zalaną łzami na łonie jednej ze sztukaterek, która uklękną obejmując ją czule i płacząc nad nią rzewnie.

— Wstyd! na honor, wstyd! belkotał Sleary.

— O mój ojcze, mój dobry, kochany, jedyny ojcze; gdzieś odszedł, — szlochała biedna Sissy. — Wiem żeś to pewno uczynił dla mego dobra, żeś nie chciał mię skrzywdzić, ach! ależ jak biedny, samotny, opuszczony będziesz bezemnie i zanim wrócisz, mój ojcze! mój biedny, kochany ojcze!

Szlochała, wyciągając ramiona, jak gdyby pochwycić chciała cień uchodzącego na nieznaną drogę ojca a nikt nie śmiał jej przerwać. Dopiero pan Bounderby głos zabrał:

— Wszystko to dobrze, moi ludzie! ale dyabelnie czas traciecie. Trzeba dziewczynie wytłómaczyć, jak rzecz stoi, niech się pogodzi ze spełnionym faktem. Wytłómaczę jej to najlepiej sam, ja com był opuszczony w daleko młodszym wieku. Chodź tu — jak się tam zowiesz! Bliżej. Ojciec twój uciekł, słyszysz! opuścił cię. Nie powinnaś łudzić się nadzieją ujrzenia go więcej.

Ludzie zebrani w ciasnej, ubogiej izdebce zajazdu „pod Pegazem“, tak dalece byli nierozwinięci i tak mało przywiązywali wagi do faktów, że zamiast podziwiać logikę pana Bounderby, oburzyli się na niego nie na żarty. Mężczyźni głośno szemrali: „wstyd“, a kobiety jeszcze głośniejsz „brutal!“ Pan Sleary odciągnął mowę na bok.

— Powiem panu, panie! mówiąc szczerze — lepiej byś pan przestał i wyniósł się póki pora. Dobrzy to, poczciwi ludziska, lecz bywają prędcy i... zwinni w ruchach i mogą pana ot tak, przerzucić przez okno.

Pan Bounderby przymilkł a pan Gradgrind usiłował postawić kwestyę na praktycznym gruncie.

— Nie w tem rzecz obecnie — mówił — czy i kiedy nieobecny wróci, przeciwnie! trzeba na razie coś poradzić. Na to się chyba zgodzą wszyscy tu.

— I owszem — zgodził się Sleary.

— Więc ja — począł pan Gradgrind — com tu przybył w celu ostrzeżenia ojca tej biednej dziewczyny,



że córka jego musi być wydaloną ze szkoły, dla wiadomych mi powodów, nad którymi nie mamy potrzeby się rozwodzić, a które nie pozwalają dopuszczania do szkoły dzieci rodziców należących do pewnej kategorii... obecnie i wobec zmienionego położenia rzeczy, proponuję owszem zająć się wychowaniem tu obecnej Cecylii Jupe. Jako jedyny warunek i to dla dobra tejże Cecylii, stawię natychmiastowy i stanowczy wybór pomiędzy mną a tu obecnymi, dotychczasowymi towarzyszami jej życia. Wybierając pierwsze, naturalnie Cecylia Jupe wyrzec się musi wszelakich dalszych stosunków z dotychczasowymi swymi przyjaciółmi, ze wszystkimi bez wyjątku.

— Tu wypada mi wtrącić słówko — ozwał się Sleary, wysuwając się naprzód. — Szala niech będzie równą, z przeproszeniem panów. Jeśli wolisz, Cecylie pozostać z nami, wiesz co cię tu czeka i czego się masz uczyć. Emma Gordon, ta co cię właśnie obecnie tuli do siebie, zastąpi ci matkę a moja Józia siostrę. Co do mnie, nie mam pretensyi uchościć za anioła, ani za lepszego niż jestem i pewnie że za każdym chybionym skokiem kłąć będę i sztrofować, lecz — zapewnić mogę pana, nie skrzywdziłem dotąd ni konia, ni jeźdźca. Płacać nie umiem. To nie moja rzecz. Powiedziałem com miał powiedzieć.

Z ostatnią częścią przemówienia pan Sleary zwrócił się był do pana Gradgrind'a, który skłonił głową.

— Co do mnie, to tylko dodam — rzekł zwracając się do Sissy — że ojciec twój pragnął jak się zdaje, dać ci dobre, gruntowne, w życiu mogące ci się przydać wychowanie.

Słowa te widocznie podziały na dziewczynkę, przestała szlochać i zapłakaną twarz zwróciła do mówiącego. Całe zebrane towarzystwo poczuło zmianę w powietrzu. Wszyscy westchnęli jednomyślnie. „Opuści nas“, myśleli!

— Radź się własnego serca i sumienia — zastrzegł pan Gradgrind. — Nie chcę byś kiedy sobie lub mnie miała co do wyrzucenia. Radź się własnego serca i sumienia.

Dziewcze zwróciło się do pana Sleary.

— Jakże mię ojciec odnajdzie, gdy wróci, jeśli ztąd odejdę?

— W tym względzie — rzekł pan Gradgrind — możesz się uspokoić — Ojciec twój w podobnym razie zwróciłby się do pana... pana...

— Sleary — odpowiedział antreprenier — tak się zowie i niemam czego się wstydzić. Imię moje znane w Anglii całej a i dalej, dalej!

— ...zwróciłby się do pana Sleary — kończył pan Gradgrind — któryby mu udzielił wieści o tobie. Nie mam prawa przytrzymać cię wbrew woli twego ojca a nie trudno mu będzie sądzić odnaleść Tomasza Gradgrind'a z Coketown. Wszak znany tu jestem.

— A jak jeszcze! — zawołał przewracając ruchome swe oko, pan Sleary. Ile pan nas pozbawiłeś wpływów do kasy! Phi! Ale nie w tem rzecz na razie, nie w tem.

Nastalo milczenie. Po chwili Sissy zaszlochała znów, kryjąc twarz w dłoniach.

— Złóżcie mi moją odzież, złóżcie! niech odejdę, bo mi serce pęka z bólu! — płakała.

Kobiety zajęły się ze smutkiem, lecz natychmiast zbieraniem i składaniem gałganków biednej dziewczynki. Nie wiele tego było i podróżny, porwany, wytarty kuferek, co tyle przebył dróg i widział zajazdów, podobnych do tego oto „pod Pegazem“, prędko był gotów. Sissy siedziała ciągle na ziemi płacząc i zakrywając oczy. Panowie Gradgrind i Bounderby stali przy drzwiach, gotowi zabrać ją i odejść. Pan Sleary zajmował środek pokoju otoczony męzką połową kompanii, tak jak zwykł był stawać na środku cyrku podczas niebezpiecznych popisów córki swej Józefy. Brakło mu tylko bicia w rękę.

Kobiety ułożyły gałganki Sissy w kuferek, przyniosły jej kapelusz, przygładziły potargane włosy i nachylając się nad nią, zaczęły czule całować i ścisnąć. Proste to były, dobre, o kochających sercach kobiety.

— A teraz Cecylia Jupe, skoroś się zdecydowała — zagadnął pan Gradgrind.

Lecz Sissy nie pożegnała się jeszcze z kolegami ojca. Każdy z nich roztwierał z kolei ramiona — gdyż każdy trzymał je uprzednio tak jak i sam antrepreneur, skrzyżowane na piersiach, by ją uściśnąć po raz ostatni. Każdy, oprócz małego Kidderminster'a znanego z mizantropii i z żywionych względem małej Jupe, matrymonialnych widoków. Ten się melancholijnie uchylił: Mr. Sleary pozostał na zakończenie. Rozwierając szerokie ramiona, porwał dziewczynkę za obie ręce i chciał ją podnieść, jak zwykł był podnosić zeskakujące z konia i tryumfujące w cyrku linokoczeki,

cóż, kiedy Sissy nieusposobiona do skoków, stała płacząc ze spuszczoną głową.

— Żegnaj kochanko! — mówił tedy pan Sleary — Szczęść ci Boże! idź swą drogą i bądź pewną, że nikt z nas ci w drogę nie wlezie. Za to ręczę. Wolałbym co prawda, żeby twój ojciec nie uprowadził psa, który, bądź co bądź, potrzebny nam w cyrku. — Cóż, nie pokazywałyby sztuk bez swego pana.

Rzekłszy to popatrzał na Sissy nieruchomym okiem, drugim wodząc po zebranej do koła siebie kompanii, uściśnął ją, raz jeszcze pokiwał głową i oddał ją panu Gradgrind z takim ruchem, jak gdyby ją podsadzał na konia.

— Oddaję ją panu, — rzekł mierzając ją raz jeszcze wzrokiem, — oddaję też panu sprawiedliwość, postąpiłeś pan jak dżentleman. Bądź zdrowa, Cecylia!

— Do widzenia. Bądź zdrowa! Niech cię Bóg strzeże i prowadzi! — pospytało się zewsząd.

W tem oko antreprenera spoczęło na flaszcze z balsamem dziewiętnym, którą dziewczynka nie wypuściła była z rąk.

— Zostaw to, — rzekł, flasza duża, ciężka. Na nic ci zresztą teraz niepotrzebna. Oddaj mi ją.

— Nie! o nie! — zawołała, wybuchając znów płaczem Sissy. — Niech mi to pan zostawi, dopóki ojciec nie wróci. Pewno mu będzie potrzebne. O, pewnie! Nie myślał jeszcze odejść, gdy mię po to poselał. Schowam do jego powrotu.

— Niech i tak będzie, — zgodził się pan Sleary, — żegnam cię Cecylia! Pomnij na ostatnie moje słowa: nie zaniedbuj obowiązków nowych, bądź posłusz-

na swemu wychowawcy i zapomnij o nas, lecz jeśli ci się zdarzy, gdy wyrośniesz, wyjdiesz za mąż i zaznasz powodzenia, jeśli ci się wówczas zdarzy spotkać linoskoków, nie gardź nimi, bądź pobłażliwa i pomnij, żeś żyła wśród nich bez krzywdy. Trzeba bo ludzi zabawiać, panie! — zwrócił się do pana Gradgrind'a. — Trzeba! Nie mogą przecie ustawicznie bez przerwy uczyć się i pracować. — Nie bierzcie nam za złe naszego rzemiosła. Ma ono swą dobrą stronę. Całe życie z tego żyłem i przyszedłem do wniosku, że ma ono dobrą stronę.

Pan Seary pozostał z filozoficznym swem zagadnieniem a w ciemnościach zalegających ulicę z przed obu jego oczu, nieruchomego jak i niespokojnie biegającego tu i tam — znikły wraz z kuferkiem trzy oddalające się postacie.

## Rozdział VII.

## Mrs. Sparsit.

Kawalerski dom pana Bounderby był prowadzony przez wiekową damę, za umówioną z góry sumę. Damę tę zwano Mrs. Sparsit. Zajmowała ona niepoślednie miejsce w tryumfalnym pochodzie, którym pan Bounderby obwoził po świecie swą pełną pychy pokorę.

Bo Mrs. Sparsit nie tylko znała dni lepsze, lecz była wysoce spokrewnioną damą. Jedną z jej ciotecznych czy cioteczno wujecznych ciotek żyła nawet jeszcze, po imieniu lady Scadgers a nieboszczyk pan Sparsit, pod którym mestres Sparsit była wdową, rodził się z „Powlerówny“ to go też wdowa zwykła była

nazywać „Powlerem“. Zdarzało się, że ludzie nieświadomi tych rzeczy, nie zdawali sobie jasno sprawy z całej wielkości tego nazwiska i nie rozumieli nawet dobrze czy miało oznaczać szczególną sektę religijną czy polityczną czy też firmę, interes handlowy? Za to ludzie dystyngowani, świadomi byli starożytności rodu, tak wielkiej, że aż się gubiła na błędnych drogach i w krzywych sprawach przeróżnych bankructw i niewypłacalności.

Nieboszczyk pan Sparsit, spokrewniony po kądzieli z Powler'ami, ożenił się był tedy z panią Sparsit, spokrewnioną po mieczu ze Scadgers'ami. Lady Scadgers — potężnie otyła baba, z fenomenalnym apetytem i tajemniczą nogą co od czternastu lat nie wysuwała się z pod pierzyny — wydała krewniaczkę za mąż za młodziutkiego, cieniutkiego pana Sparsit, chłopaka na długich nogach, z głową, o której nie ma co mówić. Odziedziczył on wkrótce potem, po jakimś wuju, spory majątek, który niestety! stracił był dobrze przed tem, a straciłby ze dwa razy jeszcze potem. Umierając w dwudziestym czwartym roku — w Calais z opilstwa — pozostawił żonę, z którą zresztą nie żył od dawna, w nieosobliwych interesach. O pietnaście lat starsza od męża, pozostała na łasce krewnych a zwłaszcza lady Scadgers. Po części nie chcąc jej być ciężarem, po części dla zarobku zdecydowała się przyjąć obowiązek gospodyni i oto obecnie, na starość z rzymskim swym nosem i pańskim wzięciem się, gęstemi czarnymi brwiami, co niegdyś podbiły serce młodego Sparsit'a, zmuszoną była rozlewać herbatę za stołem, na którym pan Bounderby zajał śniadanie.

Gdyby ten ostatni był Antoniuszem a pani Sparsit przykutą do jego tryumfalnego wozu Kleopatrą, nie mógł by się nią bardziej chwalić i przechwalać, jak to czynił obecnie przy każdej zręczności a nawet bez żadnej zręczności. Tak samo jak się spodobało jego samochwalstwu poniżyć własne pochodzenie, tak samo wywyższał nad miarę swą gospodynię. W przeciwstawieniu własnej młodości, pozbawionej, jak utrzymywał, jednego słonecznego promienia, otaczał młodość pani Sparsit blaskiem wszystkich bogactw, honorów, zasypując różami jej młodociane kroki. — A jednak, — zwykł był kończyć, — jakże są zmienne koleje.

Teraz za setkę, za nędzną, dama ta prowadzi dom Jozyasza Bounderby z Coketown'u, czując się sowiec wynadgrodzoną.

Samochwał ten wciągał innych w chór pochwał dla siebie — miał do tego szczególny talent, lub też może istnieją zaraźliwe pierwiastki w niektórych ułomnościach ludzkich, dzięki którym zapraszani do stołu pana Bounderby goście wtórowali chętnie jego przechwałkom. Słyszając ich, można go było wziąć za wcielenie wszystkich zasług i wielkości, za oś w okół której obracało się prawodawstwo, za siłę, wielkość Zjednoczonych królestw Wielkiej Brytanii. Nie jeden z wnoszących toasty, u jego stołu cytując „Lordów, książąt, księżniczki i księżne, które los, w obec tego potentata „puścił z niczem“ spoglądał na siedzącą na szarym końcu panią Sparsit, dając wyraźnie do zrozumienia, że mu wiadome zmienne koleje jej losów.

— Panie Bounderby, — ozwała się gospodyni, — pan dziś niezwykle leniwie spożywa śniadanie.

— Rozmyślał o fantazyi, co przyszła do głowy Gradgrind'owi. Pani wie, temu, Tomciowi — nazywał go tak bowiem czasem z lekceważeniem, poufale, jak gdyby nie wiele sobie robił z całej jego powagi, co mu przyszło do głowy z tą małą kuglarką, cyrkówką, pani wie, z tą małą.

— Z tą, co tam właśnie czeka, czy ma iść wprost do szkoły, czy do Stone Lodge.

— Niech czeka, dopóki sam się o tem nie dowiem. Tom Gradgrind nadejdzie niebawem. Jeśli zażąda, abyśmy ją tu przytrzymali dzień lub dwa, wszak będzie mogła pozostać, co? .

— Zapewne, skoro pan tego sobie życzy.

— Powiedziałem bowiem Tomciowi wczoraj, — że udzielię jej schronienia, zanim się namyśli, czy stosownem będzie zbliżać podobną ulicznicę do Ludwiki.

— Słusznie, panie Bounderby! Pan jesteś bardzo przezorny — bardzo.

Rzymski nos pani Sparsit wyciągnął się i opuścił jeszcze niżej a czarne brwi podniosły. Łyknęła haust herbaty.

— Jasnem jest dla mnie, — powiedział pan Bounderby — że nasza kotka nie skorzysta na podobnem zbliżeniu.

— Pan mówi o Miss Gradgrind, panie Bounderby?

— A o kimże innym bym mówił pani Sparsit.

— Ponieważ pan użył wyrażenia „kotka“, a w grze są dwie dziewczyny, nie wiedziałam o której mowa.

— Ależ o Ludwice, o Ludwice naturalnie.

— Pan jest dla Ludwiki Gradgrind niby drugim ojcem, — zauważyła pani Sparsit, polykając drugi haust herbaty, podnosząc brwi czarne i spuszcżając rzymski nos, w klasycznej pozie wywoływaczki bóstw piekielnych.

— Hmm! — gdybyś pani powiedziała, że jestem drugim ojcem dla Tomcia... dla juniora, dla syna, ma się rozumieć nie dla ojca, dla starego naszego Tomcia! byłabyś bliższą prawdy. Właśnie mam go wzięść do banku, pod moje skrzydła, rozumiesz pani!

— Doprawdy? czy nie zamłody czasem — jak pan sądzi, panie Bounderby, — pani Sparsit przemawiała do pana Bounderby, nader ceremonialnie, przez wzgląd raczej na własne urodzenie, niż przez uszanowanie dla swego chlebobdawcy.

— O! jeszcze nie teraz, — powiedział pan Bounderby — musi przecie skończyć edukację! Phi! edukacja.

Nie taką ja odbierałem w jego wieku, a obesłem się jakoś bez niej. Dziwna rzecz, jak mało z kim porozumieć się mogę w tej mierze. Pani naprzykład! Wspomniałem coś dziś przed panią, mówiąc o tej tam dziewczyni, o tej cyrkówce, o linoskokach, kuglarzach, obywateli. Co pani o tem możesz wiedzieć! Gdy skakanie po linie, w najciaśniejszych zaułkach miasta, było dla mnie karyerą, o której nie śmiałem nawet w nędzy mej i opuszczeniu zamarzyć, pani błyszczałaś wówczas niby gwiazda niedościgła w łoży włoskiej opery, w białej atlasowej sukni, cała skrząca od brylantów, gdy ja,

biedak nie miałem za co kupić zapalki by rozprószyć ciemność nocy mojej.

— Zapewne panie! — odrzekła ze smętną rezygnacją pani Sparsit, — oswojoną byłam od wczesnego dzieciństwa z włoską operą.

— Pal cię... tak jak ja pani, z odwrotną stroną życia. Spałem na bruku, na gołym. Ludzie, co jak pani! przywykli sypiać na puchu, nie wiedzą jak kamienie twardemi być mogą. Tak! tak! — próżno bym o tem chciał panią przekonać, jak próżno wspominać o linoskokach. Lepiej bym mówił o balecie, baletnicach, balach, festynach, księżętach, księżniczkach!

— Zdaje mi się — odparła z rezygnacją pani Sparsit, że to byłoby zbyt cenne. Pogodziłam się ze swym losem. Jeśli przywykłam słuchać z uwagą o doświadczeniach pańskiej karyery, wyciągając stąd zbawienne nauki, nie mam w tem też żadnej, szczególnej zasługi. Idę w tem za przykładem ogółu.

— Tak pani! tak! są zapewne ludzie, którym doświadczenia Jozuego Bounderby na dobre wyjść mogą. Ale pani! zrodzona na łonie bogactw, zbytku... Wszak nie zaprzeczysz pani, żeś zrodzona na łonie zbytku?

— Tego zaprzeczyć nie mogę, — odrzekła skłaniając głowę pani Sparsit.

Mr. Bounderby wstał od stołu i stanął plecami zwrócony do kominka, spoglądając na swą gospodynię, podnoszącą w szczególny sposób blaski jego obecnego położenia.

— Bywałaś pani w nielada towarzystwach — ciągnął grzejąc się — oho! w nielada!

— Istotnie, — odrzekła z przybraną pokorą pani Sparsit, tak dalece odmienną od przybranej pokory pana Bounderby, że się z nią godzić zdawała.

— Ho! ho! bywałaś pani, u szczytów wielkości, u samych!

— Tak, panie! — westchnęła zrezygnowana na obecne swe towarzyskie opuszczenie. — Tak! niewątpliwie.

Mr. Bounderby aż przysiadł, chwytając się z zadowolenia za kolana i wybuchając głośnym śmiechem.

W tem zaanonsowano pana i pannę Gradgrind. Pierwszego przyjął uściskiem dłoni, głośnym pacałunkiem Ludwikę.

— Czy nie mógłbyś kazać zawołać tu tę dziewczynę, Cecylię Jupe — spytał pan Gradgrind.

— I owszem. — Zawołano Sissy. Weszła dygając panom Bounderby, Gradgrind i Ludwice. Zmieszana ominęła panią Sparsit. Nie uszło to uwagi pana Bounderby.

— Słuchaj dziewczyno! — zawołał. — Nie wiesz zapewne kim jest ta, tam za stołem siedząca dama. Na imię jej Mrs Sparsit, jest tu u mnie gospodynią, rozumiesz: gospodynią, pomimo wysokiego swego urodzenia. To też jeśli chcesz pozostać dłużej w tym salonie, powinnaś znajdować się względem tej damy, z należnym uszanowaniem. Dla siebie, uważasz, nie wymagam niczego. Nie przywykłem wymagać, nie dbam o to. Nie posiadam urodzenia, ani wielkoświatowych stosunków, lecz co do tej tam za stołem siedzącej

i rozlewającej herbatę damy, wymagam najwyższej dla niej grzeczności. Nie zniosę, by jej uchybiano.

— Sądzę, — zauważył pojednawczo pan Gradgrind, że tu nie było złej woli, tylko brak uwagi.

— Przyjaciół mój, tu obecny Gradgrind, twierdzi, że to był tylko brak uwagi, — zwrócił się pan Bounderby do pani Sparsit. Być może. Lecz niech pani pamięta, że nie zezwalam na brak uwagi względem pani.

— Tyle łaski! — odparła spuszczać gromowładne brwi pani Sparsit. Nie warto mówić o tem.

Sissy tłómacząca się szeptem i ze łzami w oczach, została popchniętą przez pana Bounderby ku panu Gradgrind, na którego podniosła zażawione oczy. Ludwika stała przy ojcu chłodna, sztywna, ze spuszczonej powiekami. — Cecyliu Jupe! począł pan Gradgrind, — zdecydowałem się przyjąć cię pod mój dach. Będziesz uczęszczać do szkoły a w godzinach wolnych od nauki doglądać mojej chorobliwej żony. Przedstawiłem pannie Ludwice — oto jest Miss Ludwika, córka moja! przedstawiłem jej następstwa i oplakany koniec byłego twego zawodu. Odtąd nie ma być mowy o tem pomiędzy wami. Przeszłość przeszłością, od dziś nowe rozpoczynasz życie. Rozumiesz mię, Cecyliu Jupe?

— Tak panie! rozumiem — odrzekła dygając Sissy.

— Postaram się wychować cię doskonale, na żywy przykład, dla wszystkich razem i każdego z osobna, co odpowiedni kierunek w wychowaniu zdziałać może. Przerobię cię z gruntu, usatkuje. Zapewne miałaś w zwyczaju czytać głośno ojcu i tym tam osobisto-

ściom, wśród których żyłaś dotąd — kończył pan Gradgrind, zniżając głos przy ostatnich słowach.

— Tylko ojcu i Merrylegowi — odrzekła Sissy — to jest — dodała śpiesznie — ojcu a Merryleg był zawsze przecie z nami.

— Zapomnij o nim, Cecyljo Jupe! — zmarszczył brwi pan Gradgrind! Wszak o niego nie pytam. Miałem na myśli, czyś czytywała głośno ojcu?

— O tak, panie! tysiąc i tysiąc razy! były to najmilsze... najmilsze... — to ze źle tłumionem łkaniem, — chwile naszego życia.

Tu dopiero Ludwika podniosła na Sissy oczy.

— A cóżeś naprzykład czytywała ojcu? — pytał głos zniżając pan Gradgrind.

— Co? — o czarodziejach panie! o wrózkach, o przedziwnych przygodach, dobrych i złych gieniuszach o...

— Ciszej! dosyć! — zawołał pan Gradgrind. — Zapomnij o tych i tym podobnych bredniach — nie wspominaj o nich. Bounderby, — zwrócił się do swego przyjaciela, — dziewczę to wymaga szczególnie surowego nadzoru, odpowiedniego kierunku. Przedmiot ciekawy, bardzo ciekawy, śledzić za jej postępami będę z wielkiem zajęciem.

— Jak chcesz! — wydał policzki pan Bounderby, — powiedziałem ci już moje zapatrywanie na całą tę sprawę. Funta kłaków nie warta! Nie ryzykowałbym, będąc na twojem miejscu — Ale... co mi do tego! Twoja to rzecz?

I tak pan Gradgrind i Ludwika zabrali z sobą Cecylię Jupe do Stone Lodge a przez całą drogę Lu-

dwika nie przemówiła do niej ani słowa. Pan Bounderby wrócił do powszednich swych zajęć, a pani Sparsit podejmując swe gromowładne brwi, oddała się głębokim rozmyślaniom.

## Rozdział VIII.

## Bez podziwu.

Zanim przedłużym zaczęta naszą piosenkę, wróćmy do dominującej nuty. Przed dwunastu jeszcze laty Ludwika rozmawiając z bratem użyła słów: „Dziwi mię, Tomcin“ — na co wszystko słyszający i nie puszczający nie płazem pan Gradgrind, ostrzegł ją stanowczo:

— Ludwiko! nie dziw się nigdy niczemu.

W tem leżał sekret wychowania, skierowanego ku rozwijaniu rozsądku, z pominięciem uczuć i wyobraźni. Wszystko podciągnąć pod miarę i wagę, wyliczyć, zbadać, nie podziwiać nic nigdy! w tem rzecz. „Dajcie mi niemowlę nie mogące ustać jeszcze na nogach“ — prawił przedstawiciel nowego kierunku w wychowaniu, pan M'Choakumchild, a ręczę, że go otrzeźwię z wszelkiego podziwu.

Lecz że oprócz niemowląt zaledwie zdolnych utrzymać się na nogach, było w Coketown sporo dzieci, chodzących po bożym świecie od lat dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu i więcej, potworne te istoty stały się istnym postrachem społeczeństwa i osiemnaście zagnieżdżonych w Coketown kongregacyj, co chwila brało się za bary i wyrывało sobie wzajemnie włosy nie mogąc się porozumieć co do środków, ku poprawie

niepoprawnych. Różnią się we wszem innym wszystkie te stowarzyszenia — o dziwy! — zgadzały się w jednym, a mianowicie, że: nic nie poradzi z tymi potępieńcami. Jedni doradzali religię, drudzy ekonomię polityczną, trzeci pisywali i rozpowszechniali małe książeczki, wmawiając w dorosłe dzieci zbawienność kas oszczędności, o których krnąbne ani myślały! — Inni z humorem o smętnej zacięciu osiadali na mieliznach szkoły co by potwory one ugłaskać i wycackać mogła. Wszystkie zgadzały się na to jedno — że stare te dzieci nigdy, niczem zadziwiać nie wypada.

W Coketown była otwarta dla wszystkich czytelnia, a pan Gradgrind frasował się wielce tem, co te dorosłe a niepoprawne dzieci czytują. — Kwestyę tę rozstrzygano też od czasu do czasu w statystycznych szpaltach. Otóż rzecz ciekawa i nader gorsząca, dzieci te stare, niepoprawne, czytują wyłącznie niemal, to co podziw obudzić może i co podziwiać warto, czy to w przyrodzie, czy w samym człowieku, w namiętnościach, nadziejach, trwogach, zwycięstwach i upadkach, ba, w codziennej walce życia zwykłych niewiast i mężów. Nieraz po piętnastu godzinach ciężkiej pracy, dorosłe te a niepoprawne dzieci, sylabizowały o innych podobnych sobie dzieciach. De Foe — na to nie ma już rady! bardziej im był do serca niż Eucklid, Goldsmith pocieszał lepiej od Cocker'a. Próżno pan Gradgrind zwalczał podobne usposobienie, próżno gubił się w domysłach nad przyczyną niespodziewanych tych zjawisk.

— Znudzony jestem tem życiem, Ludko, nienawidzę go i nienawidzę chyba wraz z niem wszystko i wszystkich, oprócz ciebie jednej — mówił Tom

Gradgrind, syn, siedząc szarą godziną z siostrą w pokoju swym, podobnym do fryzjerskiego gabinetu.

Chyba, że nie nienawidzisz Sissy — spytała Ludwika brata?

— Owszem i ją, gdyż zmuszony jestem nazywać ją Cecylią Jupe. — Zresztą, ona mię nienawidzi.

— Pewną jestem Tomciu, że się mylisz.

— Widzisz bo, musi nienawidzieć wszystkich, ilu tu nas jest. Terkocą nad jej głową od rana do nocy, pragnąc ją z gruntu przemienić! Czy uważasz, jak pobladła jak wosk i ociężała. Tak... a no! tak samo jak i ja.

Młody Tomasz Gradgrind, mówił to siedząc przed kominkiem, z rękoma zarzuconemi na poręcz krzesła i wywróconą na nie głową. Siostra jego wsunięta w najciemniejszy kątek, czasem podnosiła wzrok na brata, częściej trzymając go wspartym w płonący na kominku ogień.

— Co do mnie — mówił brat burząc leniwie dłonią bujne swe włosy, — prawdziwy ze mnie osioł — równie uparty jak głupi. Tyle, jak raz tyle co osioł używam życia i nieraz radbym kogo kopnąć.

— Byle nie mnie, Tomciu — przerwała mu siostra.

— O! ciebie nie — ty jesteś wyjątkiem i niewiem doprawdy, czem by ta turma... — Tom zająknął się szukając odpowiedniego nazwania dla rodzicielskiego domu była bez ciebie.

— Tommy! czy ty szczerze mówisz?

— Najszczerzej — co tam wreszcie o tem mamy mówić — odparł brat, pocierając twarz o rękaw surduta — po co?



— Widzisz bo Tomciu — poczęła Ludwika z wolna nie odrywając oczu od ognia, — w miarę jak rosnę i bliższą jestem dojrzałości, tem częściej myślę, siedząc tu, jak to źle i smutno że cię nie mogę pogodzić z domem i przywiązać do niego. Nie umiem tylu rzeczy, których uczą inne dziewczęta. Ani grać, ani śpiewać, ani przemówić rozweselająco do ciebie. — Nigdy nie widzę nic zajmującego, nie czytam książek zabawnych, o których bym z tobą mówić mogła i rozerwać cię, gdyś znudzony i zmęczony...

— Hmm! a ja! to samo! kropla w kroplę to samo. Osiół ze mnie, skończony mu! Jeśli ojciec chciał ze mnie zrobić zucha, to przyznać potrzeba, że się nienajlepiej wziął do dzieła. Mulem jestem, skończonym mulem, — powtarzał Tom w rozpacz.

— Szkoda, — mówiła przerywając milczenie Ludwika, — wielka szkoda dla nas obojga.

— Ty, to co innego, — zdecydował Tom przeciągając się na krześle, — dziewczynie przychodzi wszystko znieść łatwiej i nie ci w moich oczach nie braknie. Potrafisz nawet rozweselić tę biedę. Prowadzisz mię jak ci się podoba, czy ci to nie dość?

— Kochany Tomciu! Gdy tak mówisz, zdaje mi się, że istotnie jestem coś warta. Aleć wiem, że nie nie umiem i to mię smuci.

Wstała, pocałowała brata w czoło i znów usiadła w ciemnym koło komina kąciku.

— Chciałbym — mówił Tom, wyszczerzając się złośliwie — chciałbym zebrać wszystkie przesłane fakty, którymi nas okarmiono, wszystkie figury i tych co je wymyślili, a do koła ich stotysięcy beczek prochu,

by wszystko razem wysadzić w powietrze. Ho! ho! odegram ja dopiero swoje, gdy się raz wreszcie ztąd wyrwę, chociażby do starego Bounderby...

— Odegrasz...

— A no! tak! zacznę żyć na własną rękę — nagrodzę sobie com tu tracił.

— Nie ludź się nadzieją przedwczesną — upomniała Ludwika. — Stary Bounderby podziela zapamiętania naszego ojca, a twardszy od niego, o wiele twardszy i w połowie nie tak dobry...

— Oho! — zaśmiał się Tom — nie dbam o to, wiem dobrze czem ułaskawić starą bestyę.

Cienie zalegały pokój. Gromadząc się na ścianach i suficie zsuwały się na siedzących u kominka. Ktoś z żywą wyobraźnią — jeśliby takowa przekroczyć mogła próg domu pana Gradgrind'a — powiedział by może, że to przyszłość tych dzieci obejmuje je nieublaganym całunem.

— Czemu naprzykład — spytała Ludwika — czy to ma być tajemnicą?

— Przeźroczyście! — zaśmiał się Tom. — Ty to właśnie Ludko jesteś upragnionem na starego wędzidłem. Wszak jesteś jego „faworytką“, „pieszczotką“, nie ci odmówić nie potrafi. Na wszystko co mnie się tam nie podoba, mówić będę: „panie Bounderby ostrożnie, to się pewnie Ludce nie podoba, powiem jej, zdziwi się, gdyż pewną była, że pan będziesz łatwiejszym“... tym sposobem poradzę z nim sobie.

Niedoczekawszy się odpowiedzi, Tom ziewnął kilkakrotnie, przeciągnął się na krześle, huśtając to

szybko, to pomalej, przeciągnął ręką przez włosy, aż nagle spytał:

— Zasnęłaś Ludko, co?

— Nie, Tomciu... patrzę w ogień.

— Co ty tam w tym ogniu widzicie możesz, że się weń tak wieczyście wpatrujesz? Ot! co to być dziewczyną! i to już wystarczyć może!

— Tomciu — spytała Ludwika z wolna, nie odrywając oczu od ognia i tak jak gdyby w płomiennych jego zgłoskach czytała coś niewyraźnego, — Tomciu! czy ci się uśmiechała ta zmiana na pana Bounderby?

— Pal go! — odrzekł Tom wstając i kopiąc nogą krzesło — wyrwę się przynajmniej z domu.

— Wyrwać się przynajmniej z domu — powtórzyła Ludwika uprzednim tonem — tak prawda.

— Nie powiem, że mi nie będzie smutno rozstać się z tobą, i zostawić cię tu samą, owszem, ale rozumiesz przecie, że się raz wyrwać stąd muszę, czy tam gdzie chcę, czy nie chcę, byle precz stąd. Lepiej mi też pójść tam, gdzie wyciągnąć mogę niejaką korzyść z twoich wpływów, wszak prawda?

— Prawda, Tomciu.

Potwierdzenie to kazało jednak na siebie czekać długo, lecz nie było w niem wcale wahania. Tom oparł się o poręcz krzesła siostry, usiłując pochwycić co mianowicie płonący na kominku ogień przedstawiać może widziany z tego szczególnego punktu.

— Ogień i tyle tego! — rzekł wreszcie — tak głupi i pusty, jak wszystko tu zgoła. Co ty tam widzicie możesz? Chyba, że nie cyrkowe przedstawienie?

— Nic nie dostrzegam ciekawego — odrzekła

Ludwika, lecz patrząc tak w ogień podziwiam jakieśmy oboje urosli...

— Podziwiasz!

— Słowo mi się wyrwało — odrzekła — chodzą bo mi po głowie zadziwiające myśli...

— Proszę cię Ludwiko — ozwała się na progu, wchodząca do pokoju pani Gradgrind — proszę i zaklinam, żebyś podobnych nie wygadywała rzeczy! Dość mi to już wasz ojciec wyrzuca. A ty Tomasz, wstydź się doprawdy! nie dość, że mam tyle na mej biednej, słabej głowie, żeby jeszcze chłopiec, którego wychowanie kosztowało tyle starań, tyle lat ustawicznej pracy, zachęcał siostrę do podziwu, gdy wiecie dobrze, że ojciec wasz broni wam tego, wyraźnie broni.

Ludwika, jak zwykle, chciała się ująć za brata, lecz ją matka powstrzymała zwykłym argumentem.

— Nie masz względu na stan mego zdrowia. Możeż to być, by dziewczyna tak dobrze i starannie wychowana jak ty wpadała w coś podobnego bez złego przykładu i zachęty lub namowy.

— Nikt mię nie namawia, matko, ot, poprostu patrzę na iskry odpadające od ognia, jak bledną i gasną, patrzę i to mi na myśl przychodzi jak krótkiem bywa życie, jak mało nadziei bym w mem coś zdziałać zdołała.

— Dziwactwo — zawołała niemal energicznie pani Gradgrind. Daj pokój Ludwiko i nie mów mi takich rzeczy. Wiesz dobrze, że ojciec twój, nie dałby mi spokoju, gdyby przypadkiem podsłuchał tę rozmowę. Po tem wszystkim co na wychowanie wasze łożonem było! po tem wszystkim czegom się na własne uszy

nasłuchiwała, że aż mi cała prawa strona ciała zdrętwiała od tego! o zapalności, zgorzeniu, zwapieniu, ogrzewalności i tam innych „ościach“, o których was uczono, słyszeć was dziś rozmawiających w ten sposób o iskrach i popiele. Nie! tegom się nie spodziewała. Wolałabym — skończyła wdychając ciężko i uginając się pod brzemieniem faktów za ciężkich na jej słabe siły — wolałabym wcale nie mieć dzieci, a wówczas przekonali-byście się jakby wam to było bezemnie.

## Rozdział IX.

## Postępy Sissy.

Nie łatwe było zrazu życie Sissy pomiędzy panem M'Choakumchild w szkole, a panią Gradgrind w domu. Nieraz brała ją chętka uciec. Spadał na nią taki grad faktów przez dzień cały, a życie otwierało się jeno jako zapisana ściślemi cyframi karta, że uciekłaby niewątpliwie, gdyby ją nie powstrzymały pewne wyra-chowania.

Wyra-chowania nie mające nic wspólnego z ary-tmetyczną ścisłością, owszem, wręcz jej przeciwnie i których żaden rachmistrz nie wziął by w rachubę. Oto dziewczę wierzyło niezachwianie, że ją ojciec nie opuścił, żyło w nadziei i wyczekiwaniu jego powrotu i wyobrażało sobie, że mu dogadza pozostając na miejscu, w Coketown i uczęszczając do szkoły, w której był ją umieścił.

Ta zdrożna nadzieja i na niczem oparta wiara, w obec dowiedzionego popędu ojca do włóczęgi, wzgarda dokonanego faktu, odpychanie dobrowolne pociech nie-

ubłaganej oczywistości, wprawiały pana Gradgrind w ustawiczne zdumienie. Co z tem począć? M'Choakumchild świadczył, że Sissy posiadała słabe zdolności w kierunku ścisłym i zadawałnając się naprzykład ogólnem wyobrażeniem kuli ziemskiej, mało sobie wa-żyła ścisłość matematyczną wymiarów powierzchni tejże kuli, nie wiele też sobie robiąc z chronologii, chyba, że się z nią wiązą jakieś tragiczne wypadki. Wybuchwała płaczem, gdy zagadnięta nagle miała określić cenę naprzykład dwiestu czterdziestu siedmiu muślinowych czepeków po czternaście pół pensów każdy. Słowem, nie była wzorową uczennicą, bynajmniej nie, do tego stopnia, że po ośmiotygodniowych wykładach zasad ekonomii politycznej, nie dawniej jak onegdaj zagadnięta o pierwsze główne prawidło tej nauki, od-powiedziała bezmyślnie:

„Czyńcie drugim tak, jakbyście chcieli by wam czyniono“.

Słuchając sprawozdań nauczyciela, pan Gradgrind kiwał głową, biadając nad oplakany stanem umysłu Cecylii-Jupe. Trzeba było temu zaradzić, koniecznie zaradzić i młyńskimi kamieniami nauki mleć w główce dziewczęciu cyfry, liczby, szematy, zasady dopóty dopóki się niemi na wskrós nie przejmie. System ten pozbawił Sissy właściwej jej wesołości, lecz nie nauczył niczego.

— Dobrze by mi było być podobną do pani, panno Ludwiko — rzekła pewnego wieczoru usiłując daremnie, przy pomocy Ludwiki, rozwiązać trudne zadanie.

— Tak sądzisz?

— Pani umie tyle rzeczy! dla pani łatwe to co dla mnie trudne.

— Nie byłabyś przeto lepszą — odrzekła Ludwika.

— Ale nie byłabym chyba gorszą — spytała nieśmiało Sissy, na co Ludwika odpowiedziała sucho:

— Nie wiem.

Na ogół rozmawiały z sobą rzadko, raz, że życie w Stone-Lodge upływało z monotonią nakręconej maszyny, obchodzącej się bez czynnego współdziałania mieszkańców, powtórne ze względów na były zawód Sissy, stanowiący miedzę pomiędzy dziewczątkami, tak że pozostały obie sobie obce. I teraz Sissy wpatrując się zdziwionemi czarnemi oczami w Ludwikę, sama nie wiedziała co powiedzieć.

— Użyteczniejszą jesteś odemnie dla chorej mojej matki, przyjemniejszą niż ja być umiem — rzekła Ludwika. A i dla samej siebie przyjemniejszą jesteś, niż być potrafię.

— Ale — przerwała Sissy zakłopotana — ale! — jestem przecie tak głupia.

Ludwika z uśmiechem zapewniła ją, że pozory mylą. Sissy wpół płacząc, niedowierzająco trzęsła główką.

— Pani bo nie wie, panno Ludwiko! jak bardzo jestem tępa. W szkole same robię pomyłki. Na wszystkie pytania pana M'Choakumchild odpowiadam bez sensu. Nie mogę z tem poradzić sobie. Mówię zawsze co myślę.

— Czy sądzisz — zaśmiała się weselej niż kiedy bądź Ludwika — że pan M'Choakumchild jest nie omylny?

— Pewnie! zawołała Sissy — taki przecie uczony!

— Opowiedz mi parę ze swych mylnych odpowiedzi — zagadnęła po chwili Ludwika.

— Wstyd mi doprawdy... dziś naprzykład pan nauczyciel objaśniał nam naturalny dobrobyt...

— Narodowy chyba... przerwała Ludwika.

— Tak właśnie... czyż to nie jedno i to samo?

— Mów „narodowy“, ponieważ tak uczą.

— Narodowy dobrobyt! Dobrze. Mówił tedy „dajmy, że szkoła ta jest narodem, posiadającym pięćdziesiąt milionów pieniędzy. Czy naród ten jest bogatym? Uczennica Nr. 20; czy naród bogaty i czy się znajdujesz w pomyślnie rozwijającym się państwie?

— Cóżes na to odpowiedziała? — spytała Ludwika.

— Odpowiedziałam: że... nie wiem... myślałam, że... nie wiem czy naród bogaty i stan państwa pomyślny, gdyż nie wiem czyże są te wszystkie pieniądze i czy mogę się rozporządzić najmniejszą ich częścią. Lecz, że tego nie mogłam określić żadną cyfrą, musiałam odpowiedzieć, że... nie wiem.

Sissy otarła oczy.

— Żle zrobiłaś — odrzekła miss Ludwika.

— Wiem to — tłumaczyła się Sissy. Zatem pan M'Choakumchild, egzaminował mię dalej: Przypuśćmy — mówił, — że szkoła ta jest olbrzymiem miastem z milionową ludnością. Jeśli rocznie, tylko dwudziestu pięciu ludzi umrze głodową śmiercią, co powiesz o tym stosunku? Odpowiedziałam, — tak bo myślałam — że to bardzo smutno umierać głodową śmiercią tym dwudziestupięciu, i że im musi być zupełnie obojętnie, czy

w mieście zostanie po ich śmierci milion, czy milion milionów. I to było pomyłką.

— Najpewniej.

— Zatem pan M'Choakumchild — egzaminował mię dalej: mamy tu, mówił, inny przykład...

— Statystyki<sup>1)</sup> — odpowiedziała miss Ludwika.

— Tak, właśnie nigdy pamiętać nie mogę... statystyki wypadków na morzu. Jeśli na przykład — mówił — w pewnym okresie czasu, ze stu tysięcy podróżnych pięć tysięcy utonie, jaki to mianowicie przedstawia procent? Na co odpowiedziałam... — tu Sissy płakała już na dobre — odpowiedziałam, że... że to obojętne...

— Obojętne!

— Tak, najzupełniej obojętne panno Ludwiko, dla krewnych i przyjaciół tych co zginęli... Tępa jestem, tępa bardzo, nie zrozumieć nie mogę i boli mię to, że chociaż ojciec mój tak bardzo pragnął dla mnie nauki i choć sama, dla zadowolenia mego ojca chciałabym się uczyć, nie mogę zasmakować w nauce.

Ludwika milcząc patrzyła na sklonioną pokornie główkę Sissy. Gdy dziewczę otarło oczy, spytała łagodnie.

— Czy ojciec twój sam tak był uczonym, że chciał byś się uczyła?

Sissy zawahała się. Bała się przekroczyć wzbronione sobie granice. Ludwika dodała spiesznie:

<sup>1)</sup> W oryginale nie dająca się po polsku pochwycić fraz *Stutterings* — dosłownie „jåkania się“ i *statistic*.

— Nikt nas nie słyszy — zresztą, nie ma nic złego w zadanem ci przezemnie pytaniu.

— Nie! pani! — odrzekła skromnie Sissy — ojciec mój nie był uczonym. Zaledwie umiał pisać i nie każdy potrafiłby wyczytać jego pismo, wyraźne dla mnie...

— A twoja matka?

— O! matka była dobrze, bardzo dobrze wychowaną. Ojciec to zawsze mówił, bo ona sama umarła wydając mię na świat. Matka moja była tancerką.

— Ojciec twój ją kochał — pytała Ludwika z odznaczącą ją ciekawością, której w samotności tylko popuszczała wodze.

— Bardzo! o! bardzo! tak jak i mnie kocha... przez pamięć mojej matki. Od urodzenia brał mię wszędzie z sobą, nigdyśmy się nie rozłączali!

— A jednak, teraz...

— O! to uczynił pewnie dla mego dobra! Nikt go nie zna tak dobrze jak ja! Wiem, że nie opuścił by mię nigdy ze względu na siebie samego. Serce mu pewnie pękało i pęka z bólu. Nie zazna biedny chwili spokoju dopóki nie wróci.

— Opowiadaj mi o nim — później cię już pytać nie będę. Opowiadaj jakeście żyli, gdzie mieszkali?

— Nie mieszkaliśmy nigdzie stale, podróżowaliśmy ustawicznie. Ojciec był... — tu Sissy głos zniżyła do szeptu — był kłownem.

— Tak! rozśmieszał ludzi, rozumiem.

— Nie zawsze się to mu udawało, a wówczas biedny ojciec płakał, gorzko płakał. Ostatnimi czasy nie udawało mu się częściej i był w rozpacz. Wielu

nie lubiło ojca, ci co go nie znali, nie wiedzieli jak dobrym jest, kochanym. Płacali mu nieraz figle, nie wiedząc jak czułym był na nie, jak się wzdragał będąc sam ze mną. Ojciec mój był o wiele nieśmielszym niż się zdawać mogło.

— Byłaś mu pociechą? — pytała Ludwika.

Skloniła głowę, łzy jej ciekły po twarzy.

— Staralam się go pocieszać i ojciec nieraz nazywał mnie swą pociechą. Dla tego, że sam był tak nieśmiały, lękliwy, czuł się słaby, ciemny, opuszczony, dla tego właśnie pragnął bym się uczyła i nie była doń podobną. Zwykle czytywałam mu by podtrzymać opuszczającą go odwagę. Lubiał to... zapewne złe to, zdrożne były książki, o których wspominać mi tu zabroniono, lecz myśmy w nich nie znajdowali nic złego.

— I ojciec twój lubiał je — pytała Ludwika — nie odrywając od twarzy Sissy badawczego wzroku.

— O bardzo, bardzo! broniły go nieraz od rzeczy mogących mu istotnie szkodzić. Nieraz wieczorem zapomniał o troskach swych i smutkach, gubiąc się w domysłach czy Sultana słuchać będzie dalej powieści Szecheresady, czy też każe jej ścinać głowę, zanim skończy opowiadać.

— I ojciec twój pozostał do końca dobrym dla ciebie — pytała Ludwika, przekraczając zapewne rodzicielski zakaz, lecz ulegając wzrastającemu zaciekawieniu.

— Zawsze! zawsze — wołała załamując ręce.

— Lepszym niż wyrazić potrafię. Raz się tylko rozgniewał, raz jeden i to nie na mnie lecz na Merryleg'a...

— tu Sissy głos zniżyła — pani wie, miss Ludwiko, to był nasz pies uczony?

— W czemże przewinił — spytała Ludwika. — Jakże to było?

— Raz ojciec, wróciwszy do naszej izdebki, po przedstawieniu, kazał Merryleg'owi wskoczyć na poręczę dwóch krzesel, co było jedną z jego zwykłych sztuczek. Pies spojrział na ojca lecz nie posłuchał. Nie szło ojcu tego wieczoru, nie szło, wcale nie był rozśmieszyl publiczności, więc się rozgniewał, mówiąc, że nawet pies czuje, że mu się już nie wiedzie, wypowiedzi posłuszeństwo, nie ma nad nim litości. Mówiąc to począł go bić. Stój, ojcze, wołałam, stój! nie bij przywiązanego do siebie psa. Na miłość Boga, stój! Ojciec powstrzymał się wówczas, a widząc, że się pies wije i krzawi od okrutnych razów, zaczął go obejmować tarzając się wraz z nim po ziemi i płacząc, a Merryleg zlizywał mu łzy z twarzy...

Sissy lkała i wzruszona Ludwika ucałowała ją siadając tuż przy niej.

— Teraz powiedz mi jak cię ojciec opuścił. Tyle już opowiedziałaś, opowiedz do końca, a jeśli w tem, o czem rozmawiamy tu z sobą, jest co złego, biorę odpowiedzialność na siebie.

— Było to tak — mówiła Sissy śród lkań cichych, zakrywając oczy — było tak. Wróciłam wieczorem ze szkoły, a ojciec co tylko właśnie powrócił z cyrku, po przedstawieniu. Siedział przed ogniem kiwając się tam i nazad, jak chory, więc go spytałam czy się znów stłukł? pani wie, panno Ludwiko, każdemu to się zdarza w cyrku! Odpowiedział mi że tak, trochę,

lecz gdy się zbliżyła, zauważyłam, że twarz miał zalaną łzami. Im więcej doń mówiłam, tem głębiej krył twarz w dłoniach powtarzając tylko, „drogie moje, kochane dziecko!“

Tu, do pokoju wszedł Tom, a zawsze zajęty sam sobą, zdziwił się niezwyklej rozmowie Ludwiki z Sissy.

— Pytam ją o niektóre rzeczy — objaśniała Ludwika — możesz Tomciu pozostać, nie przerywaj nam tylko.

— Doskonale! odparł Tomcio — tylko widzisz! ojciec wrócił ze starym Bounderby, chciałbym tedy być poszła do salonu, bo wówczas stary zaprosi mię na obiadek, a bez ciebie nic z tego nie będzie.

— Zaraz przyjdę — rzekła Ludwika.

— Wolę poczekać i pójdziemy razem, zdecydował Tomcio, a Sissy poczęła cichym, przerywanym łkaniem głosem:

— Wreszcie biedny ojciec powiedział, że przestał bawić publiczność i nigdy już rozśmieszyć nie potrafi, że popadł w hańbę i niełaskę i lepiej by mi było bez niego. Próżno uspakajałam go i pocieszałam jak mogłam, przypominając sobie najpieszczotliwsze słowa. Uspokoił się wreszcie nieco. Więc mu opowiadałam o szkole, o wszystkim co tam robią, mówią, a gdy już wypowiedziałam wszystko, milczeliśmy oboje, tylko ojciec przyciskał głowę moją do piersi, całując mię czule. Potem kazał mi przynieść sobie balsamu, który na stłuczenie używa i to z najlepszej apteki, aż z drugiego końca miasta, i wysłał mię, raz jeszcze pocałowawszy. Zbiegłam ze wschodów, lecz wróciłam znów, tak mi żal było zostawiać go samego, uchyliłam drzwi

pytając: ojczulku! kochany! czy mogę wziąć z sobą Merryleg'a? Wstrząsł głową, „nie dziecko! nie! nie bierz nic z tego co do mnie należy“. Zostawiłam go siedzącego przed ogniem i wtedy to pewno przyszła mu myśl... odejścia, spróbowania gdzie indziej szczęścia... dla mego dobra... pewnie, że dla mego dobra...

— Ludko, słuchaj — przerwał Tomy — zabierz się tylko dobrze około starego.

— I oto wszystko — kończyła Sissy. Lekarstwo schowałam. Mam w pogotowiu na powrót ojca, bo ojciec wróci, pewna jestem, że wróci. Serce mi bije na widok każdego listu w ręku pana Gradgrind'a. Zawsze mi się zdaje, że to list od ojca, lub od pana Sleary o ojcu, bo pan Sleary obiecał napisać skoro się cośkolwiek dowie, i pewną jestem, że dotrzyma słowa.

— Nie bocz się na starego Ludko — upominał brat siostrę — bo nie dam z nim sobie rady.

Odtąd ilekroć Sissy z dygiem nieśmiało pytała pana Gradgrinda: „Z pańskim pozwoleniem — przepraszam za natręctwo! — lecz czy pan nie ma listu do mnie?“ tylekroć Ludwika, zawieszając zajęcie, czekała z bijącym sercem na odpowiedź ojca.

Niezmiennie: „nie Jupe, nie mam“, wywoływało na jej usta boleśny kurcz, podobny temu, jaki się zjawiał na ustach Sissy, którą Ludwika przeprowadzała współczującym spojrzeniem. Pan Gradgrind zwykł był korzystać z tej zręczności by rozwinąć teorię o odpowiedniem od kolebki wychowaniu, coby ustrzegło biedne dziewczę od płonnych nadziei i fantastycznych marzeń. A jednak, pomimo zasad pana Gradgrind'a

i jemu podobnych, nadzieje i marzenia wymowniejsze bywają częstokroć i silniejsze, od faktów samych.

Tak się nieraz zdawać musiało jego córce, bo co do Tomcia, w tym tryumfował system faktów i liczb sprowadzonych do jednego mianownika własnej jego osoby! Pani Gradgrind zaś, wychylająca się ze zwojów chust i szalów, podobna do przebudzonego ze snu zimowego szczura, wzdychała:

— Głowa moja! biedna, zbolała głowa! a ta Jupe z wieczystymi zapytaniami o nigdy nie nadchodzące listy! Doprawdy przeznaczeniem mojem żyć wśród rzeczy nie kończących się nigdy. Dziwny zbieg okoliczności, że się końca niczego oczekiwać nie mogę.

Tu zwykle karcący wzrok pana Gradgrind'a, powstrzymywał dalszy ciąg wylań pani Gradgrind — i pod tym faktem zapadała ona w zwykłe swe odretwienie.

#### Rozdział X.

### Stefan Blackpool <sup>1)</sup>.

Zdaje mi się jakoś, że lud angielski pracuje ciężiej od jakiegobądź innego pod słońcem ludu. Dla tego też chciałbym aby mógł mieć nieco więcej rozrywek.

W najpracowitszej części Coketownu, w samej głębi szpetnej warowni, kędy przyroda zamurowaną została i zamienioną w trujące wyziewy i gazy, w splątany labiryntie zaułków i dziedzińców, kędy walka o kawał powszedniego chleba, gna bezustannie zgłodniałe poko-

<sup>1)</sup> Dosłownie: „Stefan Czarnołuński“.

lenia, w najciaśniejszym kącie wyczerpanego gruntu, kędy kominy, nie mogąc przebić się do czystego powietrza, łamią się i wykrzywiają piętrząc jedne nad drugimi, jak gdyby domy nosiły na zewnątrz już znamię zamieszkujących je ludzi: „Ramionami, po prostu pracującymi ramionami zwanych, tak jak gdyby już Opatrzność tworząc ich zaopatrzyła w same narzędzia pracy z pominięciem innych cech człowieczeństwa, mieszkał niejaki Stefan Blackpool, czterdziestoletni wyrobnik.

Stefan wyglądał starzej, twarde bo miał życie. Istnieje powszechnie mniemanie, że każde życie spłata się z róż i cierni; odnośnie jednak Stefana, i wielu, wielu jemu podobnych! rzecz ta potrzebuje sprostowania. Ktoś inny widocznie zabrał mu z drogi wszystkie przypadające na jego dolę róże, zostawiając natomiast własne ciernie w dodatku do tych, które jego miały być udziałem. Zaznał on niemało: wedle jego wyrażeń zaznał „cały kawał“, niedoli. Powszechnie nazywano go „Starym“, w uznaniu zapewne dokonanych faktów.

Człek to był przygarbiony, z brwią zsuniętą, zamysłony, o rysach twarzy surowych, inteligentnych, o długich, rzadkich stalowo siwych włosach. Stefan Blackpool mógł zająć wybitne stanowisko w swej sferze. Nie zajął go jednak pomiędzy robotnikami, co rzadkie chwile swobodne od pracy poświęcać zwykli cierpliwemu gromadzeniu strzępków najróżnorodniejszych wiadomości. Stefan bo nie zabierał głosu pomiędzy chętnie mówiącymi i rozprawiającymi. Setki jego towarzyszków mówiło lepiej i płynniej od niego. Dobrym był tkaczem



i zupełnie ucziwym, i tyle tego. Co w nim było po za tem, o to nikt nie pytał.

Światła w fabrykach, które podróżni przelatujący z pędem pary, porównywać zwykli do czarodziejskich pałaców, pogasły. Uci chy dzwony wydzwanając koniec dziennej pracy i wyrobnicy: mężczyźni i kobiety, dorośli i małoletni, rozchodzili się po domach tętniąc po kamieniach drewnianem obuwiem. Stary Stefan stał na ulicy oszołomiony, z dziwnem uczuciem jakie w nim, co wieczór wzbudzało powstrzymanie fabrycznego ruchu. Zdawało mu się zawsze, że się coś zatrzymuje we własnym jego mózgu.

— Rachela jakoś nie nadchodzi — wyszeptał wreszcie. Noc była dżdżysta i wiele kobiet miało go naciągając chustki na obnażone głowy. Dobrze znał Rachelę i poznałby ją wśród wszystkich. Wszystkie też już przeszły, więc i Stefan zawrócił się z cichem westchnieniem:

— Rozminęliśmy się, rozminęli!

Lecz zaledwie przeszedł trzy ulice, dostrzegł idącą przed sobą, otuloną w chustę kobietę, którą by poznał po samym jej cieniu padającym na mokre kamienie, w miarę jak mijała rzadko i mętno płonące latarnie. Przyspieszył kroku i dogoniwszy ją zagadnął:

— Rachelo!

Zwróciła się. Padalo na nich właśnie światło latarni. Podnosząc kraniec okrywającej ją chusty, ukazała spokojny owal twarzy śniadej, oświecony parą łagodnych oczu, ocieniony czarnemi, gładko przyczesanemi włosy. Nie była to twarz kobiety w wiośnie życia. Zdradzała lat trzydzieści pięć conajmniej.

— Ah! to ty chłopcze — zawołała z uśmiechem, co się przebił w jej łagodnych oczach, gdyż reszta twarzy zakrytą była. Nasunęła znów chustę na czoło i szli dalej razem.

— Sądziłem żeśmy się rozminęli — począł wyrobnik.

— Nie! jak widzisz.

— Wcześniej dziś skończyłaś robotę.

— Czasem ją kończę wcześniej, później czasem, nie ma co, na to liczyć.

— A nie zawsze tą samą wracasz drogą?

— Nie, nie zawsze Stefanie.

Spojrzał na nią z wymówką lecz zarazem z pełnem szacunku i zaufania przekonaniem, że wszystko co robi, robi najlepiej. Snać zrozumieć go musiała, gdyż dotknęła zlekka jego ramienia.

— Jesteśmy przyjaciółmi chłopcze, starymi przyjaciółmi i patrz, jak się starzejem oboje.

— Nie Rachelo! tyś zawsze młoda.

— Ciekawa rzecz Stefanie, jak jedno z nas może się starzeć a drugie nie dopóki oboje żyjemy, zaśmiała się łagodnie. Bądź co bądź starzy z nas przyjaciele i słowa prawdy nie winne grzać nam w gardle. Lepiej dla nas spotykać się rzadziej... czasem, nie mówię... to rzecz inna, za trudno byłoby nie widywać się wcale — mówiła z wesołością, którą chciała go natchnąć!

— Ciężko! — westchnął Stefan.

— Staraj się nie myśleć o tem, a zaraz lżej będzie.

— Staralem się — odrzekł z powagą — dawno

już się staram i nie nie pomaga. Ale masz rację, nie trzeba by cię ludzie brali na języki. Byłaś mi wszystkim przez lat tyle, tyle mi wyświadczyłaś dobrego, podtrzymywałaś w ciężkich chwilach, dziś każde słowo twoje jest dla mnie prawem... lepszym i świętszym od praw tamtych... prawdziwych.

— Nie ciskaj się na nie — przerwała mu Rachela spoglądając nań niespokojnie — prawo jest prawem.

— Tak! — odrzekł pomału, pochylając się naprzód — prawo jest prawem, niech i tak będzie. Niech sobie będzie co chce! ale to wielkie męty i koniec.

— Zawsze męty? — upomniała Rachela dotykając znów z lekka jego ramienia, jak gdyby zbudzić go chciała z zamyślenia, w które popadł, gryząc koniec rozwiązanej chustki na szyi. Dotknięcie jej ręki wywarło pożądaną skutek. Wypuścił z ust koniec chustki, podniósł głowę, uśmiechnął się nawet łagodnie i wesoło.

— Męty, kałuża — rzekł — w której ugrzązłem po szyję i wyleść nie mogę.

Uszli kawał drogi i zbliżali się do swych mieszkań. Mieszkanie kobiety było bliżej, położone w jednym z tych ciasnych zaułków ulubionych przez przedsiębiorców tanich, a w rzeczy samej drogich bardzo mieszkań, gdzie drabiny, po których trzeba leść po omacku, zastępują schody. Rachel przystanąła na rogu zaułka i podając Stefanowi rękę życzyła mu dobrej nocy.

— Dobranoc, droga! kochana dziewczyno! Dobranoc!

Odeszła w zaułek ciemny, spokojnym, cichym kro-

kiem. Patrzał za nią, aż znikła w drzwiach jednego z najuboższych domów. Nie było fałdy w pokrywającej ją chustce, której by nie znał, nuty w głosie, co by nie miała echa w samej głębi jego serca.

Gdy ją stracił z oczu, sam odszedł do domu spoglądając często na nocne niebo, po którym mknęły szybkie chmury. Deszcz przestał padać i księżyc przedzierał się przez obłoki, rozświecając wysokie kominy, głębokie piecowiska, mającąc z pomiędzy fantastycznych maszyn i grubych murów cieniem. Stefan ożywił się, szedł prędzej, elastyczniej. Izdebka jego znajdowała się nad sklepikiem w zaułku, jeszcze ciśniejszym od tego, przy którym zamieszkiwała Rachela. Kto tu mógł kupować tanie, szpetne zabawki wystawione w oknie, wraz z taniemi dziennikami i wątpliwego gatunku wędliną, nie należy do rzeczy. Stefan wziął lichtarz stojący na półce, zapalił świecę i wszedł na schody, wiodące na poddasze, nie budząc wcale uspięnej za kantorkiem sklepiciarki. Wszedłszy do izdebki chciał postawić świecę na stoliku, gdy się potknął o coś leżącego na ziemi. Nachylił się i cofnął, była to postać kobieca.

— Na Boga kobieto! — zawołał, cofając się o krok dalej — znowuś wróciła!

Kobieta to była, lecz jaka! Chwiejąca się, pijana, zaledwie zdolna utrzymać się wpół siedzącej postawie, podpierając się jedną ręką o podłogę, drugą usiłując odgarnąć opadłe na twarz, poczochrane włosy. Plugawa, w łachmanach, wstrętna, od której wzrok odwracał się mimowoli.

Po kilku niewyraźnych zakłęciach i wielu dare-

mnych usiłowaniach, udało się jej odgarnąć opadające na oczy włosy. Poznała mówiącego. Zataczając się i śmiejąc, chociaż oczy miała pół senne, a obwisłe policzki blade, belkotała:

— Ha! ha! chłopcze! jak widzisz! jak widzisz! reszta zginęła w niewyraźnym mruczeniu, a podniesiona na chwilę, trzęsąca się głowa opadła na piersi.

— Wróciłam — belkotała — wróciłam... czemuż bym wrócić nie miała? teraz... i potem... i zawsze... czemu nie?

Wyprostowała się, wstała, podjęta własną, pijaną swą złością i zataczając się, a opierając o ścianę, huśtając na ręku zawieszony za sznurek pomięty kapelusz, usiłowała spoglądać wyzywająco.

— Stratuję cię znów teraz i potem i nieskończoną ilość razy... ile mi się podoba — wrzeszczała wygrajając mu, a widząc, że opadł na łóżko, kryjąc twarz w dłoniach, przystąpiła bliżej.

— Precz stąd! — wrzeszczała — łóżko moje, wszak mam do niego prawo? Co? może nie? Precz!

Porwała się bić, uchylił się i zakrywając oczy przeszedł w głąb samą izdebki, jak najdalej od pijaczki. Ta upadła na posłanie. Po chwili izbę wypełniło głośne jej chrapanie. Stefan opadł na krzesło, z którego raz tylko przez całą noc się poruszył... by przykryć pijaczkę kołdrą jak gdyby nie dość mu było na oczach zasłony rąk własnych i nocy.

## Rozdział XI.

## Bez wyjścia.

Gorzały noc całą światła w zaczarowanych niby pałacach i dopiero z bladym świtem ujawniły się kłęby dymów ścieląc się po nad fabrycznym miastem. Klekot drewnianych chodaków na bruku, szybkie odgłosy dzwonek, i już wszystkie maszyny wyczyszczone i nasycone tłuszczem na dzień cały, puściły się w ruch monotony, ciężki, podobny do prawidłowego wahania się olbrzymich, nostalgią zdjętych a uwiezionych słoni.

Stefan stanął przy warsztacie, spokojny, uważny, stateczny, żywy kontrast w tym lesie wirujących kół i kółek, podnoszących się i opadających pasów, stuku i huku fabrycznego. Po co się trwożą ci, co się boją stuku, że zgłuszysz Naturę. Wszędzie, gdzie staną obok siebie — dzieło Boże i człowiecze, pierwsze, chociażby w postaci samych rąk i ramion do pracy, zyskuje na porównaniu. Rzućmy tyle a tyle setek pracujących ramion i maszynę o sile tyłuż koni, a wyrachujem wprawdzie do doli, do setnej, działalność pary, lecz wszyscy razem wzięci rachmistrze narodowego długu, nie obliczą chyba ile wartości zła i dobra, miłości i nienawiści, patriotyzmu i opozycji, rozkładu cnót samych w zepsuciu, popędów, ile uderzeń serca naliczyć można wśród cichych, niemych lecz żywych obsługaczy potężnych, ścisłych automatów. W tych wszystko jawne, absolutne; w tamtych przepaście niezgłębionych tajemnic. Gdyby też, tak wypadkiem, zwrócić wyliczenia od automatów ku poszukiwaniu środków odpowiedniejszych, ku zbadaniu i rzadzeniu tamtą, wielką nieznaną?

Dzień się wzmagał, świecił już na dworze, pomimo ogni płonących w fabrykach. Pogaszono lampy i pracowano dalej. Deszcz padał i kłęby dymu, posłuszne prawom fizycznym, stały się nisko nad ziemią. Kominy, błyszczące kotły, stopy sadzy i węgla, same płonące paszcze piecowisk, wszystko kryło się pod zasłoną mgły i drobnego deszczu.

Praca szła zwykłym trybem, aż zadzwoniono na południe. Nowy klekot chodaków i kaloszy, a koła, kółka, pasy, warsztaty i pracujące ramiona, znieruchomiała na krótką chwilę.

Stefan wyszedł z piekielnie dusznej fabrycznej sali na chłód i wilgoć uliczną. Zmęczony był i błądy. Nie zwrócił się, wraz z towarzyszami, w stronę swego mieszkania, lecz gryząc kawał chleba, podążył w górę, ku mieszkaniu właściciela fabryki. Był to dom duży, okazały, z czerwonej cegły, z czarnymi okienicami, zielonemi wewnątrz żaluzjami i czarnymi wchodowemi drzwiami, po nad którymi błyszczał, złocił się olbrzymi napis:

„Bounderby“.

Pan Bounderby jadł śniadanie. Stefan domyślał się tego, lecz może lokaj zechce oznajmić swemu panu, że jeden z robotników jego fabryki, potrzebuje się z nim widzieć? Lokaj wrócił pytając o imię robotnika? Stefan Blackpool. Dobrze. Stefan nie był źle notowany. Owszem. Niech wejdzie.

Wszedł. Pan Bounderby, którego znał z widzenia, jadł zrazy, popijając kseresem. Mrs. Sparsit, siedziała zwrócona bokiem, z nogą na podnóżku. Wiązała siatkę.

Było zarówno w interesie godności mrs. Sparsit, jako i jej obowiązkiem, nie zasiadać do śniadania. Czuwała tylko nad apetytem swego chlebobdawcy, śniadanie uważając zresztą za rzecz nieprzyzwoitą.

— Aha! — ozwał się, zajądając, pan Bounderby. O co ci idzie Stefanie?

Stefan złożył ukłon, nie służalczy wszelako. Pracujące ramiona do służalczych nie zginają się ukłonów. Na tem panowie! nie uda się wam je złapać, chociaż byście się lat ze dwadzieścia niemi posługiwali. Na intencję zapewne pani Sparsit, Stefan usunął wystające z kieszeni końce chustki do nosa.

— Aha! — ciągnął pan Bounderby, popijając kseres — przypominam sobie, żeśmy nie mieli nigdy z tobą biedy, że nie należysz do durniów, co sami nie wiedzą czego chcą. Nie pragniesz, prawda, rozpierać się w koczku ciągnionym przez szóstkę koni i zjadać złotą łyżką zupę z żółwia i pasztety, jak to się wielu z was zachciewa! — Panu Bounderby zdawało się zawsze, że brak koczka z szóstką koni, złotych łyżek i smakotyków, jest źródłem niezadowolenia robotczej ludności! — To też — kończył — spodziewam się, żeś nie przybył nudzić mię skargami. Pewien tego jestem, rozumiesz?

— Rozumiem, panie. Pewnie żem nie przyszedł w podobnych celach.

Zapewnienie to zadawałniało pana Bounderby, bądź co bądź, gdyż pomimo dobrego wyobrażenia jakie miał o stojącym przed nim wyrobniku, w głębi serca żywił pewne wątpliwości.

— Wybornie! — zaśmiał się. Porządny z ciebie

wyrobnik. Powiedz mi za tem, jeśliś nie przyszedł ze skargą, o co ci idzie? Śmiało chłopcze, śmiało!

Stefan spojrzął na panią Sparsit.

— Odejdę, panie Bounderby, jeśli pan każe — ozwała się, zawsze do poświęceń gotowa ta dama cofając nogę, którą przytrzymywała kłębek bawelny na podnóżku.

Pan Bounderby zatrzymał ją podniesieniem lewej ręki i opóźnieniem łyka wina. Teraz spuszczać rękę i wkładając w usta kęs zrazu zwrócił się do Stefana.

— Pani ta — rzekł wskazując wzrokiem gospodynię — to nie aby kto, to pani całą głę, z urodzeniem, wychowaniem i nie racya, że mi obecnie służy, żeby nie była niegdyś u szczytu, u samego! Rozumiesz. Jeśli masz mi tedy do powiedzenia coś, co się nie da powiedzieć w obecności wysoce urodzonej i wychowanej damy, pani Sparsit cofnie się do swego pokaju. W przeciwnym razie pozostanie.

— Panie! — odrzekł spokojnie Stefan — zdaje mi się, że od urodzenia mego, nie powiedziałem jeszcze nic takiego, czegoby kobieta, najszlachetniej bodaj urodzona, słyszeć nie mogła.

— Dobrze — odrzekł pan Bounderby, odsuwając talerz i opierając się o poręcz krzesła — zatem słucham, pal co ci ślina przyniesie.

— Przyszedłem — począł z cicha, po chwili rozswagi i podnosząc oczy Stefan — prosić o radę. Rzecz nie wielka. Żonaty jestem, od lat dziewiętnastu, tak, dziewiętnaście lat będzie na wielkanoc, jakem się ożenił. Dziewczyzna młoda była, hoża, stateczna, jak się

zdawało. Popsuła się prędko. Nie z mojej winy. Bogu wiadomo, żem nie był zły dla niej.

— Słyszałem coś o tem — przerwał pan Bounderby — rozpiła się, rozhultała, przepiła, rozniosła dobytek cały, ostatnią nawet koszulę. Wiem, słyszałem! Rozpustna baba!

— Długo cierpiałem...

— Tem gorzej durniu! — szepnął popijając wino pan Bounderby.

— ...Cierpiałem — ciągnął Stefan — próbowałem prośby, perswazyi, wszystkiego. Ile razy, wracając do domu, zastałem same ogołoczone ściany i co gorsza, żonę spią jak nieboskie stworzenie. Nie raz, nie dwa, lecz dwadzieścia, trzydzieści razy...

W każdym rysie twarzy mówiącego, w pogłębionym wzroku, był ból wielki.

— I coraz było gorzej, coraz gorzej — ciągnął. — Rzuciła mię, tarzała się w błocie, znów wracała, znów rzuciła... Cóż miałem począć, jak ją powstrzymać? Dnie całe, noce, chodzę, bywało po ulicach byle nie wrócić do zmienionego w barłóg i piekło domu. Nieraz chciałem się rzucić do rzeki by koniec temu położyć... Znosiłem póki sił i młodości stało.

Pani Sparsit zawiesiła wiązanie siatki, podnosząc wysoko czarne brwi nad rzymskim nosem, jak gdyby powiedzieć chciała:

— Nieszczęście nie oszczędza też wielkich tego świata, żywym tego jestem przykładem!

— Płaciłem, byle się tylko jej pozbyć. Od pięciu lat płacę co mogę, regularnie. Przy pracy udało mi się wzbic w przyzwoitą odzież, sprzęt niezbędny. Haro-

waleń prawda, lecz nie rumienię się za żaden dzień mego ciężkiego życia. Wczoraj, wracam na noc do domu, a oto ona! leży pod kominem.

W poczuciu niedoli swej zapalił się na chwilę, głos podniósł, głowę dźwignął. Po chwili stał jak przedtem, cichy, zafrasowany, wlepiając wzrok pytający w pana Bounderby. Wyglądał jak gdyby sam sobie nie mógł poradzić z jakąś zawilą, trudną, a prędkiego i stanowczego rozwiązania domagająca się kwestyą.

— Słyszałem o tem — odparł pan Bounderby — wszystko mi oddawna wiadome, oprócz ostatniego rozdziału. Zła sprawa, zła. Trzeba było lepiej nie żenić się, zostać kawalerem. Teraz, za późno!

— Czy małżeństwo było niedobre wiekami? — spytała pani Sparsit.

— Słyszysz o co pani pyta — dodał pan Bounderby — czy małżeństwo twoje było niedobre co do wieku?

— Bynajmniej. Skończyłem był lat dwadzieścia jeden, ona zaś miała dwadzieścia.

— Doprawdy! — zwróciła się do swego chlebowdawcy pani Sparsit. Zdaje mi się zawsze, że niepomysłnemi muszą być małżeństwa przy dużej różnicy wieku.

Lecz pan Bounderby obdarzył swą gospodynię wzgardliwym i zagniewanym spojrzeniem, i lęknął nieco kseresu.

— Więc i cóż tam więcej? — spytał gniewnie Stefana.

— Chciałem prosić pana o radę jak wybrnąć...

jak się pozbyć tej kobiety — odrzekł z siłą powstrzymaną wyrobnik.

Pani Sparsit poruszyła się żywo.

— Co ci się zdaje! — krzyknął pan Bounderby, rozpierając się w krzesło. — Co ci do głowy przyszło! Brałeś ją przecie na dolę, niedolę.

— Dziś przecie muszę się pozbyć. Wytrzymać dłużej nie mogę. Jeślim wytrwał dotąd, to dzięki słowom zachęty i pociechy najlepszej z kobiet. Gdyby nie ta, zwaryowałbym, zmarnował dawno...

— Panie! — oburzyła się na znaną zresztą niemoralność klas wyrobniczych, pani Sparsit. — Czy pan słyszy, panie Bounderby? Chce się pozbyć żony, by połączyć węzeł małżeńskim z tą, o której wspomina.

— Tak panie, pani zgadła, tak właśnie i potem właściwie przyszedł. Czytałem nieraz w gazetach, że wielcy panowie nie są tak nieodwołalnie związani, że mogą zerwać zbyt ciężkie węzły małżeństwa, by znów się żenić. A i tak, gdy nie mogą się zgodzić, mają przecie obszerne mieszkania, domy osobne i mogą żyć przynajmniej spokojnie. Nie tak jak my. U nas jedna izba. I mają czem się dzielić: to mnie, to tobie. My nie mamy. Mogą uwolnić się od niedoli, może nieraz i nie tak wielkiej jak moja. Muszę się pozbyć tej kobiety, i chcę wiedzieć, jak z tem począć sobie?

— Jak począć? — spytał pan Bounderby.

— Gdybym ją skrzywdził, panie, prawo by mię karało?

— Naturalnie.

— Gdybym opuścił, karałoby także?

— Zapewne.

— Gdybym pojął drugą, kochaną — i na to jest prawo?

— Jest! o jest!

— Gdybym żył z nią, z tą drugą, tak, nawiare — ale to być nie może, ona nie taka! Przypuśćmy jednak gdyby tak było, prawo karałoby mię w każdym, chociaż niewinnem dziecku naszem.

— Naturalnie!

— Zatem musi istnieć też prawo, któreby mi pomódz mogło. O to właśnie pytam.

— Hm! — mruknął pan Bounderby — prawa są nienaruszalne, i takowe... nienaruszalnymi pozostać muszą.

— Nie, nie panie! — podniósł głos wyrobnik — niech pan tego nie mówi. Tkaczem jestem, prostym tkaczem, nieuczonym, niby dziecko małe, lecz mam oczy i uszy. Rok w rok czytam w gazetach i pan to samo czyta! jak parlament rozważa takie sprawy, gdzie o zgodzie mowy być już nie może i ludzie rozejść się muszą koniecznie, bądź co bądź, za jakąbądź cenę, bo inaczej... krew płynie, rodzą się zbrodnie, śmiercie nagłe. Prawo to wymaga zastosowania. Znajduję się w trudnem, bardzo trudnem położeniu i chcę właśnie dopytać się prawa, które mię wesprzeć winno, na którebym mógł liczyć.

— Hmm! to ci powiem — począł pan Bounderby, wsuwając obie ręce w kieszenie — prawo takie istnieje. Stefan pochylił się chciwie naprzód.

— Tylko — ciągnął wydymając policzki pan Bounderby — prawo to nie dla ciebie i tobie podobnych. Kosztuje to, oho! kosztuje słono.

— Ile naprzykład? — spytał spokojnie Stefan.

— Czy ja wiem! Musisz wytrzymać proces w konsystorzu, i drugi i trzeci, zanim dobiejesz się do izby panów i dostaniesz akt, mocą którego mógłbyś zawrzeć ponowne małżeństwo. Długi, zawiły i kosztowny proceder! Tak, co najmniej, od tysiąca do tysiąc pięciuset funtów conajmniej, a może dwa i trzy razy tyle to zależy.

— I niema innego prawa? — spytał cicho, głowę opuszczając, wyrobnik.

— Nie, nie ma.

— Ha! panie — począł po chwili, śmiertelnie błąd i z ruchem ręki, jak gdyby wszystko na wiatr rzucał — takie prawo nie jest prawem, to... męty! Wszystko męty i im prędzej umrę tem lepiej.

Mrs Sparsit porwała się z miejsca. Nie! niegodziwość i niereligijność klas wyrobniczych, granic nie znała.

— Hola! Ho! — zawołał pan Bounderby — pleciesz kochanku kosałki-opalki, mówisz o rzeczach o których nie masz pojęcia. Nie nazywaj mętami — słyszysz! praw i instytucji państwowych, gdyż z tem sam w męty po szyję, wcześniej czy później popaść możesz. Instytucje i prawa państwowe to nie twój warsztat. Ty pilnuj warsztatu. Nie żeniłeś się pod tym lub owym warunkiem, lecz na złą i dobrą dołę. Na złe ci to wyszło, a no! mogło wyjść i na dobre.

— Męty! męty! — powtarzał Stefan, kierując się ku drzwiom.

— Słuchaj! — zawołał pan Bounderby — nikt cię nie pyta o zdanie, a słowa twoje gorszą obecną tu panią Sparsit. Nie byle kto to przecie, lecz dama, jak

ci to mówiłem, szlachetnie urodzona i wysoce wychowana, a jednak i ona miała — o czym nie wiesz może? — małżeńskie smutki, zawody, nie byle jakie, ale takie co obliczać można na tysiące i dziesiątki tysięcy funtów szterlingów. A teraz posłuchaj jeszcze. Byłeś dotąd porządnym robotnikiem, lecz, jak uważam, wchodzisz na złą drogę. Pewnieś nakłonił ucha na buntownicze poszepty, których pełno między wami? Pełno wrogów publicznego porządku! Pełno! Dam ci radę, wycofaj się póki pora. Widzisz bo, — tu pan Bounderby przybrał chytrą minę — oszukać mię trudno. Znam ja was, znam! Lepszym od niejednego, bom wiele rzeczy zwierzył za młodu! Słyszałeś coś przecie o tem? Dołączam się łatwo żółwiowej zupy i złotych łyżek, w tych tam „mętach“. Ho! ho! o to nie trudno! Dołączam się, jakem Bounderby.

Lecz na to Stefan z ukłonem, odmiennym wprawdzie od tego z jakim wszedł był, i głębokiem westchnieniem odrzekł tylko:

— Dziękuję panu, panie Bounderby i żegnam pana.

Wyszedł. Pan Bounderby wytrzeszczył oczy na własny swój, na ścianie wiszący portret, a pani Sparsit przytrzymując nogą kłębek bewelny, pograżyła się w zadumę nad przewrotnością robotniczej ludności.

## Rozdział XII.

### Stara kobieta.

Stefan zamknął czarne drzwi pod błyszczącym złotym napisem „Bounderby“; otarł starannie rękawem surduta błyszczącą klamkę, którą zamroczyło nieco

dotknięcie jego gorącej dłoni; zszedł z szerokich, kamiennych wschodów i nie podnosząc głowy, ani odrywając od ziemi oczu, wszedł w ulicę, gdzie go zatrzymała położona na jego ramieniu ręka.

Nie, nie była to ręka, której kojące dotknięcie potrzebniejszym mu było w danej chwili niż kiedykolwiek, ta, coby zażegnać mogła miotającą jego całą istotą burzę, chociaż kobieca to była ręka. Przed nim stała staruszka prosta i silna jeszcze pomimo lat podeszłych. Zatrzymał się. Ubrana była ubogo lecz schludnie, na obuwiu nosiła ślady dalekiej, zamiejskiej drogi. Zmieszanie doznawane w ulicznym tłoku, skromna chusta przewieszona przez ramię, ciężki parasol, koszyk w rękę, rękawiczki o przydługich palcach i nienawykłe do nich ręce, wszystko zdradzało wieśniaczkę, przybyłą do miasta w odświętnem ubraniu, nieoswojoną z miejskim zgiełkiem i obyczajem. Stefan Blackpool dopatrzył to jednym bystrem spojrzeniem, skupionem w sobie, jak bywa spojrzenie podobnych jemu ludzi, obracających się w ustawicznym zgiełku, co, niby głusi, wzrokiem chcą sobie dopełnić niedosłyszane słowa.

— Proszę pana — rzekła staruszka — wszak pan wychodzi z tego oto domu — wskazała czerwony budynek o czarnych okienicach i zielonych wewnętrznych żaluzjach — chyba że się nie mylę, bom szła właśnie za panem.

— Tak pani — odrzekł Stefan — z tamtąd idę.

— Zatem widziałeś dopiero — daruj ciekawość starej kobiecie! dopieroś widział mieszkającego tam dżentlemana?

— Widziałem.



— Jakże wygląda? Czy zdrow, wesół, spokojny? — sama się wyprostowała, a Stefanowi przemknęło przez myśl, że ją gdzieś chyba, kiedyś, widział.

— O tak! niewątpliwie — potwierdził wpatrując się bacznie w staruszkę.

— Zdrow, czerstwy, świeży jak wiatr poranny.

— O tak! jadł i pił właśnie, ciężki i głośny, jak niedzielne dzwony.

— Dziękuję, bardzo dziękuję — wołała rozradowana staruszka.

Nie, nie widział jej nigdy, a jednak... chyba mu się śniła kiedy?

Szła obok niego, więc miarkując swe kroki rozmawiał z nią. Coketown fabryczne, ruchliwe miasto, nieprawdaż?

— Ruchliwe, oj ruchliwe.

Przybyła zapewne ze wsi?

Ze wsi, pośpiesznym, dziś rano, mil ze czterdzieści, a odjeżdża dziś wieczorem. Do dworca mil dłużej, doszła pieszo i pieszo wróci, jeśli się nie zdarzy przysiąść na jaki wózek. A co, nieźle jak na jej lata? trzepała ozywiając się coraz bardziej babina.

— Ślicznie! a pani często odbywa tę podróż?

— Często! broń Boże! Raz do roku, raz jeden.

Wydaję wówczas to, co przez rok cały zaoszczędzę. Regularnie co rok przyjeżdżam, chodzę po ulicach, przypatruję się dżentlemanom...

— Tyle! — pokiwał głową Stefan.

— Tyle! alboż to nie wystarcza — mówiła żywo.

— Więcej nie żądam — poco mam żądać więcej. Ot, stałam tu — wskazała dom z czerwonej cegły z czar-

nemi okienicami i blyszczącym nad wchodowymi drzwiami nazwiskiem — stałam po tamtej stronie ulicy, w nadziei, że go zobaczę. Próżno! muszę wracać nie dostrzegłszy go ani na mgnienie oka. Jedno mgnienie oka, więcej nie żądam! Dobrze, że przynajmniej spotkała pana, widziałeś go przed chwilą, mogłam rozpytać o niego i to dobrze.

Mówiąc to szybko wpatrywała się w Stefana, jak gdyby chciała wrazić sobie w pamięć rysy jego, lecz wzrok jej stracił błysk poprzedni, oczy zwilgotniały.

Z całym poszanowaniem dla różnorodnych zamiowań i całym uznaniem patrycyatu fabrycznego miasta, ponoszenie tyłu trudów i kosztów dla tak szczupłych rezultatów, zdziwiło Stefana nie mało. Właśnie mijali kościół, spojrzął na zegar wieżowy i przyspieszył kroku.

Spieszył zapewne do pracy, zauważyła staruszka przyspieszając też kroku. Czas ucieka! Gdy jej powiedział w jakiej pracuje fabryce, staruszka stała się dziwniejszą jeszcze niż przedtem.

— Musisz być szczęśliwy — zauważyła — bardzo szczęśliwy.

— Każdy ma swoje biedy — odrzekł wymijająco, niechcąc zaprzeczyć staruszce widocznie przeświadczonej o jego szczęśliwości. Czuł, że sprawi jej przykrość przeczeniem. Wiedział, że biedy i smutku świat pełen, a jeśli ta kobieta, żyjąc tak długo, powątpiewać mogła o jego w tem udziale, tem lepiej dla niej. Jemu to nie szkodzi.

— Rozumiem — rzekła — masz zmartwienie w domu.

— Czasem — odrzekł obojętnie.

— Lecz pracując pod kierownictwem takiego dżentelmana, chyba, że zgrzyoty nie doganiają cię w fabryce?

— Nie, nie w fabryce — odrzekł Stefan — tam wszystko w porządku, wszystko zgodne.

Nawet dla dogodzenia nieznanym, nie powiedziałby może, że się tam wszystko odbywa po bożemu, chociaż i to utrzymywano nieraz!

Weszli właśnie w ciemną ulicę, okrążającą fabrykę. Roilo się tu od wyrobników. Dzwoniono. Z kominów buchały znów dymy i maszyny w ruch wprawione wahały się na kształt nostalgii w niewoli cierpiących słoni. Dźwięk dzwonu zdawał się zachwycać staruszkę. Nigdy nie słyszała tak głośnego, donośnego, a gdy Stefan przystanął, chcąc ją pożegnać, spytała od jak dawna tu pracuje.

— Lat ze dwanaście — odrzekł.

— Niechże ucałuję rękę, co od lat dwunastu pracuje w tak pięknej fabryce — zawołała, podnosząc do ust rękę Stefana, za nim przeskoczyła temu zdołał. Było coś w całym jej wzięciu się i nawet tym ostatnim, dziwnym wybryku, tak szczeremu i rozczulającemu, co przemawiało wprost do serca. Stefan po godzinnej już pracy przy warsztacie, wyjrzał wypadkiem oknem. Staruszka stała jeszcze naprzeciw fabryki pełna gorącego podziwu. Zapomniała o dymie, mgłę, trudach dwudniowej podróży, podziwiając wszystko, co tu widziała, wsłuchując się w pisk i zgrzyt maszyn jak w eolską harmonię.

Odeszła wreszcie, a i dzień chylił się ku końcowi. Pozapalano światła. W powietrzu rozległ się świst

pospiesznego pociągu, przelatującego na arkadach w pobliżu i z którego oświecone rzęsiście fabryki chętnie brane były za zaczarowane pałace. Na świst lokomotywy nikt tu zresztą wśród huku i stuku fabrycznego nie zwracał uwagi a myśli Stefana oddawna odbiegły do ponurej izby, na poddaszu, ponad sklepikiem i do wstrętnej postaci, leżącej na jego łóżku całym ciężarem, lecz cięższej jeszcze, oj, cięższej, na jego biednym złamanym sercu, kobiety.

Maszyny ustawały, jak puls słabnący. Zatrzymały się wreszcie. Znów ozwał się dzwonek, światła pogasły, kominy zczerniały na tle nocy podobne do niezliczonych wież Babelu.

Zaledwie wczoraj Stefan widział się z Rachelą, wczoraj zaledwie z nią rozmawiał, lecz odtąd tyle zaznał bólu, który ona sama złagodzić mogła, tylko jej głos uciszyć mógł szalejącą mu w duszy burzę buntu i gniewu, że postanowił bądź co bądź i pomimo wczorajszej rozmowy, czekać na nią. Czekał długo, napróżno! Wymknęła mu się jakoś i to w tę tak gorzką chwilę.

Lepiej bo, stokroć lepiej, nie mieć własnego dachu i ogniska, niż drzeć na samą myśl wrócenia we własne progi. Zjadł coś i wypił, gdyż czuł się wyczerpanym, potem błąkał się jeszcze długo w noc dżdżystą, przezuwając swą rozpacz.

Słowem nie dotknęli nigdy z Rachelą możliwości połączenia się małżeńskim związkiem. Lat wiele już temu poczuł współczucie Racheli i otworzył przed nią swe zwarte bólem serce. Wiedział też, że jeśli był wolny, wyszłaby za niego. Teraz myślał, czem byłoby

mu domowe z nią ognisko? Wracałby z dumą i utęsknieniem... Innym, oj! innym byłby całkowicie. Serce miałby pełne zadowolenia w ściśniętej bólem piersi, spokój, honor, wszystko, co mu los poszarpał w kawały. Myślał o zmarniałem swem życiu, o zmianach, jakie niedola wywarła na samej istocie jego charakteru, o ohydzie nie dających się zerwać związków z szatanem w niewieściem ciele. I myślał o Racheli. Młodą była, gdy się zeszli, a dziś dojrzała, przed wiekiem postarzała. Liczył rówieśnice jej, wszystkie od dawna zamężne. Liczył domy pełne dzieci, co dokoła nich wyrastały. Myślał o samotnej i ciernistej ścieżce jej życia i o chmurze smutku, przelatującej czasem po jej cichem, kochanem czole. Chmura ta przelotna napelniała go zawsze goryczą i rozpaczą, gryzła jak wyrzut sumienia. Wywoływał obraz ukochanej, by zatrzeć nim wspomnienie tamtej ohydnej i pytał siebie jak to być mogło, by ta słodka, dobra, pełna zaparcia się i poświęcenia musiała ustąpić tamtej upadłej, niegodnej?

Pełen podobnych myśli, tak pełen, że utracił świadomość czasu i miejsca, otaczających go przedmiotów, że mu w mgłę wilgotnej dwoiły się i krwawiły światła latarni, bezwiednie doszedł do progu swego domu, instynktem szukając schronienia.

## Rozdział XIII.

## Rachela.

Świeca paliła się ponuro w oknie, do którego często czarna drabina przystawiana była, drabina, po której zwykle spuszczano to, co wszystkim było pa-

sującej się z losem pilnej kobiecie i garstce zgłodniałych dzieci. Stefan do ponurych rozmyślań dołączył myśl równie ponurą, że ze wszystkich wypadków życiowych, żaden może nie był rządzony bardziej nierówną ręką od śmierci. Tu przewaga większą jeszcze była niż w nierówności urodzeń. Dziecię w królewskim pałacu i w izdebce tkacza rodziło się tak samo, gdy śmierć użytecznego lub ukochanego człowieka pograżała w nędzę i rozpaczy pozostałą nieszczęsną, a kochającą istotę.

Wszedł na wschody cicho, zapierając dech w pierśiach. Ze wstrętem i wahaniem drzwi otworzył.

W izbie panował ład i cisza. Rachela siedziała przy łóżku.

Zwróciła się twarzą ku wchodzącemu. Jasno mu się zrobiło w oczach a lżej na sercu. Doglądała widocznie jego żony, gdyż leżącą na łóżku postać dostrzegł, pomimo spuszczonej ręką Racheli zasłony. Łachmany pijaczki gdzieś znikły, natomiast nieco własnej odzieży Racheli wisiało na ścianie. Wszystko było w porządku, jak to lubiał, jak się zwykł był o to starać; podłoga świeżo zmyta, ogień rozpalony. Wszystko to widział patrząc na Rachelę, od której biło mu światło i ciepło i nie mógł oderwać od niej zachodzących łzami oczu. I jej wilgotne byiy.

Spojrzała na łóżko a widząc, że pijaczka śpi głęboko, poczęła cichym, łagodnym, wesołym niemal głosem:

— Dobrze żeś nadszedł wreszcie, spóźniłeś się bardzo.

— Brodziłem po ulicach bez celu.

— Tak też sądziłam! ale noc dżdżysta, zimna — słyszysz jak wiatr wyje?

Wiatr wyl istotnie wstrząsając wściekle wysokimi fabrycznymi kominami. Stefan ani był zauważył wichury.

— Byłam tu już raz dzisiaj — mówiła Rachel — o obiadowej porze przybiegła po mnie właścicielka sklepiku na dole, mówiąc, że tu potrzebna. Miała racyę. Bredzi, nieprzytomna, przytem ranna Stefanie, zbita...

Zbliżył się do krzesła, na które opadł pochylając przed mówiącą głowę.

— Zrobiłam co mogłam — ciągnęła Rachel — bośmy kiedyś, w młodości naszej, pracowały razem. Gdyś ją poślubił, była moją przyjaciółką, pamiętam.

Ze stłumionym jękiem potarł zbrudzone czoło.

— Zresztą — ciągnęła Rachel — znam cię, masz serce nazbyt dobre, by nieszczęsną zostawić bez pomocy, gdy cierpi i jej potrzebuje. Pamiętasz Stefanie słowa ewangelii: „Niech ten kamieniem w nią uderzy, kto sam bez grzechu“. Pamiętasz. Ty byś nie cisnął kamieniem na istotę słabą, zlaną. O, nie!

— O! Rachelo, Rachelo!

— Cierpiałeś biedaku wiele! cierpisz! Niech cię Bóg wspomaga! — mówiła z głębokiem współczuciem — współczuję ci, całym współczuję sercem.

Rana, o której wspomniała była na karku pijaczki, opatrzyła ją, nie odsłaniając kobiety. Zmoczyła tylko płachtę w wodzie, do której dolęła coś z butelki, z jednej z dwóch, stojących na przysuniętym do łóżka stole.

Pomimo oddalenia Stefan przeczytał etykiety. Zbladł śmiertelnie i zamroczył się bardziej jeszcze.

— Pozostanę tu — mówiła Rachel spokojnie, siadając na uprzednim miejscu — zanim zegar uderzy trzecią, bo o trzeciej trzeba raz jeszcze zmienić opatrunek. Potem, to aż jutro rano.

— Kiedyż wypoczniesz, droga moja! jutro cię czeka praca.

— Wypoczęłam zeszłej nocy, teraz mogę czuwać, ty to potrzebujesz wypocząć. Takiś bład, wyczerpany! Spróbuj zdrzemnąć się na krześle. Zeszłą noc musiałeś mieć złą, bez snu, a jutro czeka cię o wiele cięższa od mojej praca.

Na dworze szalała burza i zdawało się Stefanowi, że go porywa, lecz uspakajała go obecność Racheli, ufał, że go obroni przeciw niemu samemu.

— Nie poznaje mię — mówiła Rachel, odchylając się od cicho stękającej pijaczki. Mówiłam do niej kilkakrotnie, napróżno. Tak i lepiej. Spełnię, com spełnić miała i tyle.

— Jakże to długo potrwa — spytał cicho Stefan, wzrokiem wskazując łóżko.

— Doktor upewnia, że jutro rano odzyszcze przytomność.

Znów jego wzrok padł na stojące na stole przy łóżku butelki. Zdjął go dreszcz wielki. Rachel zaniepokoiła się, czy nie przeziął? Noc taka dżdżysta!

— Nie, to nie to — odrzekł — strach mię zdjął.

— Strach, Stefanie?

— Tak strach. Gdym chodził i myślał o tem wszystkim i myślał... i tu teraz... — Znów wstrząsł

się cały, powstał, oparł o komin, drżącą ręką odgarniając z zimnego czoła mokre włosy.

— Stefanie!

Zbliżyła się do niego, wstrzymał ją, wyciągając rękę.

— Nie zbliżaj się, nie zbliżaj, siedź tam jakieś siedziała, zawsześ dobra, uraz nieporna. Nigdy cię nie znał i nie widział lepiej jak przed chwilą tu wchodząc, nigdy, nigdy.

Drżący cały opuścił się na krzesło. Po chwili oparł się miotające go, gwałtowne wzruszenie i z głową opartą na rękę, a łokciem na kolanach wpatrzył się w Rachelę. W wilgotnych parach izby, przez zachodzącą mu oczy łzawość, zdawało mu się, że ją wieńczy świetlana jakaś obręcz. Wpatrywał się w nią jak w obraz cudowny, a na dworze szalała burza, targała drzwi i okna, gotowa wtargnąć do izby.

— Gdy podzdrowieje — mówiła Rachel, wskazując łóżko lekkim ruchem głowy, a ciesząc i uspokajając Stefana — odejdziesz, zostawi cię znów w spokoju. A teraz, nic ci już nie powiem, musisz odpocząć i zasnąć.

Przymknął oczy, raczej by jej dogodzić, niż dać spoczynek skołataną swą głowie. Słuchał wycia wiatru, lecz pomału wycie to mieszało się z turkotem warsztatu, ze słowami, które w ciągu dnia sam mówił lub słyszał, aż wreszcie zamilkły ostatnie odgłosy półświadości, popadł w sen ciężki, niespokojny.

I śniło mu się, że on sam, z dawną sercem wybraną, bliską, tylko nie z Rachelą — to go dziwiło we śnie nawet! — stał u ślubnego ołtarza. W orszaku

ślubnym tłumno było, żyjących wielu i wielu, o których wiedział, że dawno zmarli. Nagle wszystko spowiało noc ciemna ustępując z kolei przed równie nagłym, drżącym światłem. Padało ono od ołtarza i rozświecało słowa Bożych przykazań, których echem rozbrzmiała świątynia cała. Wtem, wszystko się zmieniło, pozostał sam z kapłanem, o brzasku dnia, wobec tłumu tak wielkiego, że mu się zdało, że się ludzie natłoczyli zewsząd, a każdy z obecnych przeklinał go, urągał mu i wśród milionów zwróconych nań oczu, nie było ani jednego przyjaznego lub współczującego spojrzenia. Stał na podwyższeniu, pod własnym swym warsztatem i dziwował się kształtom, w które warsztat się przeobrażał, a ktoś gdzieś pogrzebowe nucił pieśni. Zrozumiał, że ma być śmiercią karany. Świat mu się w oczach zaćmił.

Z jakich tajemniczych otchłani ocknął się znów do życia, wrócił w znane sobie miejsca, powiedzieńczy nie potrafił. Czuł znów, że cięży nad nim los straszny: że ani w tym, ani w przyszłym życiu nie spotka już Racheli, nigdy, nigdzie! Błąkając się bez wytchnienia w pogoni za czemś nieznanem, niewiadomem, a co doścignąć musiał, budził strach i wstręt dokoła siebie, a wszystko czego dotknął, na czem bogdaj wzrok jego spoczął, paczyło się, wykrzywiało w dziwne kształty. Zadaniem jego było kształty te skrywać, zasłaniać. Próżno! Daremnie! Próżno, daremnie zamykał je, wyganiał, przenosił z miejsca na miejsce, nawet kminy fabryczne, warsztaty nabierały straszego kształtu a dokoła błyszczały wyrte zgłoski straszego wyrazu...

Ocknął się. Wiatr wył i deszcz dzwonił po szwach. Przesztorza, z których wracał oszołomiony, zmie-

ścić się nie mogły w ciasnych ścianach izdebki, w której się przebudził. Ogień zgasł na kominie, a nieruchoma przy łóżku Rachelą, zdrzemnąć się też musiała, otulona w chustę. Stół stał na uprzednim miejscu, obok łóżka, a na nim spostrzegł to właśnie, czego kształty przesładowały go we śnie.

Wydało mu się wówczas, że zasłona przy łóżku drgnęła. Tak, nie mylił się. Wsunęła się z pod niej kobieca ręka, uchyliła. Na łóżku siedziała pijaczka. Żalonym, nieprzytomnym wzrokiem powiodła dokoła, omijając go jednak. Po chwili musiała go dostrzedz, bo przysłoniła ręką oczy, by lepiej widzieć. Znow powiodła wzrokiem po izbie, nie zatrzymując oczu na śpiącej Racheli, wiedzona raczej zwierzęcym instynktem, niż świadomością jego obecności, wparła wzrok w kąt, w którym mąż siedział. W zmienionych rozpustą rysach, w wyrazie twarzy pijaczki, nie było śladu kobiety, którą był niegdyś, przed osiemnastu laty poślubił. Gdyby nie był patrzył na jej stopniowy upadek, nie uwierzyłby, że to ta sama.

Przez cały ten czas, niby pod zaklęciem, siedział nieruchomy, oczu od niej oderwać nie mogąc.

Kiwając się tam i nazad, mrużąc coś niewyraźnie, podtrzymując głowę rękoma, pijaczka siedziała czas jakiś. I znow zaczęła wzrokiem wodzić po izbie, po raz pierwszy zatrzymując go na stole z flaszkami. Nagle, z całą nieufnością poprzedniej nocy zwróciła wzrok w kąt, w którym Stefan siedział, wyciągając przytem ostrożnie, pomału chudą rękę. Ujęła kufel przypatrując się rozważnie, dwóm, stojącym na stole butelkom. Ostatecznie wyciągnęła rękę po tę właśnie, w której była

śmierć niechybna i natychmiastowa. Widział, jak podniosła ją do ust, by wyciągnąć zębami korek.

Sen li to był, czy jawa? Siedział przykuty do miejsca bez ruchu i głosu. Jeśli to jawą było a dni pijaczki nie wypełniły się jeszcze, zbudź się, zbudź Rachelo!

I ona pomyśleć musiała w tej chwili o Racheli, gdyż zwróciła na nią oczy, pomału przytem, ostrożnie lejąc z odkorkowanej butelki do kufła. Podniosła napój do ust. Chwila, a żadna potęga, całego zbudzonego świata, pomódz jej nie zdoła!... W chwili tej właśnie Rachelą ocknęła się z cichem, machinalnem wołaniem. Pijaczka bronila się, odpychała ją, porwała za włosy, lecz kufel został w ręku Racheli.

Stefan porwał się z miejsca.

— Rachelo, powiedz, jawa to, czy sen okropnej tej nocy!

— Uspokój się, wszystko w porządku! Zdrzemnąłam się. Trzecia! słyszysz zegar bije.

Wiatr przyniósł dźwięk kościelnego zegaru. Słuchała, trzecia uderzyła. Stefan patrzył na Rachelę, widząc ją bladą, z potarganym włosiem, czerwonymi szramami na czole, pozostawionemi przez paznogie powstrzymanej w zamiarach pijaczki i zrozumiał wreszcie, że wszystko jawą było, nawet ów kufel w ręku Racheli.

— Czulałam, że trzecia blisko — mówiła Rachelą spokojnie, wylewając na komin zawartość kufła i okrywając opadłą na posłanie pijaczkę. Rada jestem, żem tu była. No! teraz możemy być spokojni. Drzemie już i wszystko wylałam, bo lada kropla byłaby śmiertelną.

Mówiąc to wypluła kufel i rozbiła butelkę. Zadanie jej było skończone, otuliła się w chustkę, gotowa odejść.

— Czy pozwolisz bym cię odprowadził Rachelo?

— Nie, Stefanie! blisko, dojdę sama do domu.

— Więc się nie boisz? — pytał bardzo cicho, przeprowadzając ją do drzwi — nie boisz się pozostawić mię tu z — tamtą?

Spojrzała mu tylko w oczy.

— Stefanie!

Padł przed nią na kolana, na najwyższym stopniu stromych, wąskich, brudnych schodów, do ust podniósł kraj jej chusty.

— Aniołem jesteś! Bądź błogosławioną!

— Stefanie, uspokój się, jestem tylko twą biedną przyjaciółką. Nie tak wyglądają aniołowie! Pomiędzy niemi a ubogą, ułomną wyrobnicą leży przepaść cała! Moja mała siostrzyczka jest najpewniej pomiędzy niemi, bo ją śmierć przemieniła.

Mówiąc to wzniosła oczy w górę i opuściła je z łagodnym, kłiwym spojrzeniem na podniesioną ku sobie twarz kłęczącego u nóg jej wyrobnika.

— Ty mię zmieniasz ze złego w dobrego, dajesz pragnienie zostać podobnym do ciebie, nie stracić cię w przyszłym życiu, gdy to przejdzie i minie z całym swem błotem. Aniołem jesteś! Tobie zawdzięczam niezaprzepaszczanie duszy mojej.

Patrzała na kłęczącego u stóp swoich, na głęboki, ucziszony wyraz jego przed chwilą jeszcze, tak wzburzonej twarzy. Nie miała siły go odepchnąć.

— Wróciłem był — mówił ciszej — wróciłem do

domu zrozpaczony, straciłem resztki nadziei, w głowie mi się mąciło, bom się już nawet skarżyć nie mógł, na skargę moją odpowiedziano bowiem, że sam nie wiem czego chcę, że do niczego są moje robocze ręce. Siedziałem — Bóg wie w jak ponurych zatopiony myślach! Wiedziałem, że, tam, pod ręką, jest... trucizna... wiedziałem... Bóg mi świadkiem, że dotąd żywej nie skrzywdził duszy... ale teraz, nie wiem co by się stało ze mną, z nią — z nami.

Ręką zamknęła mu usta, lecz ujął ją za rękę i cisnąc je mocno w dłoniach, ciągnął szybko:

— Alem cię widział siedzącą przedemną, Rachelo droga, patrzałem na cię noc całą. Nawet gdy drzemał obecną byłaś w sumieniu mojem... zawsze cię odtąd widzieć będę tak, jak tej nocy widziałem. Nigdy już nigdy nie pomyślę o niczem co boli mię i w gniew wprawia, nie pomyślawszy zarazem o tobie, i postaram się wierzyć... postaram mieć nadzieję, że przyjdzie dzień, w którym stanę obok ciebie... nie tu, wśród ziemskiego błota, ale tam, gdzie już jest mała twa siostrzyczka. Tam!

Ucałował kraj jej chusty — teraz mogła już odejść. Pożegnała go złamanym od wzruszenia głosem, wyszła.

Wiatr dął od strony kędy dniać w krótkie miało, dął ze zdwojoną wściekłością. Zmiotł chmury z nieba, na którym zabłysły gwiazdy. Stefan, z odkrytą głową stał na ulicy, patrząc za odchodzącą. Tem, czem jasność gwiazd na niebie, była w porównaniu z mdłym, dymnym, czerwonawym płomykiem świecy palącej się tam w oknie, tem, w porównaniu z jego życiem powszednim, zdawała mu się Rachel.

## Wielki przemysłowiec.

Czas płynął w Coketown, naksztalt działających maszyn: tu tyle wyszło myteryafu, tam węgla tyle, tu tyle sił zużyto, tam tyle zrobiono pieniędzy. Lecz mniej nieubłagany niż żelazo, miedź i stal, nawet ponad tym rumowiskiem cegły i dymu, przyniósł zmianę pór roku.

— Ludwika rośnie — uważał pan Gradgrind — panną jest już niemal.

Czas płynął, popychany siłą pary, nie dbając oto, co się robi i mówi, płynął i oto Tomcio wyrósł na stopę, odkąd ojciec zwrócił był nań ostatnim razem uwagę.

— Prawie już młody człowiek — mówił pan Gradgrind.

Czas bo robił swoje z Tomciem. Oto już stał przed ojcem w surducie z długimi połami, w wykrochmalonych kołnierzykach.

— Istotnie — mówił pan Gradgrind — pora mu już do Bounderby.

Czas popchnął Tomcia do kancelaryi Bounderby, zrobił zeń domownika wielkiego przemysłowca, zmusił do kupna pierwszej pary brzytw, słowem zrobił swoje.

Tenże sam czas, pracując na wsze strony, nie pominął też Sissy, przepuszczając ją przez swe sito, wytworzył z niej wcale wdzięczny przedmiot.

— Boję się Jupe — mówił pan Gradgrind — że dłuższe twe uczęszczanie do szkoły, nie na wiele się już przyda.

— I ja tak sędzę, proszę pana — odpowiedziała Sissy dygając.

— Nie będę tał — ciągnął brwi marszcząc pan Gradgrind — że postępy twoje zawiodły mnie, wiele zawiodły. Pod przewodnictwem tak światłego nauczyciela jak pan M'Choakumchild, nie nabrałaś jednak tej sumy świadomości, jaką nabrać winna byłaś. Wiele ci braknie, słabą jesteś w oddziale faktów, rachunków, geometrycznych linii. Opieszalą jesteś, nie zasługujesz na dobre stopnie.

— Prawda panie! — odrzekła Sissy — sama to czuję. Robiłam co mogłam, wszelkich dokładałam starań.

— Tak, spodziewam się — ciągnął pan Gradgrind — chcę wierzyć w dobre twe chęci. Baczna na ciebie zwracam uwagę i w tym względzie nie ci zarzucić nie mogę.

— Dziękuję panu, zdaje mi się czasem, że... — tu się Sissy zająkała nieśmiało — że za wiele objąć chciałam i że jeślibym się uczyła mniejszej liczby rzeczy...

— Co to, to nie, Jupe, stanowczo nie! — zadecydował z miną przekonanego i biegłego tych rzeczy, pan Gradgrind — program, wedle któregoś się uczyła, wypływa z całego systematu... Hmm! tak! systematu, i niema co o tem mówić. Sędzę raczej, że okoliczność w jakich spędziłaś wczesne dzieciństwo, powstrzymały rozwój twego umysłu. Zapóźno skierowaną zostałaś na właściwą drogę. Bądź co bądź nie taję, żeś zawiodła moje oczekiwania.

— Żałuję bardzo, że nie mogła należycie wywdziąć panu, panie Gradgrind, za pańską dobroć



dla opuszczonej, obcej i praw do pańskiej łaski nie mającej dziewczyny, za pańską nademną opiekę.

— Nie płacz tylko! — zawołał pan Gradgrind — nie płacz proszę. Dobrą jesteś, poczeiwą dziewczyną, i — musimy się tem zadowolnić.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — odrzekła z wdzięcznym dygiem Sissy.

— Starasz się być użyteczną pani Gradgrind i — na ogół rzeczy biorąc, oddajesz pewne usługi rodzinie całej. Mówiła mi to panna Ludwika, sam zresztą uważam i spodziewam się, że zadowolona jesteś z obecnej swej pozycji.

— Niezegoby mi tu nie brakło, gdyby...

— Rozumiem, domyślam się — przerwał pan Gradgrind — zmierzasz do swego ojca. Miss Ludwika opowiadała mi, że zawsze jeszcze chowasz tę flaszkę z tym, jak go tam! balsamem! Ha! widzisz, gdybyś była skorzystała z udzielanych ci nauk i przejęła się ważnością faktów, dokonanych faktów, dawnobyś sobie wybiła bzdurstwa te z głowy. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Lubił istotnie uprzejmą Sissy, lecz miał najgorsze wyobrażenie o jej kombinacyjnych zdolnościach i zdawało mu się nawet już czasem, że w dziewczęciu tem było istotnie coś szczególnego, co się nie dawało wtłoczyć w szemat. Nie miała zdolności do kombinacji. Matematyczne postępy jej równały się z zerem, pewien był tego, lecz zarazem czuł, że jej przeniknąć do głębi nie zdoła.

Szybki jest bieg czasu na warsztacie życia ludzkiego a Tom i Sissy byli w tym wieku, w którym rok

lub dwa przynoszą wielkie zmiany, gdy pan Gradgrind doścignął lat, w których sam bieg czasu zatrzymywać się zdaje w biegu. Czas jednak wyprowadził go na członka parlamentu, deputowanego z Coketown, nader użytecznego i biegłego w kwestyach miar i wag, przedstawiciela tablic mnożenia, jednego z najzacowniejszych, najgłuchszych, najzaślepieńszych, najubożniejszych na wszelkie inne kwestye, członków społeczeństwa w ucywilizowanym kraju i dziewiętnastym wieku od narodzenia Pana naszego Jezusa Chrystusa.

Przez cały ten bieg czasu Ludwika pozostała spokojną i zamkniętą w sobie, śledząc za gasnącemi w popiołach iskrami, aż do dnia w którym ojciec jej zauważył wreszcie, że wyrosła na pannę.

— Kobieta to już, niemal kobieta! — dziwił się pan Gradgrind.

Dokonawszy powyższe odkrycie zamyslił się, pochłonięty widocznie przez jakieś zagadnienie, aż pewnego wieczora, wychodząc z domu i żegnając do jutrzejszego rana córkę, zatrzymał ją w objęciu i patrząc na nią z przywiązaniem zauważył:

— Wyrosłaś już na pannę, kochana Ludwiko!

Spojrzała nań jak przed laty, po owej scenie przed cyrkiem, szybko, badawczo i spuszczaając natychmiast oczy.

— Tak jest, ojeze — odrzekła.

— Potrzebuję pomówić z tobą sam na sam i o rzeczach poważnych. Jutro rano, po śniadaniu wstąp do mego gabinetu.

— Słucham, ojeze.

— Zimne masz ręce Ludwiko, czyś niezdrowa?

— Zdrową jestem.

— I zadowoloną?

Spojrzała nań jak poprzednio, uśmiechnęła się w szczególności, właściwy sobie sposób.

— Zadowolona jestem o tyle, o ile zawsze nią byłam — odrzekła.

— Dobrze, bardzo dobrze! — rzekł pan Gradgrind, ucałował córkę i odszedł. Ludwika wróciła do podobnego do salonu fryzjera pokoju, i oparłszy głowę na rękę wpatrzyła się w przebiegające na kominie iskierki.

— Czy tu jesteś Ludwiko? — ozwał się u drzwi głos Tomcia. Był to już młody, rozbawiony człowiek, nie zupełnie, co prawda obiecujący.

— Kochany Tomciu! — zawołała powstając żywo z miejsca i całując brata — jakżeś to dawno nie był.

— Zajęte mam czem innym wieczory — odrzekł niedbale — a w dzień, stary Bounderby nie popuszcza wodzy. Bronię się jak mogę i znalazłem sposób na starego: oto ciebie wysuwam naprzód i jakoś to idzie. Ale! czy ojciec nie ci szczególnego nie mówił dziś lub wczoraj?

— Nic Tomciu. Prawda! mówił mi przed chwilą, że ma mi coś do powiedzenia jutro.

— A! właśnie to miałem na myśli! A czy wiesz gdzie się znajduje w tej chwili?

Na słowa te Tomcio szczególny położył nacisk.

— Nie wiesz? to ci powiem. Jest u starego Bounderby, na naradzie, w banku. Dlaczego aż w banku spytasz? Ach! im dalej uszu Mrs. Sparsit, tem lepiej.

Z ręką na ramieniu brata, Ludwika stała wpa-

trzona w ogień palący się na kominku. Tomcio spojrzal na nią uważniej niż zwykle, otoczył ramieniem jej kibić, przyciągnął do siebie.

— Loo! czy kochasz mię, czy bardzo?

— Bardzo Tomciu! chociaż tak rzadko teraz przychodzisz.

— Brawo! siostrzyczko! mówisz mi po sercu. Od ciebie przecie zależy żebyśmy się częściej widywali... hmm, moglibyśmy ciągle niemal być razem — wszak tak, prawda? Byłbym uszczęśliwiony gdybyś się raz przecie zdecydowała — a no! wiesz przecie na co. Kapitałny to byłby dla mnie interes, prawdziwe szczęście.

Zamyślenie jej zbiło go z tropu. Nic nie mógł wyczytać z jej twarzy. Uściskał ją, ucałował. Zwróciła mu pocałunek, lecz nie odrywając oczu od ognia.

— Powiedziałem sobie Ludko, że wstąpię i ostrzegę cię jak rzeczy stoją, chociaż pewien jestem, żeś się sama dawno domyślała. Nie mogę dłużej dziś zabawić... obiecałem się koledze... Loo! nie zapomnisz, że mię kochasz? Co? Nie zapomnisz?

— Nie, Tomciu, nie zapomnę.

— Poczciwa z ciebie dziewczyna! Do widzenia Loo.

Pożegnała go, odprowadziła do drzwi skąd widać było w pogłębiającej dali mroku miejskie światła. Długo stała wpatrując się w nie i wsłuchując w odgłos kroków oddalającego brata. Oddalał się szybko, rad pozostawiać za sobą Stone Lodge. Stała, gdy już kroki przycichły w dali i dokoła zaległa cisza. Zdawało się, że jak z iskier własnego ogniska, tak teraz z migających w oddali światełek stara się zgadnąć, jaką prze-

dę wysnuje stara prządka czasu, z sieci w które ujęła kobiece jej życie. Kto zgadnie, gdzie ta najbystrzejsza z prządek ma swą pracownię? Pracuje w ciszy tajemniczej a niemi są jej wyrobnicy.

## Rozdział XV.

## Ojciec i córka.

Chociaż pan Gradgrind w niczem nie był podobny do siwobrodego, gabinet jego był siwy dzięki nagromadzonemu w nim księżkom w siwych okładkach. Co bądź zawierały, a zawsze coś zawierać musiały, o czym bądź miały przekonywać czytelnika, przekonywały widza wzmagającą się z dnia na dzień liczbą. W gabinecie tym najzawilsze kwestye społeczne szeregowały się w nienaruszalnym porządku i znajdowały pomyslnie rozwiązanie, o którym tylko, niestety! najbardziej w tem zainteresowane strony nie nie wiedziały. Jak astronom, któryby z pomocą samego pióra, atramentu i papieru, w obserwatorium astronomicznem bez okien i otworów na świat boży, poruszał system słoneczny, tak pan Gradgrind ze swego obserwatorium — ileż jest podobnych! — nie raczył spojrzeć na miriady istot ludzkich, rojących się dokoła, choć kreślił ich losy na tablicy i ścierał łez potoki jednym pociągnięciem zbrukanej gąbki.

W tym to obserwatorium — komnacie surowej, z ciężkim, statystycznej niby konstrukcyi zegarem, liczącym każdą sekundę uderzeniem podobnem do wbijania ostatnich ćwieków w trumnę, zjawiała się Ludwika nazajutrz po rozmowie z ojcem. Z okna gabinetu widać

było Coketown i siedząc przy biurku ojca, patrzyła na unoszące się nad miastem bure dymy, buchające z wysokich, fabrycznych kominów.

— Kochana Ludwiko — począł jej ojciec — uprzedziłem cię wczoraj o znaczeniu dzisiejszej naszej rozmowy. Tak dobrze byłaś wychowaną i tyle a tak widocznie z wychowania tego korzystałaś, żem pewien twego rozsądku. Nie jesteś egzaltowaną, wcześniej przywykłaś zapatrywać się na rzecz z właściwego stanowiska rozsądku i wyrachowania. Z tego też stanowiska zważ proszę to, co ci mam powiedzieć.

Zatrzymał się — czekał może, by mu coś powiedziała, lecz Ludwika ust nie otworzyła.

— Kochane dziecko! proszono mię o twą rękę.

Znów się zatrzymał i znów Ludwika ust nie otwarła. Zdziwiony ojciec powtórzył łagodnie:

— Proszono mię o twą rękę.

— Słyszałam ojcie — odrzekła — słucham uważnie.

— Ta-a-k! — uśmiechnął się, nieco jednak zmieszany pan Gradgrind — rozważa twa przechodzi moje oczekiwanie. Domyślasz się zresztą może o co idzie?

— Nie potrafię odpowiedzieć, zanim nie usłyszę o co idzie. Czym przygotowana do tego czy nie, mniejsza z tem. Chcę słyszeć z ust twych ojcie, co mi masz powiedzieć.

Dziwne! lecz Ludwika zdawała się o wiele więcej panować w tej chwili nad sobą niż pan Gradgrind. Wziął w rękę scyzoryk, otworzył, odłożył, znów wziął do ręki, przypatrywał mu się z natężoną uwagą.

— To, coś powiedziała dopiero, kochana Ludwiko,

dowodzi twego rozsądku. Otóż powiem ci bez ogródek, że pan Bounderby oznajmił mi właśnie, z jak wielkiem zajęciem śledził twe postępy, mając nadzieję doczekać chwili, w której mógłby ofiarować ci swą rękę. Chwila ta, tak długo i stale, a zapewne i niecierpliwie wy-czekiwana, nadeszła właśnie. Pan Bounderby oświadczył mi się o ciebie, prosząc, bym ci to zakomunikował w nadziei, że go nie zawiodą nadzieje.

Nastąpiło milczenie. Słychać było głucho uderzenia zegara, a tam, daleko, nad miastem wisiały gęste, czarne dymy.

— Jak sądzisz ojcze, czy mogę kochać pana Boun-derby?

Pan Gradgrind mieszał się coraz bardziej. Nie-spodziewał się widocznie tego pytania.

— A no! tak! niby! doprawdy, powiedzieć nie umiem.

— Czy wymagasz ojcze — ciągnęła tym samym bezdźwięcznym głosem Ludwika — czy wymagasz bym go kochała?

— Nie, Ludko! nie, wcale nie wymagam.

— A pan Bounderby, czy też tego nie wymaga?

— Istotnie... trudno dać odpowiedź na to pytanie?

— Trudnoż powiedzieć tak lub nie, ojcze?

— Zapewne, kochano Ludwiko, że trudno, gdyż — nadarzyła się właśnie zrzeczność panu Gradgrind do wyvodu i to odrazu podziało nań uspakajająco — gdyż to zależy od tego, jak kto rzecz tę pojmuje. Zapewne pan Bounderby ma i o tobie i o sobie nadto dobre rozumienie, by wymagać czegoś fantastycznego, urojonego lub — że użyję jednoznacznika — senty-

mentalnego. Pan Bounderby nie darmo widział jakieś rośla i rozwijała się, by teraz tobie i sobie ubliżyć podobnym żądaniem. Zna on twój rozsądek. Zresztą może samo wyrażenie jakiegoś użyła jest niestosowne.

— Czemże mi je radzisz zastąpić, ojcze?

Pan Gradgrind oponował wzruszeniu.

— Ponieważ zasięgasz mej rady, radziłbym ci Ludwiko brać tę kwestyę jak każdą inną, z faktycznego stanowiska. Płosi, lekkomyślni, rzeczy nie świadomi, przedmiot ten traktować zwykli z niestosowną dozą próżnych urojeń i tym podobnych bzdurstw, nie mających związku z istotą rzeczy. Ale ty Ludko jesteś nuczona trzeźwo patrzeć na rzeczy. Fakt faktem. Masz lat dwadzieścia. Pan Bounderby pięćdziesiąt. Na pozór zachodzi poważna różnica wieku pomiędzy wami, ale skądinąd dobrane są względy fortuny, położenia, pozostaje zatem pytanie, czy różnica wieku stanowić może, w podobnych razach, poważną przeszkodę? Przed rozwiązaniem kwestyi warto rzucić okiem na statystykę małżeństw, zebraną w Anglii i Księstwie Walii. Otóż, przeglądając tablice, widzę, jak znaczna cyfra wypada na nierówny wiek pomiędzy wstępującymi w stan małżeński parami, w trzech czwartych zaś razach nierówność wychodzi na korzyść czyli raczej niekorzyść oblubieńca. Toż samo prawidło powtarza się wśród podanych Wielkiej Brytanii w Indyach, jakoteż w Chinach, że już nie wspomnę o Kałmukach i Tatarach, wśród których podróżnicy takież sam stan rzeczy zanotować mogli. Nierówność ta zatem przestaje być nierównością, znika w rzeczy samej.

— Więc jakim słowem zalecasz mi ojcze zastą-

pię niestosownie dopiero co użyte wyrażenie? — spytała Ludwika mało wzruszona statystycznym wywodem pana Gradgrind'a.

— Ludwiko — odrzekł jej ojciec — rzecz to bardzo prosta. Ogranicz się do samego faktu. Rzecz w tem. Spytaj siebie: czy pan Bounderby oświadczył się o mnie? Tak, oświadczył się. Po za tem pozostaje drugie pytanie: mamże wyjść za niego? Rzecz bardzo prosta.

— Czy mam wyjść za niego? — spytała z wielką rozważą Ludwika.

— Właśnie. Jako twój ojciec cieszę się szczerze, kochana Ludwiko, że wobec powyższego faktu, stajesz wolna od nawyknień i wspomnień, jakimi młode kobiety bywają często obciążone.

— Tak, ojczu.

— Osądź, proszę, sama. Przedstawiłem ci rzecz jak stoi, jak stać zwykło w pojęciach praktycznych ludzi, jak postawioną była przed laty pomiędzy mną a matką twoją. Poza tem decyzya do ciebie należy.

Od początku rozmowy Ludwika nie spuszczała z ojca oka. Teraz, gdy się oparł o poręcz fotelu i opuścił na nią swe głęboko osadzone oczy, mógłby dojrzeć ruch niedostrzegalny, popychający ją w jego objęcia z wynurzeniem tego wszystkiego, co wrzało w jej sercu. Dostrzegłby najpewniej, gdyby nie sztuczna przegroda, którą przez lat tyle tak pracowicie wznosił pomiędzy sobą a wszystkimi niepochwytnymi poruszeniami, co się wymykać zwykły z pod algebraicznych wyrachowań i wymykać będą aż pod dzień, gdy trąba archaniola w proch roztrąci algebrę samą. Przegroda była za

wysoką, by ją przeskoczyć było można. Sztwywny, nieugięty, utylitarny, pozytywny wygląd ojca zepchnął w otchłań wszystkich opuszczonych, nie wyzyskanych sposobności, machinalny ruch Ludwiki.

Odwróciła oczy, milcząc patrzyła na dymy bure, ścielące się w oddali nad miastem, aż dopiero pan Gradgrind zauważył:

— Cóżżeś upatrzyła w fabrycznych kominach?

— Wydaje się istotnie, że nic tam nie ma oprócz powoli ścielących się dymów, lecz gdy noc zejdzie buchają ogień — rzekła powoli.

— Zapewne, wiem o tem — odparł ojciec — tylko nie rozumiem do czego to zmierza.

Istotnie bo nie rozumiał.

Uczyniła ręką ruch ledwie dostrzegalny i zatrzymała oczy na ojcu.

— Ojczu — rzekła — zdaje mi się zawsze, że życie bardzo krótkie.

Był to jeden z jego ulubionych tematów.

— Nader krótkie! niewątpliwie — podchwycił — chociaż statystyka wykazuje pewien postęp na lepsze w tej mierze. Przeciętna długość życia wzmogła się niewątpliwie. Dowiodły tego rachunki towarzystw ubezpieczeń na życia.

— Myślę o swoim życiu, ojczu!

— Ta-a-k! w takim razie obowiązkiem moim przypomnieć ci, że życie twoje ogólnym podlega prawidłom.

— Zanim minie — ciągnęła bezdźwięcznym głosem Ludwika — chciałabym spełnić wszystko, co spełnić mogę, com spełnić zdolna. Lecz wszystko jedno.

Pan Gradgrind nie rozumiał o co idzie, więc tylko powtórzył pytająco:

— Co? co wszystko jedno?

— Pan Bounderby — mówiła spokojnie dziewczyna — oświadczył się o mnie. Mam tedy spytać siebie, czy przyjmuję to oświadczenie? Wszak tak, ojcze? takeś mi to przedstawił? Tak, nie inaczej?

— Nie inaczej, Ludwiko.

— Więc tak. Skoro pan Bounderby chce mię wziąć w ten sposób — przyjmuję. Możesz mu to ojciec oznajmić, kiedy ci się podoba. Tylko, proszę cię, powtórz mu dosłownie, com mówiła, chcę, by wiedział wszystko dokładnie.

— Masz słuszność, kochana Ludwiko, chcę zachować ścisłość. Zastosuję się do twojej słusznej chęci. A teraz, powiedz no, jakie masz żądania odnośnie terminu ślubu.

— Nie mam żadnego. Wszystko mi jedno.

Pan Gradgrind przysunął się do niej z krzesłem i ujął był rękę, lecz ostatnie słowa uderzyły go nieprzyjemnie, więc spojrzał na nią uważniej i niewypuszczając jej ręki ze swych dłoni, zaczął:

— Nie uważałem za potrzebne postawić ci Ludwiko pytanie pewne, tak dalece rzecz ta zdawała mi się niemożliwą. Bądź co bądź, powinienem cię spytać: czyś nie żywiła w tajni swego serca innych jakich zamiarów?

— Ojcze! — odparła wzgardliwie niemal — jakież bym mogła żywić zamiary? Nie znam nikogo, nie wyjrzałam na świat boży. Zkądże bym nabrała znajomości życia.

— Kochana Ludwiko — zawołał zadowolony i uspokojony ojciec — dobrą mi dałaś lekcję. Postawiłem dziwaczne iście pytanie dla zadosyć uczynienia ojcowskim moim obowiązkom.

Ale Ludwika ciągnęła dalej.

— Co wiedzieć mogę o tem, co mi się podoba lub nie, czego pragnę, co pokocham. Co wiedzieć mogę o tych wszystkich drobnostkach, któremi mię nie karmiono nigdy. Gdzież ucieknę przed faktami dającymi się wykazać, ująć, narzucić.

Mówiła z rozwagą i spokojem, lecz mówiąc zaciśkała dłoń, jak dla ujęcia czegoś bardzo twardego i mocnego. Rozwarła je potem i otrzęsła jak z prochów samych i popiołów.

— Masz rację, kochana Ludwiko! masz zupełną rację — potwierdził z zadowoleniem arcypraktyczny ojciec.

— Dziwne mi ojcze postawiłeś pytanie. Dziwne. Czyż miałam kiedy dziecinne — pomiędzy innymi dziećmi pospolite jakoby — zachcianki? Wychowałeś mię ojcze tak starannie, że nic nigdy dziecinnego, nieokreślonego nie powstało w sercu mojem. Nie śniły mi się nigdy żadne sny dziecięce i od kolebki po dziś dzień nie uśmiechnęły mi się żadne dziecięce wierzenia i wyobrażenia, nie straszły mię żadne nieokreślone strachy.

Pan Gradgrind wzruszony był świadectwem wystawionem jego wychowawczym zdolnościom i osiągniętych rezultatom.

— Nagradzasz mię, sownie nagradzasz, Ludko! za trudy i starania moje. Ucałuj mię kochanko.

Ucałowała go, a ojciec przyciskając ją do serca ciągnął:

— Upewniam cię, ukochane dziecko moje, że mię odpowiedź twoja i powzięta decyzja cieszą bardzo. Niepospolity to człowiek pan Bounderby. Niepospolity. Różnicę, niewielką zresztą, wieku, istniejącą pomiędzy wami, zrównoważają: charakter twój i usposobienie. Głównem staraniem mojem było wychować cię tak, byś w kwiecie młodości miała już umysł dojrzały, żadnego, że się tak wyrażę, określonego wieku. Pocałuj mię raz jeszcze Ludko! a teraz pójdźmy do twej matki.

Przeszli do salonu, gdzie szanowna ta pani leżała leniwie. Obok niej Sissy robiła robotę. Wejście męża z córką zmusiło panią Gradgrind podnieść się nieco.

— Mistress Gradgrind — ozwał się mąż, patrząc na nią z nietajoną niecierpliwością — pozwolę sobie przedstawić pani przyszłą panią Bounderby.

— Oh! — zawołała matka — jużeście to ułożyli. Mam nadzieję Ludwiko, że zdrowie twoje silniejsze będzie od mego, bo jeśli tak jak ja masz je stracić wraz po zamążpójściu, to nie mam ci czego winszować. Bądź co bądź życzę ci szczęścia! Pewną jestem, że ci teraz wszystkie te wasze ologie na dobre wyjdą. Pocałuj mię, duszko; tylko ostrożnie... oj! prawie ramię! boli mię od rana. A teraz — dodała ciszej, poprawiając chustkę, którą była okryta — męczyc się będę od rana do nocy, od nocy do rana, jak go mam nazywać.

— Jakto pani rozumie — spytał poważnie pan Gradgrind.

— Jak go mam nazwać, gdy pojmie w małżeń-

stwie Ludwikę. Muszę go przecie jakoś nazwać. Nie mogę wiekuiście mówić do niego w trzeciej osobie. Josuah! nie! tego imienia nie wymówię nigdy, bo go nie znoszę. „Józiu“! Sam byś mi na to nie pozwolił, byłoby to nazbyt śmieszne! Mamże zięcia tytułować panem? Nie! chociaż chora jestem, do niczego, nie mogę się dać pomiatać własnym moim krewnym. Jakże go przeto mam nazwać?

Lecz że nikt z obecnych nie mógł jej w tym względzie użyzyć dobrej rady, pani Gradgrind przeszła do porządku dziennego.

— Co do ślubu, o jedno proszę — a proszę z drzeniem w piersiach, co mi się aż do nóg rozchodzi — niech się odbędzie prędko, jak najprędzej, gdyż inaczej nie wiem, czy wytrzymam cały ten zamęt przedślubny.

Gdy pan Gradgrind nazwał Ludwikę przyszłą panią Bounderby, Sissy podniosła nagle głowę, zatrzymując na Ludwice pełne współczucia spojrzenie. Czują to Ludwika dobrze, chociaż nie podniosła oczu. Od tej chwili zmieniła się zupełnie względem Sissy i stała się chłodną, dumną, nieprzeniknioną, trzymając dziewczę w pewnem od siebie oddaleniu.

#### Rozdział XVI.

#### Mąż i żona.

Pierwszem zamęczeniem zadowolenia, jakie odpowiedź pana Gradgrind'a przyniosła panu Bounderby, była potrzeba zakomunikowania tak ważnej wieści pani Sparsit. Wahał się jak to ma uczynić, niepewny obrotu

jaki wezmą rzeczy, czy też pani Sparsit wyniesie się natychmiast z kuframi swemi i pierzynami do krewnej swej pani Scadgers? Czy pozostanie na miejscu aż do spełnienia faktu? Czy się będzie uskarżała, czy miotać obelgi, płakać czy wściekać; poprzestanie na złamaniu własnego serca, czy też stłucze najkosztowniejsze w domu zwierciadło? Pan Bounderby gubił się w domysłach i nie wiedział, czego się spodziewać. Bądź co bądź trzeba było ryzykować, więc napisawszy w tym przedmiocie kilka listów zaadresowanych do wdowy, z których go żaden nie zadowolnił, podarł wszystkie i postanowił, nie odkładając, rozmówić się z nią ustnie.

Wracając do domu w wieczór, w którym postanowił rozwiązać palące pytanie, wstąpił do apteki i kupił flaszkę soli amoniackiej. „Pah! — myślał — jeśli baba popadnie w młodość, zedrę jej przynajmniej skórę z nosa.“ Pomimo uzbrojenia, serce mu jednak biło, gdy przekraczał próg własnego domu. Stając przed panią Sparsit, podobny był do psa, co przed chwilą ściągnął najlepszy kęsek z bufetu.

— Dobry wieczór, panie Bounderby.

— Dobry wieczór, mistress Sparsit! dobry wieczór.

Przysunął do komina krzesło, a jednocześnie wdowa odsunęła się ze swoim, jak gdyby rzec miała:

— Pański to komin, pańskie ognisko, wiem to. Możesz się też tu pan rozsiadać, jak ci się podoba.

— Nie zmykajże pani aż pod północne bieguny — zaśmiał się, siląc na uprzejmość.

— Dziękuję panu — i pani Sparsit przysunęła się nieco bliżej.

Pan Bounderby patrzył na nią. Uzbrojona w ostre

nożyce, wykrajała niemi dziury w jakimś szmacie muślinu, a przy swych podjętych brwiach i opuszczonym nosie podobną przytem była do jastrzębia, wykluwającego oczy nieszczęsnej jakiejś ptaszynie. Tak zajęta zresztą była, że sporo przeszło czasu, zanim oderwała od roboty oczy. Pan Bounderby odchrząknął.

— Mistress Sparsit — począł, włączając ręce do kieszeni i macając flakon z solą amoniacką — nie miałem dotąd zręczności powiedzieć pani, że jesteś nie tylko dobrze urodzoną i wychowaną lecz pełną szlachetnych uczuć kobietą.

— Panie! — odrzekła z godnością wdowa — nie pierwszy to raz zaszczytasz mię pochlebne o mej osobie mniemaniem.

— Ale dziś pani! dziś... zadziwię panią, w zdumienie wprawię.

— Czy tak? — spytała spokojnie wdowa. Zwykle była nosić mitenki, więc opuściła robotę na kolana i z rąk zaczęła je ściągać.

— Bo to widzi pani — mówił szybko i z wielką swadą pan Bounderby — zamierzam, właśnie zamierzam żenić się z Tomcią Gradgrind'a córką.

— Doprawdy? — odrzekła wdowa — Mam nadzieję, że pan znajdzie szczęście w tym związku. O tak! chcę mieć nadzieję.

I ani drgnęły jej brwi krucze, ani drgnął nos krogulczy. Mówiła z niezmaconem spokojem, pełna tajemniczego jakiegoś współbolewania. Bounderby wołałby już doprawdy, żeby mu w oczy cisnęła ostre, na kolanach jej spoczywające nożyce, lub sama padła



zemdlała na kamienny komin. Weisnął napowrót korek flakonu z solą amoniacką, który był już odkorkował.

— Niech ją jasne pioruny! — pomyślał — kto by się mógł spodziewać, że tak to przyjmie.

— Życzę panu szczęścia, z całego serca — ciągnęła z właściwą sobie wyniosłością i litościwym wzrokiem, jakim go już miała odtańd mierzyć do końca końców — życzę go panu wszechwzględnie.

— Dziękuję pani — odrzekł zmieszany bądź co bądź — bardzo dziękuję. Mam wszelką nadzieję znaleźć w projektowanym związku należne mi szczęście.

— Doprawdy? a zapewne, zapewne ma pan tę nadzieję.

Nastąpiła chwila milczenia. Bounderby zdawał się zmieszany, pani Sparsit wzięła za robotę, pokaszlując od czasu do czasu jak dla dodania mu odwagi.

— Tak pani — począł wreszcie Bounderby — wnoszę, że w obecnym stanie rzeczy, nie miło będzie pani pozostać na uprzednim stanowisku, chociaż miło by mi było widzieć tu panią i nadal.

— O! nie! panie! nie ma co o tem i mówić — wstrząsła głową pani Sparsit, pochrząkując tak, jak gdyby chciała zrzucić z piersi gniotący ją ciężar najgorszych przeczuć.

— Niech pani weźmie w uwagę — ciągnął pan Bounderby — że jest przy banku mieszkańko godne dobrej urodzonej i wychowanej kobiety; jeśliby chciała przyjąć takowe, przy tej samej przy tem co dotąd pensyi...

— Za przeproszeniem pana! — przerwała pani Sparsit — nieraz już prosiłam pana, abyś to gminnie

brzmiące orzeczenie zamienił innym: „roczne komplementy“ naprzykład.

— Zgoda i na to! Z zachowaniem tedy tych samych co dotąd „komplementów“. Jeśli to pani wystarcza, nie widzę racji żebyśmy się mieli rozstać.

— Propozycja godna tego co ją czyni i jeśli pozycja ofiarowana mi przy banku, nie przedstawia nic poniżającego dla stanowiska jakie zajmowałam niegdys w świecie...

— Ależ nie, upewniam panią. Czyżbym proponował inaczej to miejsce damie, co się obracała w sferach, do których pani przywykłaś! Nie dlatego żebym dbał o te sfery, wcale nie! lecz dla tego, że pani dbasz o nie!

— Oceniam względy pańskie, panie Bounderby.

— A więc, będziesz pani miała mieszkanie, opał, światło i tak dalej, służącą do usług i odzwiernego do usługi i obrony w razie potrzeby. Sądzę, że z tem wszystkim nie będziesz pani miała na co się uskarżać.

— Panie! — przerwała pani Sparsit — ani słowa więcej. Ustupując stąd, nie pozbędę się zależności, nie zwolnię się od niezbędnej konieczności zarabiania na chleb powszedni — chleb ów powszedni mogłaby nazwać piernikiem, gdyż przysmak ten najchętniej zjadała codzien na podwieczorek. — Wolę zarabiać nań u pana, panie Bounderby, niż gdzieindziej, to też przyjmuję uprzejmą pańską propozycję, z wdzięcznością za wszelakie dotąd doznane łaski i w nadziei — tu głos jej drgnął głębokiem współczuciem — i z życzeniem by Miss Gradgrind nie zawiodła pańskich nadziei, przyniosła panu to, na co zasługujesz.

Nie zmieniła odtąd taktyki, nie odstąpiła na krok od powziętej dla swego chlebobdawcy litości i wspaniałości wyrozumiałości. Próżno pan Bounderby szumiał, przechwalał się, rozpierał, Mrs Sparsit stale i niezmiennie litowała się nad nim, jak nad gotową nieodwołalną ofiarą. Uprzejmą była, ustępującą we wszystkim, pocieszać zawsze gotową; a im uprzejmiejszą była, litościwszą, rozmowniejszą, tem głębiej spychała go na stanowisko nieodwołalnej ofiary. Uważała to za fakt spełniony, dokonany. Nieraz mu pod litościwie nań zwróconem jej wzrokiem, zimny pot występował na rumiane czoło.

Tymczasem ślub miał się odbyć za dwa miesiące i pan Bounderby udawał się co wieczór do Stone Lodge, w charakterze przyjętego konkurenta. Zaloty zaszadzały się w danym razie na znoszeniu bransolet i podarków, nie wychodząc nigdy z granic handlarstwa. Szyto suknie, skupywano meble i biżuterję, cukry i błyskotki i całe serye tym podobnych, pozytywnych faktów, poprzedzało fakt ostateczny: spisanie ślubnego kontraktu. Godziny wlokły się nie popadając nigdy w te różowe barwy, w jakie je poezja przyodziewa w podobnych razach. Dnie mijały nie prędeż, nie później jak o zwykleszych życia porach. Statystycznie nakręcony, ciężki zegar, w gabinecie starego Gradgrind'a, wybijał minuty i godziny ze zwykłą sobie ścisłością.

I tak dzień wielki nadszedł jak nadchodzi dzień każdy, tym co biorą rzeczy rozsądnie, a gdy przyszedł, w kościele parafialnym odbył się ślub Jozyasza Bounderby, *esquire'a* z Coketown, z Ludwiką, starszą córką Tomasza Gradgrind, *esquire'a* Stone Lodge, deputowa-

nego z Coketown. Po ślubie odbyło się śniadanie w Lodge.

U stołu zebrało się towarzystwo osób znających wartość i zawartość każdego spożywanego kaska, pochodzenie każdej jarzyny, ryby, każdej wina kropli. Nawet druchny, aż do małej Johasi Gradgrind, były wyćwiczone w arytmetyce na równi z chłopcami. Cień fantazyi nie zakradł się wśród rozsądnych i praktycznych współbiesiadników.

U stołu oblubieniec przemówił w następnych słowach:

„Panie i Panowie! Oto mię macie przed sobą Jozejusza Bounderby z Coketown'u. Ponieważ zaszczyliciliście nas, to jest żonę moją i mnie, pijąc nasze zdrowie, wnoszę, że mam wnieść wasze, chociaż znając mnie i wiedząc kim jestem, znając pochodzenie moje nie możecie liczyć na krasomówstwo człowieka, który widząc słup, zeznaje że to słup, a widząc pompę, że to pompa, słupa nie weźmie za pompę ani pompę za słup, ani te za wykluwaczki do zębów. Jeśli chcecie usłyszeć mówkę, zwróćcie się do mego tu obecnego przyjaciela i teścia, Tomcia Gradgrind'a. Będąc członkiem parlamentu powinien wiedzieć jak się z tego wywiązać. Nie moja to rzecz. Wodząc okiem dokoła tego oto stołu, przypominam sobie czasy, w których na myśl by mi nie przyszło, że będę mógł kiedyś pojąć w małżeństwo córkę tu obecnego przyjaciela mego i teścia Toma Gradgrind'a. Byłem jak wiecie, ulicznikiem, obdartusem, raz na dwa tygodnie myłem się w strumieniu lub rynsztoku, jak popadło! Niech mię to przed wami tłómaczy. Rozumiecie na czem zasadza się moja

niezależność. Jeśliście tego nie rozumieli, nie moja w tem wina. Czuję się niezależnym, w tem rzecz. Otóż, jakim to wspominał przed chwilą i jakieście to sami wspominali, połączyłem się dziś węzłem małżeńskim z córką tu obecnego przyjaciela mego i teścia Tomasza Gradgrind'a. Rad temu jestem, było to od dawna pragnieniem mojem. Patrzałem na wzrost tu obecnej żony mojej, a córki równie obecnego tu Tomasza Gradgrind'a, śledziłem za jej wychowaniem i przyznać muszę, że ją uznałem godną swego wyboru. Jednocześnie jednak nie taję, że i siebie uważam za godnego jej wyboru, dziękuję wam zatem panie i panowie, w jej i swoim imieniu, za dobre wasze życzenia, a najlepiej wywdzięczę się, przynajmniej nieżonatym członkom tego zebrania, życząc, by każdy tu obecny kawaler znalazł sobie podobną mojej żonę, a panna każda podobnego mnie męża!!“

Natychmiast po śniadaniu państwo młodzi wyjechali w poślubną podróż, wprost do Lionu, gdzie pan Bounderby chciał przypatrzeć się warsztatom a zwłaszcza już przekonać, czy i tam robocze ręce pragną karmić się samemi przysmakami, ze szczerozłotych jadać łyżek. Panna młoda schodząc ze schodów w podróżnej już tualecie, spotkała się z bratem swym Tomciem. Rozpalony był wzruszeniem a może i winem, którego sobie nie szczędził za stołem.

— Poczciwa z ciebie dziewczyna i pierwszorzędnej wartości siostrzyczka — szepnął wpół ją obejmując.

Przyłgnęła do niego jakby przyłgnąć mogła w dniu tym do godniejszego jej serca i przywiązania człowieka, na chwilę opuściła ją zwykła obojętność.

— Patrz, stary Bounderby już się niecierpliwi, do odjazdu gotów. Do widzenia Loo! — zawołał Tomcio. — Pierwszy cię spotkam, gdy wrócisz! Teraz życie pójdzie mi po maśle!

KSIĘGA DRUGA.  
ŻNIWO.

Rozdział I.

Inwentarz bankowy.

Słoneczny dzień letni! Nawet w Coketown zdarzają się czasem podobne. W dniu takim, widziane zdala, wygląda ono zatopione we własne pary, przez które żaden, rzekłbyś, promień słońca przedrzeć się nie zdoła i ani by się domyśleć pod tem było można miasta gdyby obecności jego nie zdradzały gryzące zapachy wypełniającego powietrze dymu. Kłęby dymu i sadzy ślaniają się wielkimi plachty raz w tę, drugi raz w tamtą stronę, raz wzbijają się w górę, pod niebios lazury, drugi, ścielą się nisko po ziemi, igrzysko zmiennych wiatrów, skłębione, bure, ogniem rzekłbyś podszyte. Zdala, miasta nie było widać, domyśleć się go tylko było można.

Dziwić się nawet wypadalo, że jeszcze istnieje. Tylekroć razy burzone, jakże się tylu wstrząśnieniom ostać zdołało? Chińska porcelana nie bywa tak kruchą, jak fabryki w Coketown. W ręku się rozpadały; brała chętna posądzać je, że odrazu poklejone były z cze-

repów. Skoro się okazywała potrzeba wysyłania robotniczej dziatwy do szkoły, fabryki były w ruinie. Zrzuńowane były, skoro inspektorom na myśl przychodziło, zwiedzać je — a cóż i mówić o tem, gdy, w sumieniu tychże inspektorów, powstawały najlżejsze wątpliwości co do prawidłowego działania machin obchodzących się z obsługującymi je ludzkiemi ramionami, jak sieczkarnie z suchą słomą. Zrzuńowane były, rozpadały się wręcz, na najlżejszą wzmiankę rozpedzenia spowijających je tajemniczemi zwojami dymów. Obok „złotyeh łyżek“ pana Bounderby, posiadających kurs w Coketown, było drugie równie potężne widmo „Zmowa“. Skoro się miasto czuło skrzywdzonym lub obrażonym, to jest skoro się mieszano w jego wewnętrzne sprawy, robiono za nie odpowiedzialnem, stawiano pewne wymagania, natychmiast powstawał krzyk wielki: Coketown groziło zatopieniem raczej w Atlantyku kominów swych i machin. Ileż krwi groźby te popsuły, ileż strachu napędziły w ministerstwie przemysłu i handlu!

Bądź co bądź, wysoki patryotyzm nie dopuścił aż do zatopienia fabrycznego miasta w Atlantyku, owszem, nakazał obchodzić się z niem nader ostrożnie, to też istniało, spowite w mgły swych dymów, istniało i rozmnazało się nawet.

W gorący ów dzień letni, pełne pyłu ulice zalane były oslepiającem pomimo dymów słońcem. Z niskich drzwi i pod ziemi wyłaniały się setki robotników, obsiadując progi, płoty, słupy fabrycznych dziedzińców, spoglądając na piętrzące się na nich góry węgla, i obcierając spocone twarze i szyje. Miasto

całe zdawało się skwarzyć w oleju. Wszystko dyszało upałem i tłuszczem; polyskiwały nim parowe kotły, ściekał z przeróżnych części machin, plamił rękawy wyrobników, a nasycone niem powietrze dusiło jak w pustyni Sahary, zmęczonych, wyczerpanych wyrobników. Nie wstrzymywało to jednak bynajmniej mechanicznego działania machin. Czy w mróz, czy w upał, słońce czy pogodę, kiwały się z nienaruszoną jednostajnością, a ruchliwe ich na murach fabryk cienie, zastępowały mieszkańcom Coketown'u świeże drzew i wiatrem poruszanych gałęzi cienie, gdy od poniedziałku rano do soboty wieczór, szcęk, zgrzyt, stuk, świst maszyn zastępował przez rok okrągły wiosenne żurczenie budzących się do życia owadów, i ptactwa świergoty.

Zgrzytały też, stukały, szcękały w słoneczny ten i upalny dzień letni, obrzucając płomieniem senne głowy i znojone robotników ramiona. Upał umniejszony na ulicy strumieniem wody i zielonemi u okien zasłonami, wznagał się niesłychanie na fabrycznych, czarnym węglem zaspanych dziedzińcach. Po zafarbowanej ściekami farbiarni rzeczce kilku wyrostków usiłowowało popychać wiosłami łódkę, kreślącą jaśniejszą linię na powierzchni wód mętnych i z których każde uderzenie wiosła, podejmowało i rozlewało dokoła zabójcze wyziewy, bo słońce okazywało się dla Coketown'u surowsze od mrozu, przenikając spody i sute-reny, wywoływało zdwojoną śmiertelność, jak gdyby samo dobroczynne oko Niebios, traciło moc życiodajną z chwilą, gdy pomiędzy niem, a wzniesionem ku niemu

spragnionem i błogosławiącym mu spojrzeniem ziemi, ludzkie dłonie rozciągną chciwości i egoizmu zasłony.

W dniu tym upalnym, pani Sparsit popołudnie spędzała w pokojach przy banku, położonych od północy. Skończyły się biurowe godziny, więc też mogła obecnością swą zaszczycać najpokaźniejsze bankowe komnaty. Prywatne jej pokoje znajdowały się o piętro wyżej, z kądem, co rano, spoglądała na zbliżającego się do biura pana Bounderby, z politowaniem należnym gotowej a niechybnej ofercie. Od roku był żonaty a li-tośne współczucie pani Sparsit, nie osłabło ani na chwilę.

Gmach bankowy niczem się nie różnił od innych gmachów w mieście. Z czerwonej, jak inne, cegły, jak inne, posiadał czarne okienice i zielone wewnętrzne żaluzje, czarne drzwi wchodowe, z kamiennymi białemi stopniami, z mosiężną nad nimi tablicą i mosiężną, olbrzymią klamką. Zresztą we wszystkim podobny do okrażających go domów, tylko, dwa razy większy od własnego domu pana Bounderby, znacznie już większego od sąsiednich domów.

Pani Sparsit przekonaną była, że zaszczycając przebywaniem w nich, biurowe komnaty, pozostawia wśród regestrów, ksiąg, pułek z przeróżnemi papierami, nieco kobiecego swego i arystokratycznego wdzięku. Siedząc z robotą — wykrajaniem dziur w muślinie — w oknie, wyobrażała sobie, że obecnością swą zaszczyca to miejsce. Na ogół uważała siebie za dobrego geniusza biura i banku, chociaż przechodnie, widząc ją siedzącą w oknie, uważali raczej za strzeżącego skarbu, smoka.

Co skarbiec zawierał, o tem pani Sparsit nie wiele więcej wiedziała, od przechodni. Złoto i srebro, papiery wartościowe, tajemnice jakieś, mogące wyjść na złe tym, co nie mieli szczęścia jej się podobać, majaczyły w jej wyobraźni. Po za tem, wiedziała jeszcze, że po za biurowymi godzinami była panią znajdujących się w biurze sprzętów i mebli, nie wyłączając kryjówki zamkniętej na żelazne rygle, trzema olbrzymiami zamkami i u drzwi których co noc sypiał odźwierny, na sienniku znikającym gdzieś bez śladu, z pierwszym kur pianiem. Nadto pani Sparsit zwierzchniczką była sklepień piwnic zagwożdżonych od rozbójniczego świata, jako też pozostałości ubiegłego poranku w postaci: kleksów, zużytych stalówek, pokruszonych pieczęci i szmatków poszarpanych dokumentów i papierów tak drobnych, że nic z nich, pomimo wszelakich usiłowań wyczytać nie mogła. Strzegła też rozwieszonej nad kominkiem broni: kordelasów paru, karabinów, fuzyi i pistoletów, nieoddzielnych od bankowego inwentarza, chociaż i nie używanych postrachów.

Głucha służąca i odźwierny, przedstawiali poddane ludy w państwie powierzonym pieczy pani Sparsit.

Głucha służąca uchodziła powszechnie za majątną i było w mieście, wśród najniższych warstw jego mieszkańców, rozpowszechnione przekonanie, że kiedyś zamordowaną zostanie. Dziwiono się nawet, że to dotąd nie nastąpiło jeszcze i że baba upiera się przy życiu, co dla wielu było obrazą i zawodem wielkim.

Podwieczorek pani Sparsit stał właśnie przygotowany na eleganckim stoliczku, którego sąsiedztwo na-

rzucała w popołudniowych godzinach, grubym nogom podtrzymującym ciężki stół biurowy, stojący pośrodku pokoju. Odźwierny wniósł tacę z przyborem do herbaty, trąc przy tem pięścią piegowate czoło.

— Dziękuję ci Bitzer, — rzekła wdowa.

— Ja to dziękować winienem pani — odrzekł odźwierny równie szczupły i blady jak w dniu odległym, gdy to dawał wzorowe określenie konia, chybione w szkole przez uczenicę Nr. 20.

— Czy wszystko pozamykane w banku?

— Wszystko, pani.

— Cóż tam słyhać nowego, — pytała nalewając herbatę wdowa.

— Nic szczególnego. Ludność nasza, mało co warta, lecz to nie nowość żadna.

— Cóż nowego zrobili niegodziwce?

— Nic nowego pani! Wiadomo, jak zwykle! Wiążą się w zmwę, by się wzajemnie podtrzymywać.

— Szkoda! — zauważyła, rzymski swój nos opuszczając, a czarne brwi wysoko podnosząc wdowa, — że stowarzyszeni przemysłowcy nie położą tym niebezpiecznym zmwom kresu.

— O tak! Pani.

— Stowarzyszeni — ciągnęła pani Sparsit, — powinni stanąć murem, i nie dać zarobku żadnemu ze stowarzyszonych wyrobników.

— Próbowali, pani, próbowali, ale bezskutecznie.

— Nie roszczę pretensyi rozumienia tych rzeczy, — ciągnęła pani Sparsit, — bo życie mi przeszło śród innych zajęć i w innej sferze, Powlerowie, do takich

spraw się nie miesza! wiem jednak, że wyrobnicza ludność musi być ujętą w karby, poskromioną. Czas, wielki czas po temu.

— O tak! — potwierdził Bitzer, chyląc piegowate czoło z pokornym uznaniem rozumu i wymowy wdowy, — nie podobna to lepiej i jaśniej wyrazić.

A że była to godzina zwykłej jego pogawędki z wdową, i że patrząc na nią, z ukosa, zauważył, że nie skończyła z pytaniami, począł porządkować krzesła, linie, kałamarze, wyglądać oknem na ulicę. Pani Sparsit popijała tymczasem herbatę.

— Czy wiele dziś było zajęcia? — spytała.

— Nie szczególnie, zwykły, przeciętny dzień *my-lady*, odrzekł wsuwając zaszczytny tytuł, jak to zwykły był czynić od czasu do czasu, niby mimowolny hołd oddany przeszłym wielkościom wdowy.

— Urzędnicy tutejsi, — pytała dama, strącając okruchę ciasta z mitenki lewej swej ręki, — punktualni są chyba, pracowici, zaufania godni?

— O tak pani! — spieszenie odrzekł Bitzer, — z małymi jak to zwykle bywa, wyjątkami.

Bitzer oprócz czynności odźwiernego, spełniał w biurze czynność szpiega, co mu przynosiło około Bożego narodzenia „gwiazdkę“, po za normą rocznej pensyi. Wyrósł na chytrego, sprytnego, przezornego młodzieńca i przyszłość jego zdawała się zapewnioną. Tyle miał w sobie równowagi, że obcemi mu pozostały uczucia i namiętności. Każdy krok jego, słowo każde było wyrachowaniem, to też pani Sparsit słusznie świadczyła o niem, jako o wzorze porządnym i statecznym

młodzieńców. Nabrawszy po śmierci swego ojca przekonania, że owdowiała jego matka ma prawo do zajęcia miejsca w którym bądź z dobroczynnych zakładów Coketown'u, nie miał spokoju aż ją osadził i to do końca dni jej, w domu poprawy. Przyznać wszelako trzeba, że syn ten wzorowy, rujnował się dając jej funt herbaty rocznie, co, naturalnie, niedarowaną było słabością, raz, że jałmużna wszelaka przyczynia się do rozrostu pauperyzmu, powtóre, że dobrze zrozumiany interes nakazywałby mu raczej kupić przedmiotu jak najtańsze a sprzedaż jak najdroższą, co, zgodnie z systematem wielu filozofów i ekonomistów, stanowić winno zasadę każdego porządnego człowieka.

— Wcale porządni ludzie, — mówił, — z małymi, jak to zwykle bywa, wyjątkami.

— A! A! A! wycedziła przez zęby pani Sparsit pochylając się nad filiżanką herbaty i wciągając haust gorącego napoju.

— Bo to widzi pani, nie ufam, nie ufam... panu Tomaszowi. Nie podoba mi się wcale.

— Bitzer! — przerwała mu z godnością wdowa, — zapominasz o tem, co ci nieraz mówiłam odnośnie do używania imion własnych i nazwisk.

— Przepraszam panią najpokorniej, — odrzekł Bitzer, — istotnie lepiej unikać imion własnych i nazwisk.

— Nie zapominaj proszę, — strofowała go dalej z właściwą „Powler'om“ godnością wdowa, — że jestem tu zwierchniczką, mam poufne do spełnienia zadanie, jako zastępczyni pana Bounderby. Kto by przypuścić mógł przed laty, że zajmę względem niego

tak zależne i rocznymi komplementami honorowane stanowisko. Kto by mógł przypuścić! Lecz pan Bounderby oddaje mi zawsze należne, urodzeniu memu i niegdys w świecie zajmowanemu stanowisku, uznanie, to też muszę interesów jego strzedz wiernie, i nie zdaje mi się... tak... nie zdaje mi się stosownem dozwolić, by wymawiano w obecności mojej niektóre imiona i nazwiska, związane niestety! nazbyt ściśle, z nazwiskiem mego pryncypała.

Bitzer potarł ręką czoło, tłómacząc się i uniewinniając.

— A teraz Bitzer wiedz, że gdy mi mówić będziesz tak, na przykład, o „pewnej osobistości“, chętnie cię słuchać będę, tylko nie o panu Tomaszu, broń Boże o panu Tomaszu!

— Z wyjątkiem, jak zwykle, z wyjątkiem pewnej osobistości, — poprawił się posłuszny a sprytny odźwierny.

— A... a... a... — powtórzyła pani Sparsit, podejmując wysoko brwi gęste i opuszczając nos w filiżankę herbaty, z kąd pociągnęła nowy haust gorącego napoju.

— Osobistość, — ciągnął ośmielony i na dobrą drogę naprowadzony Bitzer, — która, nigdy, od pierwszego tu pojawienia się, nie zachowała się odpowiednio. Rozrzutny, rozstrzepany, rozhultajony, nie wart tego co mu tu płacą, i nie otrzymywał by pewnie połowy obecnej pensyi, gdyby nie wpływy obce... wyższe....

— A... a... a! — powtórzyła pani Sparsit, ze smutnem potakiwaniem.

— A że wnosić mam prawo, — ciągnął odźwierny że bliska mu i pokrewna osoba, nie może mu dostarczyć sum potrzebnych, wiemy, oj wiemy chyba, z czyjej płyną kieszeni.

— Aaah! — westchnęła głęboko pani Sparsit.

— Godzien politowania, politowania godzien! — mówił ciszej, konfidencyjnie Bitzer.

— O tak! — zdecydowała brwi podnosząc pani Sparsit — lituję się zawsze nad ulegającymi złudzeniom!

— Co do osobistości, o której mówimy — ciągnął przysuwając się o krok bliżej Bitzer — niebaczny jak ostatni z tutejszej roboczej ludności, a pani wiadoma niebaczność tych ludzi, pani Sparsit?

— Powinniby z ciebie brać przykład.

— Dziękuję pani... a ponieważ pani raczy wspomnieć o mnie, muszę się przed panią pochwalić. Odkładam, mam oszczędności nawet z tych skromnych, ograniczonych moich dochodów. Otrzymane na Boże Narodzenie gratyfikacje ani tknięte. Nie wydaję nawet całkowicie szczupłej mej rocznej pensyi. Nie tak jak inni, nie tak! Co jeden może zaoszczędzić, zaoszczędzić może i drugi. Prawda pani?

Była to jeszcze jedna obieg w Coketown mająca zasada, że każdy wyrobnik mógłby, gdyby tylko chciał! zostać kapitalistą i że największe kapitały powstały z groszowych oszczędności. Każdy kapitalista zarzucał tysiącom rąk roboczych, że nie poszły za jego przykładem. Czyż sami nie byli winni!

— Co do potrzeby rozrywki — ciągnął Bitzer — bzdurstwo to, wierutne głupstwo! Ja przecie nie potrzebuję rozrywki, nie potrzebowałem nigdy i wcale



rozrywek żadnych nie cenię. Co zaś do tych ich stowarzyszeń, to mogliby na tem, pilnując się i dogładować wzajemnie, coś zyskać, czy to w pieniądzach, czy w dobrych chęciach, coby byt ich poprawić mogły. Czemuż nie poprawiają swego bytu? Nie jest że naturalnem, jedynem dążeniem wszelakiej żyjącej istoty, byt swój poprawić?

— Tak dowodzą — odrzekła pani Sparsit.

— A oni! ciągle! aż do znudzenia prawią o żonach swych, dzieciach, rodzinie. Czy ja potrzebuję żony, dzieci, rodziny? Po cóż oni potrzebować mają.

— Bo im brak przezorności — odrzekła pani Sparsit.

— Otoż to, pani, to właśnie! Gdyby byli przezorniejsi a mniej rozpustni, powiedzieliby sobie: tak jak kapelusz mój, albo ta czapka, nie może przykryć rodziny całej tylko mnie samego, o siebie samego winienem dbać i troszczyć się, samego siebie karmić.

— Najpewniej tak, nie inaczej — potwierdziła pani Sparsit.

— Dziękuję, bardzo dziękuję pani! — kończył Bitzer, pocierając czoło w oznace wdzięczności za rozmowę, do której był dopuszczony. Czy pani nie życzy sobie więcej gorącej wody, lub czy nie mogę czem więcej służyć pani?

— Nie, nic mi już nie trzeba.

— Dziękuję pani! nie chciałbym przeszkadzać przy jedzeniu, zwłaszcza przy herbacie, którą pani lubi — mówił Bitzer przechylając się nieco i wyglądając przez okno — ale, przed domem zatrzymał się

właśnie jakiś pan. Wygląda jak gdyby miał zapukać do drzwi. O! o! już puka.

Wychylił się przez okno.

— Tak pani, puka. Czy mam mu otworzyć i tu wprowadzić?

— Któżby to był taki? — rzekła pani Sparsit, ocierając usta i wyglądając na rękę mitenki.

— Obej jakiś.

— Jakiż interes mieć może do banku w tak spóźnionej porze? Zapóźnił się widocznie. Postawiona tu na straży interesów pana Bounderby, nie mogą uchylić się od spełnienia obowiązków moich. Jeśli przyjęcie tego nieznanego w skład moich obowiązków wchodzi, muszę go przyjąć.

Tu nieznamy wstrząsł klamką drzwi wchodowych tak silnie, że Bitzer rzucił się do sieni a pani Sparsit wsunawszy szybko stoliczek wraz z tem co na nim stało, za najbliższą szafę, wybiegła na wschody, strojąc najarystokratyczniejsze miny.

— Pani! — zawołał Bitzer, blade oko przykładając do dziurki klucza w drzwiach pokoju wdowy — pani! jakiś pan życzy sobie widzieć się z panią.

Tymczasem pani Sparsit miała czas poprawić czepek na głowie i z pełną godnością powagą zeszła do bawialnego pokoju. Tak niegdyś w Rzymie matrony wychodzić musiały naprzeciw wtargających w mury miasta, zwycięskich wodzów!

Lecz nie wywarło to żadnego wrażenia na nieznanym, który odwrócił się od niechcienia od okna, przy którym stanął. Pogwizdywał coś sobie, w kapeluszu na głowie, obojętny, znużony w części upałem,

w części życiem zapewne. Odrazu poznać w nim było paniczka, dziecię swego wieku, znudzonego wszystkim, nie wierzącego w nic, ani w dyabła samego.

— Zdaje mi się — poczęła z godnością, gromowładne brwi swe podnosząc, pani Sparsit — że pan życzył sobie widzieć się ze mną?

— Przepraszam panią! — uchylając od niechcenia kapelusza rzekł nieznajomy.

— Hmm! — pomyślała wdowa, oddając mu pełen godności ukłon, — lat trzydzieści pięć zapewne, przystojny, zęby całe, białe, włosy ciemne, ubrany elegancko, dobrze wychowany... hmm.

Niech pan raczy usiąść — ozwała się uprzejmie.

— Dziękuję pani — przysunął jej krzesło, sam pozostał oparty o okno. — Pozostawiłem służącą mego na dworcu kolei z bagażami, sporo mam tego! sam wyszedłem na miasto. Cudackie. Pozwoli pani spytać siebie, czy zawsze tak osmolone?

— O wiele więcej zwykle.

— Doprawdy! Pani chyba nie tutejsza.

— Istotnie nie. Niegdyś miałam szczęście, czy nieszczęście, obracać się w całkiem innych sferach. Mąż mój był Powler'em.

— Czem? — spytał nieznajomy.

Pani Sparsit powtórzyła z naciskiem:

— Powler'em.

— Aha! — nieznajomy zdawał się bardziej niż kiedy znudzony i znudzony wszystkim co go otaczało.

— Jakże się tu pani musi nudzić — zauważył.

Muszę się stosować do okoliczności, od których

zależę — odrzekła wdowa — i od dawna zrezygnowana jestem na wszystko.

— Bardzo filozoficznie i ze wszelkich miar pochwał godne — rzekł nieznajomy — i... — zatrzymał się, nie zadając sobie fatygi kończyć zaczęty frazes i bawiąc się z roztargnieniem łańcuszkiem od zegarka.

— Czy mogę spytać pana — ozwała się wdowa — czemu mam zawdzięczyć przyjemność...

— A tak! — przerwał — dziękuję pani za przypomnienie mi co mię tu sprowadza. Mam list rekomendujący do pana Bounderby, bankiera. Włócząc się po tem osmolonem mieście, zanim przygotowują mi w hotelu obiad, spotkałem jakiegoś, jak dyabeł czarnego chłopa, fabrycznego wyrobnika zapewne, co się wyrwał dopiero z beczki smoły.

Pani Sparsit skłoniła głowę.

— Ten słysząc coś o bankierze, wskazał mi bank, gdzie jak uważam, pan Bounderby wcale nie mieszka.

— Istotnie nie.

— Przepraszam panię. Nie zamierzam obecnie wręczyć listu, nie mam go nawet zdaje mi się, przy sobie. Błąkając się po mieście i spostrzegłszy w tem oto oknie — tu leniwym ruchem ręki wskazał okno — damę o arystokratycznym wzięciu się i nader ujmującej powierzchności, zajdę, myślę sobie i spytam, gdzie pan Bounderby mieszka? Zechce pani wybaczyć moje natręctwo.

Pani Sparsit przyznać musiała w głębi serca, że spora doza wrodzonej galanterii, i to najlepszego gatunku, łagodziła impertynenckie zaniedbanie manier nieznajomego. Oto i teraz nie opierał się tylko o stół,

lecz siedział już na nim poformie, pochylając się ku wdowie niby w uznaniu nieprzemожonej, jej samej właściwej atrakcyi.

— Banki bywają zwykle narażone na niebezpieczeństw wiele — mówił miękki, przyjemnym głosem, w którym na przemian dźwięczało uczucie i wesołość i który był tylko jednym więcej zręcznym wynalazkiem niepospolitego tego człowieka. A! zapomniałem powiedzieć, że list, który mam wręczyć panu Bounderby, jest od mieszkańca tego miasta, deputowanego Gradgrind'a, któregom miał przyjemność spotkać w Londynie.

Pani Sparsit uczyniła ręką ruch powstrzymujący dyskretnie dalsze wyjaśnienia i użyczyła żadanego adresu.

— Tysiączne dzięki! Pani zna zapewne bankiera?

— Nie inaczej, panie. Miałam czas go poznać, od lat dziesięciu pozostając z nim w stosunkach... zażyłości.

— Wieczność cała! Zdaje mi się, żonaty z córką Gradgrind'a? Wszak tak?

— Tak — i pani Sparsit zagryzła wargi — tak, ma ten zaszczyt.

— Dama to niepospolicie inteligentna.

— Czy tak? — uśmiechnęła się powątpiewająco pani Sparsit.

— Daruje pani moją niedyskretną może ciekawość — pytał dalej nieznajomy, zatrzymując oczy na czarnych brwiach pani Sparsit — lecz pani przy swej znajomości świata, możesz mi użyczyć nader cennych wskazówek. Muszę się zbliżyć do państwa Bounderby, widywać będę zapewne często. Czy istotnie młoda ta

dama jest tak... odstrasżającą? Ojciec jej tak mi ją opisał żem ciekaw ją poznać. Czy istotnie tak bardzo niedostępna? Zadziwiająco, odpychająco mądra? O! o! już mi wątpiący uśmiech pani odpowiedział! Dzięki! uspokoiłaś pani me serce. A wiek? tak, czterdziestka, co? — trzydzieście pięć?

Pani Sparsit roześmiała się na dobre.

— Smarkata! nie miała lat dwudziestu gdy wyszła za mąż.

— Daję pani słowo honoru, panie... pani Powler, żem nad wyraz wszelki zdumiony.

Powstał nawet ze stołu i wyprostował się patrząc przez pół minuty ze zdziwieniem na wdowę, potem ciągnął jak gdyby z wielkiem znużeniem:

— Upewniam panią, pani Powler, że wnosząc z tego co mi o niej mówił jej ojciec, wyobrażałem sobie córkę Gradgrind'a dojrzałą, przejrzałą nawet... Wdzięczny jestem pani za naprowadzenie mię na właściwą drogę. Niech mi pani wybaczy moje tu najście. Do widzenia.

Wyszedł z eleganckim ukłonem a pani Sparsit, uchylając dyskretnie firanki, śledziła zanim znikł na zakręcie ulicy. Nie ona sama zresztą. Wszyscy przechodnie oglądali się za nieznajomym

— Co myślisz o tym młodym człowieku? — spytała wdowa Bitzera, gdy się ten zjawił po tacę z przyborem do herbaty.

— Sporo wydawać musi na odzież — odrzekł Bitzer.

— Lecz przyznać wypada, że posiada dużo elegancyi.

— Warteż to pieniędzy! — wzdorliwie wzruszył ramionami odzwierny, a nie doczekawszy się odpowiedzi:

— I zdaje mi się — ciągnął stół wycierając — że musi być graczem.

— Gra jest rzeczą niemoralną — zdecydowała pani Sparsit.

— Głupią! — kończył Bitzer — bardzo głupią. Szansy są zawsze przeciw graczom.

Czy to pod wpływem upału, czy myśli jakichś, lecz pani Sparsit zaniechała wieczoru tego roboty. Siedziała w oknie, patrząc jak słońce zachodziło za dymami, siedziała, gdy niebo poczerwieniało i gdy wszystkie na niem pogasły barwy, a gdy ciemność, wnosząc się powoli z ziemi, sięgała coraz wyżej, po za dachy domów, kościołów dzwonnicy, fabryk kominy, precz, aż pod niebiosa, pani Sparsit siedziała jeszcze w oknie, ze złożonemi na kolanach rękoma, głucha na odgłosy wieczorne: hukanie uliczników, psów szczekanie, tętent kół, kroki i głosy przechodni, nawoływania przekupni, klekot drewnianego po bruku obuwia fabrycznych robotników, łoskot zamykających się drzwi i okienic. Nie poruszyła się, dopóki odzwierny nie oznajmił, że wieczerza gotowa. Przez cały czas brwi jej podnosiły się, podnosiły coraz wyżej, wyżej...

— O! szaleńcze! głupcze! — zawołała znalazłszy się sama w swym pokoju. Do kogo się to odnosić miało? niewiadomo. Pani Sparsit przeciwną była używaniu imion i nazwisk.

### Pan Dżems Harthouse.

Wychowańcy pana Gradgrinda i jemu podobnych, nie zajmowali się Muzami, o nie! Adherentów zaś najłatwiej im było znaleźć pomiędzy eleganckimi, znudzonymi życiem i światem, do niczego szczególnej wagi nie przywiązującymi, to też i na wszystko gotowymi kawalerami.

Bądź co bądź osiągnięte przez tychże doskonałości, podobały się bardzo wychowañcom pana Gradgrinda i jemu podobnych. Lubieli eleganckich kawalerów, i choć utrzymywali przeciwnie, dokładali wszelkich starań, by naśladować ich mowę, ruchy, znudzone wzięcie się i rozmowy o ekonomii politycznej, któremi raczyli czasem traktować swych słuchaczy. Szkoła pana Gradgrinda wytworzyła rasę dziwnych mieszkańców.

Pomiędzy kawalerami nie należącymi oficjalnie do rzeczonoj szkoły, był pewien dobrze urodzony, a jeszcze lepiej wyglądający, z świetną wymową, który niedawno właśnie poświęcił w parlamencie sprawie wypadku na kolej, posiadającej właśnie najuważniejszych pod słońcem urzędników, posługujących się najlepszymi pod słońcem i najtrzeźwiejszymi konduktorami, znanej z doskonałości mechanicznych ulepszeń i budowy bez zarzutu, na której jednak pięciu ludzi znalazło śmierć a trzydziestu kalectwo, co dowodziło właśnie doskonałości kolejowego systemu. Pomiędzy dowodami rzeczowemi, były krowa i wdowi żałobny kapeluszy i wymowny rzecznik panów dyrektorów i inspektorów, rozśmieszył tak sędziów i publiczność nakładając za-

łobny kapelusz na rogi krowy, tak, że sprawa, bez odesłania jej do dalszych instancyj osądzoną została wedle życzeń mówcy, dyrektorów i inspektorów.

Kawaler ten posiadał młodszego brata, z jeszcze lepszym wyglądem, który czas jakiś służył jako kornet w dragonach. Znudzwszy się tem, przeszedł do biur którejs z zagranicznych ambasad, lecz i tam się znudził. Udał się tedy do Jerozolimy, z tym samym co poprzednio skutkiem. Oplynał świat cały... próżno! nudził się zawsze i wszędzie. Do tego młodszego brata, ów starszy, dowcipny a wymowny, w te mniej więcej, pewnego poranku, przemówił słowa:

— Słuchaj Dżem! pomiędzy wzrastającymi z dnia na dzień zwolennikami faktów, pozytywnych faktów, otwierają się nowe drogi. Zdałbyś się w statystycznym oddziale.

Dżem zgodził się, nie mając co innego przed sobą na daną chwilę i pociągniony nowością. Kupił sobie parę książek w sonej oprawie, zeszytów kilka, a brat wwiódł go w grono zwolenników faktów, pozytywnych faktów: „znacie go, chłop przystojny, a gdy zeche dyabelnie wymowny“. Po wielu naradach prywatnych i publicznych, pan Gradgrind i towarzysze jego, zgodzili się na Dżema i wysłali go do Coketown'u, ztąd list ów, o którym wiele opowiadał pan Dżem Harthouse pani Sparsit, a który, w obecnej chwili, trzymał w ręku pan Bounderby; list zaadresowany do Jozyasa Bounderby, *esquire*, bankiera w Coketown, a podpisany: Tomasz Gradgrind. List ze specjalnem zleceniem względem pana Bounderby, Dżem's'a Harthouse, *esquire'a*.

W godzinę po otrzymaniu rzeczonych listu, jakoteż

wizytowej karty pana Harthouse, pan Bounderby udał się do hotelu. Tu zastał pana Dżem's'a Harthouse wyglądającego oknem i już tak znudzonego, że gotów był kazać pakować swe rzeczy.

— Jestem Jozyasz Bounderby z Coketown, — zarekomendował się wchodząc bankier.

Pan Harthouse był „uszcześliwiony“, chociaż bynajmniej na to nie wyglądał.

— Coketown, — mówił rozsiadając się pan Bounderby, — niepodobne zapewne do miast, do których pan przywykłeś? Bądź co bądź, jeśli pan pozwolił, a nawet i bez pańskiego zezwolenia, bom człek prosty, zupełnie prosty, nie lubiący ceremonii, muszę coś o tem panu nadmienić.

Pan Harthouse słuchać będzie z wielką przyjemnością.

— Wątpię, nie spodziewam się, — odparł pan Bounderby, — przedewszystkiem widzisz pan te owijające nas dymy? Co? widzisz! Chleb to nasz powszedni, obiad i wieczerza. Najzdrowsza zresztą rzecz pod słońcem, zwłaszcza na płuca. Jeśli pan należysz do tych, co doradzają pozbyć się dymu, nie zgodzę się z panem. Dna naszych kotłów nie narazim na niebezpieczeństwa dla sentymentalnych bzdurstw wszystkich trzech bęgdaj zjednoczonych królestw.

Ale pan Harthouse ani myślał oponować panu Bounderby. Podzielał, w zupełności podzielał jego zdanie.

— Dobrze! Tem lepiej, — ciągnął bankier. A teraz pewien jestem, żeś się pan nasłuchał o niekorzystnych warunkach naszych tu fabryk? Fałsz, fałsz wierutny! Powiem panu, że lżejszej, przyjemniejszej

pracy niema pod słońcem. Ulepszę wprowadzać już nie możemy, — chyba mamy wysłać fabryki tureckimi kobiercami, czego naturalnie nie zrobimy, nie.

Ależ nie! Któżby o tem myślał!

— Wreszcie, — powiedział pan Bounderby — pomówmy o robotnikach. Jednej pary rąk zdatnych do pracy nie znajdziesz pan w mieście całem. Mężczyźni, kobiety, młodzi, starzy, dzieci jedno mają na myśli: zupę żółwiową, szynkę i tak dalej, a do tego jeszcze jeść to na srebrze, na wyzlacanam. Chcą, żeby im pieczone gołąbki same do ust wpadały. Słyszał kto, co podobnego! Obznałomilem pana z Coketown. Co?

Pan Harthouse uznał się doskonale i wszechstronnie poinformowanym o życiu i warunkach Coketown'u.

— Widzisz pan, — ciągnął Bounderby, — mam za zasadę być szczerym, zupełnie szczerym, z każdym publiczną sprawą zajmującym się obywatelem, z którym się zaznajamiam. Jedno mi jeszcze pozostało do wyjaśnienia, zanim upewnię pana o całej przyjemności jaką bym w miarę możliwości swej rad był służyć osobie, zaleconej mi przez przyjaciela mego Tomasza Gradgrinda. Jesteś pan człowiekiem z urodzeniem, lecz nie myśl proszę, że ja nim jestem. Bynajmniej, bynajmniej! Szują jestem, psem bez ogona, znajdują!

Nic nie mogło bardziej zachwycić pana Harthouse, wzmódz jego szacunku dla pana Bounderby!

— Teraz — ciągnął ten ostatni — możemy się uściśkać jak równy z równym. Mówię równy z równym, chociaż nie zapominam bynajmniej kim jestem, ani kałuży z jakiej powstałem, czem się właśnie szczycę, jak

nikt może nie szczyci się swem pochodzeniem. Dumny niem jestem jak pan swoim, nie mniej, jak pan swoim! A teraz możemy przejść do innej materji. Jakże się panu tu podoba, jak się pan czuje?

Zdrowotność powietrza w Coketown zachwycała pana Harthouse. Odpowiedź ta zjednała mu łaski pana Bounderby.

— Wiadomo może panu, a może i nie wiadomo, żem żonaty z córką Tomcia Gradgrind'a? Jeśliby się panu podobało wyjść ze mną i towarzyszyć mi aż do mego domu, przedstawiłbym pana żonie mojej a córce Tomcia Gradgrind'a.

— Uprzedza pan, panie Bounderby, najgorętsze me życzenia.

Wyszli razem i pan Bounderby wiódł tak silnie odeń odbijającego nowego swego znajomego, pod własny dach, ku czerwonemu domostwu, z czarnemi okienicami i zielonemi od wewnątrz żaluzjami, z drzwiami wchodowymi pomalowanemi na czarno, nad białymi kamiennymi stopniami. W bawialnym pokoju wyszła na ich spotkanie najdziwniejsza, jaką dotąd pan Harthouse widział, młoda kobieta. Zdawała się zarazem powściągliwą i niedbałą, baczna na wszystko i obojętną, zimną i dumną a wrażliwą, zawstydzona jakąś niby, może chępliwą mężowską pokorą, która zdawała się ją razić i ranić. Wrażenie, jakie wywarła na panu Harthouse: było niespodziane i zupełnie dlań nowe. Powierzchność jej była również zajmującą. Rysy miała prawidłowe i piękne, lecz chłodne i z których myśli jej i uczucia nie dawały się wyczytać. Przywykła snać trzymać je na wodzy... Obojętna, pani siebie,

nigdy zmieszana, lecz też nigdy swobodna, z zagadkowym uśmiechem na pięknej twarzy, zaciekawiała i odbijała przenikliwość.

Z pani domu pan Harthouse przeniósł oko na dom sam i wewnętrzne jego urządzenie. Nigdzie się nie dawała czuć kobieca ręka. Żadna jej nie zdradzała drobnostka, cacko żadne. Salon chłodny, bogato lecz niewygodnie umeblowany, pełny a pusty. Domowe ognisko, godne zaiste stojącego przed nim pana Bounderby.

— Oto żona moja — mówił ten ostatni, Tomcia Gradgrind'a starsza córka. Ludko! przedstawiam ci pana Dżems'a Harthouse. Zwolennik teorii twego ojca i dam głowę za to, że zostanie wprędce twego ojca kolegą; tymczasem zaś da się poznać światu jednocześnie z miastem naszym i jego okolicami. Pan uważa, panie Harthouse, o ile żona moja młodszą jest odemnie? Nie wiem doprawdy, co dopatrzyła we mnie, by mię wziąć takim jakim jestem. Musiała przecież coś upatrzeć, gdyż inaczej nie wyszłaby za mnie. Wiadomości posiada mnóstwo, różnorodnych: z polityki, ekonomii, socjologii i tem podobnie. Jeśliby pan potrzebował szczegółów jakich, nie wiem ktoby panu udzielić mógł ścislejszych wyjaśnień, jak tu obecna Ludka Bounderby.

Pan Harthouse pewnym był, że lepiej nie mógłby trafić, ani też przyjemniejszych otrzymywać wyjaśnień.

— Oho! — zaśmiał się pan Bounderby, — jeśli pan myślisz prawić tu komplementy, toś się źle wybrał; nie dobijesz tu się z tem niczego. Ja bo, widzi pan, nie uprawiałem nigdy tej sztuki, nie cenię jej bynajmniej. Prawda, że wychowanie pańskie, przyzwycza-

jenia, nie te co znajduj, dorobkiewiczza! Pan jesteś dżentlemanem a ja do tego najlżejszej nie roszeję pretensyi, najlżejszej. Jestem Jozyaszem Bounderby z Coketown'u i to mi wystarcza, najzupełniej wystarcza. Zresztą, toć mnie nie wziąć na wędkę. Ludka może i lubi koszałki-opalki, komplementy, nie posiada bowiem tej co ja wyższości — niejeden niższością by to nazwał, ale ja nazywam wyższością i szczycę się brakiem urodzenia i wychowania. Wobec tego komplementy, któremi pan szafujesz, nie wzruszą mię, oj nie wzruszą — szkoda na to czasu.

— Pan Bounderby, — mówił Dżems, zwracając się do Ludwika z uśmiechem, — to szlachetny rumak, w stanie dzikiej natury, w porównaniu z taką jak ja, osiodlaną przez konwenansy, obuzdaną szkapą.

— Pan uznaje zasługi pana Bounderby, — odrzekła chłodno, — rzecz to zresztą naturalna.

Pobiła go! Znał świat i jego orkany a pobiła go! Jak miał przyjąć to co dopiero usłyszał?

— O ile wnoszę ze słów pana Bounderby, — mówiła spokojnie Ludwika, stojąc w miejscu, gdzie była spotkała gościa z tą szczególną, odznaczającą ją, mieszaniną pewności siebie i nieokreślonego jakiegos zmieszania, — pan zamierza poświęcić się sprawie publicznej, nauczania cyframi narodu jak ma wybrnąć z trudności wszelakich.

— Na honor, nie, pani! — odrzekł z uśmiechem. Przed panią udawać nie będę. Widziałem coś nie coś, tu i ówdzie, i wszystko razem wzięte wydaje mi się pozbawione wartości, interesu, jak to się zresztą zdawać musi mniej więcej wszystkim, choć nie każdy do

tego przyzna się otwarcie. Przychyliłem się do opinii i zapatrywałem czcigodnego ojca pani, jakbym się przychylił do każdej innej. Rzecz to dla mnie zupełnie obojętna. Mogę się jutro ich odrzec.

— A jakież są własne pańskie przekonania?

— Nie mam takich, któreby mi nazbyt ciążyły na sercu. Upewniam panią, że do żadnych nie przypisuję szczególniejszej wagi. Doświadczenie nauczyło mnie, że na dnie wszystkiego leży nuda, sama nuda i natchnęło przeświadczeniem — jeśli notabene słowo to zastosować mogę do obojętnego mi poczucia — że wszelkie zasady mają dobrą i złą stronę. Pewna z naszych angielskich rodzin, posiada doskonałą włoską dewizę: Niech będzie co chce! Wydaje mi się to jedyną niezaprzeczoną prawdą.

To otwarte, niby uczciwe, przyznanie się do rzeczy nieuczciwej, nazbyt niestety rozpowszechnione i przez to niebezpieczne, zdawało się przypadać do smaku Ludce. Pochwycił to w lot Harthouse i w najprzyjemniejszy z mnogich swych sposobów, a pełen ukrytego znaczenia dowodził dalej.

— Pani przyzna, pani Bounderby, że każdą rzecz przeważa cyfra, mniejsza z tem czy ją nazwiemy dziesiątką, setką, tysiącem, milionem. Prawda to, że wszystkich mi znanych, najwierniejsza, więc się jej imam, tak jak zasady którą bym wyznawał. Czyż to nie wystarcza.

— Biegły z pana polityk, — zauważyła Ludwika.

— O, bynajmniej, niech mi pani nie przyznaje

tej zasługi. Iluż nas dziś w państwie, co się nie stawim w szrankach za żadne skarby.

Pan Bounderby skazany na milczenie, zaczynał się niecierpliwie, zaproponowawszy zatem spóźnienie obiadu o jaką godzinę, zabrał z sobą swego gościa na seryę wizyt do wybitniejszych mieszkańców Coketown'u i jego okolic. Oddawano wizyty a w błękitnym koczku pana Bounderby, pan Harthouse wyglądał tryumfująco lecz zmęczony i znudzony zarazem.

Wieczorem, chociaż nakryć było cztery, we troje zasiedli do stołu. Tu otwarło się pole przechwałkom pana Bounderby o smażonych na ulicy węgorzach i tym podobnych przysmakach, jakimi się karmił w dzieciństwie, notabene w dni rzadkie, gdy zgoła jadł, jako też o pomyjach jakie spijał zamiast wody. Pomiedzy zupą a rybą opowiadał o zjadanych niegdys jako przysmak, kielbaskach z koniny. Dżems zwierzenia te przyjmował ze zwykłą sobie nonszalancyą z „wyborne! doskonale!“ tu i ówdzie, i zapewne z wrastającą chęcią powrotu do Jerusalemu — tylko że go zaciekawiała Ludwika.

— Czy też niema nie takiego, — myślał wpatrując się uważnie w jej młodą, drobną, szczupłą, wdzięczną a z całem otoczeniem nie kwadrującą postać, — co by ją wzruszyć zdołało. Nic zgoła?

Owo coś, zjawilo się jednak i to w postaci Tomcia. Skoro wszedł, uśmiech rozświecił jej rysy. Uśmiech przesłiczny! którego by może pan Harthouse i nie zauważył, gdyby nie powstał tak nagle, nie zmienił tak doszczętnie obojętnej przed tem twarzy młodej



kobiety. Wyciągnęła rękę do brata i ujęła dłoń jego, tak jak gdyby ją do ust ponieść miała.

— Ho! ho! pomyślał gość, — ten smyk jest jedyną drogą jej istoty.

Po przedstawieniu „smyk“ usiadł do stołu.

— W twoim wieku, — zauważył pan Bounderby — bywałem punktualnym, lub też wcale nie jadałem obiadu.

— Będąc w moim wieku, — odparł Tom, — nie miałeś pan zapewne do sprawdzania zawitych rachunków, i nie ubierałeś się do stołu.

— Nie o to teraz idzie, — rzekł pan Bounderby.

— To też lepiej byś pan nie zaczynał, — odparł Tomcio.

Ale pan Harthouse zażegnał burzę.

— Twarz brata pani, — rzekł zwracając się do Ludwika, — nie jest mi obcą. Czy nie spotkaliśmy się czasem gdzie zagranicą?... w szkołach może.

— Nie, — odrzekła ożywiając się Ludka, brat mój nie wyjeżdżał dotąd za granicę, a wychowanie otrzymał w domu, tu. Tomciu! słyszysz? opowiadam panu Harthouse, że cię nie mógł spotkać zagranicą.

— Nie dla mnie takie kęski, — mruknął Tomcio, usprawiedliwiając dane mu przez nieznanomego przezwisko. Ponury, mrukliwy, szorstki, niczem nie usprawiedliwił wywołanego, samemu swem zjawieniem się, na twarz siostry uśmiechu, i ożywienia tembardziej też pan Harthouse nabierał przekonania, że Ludka dba o tego tylko „smyka“, jego samego pod słońcem.

Tak w obecności siostry, jak gdy ta, przy końcu obiadu, wstała od stołu, smyk, nie zadawał sobie zgoła fatygi pokrywać swe lekceważenie dla gospodarza domu. Przedrzeźniał go, gdy nań nie patrzył, przymruzał znacząco oczy — a pan Harthouse, — chociaż go w tem nie zachęcał otwarcie, zdawał się tem nieskończenie zabawionym i okazywał młokosowi żywą sympatyę. Po obiedzie wyszli razem. Tom odprowadzał pana Harthouse do hotelu.

### Rozdział III.

#### Smyk.

Dziwnem zdawać się może, by młodzian wychowany w karbach najsystematyczniejszej zależności, był obłudnym. Był nim jednak nasz Tomcio. Dziwnem zdawać się może, by młodzian, któremu nigdy, ani na chwilę nie popuszczano wodzy, został niezdolnym do panowania nad sobą. Tak jednak było z Tomciem! I dziwnem zdawać się może, by młody człowiek, któremu od urodzenia tłumiono wyobraźnię, trapiiony nią był i to w kierunku wyłącznie zmysłowym, tak się jednak stało z naszym Tomciem.

— Palisz — zauważył pan Harthouse, wchodząc do hotelu.

— Zgadłeś pan! — odrzekł Tomcio, idąc za nim na wschody.

Przy doskonałych, ze wschodu snąc przywiezionych cygarach i chłodzących, lecz bynajmniej nie lekkich napojach, Tomcio, wyciągnięty na kanapie, nietylko rozgrzał się, rozgadał, do wynętrzeń skory, lecz z chwilą każdą czuł wzrastający podziw dla nowego

swego, w drugim rogu kanapy, wyciągniętego przyjaciela.

Puszczając dym z wonnego cygara Tomcio rozmyślał: „Zdaje się on (pan Harthouse) wcale nie dbać o ubiór, a jak na nim wszystko leży, jak ulane! Co za swoboda ruchów, jaka wytworność! kapitalny dżentleman! Frant!

Pan Harthouse dolewał mu wina.

— Dziękuję panu! Ależ musiałeś pan mieć dziś dosyć starego Bounderby — mówił Tom przyzymkając lewe oko i przypatrując się pod światło, z miną wytrawnego znawcy, pełnej szklance.

— Poczciwiec! — uśmiechnął się pan Harthouse.

— Tak się panu zdaje — zaśmiał się Tom, przymrużając drugie oko.

Pan Harthouse uśmiechał się tylko. Wstał z sofy, stanął przed pustym kominem i patrząc z góry na Tomcia mówił:

— Wyborny z ciebie szwagierek.

— Chcesz pan chyba powiedzieć, że mam komicznego szwagra — śmiał się Tom.

— Oho! jest i dowcip — potakiwał pan Harthouse a Tomcia ogarniała błogość wielka. Być na stopie poufalości z takim, tak elegancko noszącym się frantem, słyszeć się zwanym przezeń po imieniu, zaprzyjaźniać się, tak, od razu, z parą podobnie eleganckich bakembardów! było istotnie czego rósć jak na drożdżach!

— Puh! dbam tyle co nie o starego... zawsze starym zwę łotra Bounderby! — mówił — nie będę przecie z nim stroił ceregielów, przed panem zwłaszcza.

— O! przedemną! Bądź jednak uważniejszy w obecności żony.

— Żony? A! tak! Ludki! roześmiał się i dolał sobie chłodzącego napoju.

Dżems stał jak uprzednio paląc cygaro, patrząc z góry, lecz z zachęcającym uśmiechem, na smyka i wyglądał na nader łaskawego, dobrodusznego demona biorącego w posiadanie wyłączne niebaczną duszyczkę. Tom gotów był istotnie pójść za nim do piekła. Teraz wywrócony na sofie, wznosił nań pełne podziwu i ukrytego uwielbienia, zuchwałę jednak oczy.

— Niby to Ludka tak bardzo dbała o starego!

— Mówisz w czasie przeszłym — uśmiechnął się pan Harthouse, strącając popiół z cygara — a mówilibyśmy raczej w teraźniejszym.

— W przeszłym, przeszłym i dokonanym, teraźniejszym i przyszłym, jak pan chce: nie dbała, nie dba, dbać nie będzie.

— O! wybornie! Tak ci się zdaje!

— Pewnie tego jestem, honorem ręczyć mogę. Co! Pan chcesz wmówić we mnie może, że się panu zdaje przeciwnie?

— Cóż chcesz chłopcze, bym myślał o małżeństwie żyjącem w zgodzie i szczęśliwości.

Tom leżał już z nogami na sofie. Poufalość pomiędzy nim a panem Harthouse wzmagała się z chwilą każdą. Puszczal przed siebie gęste kłęby dymu. Zwrócił na nowego i z góry patrzącego nań przyjaciela, twarz rozrurzoną i oczy już nieco zamglone.

— Puh! — znasz pan przecie naszego kome-

danta, starego Gradgrind'a — więc po co się dziwić, że Ludkę wydał za starego Bounderby!

— Przykładna uległość ojcowskiej woli — zauważył pan Harthouse.

— Puh! nie wiem czy by się uległość znalazła gdyby... nie szło jej o mnie.

Kusiciel wznosił tylko brwi nieznacznie, a smyk ciągnął ze swobodą.

— Ja to ją namówiłem. Wpakowano bo mię, widzisz pan, do biura starego Bounderby, i nie osobiłwie wiodło by mi się z tym łotrem, gdyby nie Ludka. Wiedziała to a niema rzeczy, którejby dla mnie nie zrobiła, cóż dopiero takie głupstwo.

— Dobra, nie ma co mówić, dobra siostra!

— Eh! nie było to znów jej tak trudno. Mnie bardziej na tem zależało. Tu w grę wchodziła swoboda moja, wygoda, kto wie, karyera, a jej co? Dom istna turma! w nikim się innym nie kochała, przecie nikt jej oka nie zaproszył! Ten czy inny, wszystko jedno. Czemuż nie miała wyjść za starego łotra!

— Wybornie! Więc tak i wyszła!

— Puh! z dziewczętami zrobisz co zechcesz! wyszła, los swój ustaliła na wieki wieków. Ten czy inny, na jedno wyjdzie! Tylko, że Ludka nie zupełnie taka jak inne jej rówieśnice. Zamknięta w sobie, gotowa godziny całe siedzieć zamysłona przy gasnących na kominie żarach, siedzieć i myśleć...

— Ho! ho! sama sobie wystarczyć może.

— Eh! nie to znów! Komendant przeładował jej głowę nieskończoną ilością jałowych wiadomości.

— Na własną modłę, urabiał swą córkę.

— Córkę? Co tam! Do mnie brał się w ten sam sposób. Do mnie, jak mię tu pan widzisz!

— O! doprawdy!

— Jak mnie pan tu widzisz! Powiem też panu, że gdym wreszcie się wyrwał z turmy, to jest z rodzicielskiego domu, głupi byłem jak but, a o życiu tyle wiedziałem, co zasklepiony w swej skorupie ślimak.

— A to ciekawe! żartujesz chyba.

— Na honor! prawdę mówię, nie przesadzam wcale, — upewniał smyk, paląc z zacięciem cygaro, — odtąd... o! odtąd, to co innego! zawdzięczam to jednak samemu sobie, stary żadnej w tem nie ma zasługi.

— A jakże tam teraz z twą zajmującą siostrą.

— Co do mojej zajmującej siostry, pozostała tem czem była — gęsią. A że kobiety potrzebują gwałtem zawracać sobie czemś głowę, wylała się w współczuciu dla mnie. Kobiety, tak czy owak, zawsze dają sobie radę.

— Onegdaj — mówił pan Harthouse, rzucając w komin resztki dopalonego już cygara, — zaszedłszy do banku po adres pana Bounderby, spotkałem tam wiekową już damę, gorącą wielbicielek pani Bounderby!

— Stara Sparsit! pał ją... więc pan i tę już widziałeś!

Dżems kiwnął głową. Tomcio przestał palić, przy-mrużył lewe oko, uderzył się palcem po nosie.

— Ho! ho! baba! sądzę, że jej uczucia dla Ludki przechodzą wszystko co się da powiedzieć! Zagięła była parol na Bounderby gdy był kawalerem, zagięła...

Były to ostatnie wybełkotane przez Tomcia słowa. Rozmarzony chłodzącym napojem, zapadał w drzemkę

i wkrótce zapomniał o wszystkim i wszystkich. Śniło mu się tylko jakoby był potrącony jakimś butem; marzyło mu się, jakoby słyszał coś w rodzaju: „powstań no! późno! wynoś się!“ więc i zszedł z kanapy.

— Ta-a-k! zmuszony jestem pożegnać pana — cygara kapitalne, lecz za słabe...

— Właśnie — odparł gospodarz domu.

— Mdle do nieskończoności! Gdzie tu drzwi? Dobranoc panu.

I śniło mu się jeszcze, czy marzyło, że go lokaj jakiś wiódł gdzieś po ciemku, bo się strasznie potykał, drogi znaleźć nie mógł, aż został raptem sam na ulicy. Do domu wrócił bez dalszych przeszkód, pozostając ciągle jednak pod wpływem nowego przyjaciela, podziwiając zaniebana i elegancką jego postać.

Wrócił do domu i legł spać. Jeśliby miał w piersi kawałek, choć mały, braterskiego serca, a rozumiał i pamiętał wyrzeczone wieczoru tego słowa, zawróciłby raczej do cuchnącej, zafarbowanej rzeki i usnął na wieki w plugawym jej mętów objęciu.

#### Rozdział IV.

### Ludzie i braterstwo.

„Bracia mili! Zdeptani, stratowani wyrobnicy Cocketown'u! Bracia! rodacy! niewolnicy znękani żelazną dłonią wszystko dławiącego despotyzmu! Przyjaciele! towarzysze niedoli i pracy! słuchajcie! wybiła bowiem godzina odwetu i dawno upragnionej zemsty. Złączcie się w jedno silne ramię i wtrąćcie w pył ciemności naszych, tuczających się łupem pracy, krwi naszej, potu,

muskulów, depcących wszystkie boskie i ludzkie prawa, gardzących przedwiecznych przywilejów braterstwem...“

Cicho! ciszej! wybornie! bravo! — wołano w przepelnionej po brzegi sali, w której miała miejsce schadzka wyrobników i gdzie mówca, z kulawego stołka, ciskał pioruny swej wymowy. Spocony, rozmachany, bijąc się w czoło, w piersi, w dłonie, piniąc, zgrzytając zębami, wstrzymał się wreszcie wyczerpany i sięgnął po szklanekę z wodą, by zwilżyć spieczoną usta. Gdy tak stał, wobec zebranego tłumu, porównanie pomiędzy nim a większością zgromadzonych w sali słuchaczy, wypadło najpewniej nie na jego korzyść. Przerastał ich samą miarą stołka, na który się wdrapał, a pod innymi względami najpewniej nie dorastał wielu, wszystkich niemal. Nie był ani tak uczciwym, ani tak mężnym, spokojnym, cichym jak tamci. Chytróść posiadał zamiast prostoty, namiętność zamiast odznaczającej tamtych powściągliwości. Ciężki, niezgrabny, z wsuniętą pomiędzy wzniesione ramiona głową, z czołem niższym i złośliwym wyrazem twarzy, pomimo mieszczkańskiego swego surduta, wyglądał gorzej od wyrobników w powszedniej, grubej odzieży. Zwykle, w zbitej masie ludności, głos zabierają i rej wodzą osobniki najmniej do tego powołane, a w danym razie serce się ścisnęło wobec tłumu o pocziwych twarzach i spokojnem, pełnem godności zachowywaniu się, rzuconego na pastwę podobnego przywódcy.

Dobrze! słuchajcie! bravo! Trudno wyobrazić sobie napięcie, z jakim słuchano mówcę. Nie było tam znudzenia, wzgardliwej obojętności, ani też ciekawości samej, odznaczających zwykłych słuchaczy. Że

tu każdy czuł i wiedział dobrze, o ile warunki jego pracy i życia gorsze są, niż być by mogły i być winne. Ze każdy czuł się solidarnym ze wszystkimi, związany wspólną dolą i wspólnością interesów, pragnął ze wszystkich sił przyczynić się do dobra ogółu, gotów na złe i dobre w imię gromady i za gromadę, łatwo było spojrzeć. Widz bezstronny przyznać by nawet musiał tym bałamuconym zalety, któreby się na lepsze użytkować dały, a dowodzić dowolnie, że wszyscy tu zebrań byli w błędzie, sami nie wiedząc czego chcą, byłoby to dowodzić, że są następstwa bez przyczyn, że dym może powstać, bez ognia, śmierć zajść bez narodzin, żniwo bez siejby.

Mówca, odświeżywszy usta i gardło, otarł kilkakrotnie czerwoną, zmiętą chustką spocone czoło i siłą się na patetyczną wzgardę i gorycz ciągnął:

— Bracia mili! Ludzie! Anglicy! deptani i poniewierani wyrobniicy Coketown'u! Co powiecie o człowieku, o wyrobniku — a nazwa to dostojniejsza po nad wszystkie dostojeństwa — który z doświadczenia znając krzywdy wasze i niedolę, gangrenę przenikającą do szpiku kości społeczeństwo, słysząc i widząc z jaką zgodnością, przed którą tyrani zadrzą, podpisujecie się na założenie Związku wzajemnej pomocy, — powtarzam co powiecie o wyrobniku, że znów dostojnej tej użyję nazwy, o tym fałszywym bracie waszym, co w tak ważnej a stanowczej chwili opuszcza chorągiew, zdradza waszą i swą sprawę i rzuca wam w oczy rękawicę, dowodząc, że nie chce brać udziału w walce o podeptane prawa i wolność! Co o takim powiecie bracia mili?

Zdania w tłumie musiały być podzielone. Z jednej strony ozwały się wzdychania, gwizd z drugiej, ogół jednak nadto był przejęty uczuciem sprawiedliwości, by potępić kogobądź, nie wysłuchawszy wpierr obrony.

— Slackbridge ma rację! — mówili jedni, — ależ wysłuchajmy tamtego — zawołali drudzy, aż wreszcie ozwał się ktoś głośno, rozważnie:

— Jeśli jest taki, niech wyjdzie, niech się sam tłumaczy, ustąp mu miejsca Slackbridge.

Mówca uśmiechnął się z goryczą, wyciągnął przed siebie prawą rękę, jak zwykli to czynić podobni jemu, wobec wzburzonej ludzkiej fali, którą uciszyć pragnął.

— O bracia mili i towarzysze! — zawołał potrząsając gwałtownie głową — poznaję was po słowach waszych, poczciwe dzieci pracy i niedoli, w których niezmaconej duszy nie może powstać przypuszczenie podobnej zdrady. Istnieje jednak taki, co prawa swoje i wasze zaprzedał za łyżkę strawy, jak niestety istniał Judasz Iskariota; jak Castleread obrzydły istniał.<sup>1)</sup>

Zawrzało w zgromadzeniu. Ktoś się wysuwał z tłumu i stawał obok mówcy. Błady był i wzruszony, usta mu drżały, lecz stał spokojny, ramiona założony na piersi, wyczekując, aż mu przyjsć dadzą do słowa, a że w zgromadzeniu było coś na kształt prezydium, więc prezes powstał z miejsca.

— Przyjaciele! — zawołał zwracając się do publiczności — w imię praw moich proszę przyjaciela Slackbridge, by usiadł i ustąpił miejsca temu oto

<sup>1)</sup> Polityk i minister angielski pomiędzy 1811 a 1822 rokiem. Irlandczyk rodem, zdrajca i gnębiel pokonanej swej ojczyzny, wróg swobód politycznych.

Stefanowi Blackpool. Znacie go? prawda? znacie Stefana? Znane wam nieszczęścia jego i dobre imię?

Mówiąc to prezes pociągnął Stefana naprzód, poczem usiadł. Usiadł też poprzedni mówca, ocierając pot z czoła, z lewej strony na prawą, zawsze z lewej na prawą, nigdy przeciwnie.

Salę zaległo milczenie. Stefan głos zabrał.

— Towarzysze! Nigdy nie zdarzyło mi się mówić o sobie i zapewne do niczego to nie doprowadzi, i choć trudno mi głos zabrać wobec tak licznej zgromadzenia, wolę sam wam powiedzieć co i jak myślę, niżby to inne tłumaczyć miały usta.

Slackbridge wzruszył ramionami.

— Jestem prostym robotnikiem w fabryce Bunderby'ego, jak i wy, robotnikiem jestem; porządki, które pragniecie zaprowadzić leżą mi na sercu, bardzo leżą, ale nie myślę, nie, byście tą drogą do dobrych dojść mogli rezultatów, owszem możecie zaszkodzić sobie.

Slackbridge zaśmiał się krótko, wzgardliwie, brwi zsunął i założył ręce na piersiach.

— Nie dlatego jednak — ciągnął dalej Stefan — nie przystępuję do znowy. Jeśliby to tylko, stanąłbym z wami ręką w rękę. Mam inne powody i przeszkody nie od dziś, o nie! od dawna już!

Slackbridge porwał się z miejsca, miotając i zgrzytając zębami:

— O! bracia mili! — zawołał. Słyszycie! Po czyjej stronie była słusność! Ostrzegalem was, wiedząc z kim macie do czynienia. O ziomkowie moi! Słyszeliście z własnych ust podłego tego zdrajcy, po-

chwałę gnębiących nas praw i nadużyć! Nie słuchajcie niecných podków wroga waszego, dzieci i domowników waszych!

Ozwały się tu i ówdzie oklaski, ozwały się i głosy miarkujące, ogół jednak słuchaczy zachował się spokojnie. Patrzali na bladą, znękaną twarz Stefana, wzburzoną wielkiem wewnętrznem wzruszeniem, a w głębi serc swych pocziwých, czuli się bardziej zmartwieni, niż oburzeni.

— Delegat — mówił spokojnie Stefan, wskazując na mowcę — spełnia swe rzemiosło, przemawiając tu. Płacą mu za to, swoje spełnia. To zresztą co chciałem powiedzieć nie dotyczy się go, ani nikogo, oprócz mnie samego.

Słuchacze, wobec spokoju i godności Stefana, skupiali uwagę. Z tłumu, ten sam co pierwiej głos mężki krzyknął na krasomówczego delegata:

— Stul gębę Slackbridge! niech ten powie, co ma powiedzieć.

Salę znów zaległo milczenie. Każde słowo przy-ciszonego głosu Stefana rozlegało się wyraźnie.

— Bracia kochani — mówił — bo jesteście mi istotnie braćmi, a nie jesteście nimi dla tego oto delegata! Mam jedno słowo do powiedzenia i więcej nie już nigdy nie powiem. Wiem co mnie czeka, wiem, że się odwrócicie odemnie, gdy nie stanę dziś z wami ręką w rękę. Wiem, że gdy się odłączam, macie prawo odwrócić się odemnie, uważać za obcego... macie prawo... i to jednak postanowień moich nie zmieni.

Prezydent powstał z miejsca.

— Stefanie Blackpool! — rzekł, — zastanów

się, zastanów dobrze, nim zerwiesz z braćmi, odwrócić się od nich.

Szmer potakujący rozległ się w zgromadzeniu. Wszystkie oczy zwracały się na Stefana. Odwołując dopiero co wyrzeczona słowa zdjąłby im ciężar, wielki ciężar z serca. Patrzył na nich i czuł to dobrze. Nie miał w sercu względem nich żdźbła goryczy lub gniewu, znał ich, znał do głębi dusz poczciwych i prostych, pomimo wszystkim wspólnych słabości, omyłek...

— Myślałem już o tem panie! wiele myślałem, — rzekł, zwracając się z uszanowaniem do prezesa — i odstąpić nie mogę. Muszę czynić, jak czynię... Muszę rozstać się z wami, — dodał, kłaniając się zgromadzeniu i mimowoli wyciągając do zebranych ręce. Stał tak chwilę, milcząc, aż mu znużone opadły ramiona.

— Peż tu widzę, — ciągnął ciszej, — twarzy znanych mi od młodości mojej, gdy lżej jeszcze było na sercu. Peż, od niejednego z tu obecnych, słyszałem słów ciepłych, niezapomnianych. Od urodzenia mego nie różniłem się, nie kłóciłem z nikiem... tracę dziś przyjaciół... zwiecie mnie zdrajcą... a to — zwrócił się do Slackbridge, — łatwiej zarzucić, niż dowieść. Niech i tak będzie.

Zwrócił się ku drzwiom i miał już wyjść, gdy przypomniał coś sobie.

— Może — rzekł, zwracając stroskaną twarz do zebranych i obejmując wzrokiem tak bliższych, jak dalszych — może, gdy kwestye te podjęto i rozprawiacie nad nimi, — przyjdziecie do wniosku, że się winienem ztąd wynieść. Otóż co?... Otóż pragnąłbym pozostać, do śmierci pozostać i pracować jak przedtem...

choć osamotniony, odepchnięty przez was. Pragnąłbym, nie dlatego, by was drażnić, bynajmniej! Ale dlatego, że żyjąc z pracy rąk, wydalony ztąd nie łatwo pracę znajdę. Nie uskarżam się na to, że się odemnie odwracacie, wola wasza! Pragnę, by mi pozostawiono wolność pracy. Sądzę, bracia, że mam prawo do tego.

Nie odpowiedziano mu ani słowa. W sali nie słychać było żadnego dźwięku, tylko szmer zwartych szeregów ludzkich, rozwierających się na kształt fali, by dać przejść towarzyszowi, z którym odtąd zrywali łączność. Stefan przeszedł, nie patrząc na nikogo, po mału, spokojnie, dźwigając na barkach cały ciężar swej doli.

Teraz dopiero Slackbridge, trzymający dotąd nad tłumem wyciągniętą rękę, jak gdyby miał powstrzymać lub zażegnać wzburzone namiętności ludzkie, te fale, wpadł w oratorski zapal.

— O bracia mili! ziomkowie moi! wspomnijcie Brutusa, co nie wahał się skazać na śmierć rodzzonego swego syna! Wspomnijcie matki Spartanki! O! moi, wkrótce zwycięzcy, niezwyciężeni bracia! Pomnijcie matki Spartanki popychające krew krwi własnej na ostrze nieprzyjacielskich włóczni. Nie byłoby obowiązkiem cnych obywateli grodu naszego, wobec społeczeństwa, przyszłych pokoleń, historyi! podziwiających ich wieków przyszłych! nie byłoby obowiązkiem wyrzucić precz ze stada parszywą owcę, porwać niecne sieci zastawione na boską sprawę. Tak! odpowiedzą gromy ziemi i niebios gromy! Wichry od wschodu i zachodu, południa i północy! Tak! woła przyroda cała, więc i my tu obecni przykłaśnijmy Związkowi złączonych wyrobników!

Tłum, jak to zwykle bywa, dał się porwać brzącącym słowom. Osobiste przekonanie i uczucie każdego z członków, tego wielkiego człowieka, którym jest gromada, ustąpiły miejsce domniemanym uczuciom i interesom ogółu. Posypały się huczne oklaski! Zgromadzenie rozchodziło się wśród zgielku i wrzawy.

Tem łatwiej Stefan wszedł na osamotniałą swą śród tłumu byłych towarzyszy, ścieżkę, a przybysz z obcej strony, spoglądający w dziesięć tysięcy nieznanym sobie twarzy, łowiący uchem obce sobie dźwięki ust dziesięciotysięcznych, nie czuł by się bardziej samotny jak on się uczuł w tej chwili śród dziesięciotysięcznej gromady długoletnich towarzyszy i przyjaciół. Samotność zagarnęła odtąd w sieć swą wszystkie dni i godziny jego czuwać, w domu i przy warsztacie, na ulicy i u stołu. Dawni towarzysze, przez nieme jakieś pomiędzy sobą porozumienie, poczęli unikać chodniku, po którym zwykł był chodzić. Kroczył teraz samotny w obec ciżby zalegającej przeciwną stronę ulicy.

Od lat, od wielu milczący był, skupiony w sobie, nie zbyt towarzyski, przywykł wystarczać sam sobie, lecz teraz dopiero poczuł czem być może brak ukłonu, spojrzenia, słowa, co umniejszają nam, chociaż i nie zdajem sobie z tego sprawy, połowę dźwiganych w ciszy serc i żyć naszych ciężarów. Nawet w jego głębokiem a czulem sumieniu, trudno mu było oddzielić osamotnienie w jakie popadł, od niejasnego lecz dokuczliwego poczucia wstydu i pohańbienia.

Pierwsze cztery dni nowego życia, były mu tak długie i ciężkie, że nie śmiał spojrzeć w przyszłość. Odwracał się od niej ze wstrętem i strachem. Nie wi-

dział się w tym czasie z Rachelą, unikał spotkania z nią, gdyż, chociaż wiedział, że spadły nań ostracyzm towarzyszy, nie wniknął był jeszcze w szranki robotnic, zauważył, że niektóre unikały go już i drżał na myśl samą na co by Rachelą narażoną być mogła jeśliby ją spotkało u jego boku. Sam tedy, zupełnie sam, nie przemówiwszy do nikogo jednego słowa, spędzał dni te a kiedy czwartego dnia wieczorem, po skończonej dziennej pracy, opuszczał warsztaty, zastąpił mu drogę, młody, bladej, jasnowłosy, piegowaty człowiek.

— Nazywasz się Blackpool — zagadnął — zgadłem?

Stefan zarumienił się zrzucając szybko czapkę jak gdyby chciał podziękować za rzucone sobie ludzkie słowo, lub słysząc je się stropił. Może pod wpływem obu naraz uczuć.

— Tak, właśnie — odrzekł cicho.

— Jesteś tedy wyrobnikiem, który nie przystąpił do zмовy? — pytał dalej Bitzer.

— Tak — potwierdził Stefan.

— Domyślałem się — ciągnął Bitzer — widząc jak robotnicy stronią od siebie. Pan Bounderby ma ci coś do powiedzenia. Czy wiesz gdzie mieszka?

— Wiem.

— Idź tedy nie tracąc czasu, tam już czekają na ciebie, idź prosto i powiedz służącemu, by oznajmił panu o twem przybyciu. Jestem z banku, zlecono mi odszukać cię, idąc wprost, teraz, zaoszczędzisz mnie niepotrzebnej fatygi.

Stefan, chociaż miał iść we wręcz przeciwną



stronę, zawrócił się, uważając za obowiązek udać się na wezwanie swego pracodawcy, do gmachu z czerwonej cegły, w którym przemieszkował potentat Bounderby.

## Rozdział V.

## Wyrobnicy i przemysłowcy.

— A! Stefan — mówił ze zwykłą sobie napuszoną bankier — dobrze! Wiesz, co doszło do uszu moich? Wiesz! opowiedz no co ta zaraza ludzkości chce od ciebie? Za co cię prześladowają? No! opowiadaj.

Wprowadzono go do salonu. Stał tu stół z przyborami do herbaty, w salonie znajdował się gospodarz domu, jego żona, brat pani i niezajomy dżentleman, z Londynu.

Stefan klaniał się stojąc u drzwi, z czapką w ręku.

— Harthouse! — zagadnął gościa bankier — to właśnie ten, o którym ci mówiłem.

Harthouse wstał z kanapy, na której siedział obok pani Bounderby, rozmawiając z nią.

— Ta-a-k! — ziewnął zbliżając się do pana Bounderby.

— No! mówże — zawołał ten ostatni na Stefana.

Po czterech dniach absolutnego milczenia, rozkaz ten odurzył tkacza. Zdało mu się w tej chwili, jakoby istotnie zasłużył był na dane sobie przez współrobotników imię zdrajcy.

— Co pan życzy sobie bym mówił? — spytał zmieszany.

— Wszystko co wiesz: o sobie i całym tym psim związku, spisku! jak go tam!

— Z przeproszeniem pańskim — odrzekł tkacz — nie nie mam do powiedzenia o tem.

Pan Bounderby z wichrowatym swem usposobieniem począł się trząść wymachując rękoma.

— A co! czy nie mówiłem ci Harthouse! masz go, masz ich wszystkich ilu ich jest pod słońcem! Gdym go widział raz ostatni, tu właśnie, na tem samym co dziś miejscu, ostrzegałem go przeciw uwodźcielowi, których prędzej czy później nie minie szubienica! ostrzegałem go, że na złą, zgubną wchodzi drogę. A teraz, widzisz! napiętnowali go, wyrzucili ze swego łona, a on taki, trzyma się ich całą siłą swych zębów i ani piśnie słówka o niecnym ich sprawkach. Boi się ich! pary z ust puścić nie śmie.

— Powiedziałem — poprawił statecznie Stefan — że nie nie mam do powiedzenia i oto wszystko. Niczego się nie boję...

— Powiedział! patrzcie go! powiedział! Słyszałem ptaszku i wiem nietylko coś mówił, ale i co myślisz, co się pod tem wszystkim kryje! Czemu nie lżesz lepiej odrazu, że huncwont ten, delegat Slackbridge, czy tam pał go!... nie kręci się po mieście, nie podburza, schadzek nie zwołuje. Co, może nie tak? Zaprzeczaj, zaprzeczaj jak wy to wszyscy umiecie. Wiem z góry co powiesz.

— Przykro mi panie — odrzekł Stefan — niewymownie przykro, gdy przywódcy ludu, lub ci, co się za przywódców podają, nie są godni powołania swego.

Stanowi to może jedną z największych niedoli ludu, że na takich właśnie natrafia przywódców.

Pan Bounderby wychodził z siebie.

— Słyszysz Harthouse! słyszysz? Rozumiesz, tacy, tacy oni wszyscy! A teraz posłuchaj co odpowie na pytanie, które mu postawię.

Zwrócił się do tkacza, z udaną uprzejmością.

— Czy wolno mi spytać pana, panie Blackpool, jak to się stało, że pan do związku nie przystał?

— Jak to się stało? — powtórzył zamyślając się Stefan.

— Właśnie! — mówił pontyfikalnie pan Bounderby, zawieszając wskazujący palec prawej ręki w powietrzu a wzrok na suficie.

— Niechciałbym mówić o tem — mówił tkacz zwolna — lecz pan pyta i niechciałbym być niegrzecznym, grubijanem, więc powiem. Dałem słowo.

— Nie mnie! o nie! — zawołał wyczekująco bankier.

— O nie! nie panu.

— Aha, mówiłem — mówił Bounderby patrząc ciągle w sufit — gdyby szło o mnie tylko pewniebyś przystał do tych łotrów, burzycieli!

— Prawda, panie.

— Słyszysz Harthouse! choć wie, że to są rozbójnicy, złodzieje, na których kajdan za mało! Widzisz Harthouse! widzisz jakie to ziółko. Dość przecież widziałeś świata, a czyś się spotkał z czemś podobnem? Kwitnie to tylko u nas, na błogosławionej naszej ojczyzynie gruncie! Łotry! rozbójnicy! złodzieje!

— Nie pani — zwrócił się instynktowo Stefan

do pani Bounderby, po długim a badawczem na nią spojrzeniu — odpierając niesłuszne jej męża oskarżenia. Ani łotry, ani rozbójnicy, ani złodzieje. Skrzywdzili mnie prawda, ale niechcący. W całej gromadzie niema dziiesięciu, co mówię, pięciu niema! co by nie byli przekonani, że spełniają obowiązek, święty obowiązek względem samych siebie i względem innych, względem wszystkich. Boże odpuść, bym świadczył przeciw ludziom, których znam od młodości mojej, wśród których żyłem, pracowałem, bym za to, że się dziś odwrócili odemnie miał ich krzywdzić!

Mówił spokojnie, zwaśnią sobie i stanowi swemu prostotą i szorstkością. Poczucie, że się ujmuje za niesłusznie krzywdzonych współbraci, pozostaje im wierny pomimo błędów ich i omyłek, dodawało mu siły i powagi. Przez wzgląd jednak na to, gdzie się znajduje, nie podnosił głosu, owszem zniżał go z uszanowaniem.

— Nie pani, nie! — ciągnął ciągle do Ludwika zwrócony — wierni są oni sobie wzajemnie, przywiązani, aż do grobowej deski wierni bywają, przywiązani. Na cierpienia, choroby, biedę, smutki, których tyle bywa wśród pracującej, ubogiej ludności, serce mają zawsze otwarte; pocieszą, z własną krzywdą wspomogą, od ust sobie odejmą. Niech pani pewną tego będzie, niech będzie tego pewną. Gdyby nie byli tak okiełznani, poniewierani, wydaliby się pewnie tem czem są, innymi jak się dziś komuś zdawać może.

— Patrzenie! — zaśmiał się bankier, — wzory cnót wszystkich i doskonałości! i dlatego to zapewne wysadzili cię z pośród siebie!

— Jak to się dzieje, — ciągnął rozważnie, ciągle

do pani Bounderby zwrócony tkacz, — że właśnie najlepszy, najuczciwszy z pośród nas, ulegają największym omyłkom i niedolom, wytlómaczyć sobie tego nie umiem. Tak jest jednak, pewien jestem, jak pewien, że ponad tymi tam gęstymi dymami, świeci zamglone niemi słońce! Cierpliwi jesteśmy, najlepsze mamy chęci i nie możemy myśleć, żeby cała wina była po naszej stronie.

— Hm bracie! — odchrząknął pan Bounderby, który niczem już nie mógł bardziej być obrażonym, jak pomijaniem jego osoby, — a teraz, jeśli zaszczycisz mię swą uwagą, powiem ci słów parę. Dopiero co oświadczyłeś, że nic nie masz do powiedzenia w wiadomym ci interesie. Może nie tak, co?

— Najzupełniej tak. Pewien jestem, że tak.

— Otóż, obecny tu pan przybywa z Londynu. Pan Bounderby wskazał palcem pana Harthouse, — chciałbym, by posłyszał co mamy do powiedzenia sobie. Niech na własne słyzy uszy, zanim wyciągnie odpowiednie wnioski. Co do mnie, wiem z góry, co w tem tkwi, wiem doskonale!

Stefan skłonił się przed wskazanym sobie dzentlemanem, zmieszał się nieco. Spojrzał na panią Bounderby, jak gdyby szukał jej poparcia, potem utkwil wzrok w pana Bounderby.

— A teraz, mów, na co się uskarżasz — począł ten ostatni.

— Nie przyszedłem bynajmniej się skarżyć, przyszedłem na wyraźne żądanie pańskie!

— To jest — Pan Bounderby założył ręce na wydetych piersiach — na co się na ogół uskarżacie?

Stefan wahał się chwilę, po chwili się zdecydował.

— Nie uskarżałem się nigdy na nic — rzekł — choć czuję dobrze, jak każdy inny. W mętach pozostajemy, w mętach. Niech się pan przypatrzy temu miastu. Bogate, prawda, ludne, ile tu tkaczy, farbiarzy, ludzi pracujących na kawał chleba od kolebki do grobu. Spójrz pan, jak żyjemy, gdzie mieszkamy, czem się żywiemy? To się powtarza wszędzie, zawsze! Spójrz ramiona nasze w ruchu, bez ustanku, aż chyba śmierć je zatrzyma, śmierć sama, i pomyśl pan jakim okiem spoglądacie na nas, co mówicie o nas tu i przed rządem, i w parlamencie. Wy zawsze macie rację, wszystkie winy spadają na nas i nikt z nas, odkąd się urodził na tym Bożym świecie, racji nie miał. Rośnie to i rośnie, z dnia na dzień, z roku na rok, z pokolenia na pokolenie, rośnie, wzmagą się, rozrywa coraz głębszą przepaść. Czyż nie mętne to, zmęczone?

— Aha! zapewne! A teraz możebyś nam powiedział, jak osadzić te męty, ponieważż idzie ci widocznie o to słowo „męty“. Patrzcie go! Męty!

— Tego właśnie powiedzieć nie mogę... nie wiem... Nie wiem co czuję, co wszyscy czujemy i właśnie szukamy, ciągle szukamy czegoś, coby wyjaśniło...

— Wskażę ci w każdym razie najpewniejszy na to sposób. Oto okuj w dyby takich Slackbridger'ów i innych im podobnych, i najbliższym okrętem wypraw do osad karnych, na krańce świata.

Stefan z powagą wstrząsnął głową.

— Nie przecz! — wybuchnął pan Bounderby — zrobim to kiedyś, zobaczysz, zrobim!

— Panie! — rzekł spokojnie Stefan — nie na wiele to się przyda. Gdyby stu, gdyby tysiąc nawet

Slackbridger'ów, zaszyć, każdego w osobny worek i wrzucić w głąb oceanu, nie zmieni to rzeczy, nie wyklaruje mętów. O „niecnym poszczuwaczach“ slyszym ustawicznie! Nie od nich jednak zło pochodzi, nie na nich samych się ogranicza. Nie lubię ich wcale, nie ujmuję się za nimi, lecz nie ich to trzeba wycofać z roboty, a raczej z rąk im samą robotę odebrać, bo jak ta komnata była zanim tu wszedłem i nie przestanie istnieć gdy ztąd wyjdę, jak zegar ten nie przestanie iść i wybijać godziny, chociażbyśmy go za morze przeniesli, tak i zdmuchnięcie jednego Slackbridger'a lub i stu jemu podobnych, nie na wiele się przyda!

Znów spojrział ukradkiem na panią domu a spostrzegłszy wzrok jej utkwiony w drzwi wchodowe cofnął się ku nim. Lecz, że nie mówił to gwoli chęciom właściwym i czuł się związany z temi co się odwracali dziś od niego, a których tu przed nim oskarżano, chciał, zanim odejdzie, wypowiedzieć wszystko, co w obronie ich mógł i winien był powiedzieć, więc się zatrzymał u progu i kończył spokojnie:

— Człowiek jestem prosty, nieuczony, i nie moją rzeczą wskazywać dżentlemanom jak postępować powinni. Tak jak jest, nie może nikomu wyjść na dobre. Nikomu. Nie poradzą temu ci, w których rękę siła, nie poradzą też porażki, ani wygrane, ani to, że wina będzie zawsze po jednej stronie, a racya zawsze po drugiej. Po jednej stronie tysiące i dziesiątki tysięcy grzeszn. w mętach, w biedzie, po drugiej, przeciwnicy a pomiędzy tymi i tamtymi przepaść tak głęboka, jak niedola sama. Nie pomogą cierpliwość, łagodność, zgodność w biedzie i nędzy wspólnej, których tu znajdziesz

tyle, ile, śmiej wnosić, dżentleman tu obecny mógł widzieć objeżdżając chociażby świat cały. Słońce raczej złodowieje a rzeczy się nie zmieniają, bo ci, co mają w rękę władzę, traktują tysiące te i dziesiątki tysięcy jak figury, maszyny bez pamięci, serca, popędów, potrzeb, bez duszy, w której bądź co bądź tli nadzieja czegoś lepszego. Zarzucają nam wieczyście brak uczuć ludzkich i dlatego to może nie na to poradzić nie można, chyba zmienić doszczętnie to co Bóg stworzył.

Stefan stał w drzwiach otwartych, czekając jednak czy nie zapotrzebują jeszcze czego od niego.

— Wstrzymaj się! — zawołał pan Bounderby — wstrzymaj! Czy przypominasz sobie jakim ci, przy ostatniej tu twej bytności doradzał, abys dał spokój głupstwu? Potem wszystkiem wyłazi koniec złotej łyżki, której się każdemu z was zachciewa.

— Mówiłem, bo mię pytano! — rzekł Stefan.

— Rzecz jasna jak dzień — twierdził pan Bounderby — że należysz do tych pysków, zawsze skarg i utyskiwań pełnych, co sieją bunt, opór i niezgodę. Na tem ci schodzi życie mój ptaszku!

Stefan wstrząsł głową przecząco. Co innego miał do roboty w życiu.

— Masz pysk tak zrzędny, plugawy, nieprzejednany, że nawet własny twój „Związek“, ci co ciebie nawskroś znają, znać cię już nie chcą. Sądziłem, że nigdy w niczem nie mają racyi, a ot, w tem mają. Ot, po prostu i ja niechęć znać nikogo z was: ni tamtych, ni ciebie.

Stefan spojrział niespokojnie na mówiącego.

— Lepiej raz skończyć, skorośmy już zaszli tak daleko! — ciągnął pan Bounderby — możesz się wynieść gdzie ci się podoba, u mnie pracy niemasz.

— Panie! — rzekł z naciskiem Stefan — pan wie przecież, że jeśli u pana stracę pracę, nie dostanę jej tu gdzieindziej.

Lecz na to pan Bounderby odpowiedział tylko:

— Ja wiem co wiem, i ty wiesz co wiesz. Skończono.

Stefan Spojrzał na Ludwikę, lecz ta nie patrzała na niego. Ciężko westchnął, mówiąc cicho, bardzo cicho:

— Niech nas niebo wspomóż.

Westchnął i wyszedł.

#### Rozdział VI.

#### Więdnąc.

Ciemno już było, gdy Stefan opuścił progi pana Bounderby. Cienie zapadały tak szybko, że wychodząc nic przed sobą nie widział a tem mniej myślał w tej chwili o dziwacznej staruszce, którą był tu niegdyś spotkał. Dopiero słysząc kroki za sobą, odwrócił się i spostrzegł ją w towarzystwie Racheli.

Tę ostatnią spostrzegł naprzód, spostrzegłszy zapatrzył się na nią.

— Ty to, Rachelo! A! i pani tu!

— Co! dziwisz się i nie bez racji — odparła starowina. Znów jestem, jak mię widzisz.

— Ale jakim sposobem z Rachelą? — pytał Stefan, miarkując swe kroki i idąc obok kobiet.

— Ot, zdarzyło mi się spotkać tę pocziwą dziew-

czynę jak niegdyś ciebie — odparła wesoło staruszka. W tym roku przybywam później, znacznie później, niż zwykle. Doznaję często duszności, braku oddechu, co mię zniewoliło czekać aż się pogoda ustali. Nie mogłam też już jak dawniej, odbyć podróz w jednym dniu; musiałam rozłożyć na dwa; nocować w drodze, w bardzo porządnym, schludnym zajeździe nieopodal stacyi kolei żelaznej; wyjechałam pociągiem o szóstej rano. Ale powiesz może, że to nic nie ma do tej dziewczyny. Otóż powiem ci, słyszałam że się pan Bounderby ożenił. Czytałam o tem w gazetach, możeś też czytał? Opis pyszny, mówię ci przepyszny! — Staruszka wpadała w zapał. — Otóż — ciągnęła — przybyłam, by zobaczyć tę jego żonę. Nie widziałam jej jeszcze. Czy uwierzysz, od dziewiątej rano stoję tu a nie wyszła ani razu. Myślę sobie, poczekam jeszcze chwilkę i raz, drugi mijam tę dziewczynę. Podobała mi się bardzo, pocziwie wygląda! Więc i zagadałam do niej, odpowiedziała mi i oto wszystko — kończyła gadatliwa babina.

Stefan musiał znów przewyciężyć instynkowy jakiś wstręt do starowiny, chociaż uprzejmą była, wesołą, dobroduszną. Z wrodzoną sobie delikatnością zaczął mówić o tem, co ją najbardziej zdawało się zajmować, dogadzając dziwacznej ciekawości.

— Widziałem ją dopiero co — mówił — młoda, ładna, ma piękne ciemne oczy, a taka jakaś dziwna! Nigdy mi się jeszcze Rachelo, nie zdarzyło spotkać podobnie dziwnej kobiety.

— Młoda, ładna! — wołała uradowana staruszka.

Jakżeby mogła nie być młodą i ładną? A zdrowa, rumiana? Szczęśliwa, szczęśliwa kobieta.

— Zapewne — wybełkotał Stefan, z powątpiewającym na Rachelę spojrzaniem.

— Szczęśliwa, musi być szczęśliwą, najszcześliwszą z kobiet — twierdziła staruszka — skoro jest żoną twego pracodawcy.

Stefan skłonił głowę.

— Co do pracodawstwa — rzekł spoglądając znów na Rachelę — rzecz skończona. Rozstaliśmy się właśnie.

— Wymówiłeś mu robotę? — spytała szybko zaniepokojona Rachelą?

— Mniejsza z tem kochanko — odrzekł — czy sam wymówiłem, czy mnie wymówiono, dość że jej już nie mam. Może tak i lepiej. Myślałem o tem właśnie, gdyś nadeszła. Zostając tu dłużej, wywołałbym same nieporozumienia. Dla wielu względów lepiej będzie, gdy odejdę... może i dla mnie samego. Zresztą, jak jest tak jest! muszę odejść i nowe rozpocząć życie.

— Gdzież się udasz? — spytała dziewczyna.

— Nie myślałem jeszcze o tem — odrzekł zdejmując kapelusz i ocierając chustką czoło. Ale nie odchodzę przecie dziś jeszcze, ani jutro. Będzie czas pomyśleć o wszystkim. Odwaga wróci do serca.

Podtrzymywało go to, że nie samym tylko sobą zwykł się zajmować. Zaledwie bowiem zamknął za sobą ciężkie drzwi domostwa pana Bounderby, zaraz pomyślał o Racheli i o tem, że jego wydalenie z Coketown'u na dobre jej wyjść może. Nie złączą ich razem przynajmniej we wspólnej kłątwie, gdyż wiedział, że Rachelą nie odwróci się od niego. Chociaż kosztowało go

nie mało to rozstanie, chociaż wiedział, że wszędzie, gdzie się uda dosięgnie go potępiający towarzyszy wyrok, wolał to od męki ostatnich dni. To też szczerze mówił uspakajając Rachelę.

— Nie tak to trudno będzie jak zrazu sądziłem.

Zresztą nie jej rzeczą było dodawać mu ciężaru; więc się uśmiechnęła uspakajająco i zachęcająco.

Szli dalej.

Wiek podeszły, zwłaszcza rzeźki i pogodny, obudza u ludu cześć wielką. Nieznajoma staruszka była tak wesołą, niedbałą o widoczny, odkąd ją Stefan widział, ubytek sił i zdrowia, że i on i Rachelą zajęli się nią serdecznie. Nie zgodziła się na to, by przez wzgląd na nią zwolnili kroku. Dreptała przy nich rada, że się wygadać może. Gdy doszli do ulicy, przy której zamieszkiwali, rozgadana była, ożywiona.

— Wstąp proszę do mojej ubogiej izdebki — zapraszał ją Stefan. Rachelą też wstąpi. Wypijem razem herbatę, potem sam cię odprowadzę na dworzec kolei. Rachelo! wiele zapewne czasu upłynie zanim się znów zobaczymy.

Zgodzono się na jego propozycję i wszyscy troje weszli w ciasny zaułek. Stefan wznosił instynktowo wzrok niespokojny ku oknu swej izdebki z uczuciem trwogi, które go zdejmowało codzień, gdy wracał na noc do domu. Szczęściem okno otwarte było, a w izdebce pusto. Zły duch jego życia nie pokazał się od kilku miesięcy, gdzieś się zaprzepaścił. Niezwykle ogołocenie i większe niż przedtem ubóstwo w izdebce, były jedynym śladem ostatniej tu bytności pijacki.

Zapalił świecę, postawił na stole tackę, zszedł na

dół do sklepika po gorącą wodę, po szczyptę herbaty i trochę cukru; przyniósł też bochenek chleba i masła kawałek. Chleb był świeży, chrumszczący, masło nie jelkie, cukier słodki... Mieli rację miejscowi magnaci, oskarżając wyrobniczą ludność Coketown'u o książęce zbytki! Rachelą zaparzyła herbatę a Stefan zejść musiał raz jeszcze na dół, dopytać parę filiżanek, gdyż książęcy jego kredens nie był przygotowany na przyjęcie tak licznych gości. Lekko mu było na sercu. Od kilku dni stracił świadomość towarzyskości a świat stał szeroko otworem przed popijającym herbatę wyrobnikiem, tak samo, jak przed magnatem. Nie byłże to przekonywujący dowód o braku przezorności tych klas społecznych! Uderzający dowód!

— Nie pomyślałem nigdy o tem, by spytać panią o jej nazwisko — rzekł Stefan popijając herbatę i spoglądając na swego gościa.

Staruszka przedstawiła się jako pani Pegler.

— Wdowa, wnoszę.

— O! od dawna! Mąż mój był archiwistą i to jakim jeszcze! Ale umarł, chyba zanim się urodziłeś?

— Smutno tracić dobrego i kochanego męża. A dzieci...

Łyżeczka w rękę staruszki zadzwoniła o brzeg filiżanki.

— Nie mam — zabelkotała — nie mam teraz.

— Pomarły — upomniała Rachelą łagodnie Stefana.

— Przepraszam za nieuwagę — tłumaczył się — najmocniej przepraszam, żałuję żem dotknął bolącej rany.

Łyżeczka w drżącym ręku staruszki dzwoniła coraz głośniej o brzeg filiżanki.

— Miałam syna — rzekła zmieszana, bardzo zmieszana — powiodło mu się na świecie świetnie! O! świetnie! Ale, nie mówmy o tem! — wstrzymała się, ręką zrobiła znak, jak gdyby powiedziec chciała „umarł“, szybko jednak i sucho dodała:

— Alem go straciła.

Stefan nie mógł odżalować, że wywołał bolesne dla gościa wspomnienie, w tem gospodyni sklepika zapukała do drzwi, a wywoławszy go na schody, oznajmiła coś szeptem. Pani Pegler nie była wcale głuchą i pochwyciła coś ze słów sklepiarki.

— Bounderby! — zawołała zrywając się z miejsca i wodząc po izdebce obłąkanym wzrokiem. — Bounderby!

— O! skryjcie mię, schowajcie. Na rany Chrystusa, schowajcie! Niech mię nie dostrzeże. Nie puszczajcie go tu zanim wyjdę.

Rzucała się zmieszana, wystraszona, drżąca, chwytając za plecy Racheli, która, zdziwiona, starała się ją uspokoić.

— Ależ to nie pan Bounderby, tylko jego żona — upewniał niemniej od Racheli zdziwiony Stefan. — Nie bój się jej pani. Przed godziną jeszcze także pragnęła ją zobaczyć.

— Czy prawdę mówisz i pewien jesteś, że to ona a nie On — pytała, drżąc na całym ciele staruszka.

— Ale najpewniej.

— W takim razie, — mówiła spieszenie — niech nikt do mnie nie mówi, nie patrzy na mnie, nie zwraca uwagi, a ja się tu schowam w tym kąciuku.

Stefan zgodził się, patrząc pytająco i zdumiony

na Rachelę, która również zdumiona, wyjaśnić tego co zaszło nie umiała. Wziął ze stołu lichtarz, by przyświecić wchodzącej na ciemne i strome wschody Ludwice. Za nią szedł brat jej. Rachelą stała na uboczu, z chustką na rękę, gotowa odejść. Zdumiony niespodziewanemi i niezwykle odwiedzinami Stefan, postawił świecę na stole, kłaniając się nisko i oparł się o stół wyczekując, aż pani Bounderby przemówi pierwsza.

Po raz to pierwszy Ludwika wchodziła na poddasze, do mieszkania wyrobnika, po raz pierwszy zetknąć się miała z osobnikiem z tej ciżby, którą dotąd uważała jako zbiorową siłę. Liczyła ją na setki i tysiące, wiedziała co i ile wydziela z siebie pracy, ile po temu użytkować musi wysiłku i czasu; widywała roje wchodzące i wychodzące z fabryk, nakształt pszczoł z ula i mrówek z mrowiska, lecz po za tem obznajomioną była bardziej z obyczajami pszczoł i mrówek, niż roboczej ludności rodzinnego swego miasta.

Tyle a tyle pracy i płacy tyle; coś z góry określonego przez prawodawstwo; coś co się przeciw tym prawomocnym określeniom i postanowieniom raz wraz burzy; zastosowanie ich utrudniając, coś zagłodzonego gdy chleb drożeje, wypasione go gdy spadną zboża ceny; coś, co statystycznym wykazom dostarcza taki a taki procent urodzeń i śmierci, małżeństw i zbrodni; głuche i głębokie fundamenty majątku niejednego przemysłowca; morze zwykle spokojne, lecz groźne bardzo w przyływach i wzburzeń godzinie, oto jak się przedstawiała Ludwice robotnicza ludność Coketown'u, lecz, żeby masę tę zbitą w całość, rozłożyć na jednostki, na ludzkie, morze na krople oddzielne, a stanowiące

zwartą w sobie całość, o tem do wieczora tego, nie pomyślała nigdy.

Stała na progu izdebki, rozglądając się po niej. Sprzętów ubogich parę, książek kilka, i w głębi dwóch niewieściach postaci mętne zarysy.

— Przyszłam, by pomówić o tem, co dziś zaszło, — poczęła, zwracając się do Stefana. — Pragnęłabym być użyteczną, dopomóż w czem mogę. Czy to żona?

Wskazała głową Rachelę, spotkała się z jej spojrzeniem i wyczytała z niego przeczenie. Rachel spuściła oczy.

— A, przypominam sobie — ciągnęła, czerwieniąc się całą Ludwika. — Przypominam, słyszałam o domowej tu niedoli, tylko zapomniałam... lecz nie chciałam, o nie! obrazić kogo bądź... Jeśli w pytańiach moich będzie coś obrażającego lub niestosownego... proszę mi wybaczyć... nie wiem tu, bo doprawdy jak przemawiać...

Jeśli przedtem, w salonie pana Bounderby, Stefan instynktowo zwracał się do niej, tu, w ubogiej izdebce wyrobnika, pani Bounderby, równie instynktem wiedzioną, zwracała się do stojącej w głębi izby Racheli. W głosie i wzięciu się Ludwika była nagłość, połączona z dziwną nieśmiałością.

— Musiał opowiedzieć co zaszło pomiędzy nim a moim mężem — mówiła, zwracając się do Racheli, lecz wskazując głową Stefana. — Szukać pociechy, porady!

— Wiem tylko jak się to skończyło — odrzekła spokojnie Rachelą.



— Czy mam z tego wnioskować, że wydalony ztąd robotnik nie znajdzie łatwo gdzieindziej pracy? Zdaje mi się, że wspominał o tem.

— I istotnie. Mało szans ma wydalony i pozbawiony dobrego imienia człowiek.

— Na czem się zasadza złe imię?

— Na opinii wichrzyciela.

— Więc ciężyc mają na nim niesłuszne oskarżenia z jednej strony własnej braci, z drugiej... I czyż pomiędzy temi dwoma, tak głęboka istnieje przepaść, że niema miejsca w tem mieście dla człowieka, chcącego uczciwie pracować?

Rachela skłoniła w milczeniu głowę.

— Popadł w podejrzenie u współpracowników i towarzyszy, niechcąc przystąpić do związku? — ciągnęła pytając Ludwika — gdyż obiecał komuś, że tego nie uczyni. Wnoszę, że obietnicę tę tobie chyba uczynił? Czy mogę cię spytać, co go do tego pobudziło?

Łzy potoczyły się po twarzy Racheli, grube gorące, szybkie!

— Nie wymagałam tego! — mówiła. — Pragnęłam tylko oszczędzić mu zgrzyot. Dość ich już miał nieborak! Nie przypuszczałam, że się przyczynię tem do zwiększenia jego niedoli. Znam go, wiem, że tysiąc śmierci przeniesie raczej, niż złamię dane słowo! O! znam go! znam dobrze.

Stefan słuchał w milczeniu, ze zwykłym sobie spokojem, zamyślony, ze skrzyżowanemi na piersiach ramionami. Gdy przemówił, głos mu drżał jednak.

— Nikt, oprócz mnie, nie wie, wiele czci, przywiązania i uszanowania mam dla Racheli. Nikt nie

wie i wiedzieć nie może, jak dalece zasługuje ona na to, ani czem była dla mnie. Była mi aniołem opiekuńczym i szczerzy byłem dając jej słowo, którego nie cofnę nigdy.

Ludwika zwróciła się do mówiącego, skłaniając przed nim mimowoli głowę, z obcem sobie dotąd uczuciem głębokiego uszanowania. Spojrzała znów na Rachelę i twarz jej o naprężonym jakimś wyrazie, złagodniała. Głos też złagodniał w cichem, zwróconem do tkacza pytaniu.

— Cóż poczniesz teraz?

Stefan zdobył się na uśmiech.

— Jak Bóg da, pani. Opuściwszy Coketown, gdzieś znajdę może jaki taki zarobek. Uda się, nie uda, rzeczą moją wszelkich dolożyć starań, by się udało. Muszę przecie coś przedsięwziąć.

— A jak odbędziesz podróż — spytała ciekawie Ludwika?

— Pieszko, dobra pani! naturalnie pieszko.

Ludwika zaczerwieniła się po szyję, wyciągnęła z kieszeni kieskę; zaszeleściły pieniądze; położyła coś nieśmiało na stole.

— Rachelo, — rzekła łagodnie, zwracając się do wyrobniczy; — powiedz mu, proszę... potrafisz to uczynić nie obrażając go, nie raniąc... powiedz proszę, że chcę mu pomódz... na drogę... poprosz, niech przyjmie.

— Nie moja to rzecz, — odpowiedziała, odwracając głowę Racheli. — Bóg ci zapłać dobra pani, żeś pomyślała o biedaku, ale nie moja rzecz wskazywać mu co ma czynić. Sam on najlepiej wiedzieć o tem może.

Ludwika patrzyła zdziwiona, niedowierzając temu co widzi, podbita prostotą i godnością biedaków, cichą łagodnością wyrobnika, tak pewnego siebie przed godziną w jej salonie i wobec jej męża, a teraz stojącego przed nią z ukrytą w dłoniach twarzą. Cofnęła się, jak gdyby się bała go zranić!

— Ani nawet słowa Racheli — rzekł wzruszony — nie potrafią coś dodać do dobroci pani. Przyjmuję, aby mię pani nie posądziła o niewdzięczność. Przyjmę, ale tylko dwa funty, i z tem, że je, da Bóg, kiedyś zwrócę. Nigdy mi się chyba praca nie zdała tak lekką, jak lekką będzie, z wdzięczną myślą o tem: jak i od kogo dług ten zaciągniętym został.

Ludwika zmuszona była wziąć ze stołu położony na nim bilet i zamienić na mniejszą kwotę, tę, którą Stefan chciał przyjąć. Nie był on ani wytwornym, ani pięknym, ani młodym, bynajmniej nie malowniczym, lecz biorąc w milczeniu i bez dalszych podziękowań pieniądze z rąk jej drobnych, białych, tyle miał godności, na ileby synowie pierwszego lorda zjednoczonych trzech królestw pracować musieli przez pokoleń wiele.

Przez cały ten czas Tomcio siedział na krawędzi łóżka Stefana, uderzając niedbale laską w podłogę. Teraz, widząc, że się siostra zbiera do wyjścia, porwał się na obie nogi, mówiąc z niezwykłym pośpiechem.

— Chwilkę Ludko! Chciałbym mu coś powiedzieć. Przypomniałem sobie! Wyjdź ze mną kochanku na wschody, a powiem ci! Nie! nie bierz świecy, niepotrzeba! niepotrzeba!

Stefan wyszedł za nim na ciemne wschody. Tomcio

zamknął za sobą drzwi, nie wypuszczając z rąk klamki.

— Sądzę — szeptał szybko — sądzę, że mogę się też czemś ci przysłużyć. Nie pytaj jak, gdyż nie wiem jeszcze jak mi się to uda. Spróbuję.

Oddech jego przyspieszony, gorączkowy parzył twarz, pochylającego się ku niemu wyrobnika.

— Odźwierny z banku, z naszego, wezwał cię dziś do pana Bounderby, jeśli się nie mylę?

Stefan, w głębi serca dziwił młodzieńca się zmianom.

— Słuchaj! — ciągnął ten szeptem i pośpiesznie. — Kiedy zamierzasz wyjść z Coketown?

— Dziś mamy poniedziałek — liczył rozważnie na palcach wyrobnik. — Więc tak, w piątek, sobotę.

— W piątek, sobotę — powtórzył Tom. — Nie wiem doprawdy czy mi się uda, ale spróbować nie szkodzi. Siostra moja spieszy do domu — w dwóch tedy słowach. Znasz z widzenia naszego odźwiernego?

— Znam.

— Otóż, którego wieczoru, wyszedłszy z fabryki, któregobądź wieczoru przed piątkiem, sobotą, przyjdź pod bank i postój tam, poczekaj godzinę jaką. Na odźwiernego nie zwracaj żadnej uwagi. Wyślę go ze zleceniem wówczas dopiero, gdy pewny będę swego. Zrozumiałeś?

Porwał był po ciemku za guzik od surduta wyrobnika, kręcąc go w drżących, nerwowych palcach.

— Zrozumiałem.

— Pamiętaj, nie pomyśl się, nie zapomnij, bo wszystko byłoby na nic. Wyszedłszy ztąd, opowiem

siostrze, co mam na myśli... Pewnie pochwali. Więc zrozumiałeś, będziesz pamiętał? przed bankiem, co wieczór, czekaj...

— Służę ci, służę Ludko — rzekł, wypuszczając z drżących palców guzik od surduta wyrobnika i otwierając drzwi do izby. Nie czekał jednak, by wyszła, i by im poświęcono na wschodach, zbiegł pierwszy po ciemku i w ciemnej dopiero uliczce podał siostrze ramię.

Pani Pegler, pozostała nieruchoma w kątku. Gdy Stefan, sprowadziwszy Ludwikę ze wschodów, wrócił ze świecą do izdebki, zastał ją ożywioną, zachwyconą „tą kochaneczką“. Starowina nie wiedziała sama co plecie, wystraszoną zresztą jeszcze była; a nuż wróci jej „kochaneczka! kotka“. A nuż, broń Boże, nadejdzie kto inny? Oglądała się na drzwi trwożliwie. Późno zresztą było, ludzie pracujący wstają wczesnie, więc i Stefan z Rachelą, odwieźli ją na dworzec kolei żelaznej.

Teraz wracali sami, a w miarę jak się zbliżali do rogu zaułku, przy którym mieszkała Rachelą, słowa zamieniane pomiędzy nimi cichsze były i coraz rzadsze. Na rogu zatrzymali się, milcząc. Zdawało się, że i on i ona boją się przemówić.

— Postaram się, — począł wreszcie Stefan — spotkać się z tobą przed odejściem ztąd, jeśliby mi się to jednak nie udało...

— Nie uda ci się, wiem — przerwała mu. — Możemy i powinniśmy mówić z sobą otwarcie. Bądźmy odważni!

— Masz rację, masz zawsze rację! Myślałem

droga moja, że lepiej będzie, gdy cię nie zobaczą ze mną. Mogłoby cię to narazić na przykrość.

— Nie to — przerwała mu znowu. — Nie o tem, wcale nie o tem, myślałam...

— Dobrze! dobrze! zawsze tak będzie lepiej.

— Napiszesz mi... o wszystkim napiszesz!

— Napiszę. Niech ci Bóg za wszystko nagrodzi, zapłaci... Niech cię ma w swej pieczy.

— I ciebie także Stefanie! biedny, kochany Stefanie! Niech cię wspiera w tułaczem życiu. Obyś znał wreszcie spokoju!

— Mówiłem ci, — mówił przyciszonym głosem — pamiętasz noc ową? Mówiłem ci, że nie pomyślę nigdy o tem co boli mię lub gniewa, oburza, nie myśląc zarazem o tobie, o tem, ile lepszą, godniejszą odemnie jesteś. Teraz nawet odchodzę od ciebie wzmocniony, pokrzepiony. Bóg ci zapłaci, Bóg zapłaci!

Żegnali się szybko na rogu ulicy, lecz chwili tej oboje zapomnieć nie mieli. Co powiedzą na to ekonomiści, wychowawcy ludu, rachmistrze faktów, samych pozytywnych faktów. Lepiejby lepiej uprawiali w sercach ludu, póki czas, uczucia słodkie co cierpiących, złamanych przeciwnymi losy lub życiem, podtrzymać same są zdolne w chwili próby lub upadku. Lepiej. — Inaczej groźną być może chwila, w której zaniedbany ideał zwróci się przeciw pozytywnym wychowawcom i przewodnikom.

Stefan stał za warsztatem nazajutrz i nazajutrz jeszcze. Stał milcząc, nikt doń nie przemówił, on do nikogo, wszyscy go unikali. Na trzeci dzień zatrzymał się warsztat, przy którym zwykł był pracować.

Przez dwa pierwsze wieczory stał też przed bankiem, w umówionem z Tomciem miejscu. Trzeciego dnia stał tu i wyczekiwał dłużej, całe dwie godziny, bojąc się stracić coś, jeśli nie będzie na stanowisku, gdy go w imieniu młodego Gradgrinda zawezwie odźwierny.

W oknie siedziała niemłoda dama z czarnymi brwiami i spóścistym nosem, ta sama, którą niegdyś widział w salonie pana Bounderby. Odźwierny podchodził też często do okna rozmawiając z tą damą, lub wychodził na ulicę i stał sobie na progu domu. Za pierwszym razem zdawało się Stefanowi, że się doń zbliżył z zapowiedzianem poselstwem, lecz rudowłosey i piegowaty chłopak zerkał nań tylko wyblakłemi źrenicami.

Wystać tak na miejsce, po kilkunastu godzinach pracy przy warsztacie, nie łatwo. Stefan przykucnął na chodniku, oparł się o ścianę, znów wstał, chodził tam i nazad, lecz zawsze w pobliżu banku, wsłuchiwał się w bijący gdzieś zegar, przypatrywał dziatwie igrającej na ulicy. Po upływie pierwszej daremnej oczekiwania godziny, czuł niesmak jakiś, niepokój. Zdało mu się, że wszyscy nań zwracają uwagę, że wygląda podejrzanie.

Z kolei nadszedł zapalacz latarni i dwa rzędy świateł zapaliły się, wzdłuż mglistej i we mgłach ginającej ulicy. Pani Sparsit zamknęła okno, w którym zwykle siadywała i poszła do swego pokoju na górę. Za nią dążyło światelko, migocąc w oknach wschodowej klatki, oświetlając okna górnego piętra. Wkrótce potem ktoś uchylił okienicę na pierwszym piętrze i zdawało się Stefanowi, jakby znów poczuł na sobie oko

rudowłosego odźwiernego, potem ktoś uchylił okienicę wyżej... Czy go śledziła pani Sparsit, z pod podniesionej brwi czarnej? Zapowiedziane poselstwo nieprzychodziło. Po dwugodzinnem wyczekiwaniu, Stefan zmęczony, wracał do siebie, rad w głębi duszy, że się to już skończyło.

Pozostawało mu pożegnać gospodynię, sklepikarkę, i przespać się jako tako, na podłodze, bo w izdebce zupełnie było pusto, a węzelek jego ułożony do drogi. Wyjść chciał rano, bardzo wcześnie, zanim robotnicy wyjdą na miasto.

Zaledwie też dniało, gdy wyszedł ze swej izdebki, obrzuciwszy ją ostatniem spojrzaniem, myśląc z bólem serca, czy też wróci tu kiedy. Miasto zdawało się opustoszałe. Drzwi i okienice nie otwierały się jeszcze. Jutrzenka zaledwie się zarysowała na bladym niebie, wyglądającym jak w mgłę spowite morze.

Po przez zaułek, przy którym mieszkała Rachel, chociaż to mu było z drogi, po przez puste ulice, wzdłuż domów z czerwonej cegły, wzdłuż długich i wysokich fabrycznych zabudowań, wzdłuż drogi żelaznej, przy której, blednąc w dziennym brzasku, dopalały się jeszcze nocne latarnie, wzdłuż pustych, niezabudowanych podmiejskich placów, o zasypanej pyłem i węglem murawie, wzdłuż dróg błotnistych i tem podobnych miasto, a zwłaszcza już miasto fabryczne otaczających szperot, dotarł do wzgórza poza miastem, na którym przystanął.

Teraz dzień oblewał miasto, a wszystkich fabryk dzwony wołały robotników do pracy. Ognie nie były jeszcze rozpalone, ani w prywatnych domach, ani pod

olbrzymimi fabrycznymi kotłami, więc i zwykle dymy nie słały się nad miejskimi dachami, nie zastaniały jasnych obłoków. Za godzinę, za pół, wzbijają się w górę brudnym, cuchnącym tmanem, lecz temczasem, na krótką chwilę, szyby paliły się w porannem słońcu i mieszkańcy Coketown'u mogli się naocznie przekonać że ono istnieje.

Dziwną mu się zdała poranna zamiana świstu fabrycznych kominów, na ptactwa świegot. Dziwnie zdawało mu się stąpać po ziemi, nie po kamieniach i węglowych opadkach. Przeżył życie całe a po raz pierwszy dopiero poznawał czem być może poranek dnia letniego. Z sercem pełnem tęsknoty, głową rozmarzoną i węzłem pod pachą stał długo, wpatrzony w ścielącą się przed nim, w dal biegnącą szlakiem drogę... Westchnął, myśląc o wiernem, kochającym sercu, które pozostawił poza sobą.

## Rozdział VII.

## Podkop.

Pan Harthouse szybko czynił postępy. Tu trochę jazdy i wizyt w politycznych widokach, tam nieco więcej niedbalstwa i znużenia, tu i tam jak najwięcej przybranej poczciwej niby jakiejś szczerości o najniepoczciwszych rzeczach, a najpopłatniejszy to bodaj z powszednich grzechów — a wyrobił sobie opinię nader obiecującego człowieka. Nie spieszył nigdy, nie dziwił się niczemu, nie brał do serca, przyjmował spełnione fakty za spełnione, a ludzi odmiennych przekonań miał za obłudników.

— Którym nikt z nas nie wierzy, nieprawdaż kochana pani! — mawiał od niechęcia do Ludwiki — i którzy sami sobie nie wierzą. Jedyłą różnicą pomiędzy nami a heroldami enoty, czy tam ucziwością, filantropii, mniejsza z tem czego! że wiemy ile to warte i mówimy o tem głośno, szczerze, gdy tanei nie wiele więcej od nas mają iluzji, tylko się do tego nie przyznają.

Czyż ją to raziło, czyż nie winno było ostrzedz? W każdym razie pokrewne to było zasadam w których ją wychowano, gdyż obie szkoły: pana Gradgrind'a i pana Harthouse'a, chociaż i różniły się w szczegółach, schodziły w zasadzie, obie bowiem zasadzały się na pozytywizm i materializm, odrzucając wszystko inne. Cóż Dżems Harthouse miał nadwężyć w duszy, którą pan Gradgrind z taką pieczołowitością wychował w swych zasad szkole?

Najgorszem było dla Ludwiki w danym wypadku to, że w duszy jej, obok starannie pielęgnowanego ojcowskiej szkoły poziomu, kiełkowały, bądź co bądź, nieodpowiednie pozytywnym zasiewom tęsknoty za czemś szerszem, wyższem, szlachetniejszym, budząc powątpiewań i niesmaków krocie! Powątpiewań, gdyż nikt we właściwej porze, tęsknot tych i pragnień, nie skierował ku odpowiednim im celom; niesmaków, bo to co ją otaczało zadowolnić jej nie mogło, pozostawiając w głębi serca osad żalu i goryczy. Na taki to grunt natrafiło apostołstwo pana Harthouse'a. Jego filozoficzne zasady godziły wiele rzeczy, rozwiązywały wątpliwości wiele. Skoro nic nie miało ceny, nie też w życiu swem nie poświęciła, niczemu się nie sprzeniewierzyła. Mniejsza

z tem, i „wszystko jedno“, jak mawiała ojcu, gdy się o nią terazniejszy mąż jej był oświadczył, mniejsza z tem i wszystko jedno! mawiała sobie teraz brnąć coraz dalej.

W czym? Krok za krokiem zbliżając się do nieuniknionego kresu, a to tak systematycznie a nieznacznie, że w dobrej wierze, sądziła się niewzruszoną jeszcze. Co do pana Harthouse, obojętnem mu było gdzie i kiedy dojdzie, nie układał żadnych planów, wyraźnych nie snuł zamysłów, na energiczne kroki właściwe mu znużenie zdobyć się nie mogło. Bawił się jak na takiego panicza przystało, a zabawka zajmowała go może nieco żywiej niż by się do tego chciał przyznać. Wkrótce, po przybyciu do Coketown'u, pisał do brata swego, szanownego członka parlamentu, że Bounderby to „stary błazen“, a jego samica bynajmniej nie jakaś stara i kwaśna Ksantypa, jak to sobie jadąc do Coketown'u wyobrażał, lecz owszem młoda i wcale przystojna. Potem nie już o nich nie pisał, lecz w domu ich i towarzystwie spędzał wszystkie swobodne od zajęć chwile, a chwil tych miał pod dostatkiem. Pan Bounderby wprawdzie, wierny zasadom swym i przechwałkom, głosił i upewniał, że nic sobie nie robi z towarzystwa wielkich panów, lecz żonie swej a córce Tomcia Gradgrind'a, pozwalał towarzystwem tem się zabawiać.

Pomału też pan Harthouse zaczął coraz częściej rozmyślać, jakby to przyjemnem być mogło, gdyby piękna a obojętna twarz Ludwiki mienić się mogła dla niego tak, jak się mieniła dla smyka, Tomcia.

Bacnym był obserwatorem, pamięć miał wyborną

i pamiętał każde słowo z przedwczesnych zwierzeń smyka. Wiążąc je z tem co widział, zaczynał rozumieć tę kobietę. Najlepsza, jej samej mało znana częstka jej duszy, umykała najpewniej jego baczności i domyślności, bo pomiędzy ludźmi, jak pomiędzy wód tonią dopiero „przepaść pociąga przepaść“, lecz wszystko inne przestało mu być zagadką.

Pan Bounderby był posiadaczem wiejskiej własności o jakie piętnaście mil za miastem, o mile czy dwie od kolei żelaznej. Przebywszy zburzone grunta, szyny, stopy węgla, szpał kupy, wjeżdżało się wśród łąnów zbóż, na okwieconą głógami, ocienioną drzew zieleńią drogę. Miejscowość ta należała przedtem do jednego z miejscowych magnatów, który chcąc podwoić fortunę, przerachował się w spekulacyach, zbankrutował na parę-kroć stotysięcy funtów, rzecz dość pospolita pomiędzy najprzeźorniejszemi magnackiem i rodzinami przemysłowców Coketown'u, która się wszelako nie zdarza nigdy o nieprzeźorność przez magnatów oskarżanych biedaków.

Zamieszkanie ustronia tego dostarczało najwyższej przyjemności chełpliwym usposobieniom pana Bounderby. Rozsiadł się tu jak głowa kapusty na kłobie kwiatów. Schlebiał mu rozkładać się obozowiskiem wśród wykwintnych przedmiotów. Zwłaszcza obrazy pobudzały jego chełpliwą werwę.

— Bo to widzi pan — mawiał do gości swych — słyszałem, że Nickits — poprzedni właściciel — zapłacił za ten morski widoczek siedm tysięcy funtów. Co do mnie, przyznam się otwarcie, że chyba bym spojrział na to siedm razy w życiu i to gdyby mi pła-

cono po tysiąc funtów za każde spojrzenie. Nie zapominam nigdy i nigdzie kim jestem. Joziasz Bounderby z Coketown, przez lata, przez długie nie posiadał innych obrazów jak etykiety od starych butelek szuwaksu, którym na ulicy czyścił buty przechodniom, lub pudełek od sardynek, wyrzucanych na śmietnisko.

Do pana Harthouse przemawiał zaś jak następuje:

— Harthouse, masz tu do swego rozporządzenia parę koni. Sprowadź sobie jeszcze szóstkę, jeśli ci się podoba, a znajdźmi i na to miejsce. Stajnie mam na dwanaście i ten dureń Nickits tyle ich słyszę trzymał. Bo to widzisz w dzieciństwie uczęszczał do szkoły w Westminster, na królewskiej słyszę bursie, wówczas gdy ja, jak mię tu widzisz, w tym samym czasie ogryzałem ogryzione już kości i siedziałem na śmietniku. Oho! gdyby mi się teraz zachciało trzymać cały tuzin koni! Mógłbym, lecz mi się niechce, jeden mi wystarczy! Zresztą serce by mi się krajało, gdybym ich los w moich stajniach porównał z tym, czem był mój los niegdyś! Fortuna kołem się toczy. Widzisz tę posiadłość, znasz ją, wiesz, że w całych może zjednoczonych trzech królestwach, nie ma drugiej równie wytwornej, wygodnej! Myślisz może, że dbam o to? Bynajmniej. Śród tych śliczności Bounderby czai się jak robak w orzechu. Tymczasem Nickits, słyszysz Nickits, co to się niegdyś uczył po łacinie i po grecku i za pan brat żył z paniczami w westminsterskiej szkole i rozsiadał się tu jak król na równi z arystokracyą, Nickits, słyszę, kurczy się gdzieś w dwóch ciasných izdebkach, na piątym piętrze, cuchnącego zaułku w Antwerpii.

Śród zieleni rozkosznego tego ustronia, przyszło raz na myśl panu Harthouse, spróbować, czy też na piękną twarz Ludwiki, potrafi wywołać uśmiechy i rumieńce, jakie wywoływać było dotąd przywilejem Tomcia.

— Szczęśliwym trafem zastaję dziś panią samą — mówił dochodząc do niej; — oddawna mam do pomówienia z panią.

Traf małą w tem wszystkim grał rolę. Była to chwila dnia, kiedy zawsze bywała w domu samą, a miejsce spotkania ulubionem jej miejscem, na skraju lasu, gdzie siadując na wywróconym pniu drzewa, przypatrywała się opadłym liściom, jak niegdyś w rodzicielskim domu, przypatrywać się zwykła była gaśnięcą w popiele iskrom.

Usiadł obok niej i spojrzał na nią.

— Brat pani, młody mój przyjaciel, Tomcio...

Zarumieniła się, spojrzała na niego z ożywieniem.

— Jako żywo — myślał, — nie widziałem nic śliczniejszego, bardziej pociągającego, jak te nagłe zmiany wyrazu jej twarzy.

Jego własnej twarzy wyraz mógłby go zdradzić, lecz Ludwice brakło doświadczenia.

— Daruj mi pani! Rozlany na twarzy pani wyraz siostrzanego przywiązania tak wdzięczny... szczęśliwy, Tom! ma z czego być dumnym! Daruj mi pani, nie mogłem się powstrzymać od uwielbienia...

— Takiś pan o tego skory!

— Nie pani! o nie! pani wie, bom z panią absolutnie szczerzy, pani wie dobrze, że zimny, egoista, do entuzjazmu nie skory, gotów sprzedać duszę, za odpo-

wiedną naturalnie sumę. Nie bawię się w sielanki, o nie:

— Czekam, — odpowiedziała mu — na to, co mi pan o Tomciu powie.

— Srogą pani jesteś, bardzo srogą, nieubłaganą! lecz zasługuję na to. Wiem, że nie wiele więcej wart od psa i całą moją zasługą szczerłość, absolutną szczerłość. Ale istotnie odbiegam od przedmiotu, którym jest brat pani. Interesuję się nim bardzo.

— Więc się pan interesujesz czemkolwiek — pytała go napół niedowierzająca, wdzięczna już na poly.

— Gdybyś mi pani postawiła to pytanie w dniu przybycia mego do Coketown'u, odpowiedziałbym: nie, po stokroć nie! Lecz dziś, choćby mi to nadało pozory chwiejności, choćby nie miało obudzić zaufania pani, powiem — tak.

Chwilę milczała.

— Wierzę — rzekła wreszcie; — wierzę, że się pan interesuje bratem moim...

— Dziękuję pani. Roszczę sobie do tego preten-sye, a pani wie jak mało ich roszczę... Pani tak przywiązana do Tomcia, całe życie pani jednym dowodem przywiązania i poświęceń — niech mi pani daruje, znów się zapomniałem... Tak, interesuję się bratem pani dla... niego, dla niego samego.

Słoszona zrazu, zrobiła ruch, jak gdyby się zerwać miała do odlotu. Ze zwrotem rozmowy pozostała na miejscu.

— Pani — ciągnął obojętnie, z naciskiem jednak pewnym ku podkreśleniu przymusu jaki sobie zadawał — trzeba wybaczyć tak młodemu jeszcze, jak

Tomcio dzieciakowi, jego roztrzepanie, zmienność, zamilowanie w zabawach i... przyjemnościach życia, krótko mówiąc skłonny on do marnotrawstwa. Wszak tak?

— Tak.

— Pani pozwoli mi być otwartym? Jak pani sądzi, czy Tomcio nie ma żyłki do gry?

— Może... — lecz że pan Harthouse milczał, wychekując bardziej stanowczej odpowiedzi:

— Tak jest — rzekła po chwili.

— Przegrywa, dużo przegrywa?

— Tak.

— Zwykła to kolej rzeczy! Czy mam wyznać pani, że się domyślam kto płaci za niego?

Siedziała ze spuszczeniem na pobladłą twarz rękami, teraz spojrziała nań z wymówką i badawczo.

— Niech mi pani wybaczy wstrętą na pozór ciekawość. Widząc jak Tomcio brnie w nieco zawsze niebezpieczne entrepryzy, chciałbym mu służyć czem mogę, smutnem mem bogdaj doświadczeniem. Czy mam znów upewnić panią, że tylko przyjaźń dla Tomcia jest mi pobudką? Mamże poprzysiąc na to?

Zdawało się, że odpowie, lecz milczała.

— I szczerze mówiąc — ciągnął pan Harthouse, siląc się na obojętność i nie kryjąc tego, że się na nią sili, — szczerze mówiąc, wątpię, by Tomciowi dobrze się powiodło. Czy też — niech mi pani wybaczy to co powiem — czy też, istnieje wzajemne zaufanie pomiędzy nim a czcigodnym jego ojcem?

— Wątpię, — odparła Ludwika, rumieniąc się i spuszczać oczy.



— Lub pomiędzy nim, a... — tylko niech mię pani zrozumieć raczy! — a jego najszanowniejszym szwagrem?

Rumieńce Ludwiki wzmagały się, cicho powtórzyła:

— Wątpię.

— Pani, — zaczął pan Harthouse, po chwilo-  
wem, namysłem jakimś zapewne, poświęconem milcze-  
niu, — niech mi pani zaufa, dla dobra Tomcia. Zna-  
czną już sumę Tomcio wyłudził od pani?

— Zechce pan wierzyć — rzekła po chwili wa-  
hania, a chociaż widocznie rozmowa ta kosztowała ją  
wiele, zachowywała zwykle sobie panowanie nad sobą, —  
zechce pan wierzyć, że odpowiadając na stawiane mi  
przez pana pytania, nie zamierzam bynajmniej uskar-  
żać się na co bądź, utyskiwać. Nie skarżę się nigdy,  
na nic. Nie żałuję niczego co robię.

— Odważna — myślał.

— Wychodząc za mąż, — mówiła — wiedzia-  
łam już że brat mój w długach, w ciężkich — to jest  
ciężkich dla mego biedaka i na opłacenie których mu-  
siałam sprzedać należące do mnie drobiazgi. O! bez  
żału! tak mało dbam o te rzeczy. Nie posiadają dla  
mnie żadnej wartości.

Czy istotnie wyczytała z jego twarzy, że się do-  
myśla, że drobiazgami temi były kosztowne, otrzymane  
od narzeczonego podarki, czy tylko pod własnego su-  
mienia zdradzieckim głosem, lecz oblała się purpuro-  
wym rumieńcem, który sam już zdradziłby jej tajem-  
nicę, wówczas nawet, gdyby miała do czynienia  
z mniej bystrym jak pan Harthouse ptaszkiem.

— Odtąd, — mówiła, opanowując zmieszanie —  
oddawałam bratu oszczędności moje. Ponieważ mówimy  
otwarcie, i na rozmowę tę wyzwana zostałam w imię  
Tomcia, będę zupełnie szczerą i niechęć ukrywać przed  
panem, że odkąd pan przybył do Coketown, Tom za-  
potrzebował niezwykle dużej sumy. Nie byłam w sta-  
nie dać mu tyle, dręczyło mię to i dręczy okropnie,  
jak z tak ciężkim długiem biedak poradzi sobie, lecz  
nie wspominałam o tem dotąd nikomu i teraz, zmu-  
szona do tego przez pana, czynię to niechętnie —  
skończyła ostro niemal.

Noszony to był ptaszek! Rozumiał, że zasłania-  
jąc się gagatkiem bratem, może jej mówić o niej  
samej.

— Pani, choć najniegodziwszy z istniejących pod  
słońcem niegodziwców, potrafię, wierz mi pani, ocenić  
położone we mnie zaufanie. Nie mogę znów absolutnie  
potępić Tomcia, chociaż podzielałam w zupełności zapa-  
trywanie się pani na... na jego lekkomyślność. Z ca-  
łem uznaniem dla niepospolitych zasług pana Grad-  
grind'a i pana Bounderby, pozwolę sobie powątpiewać  
o tem, czy stosownie z nim poczynali sobie? Reakcyja leży  
w naturze ludzkiej i przymusy wszelakie powetowane  
być muszą pierwej czy później. Intenccy wychowawcze  
bywają najlepsze, lecz zawodzą, zawodzą. Niezależność  
jaką się pan Bounderby szczyci, jest najpewniej je-  
dnym z najszacowniejszych rysów naszego narodowego  
geniuszu, a rys ten pan Bounderby wzbija aż do  
szczytu! Lecz... lecz nie załatwia to stosunku istotnego  
zaufania pomiędzy nim a... młodszem pokoleniem. Brak  
mu, jeśli się tak ośmielę wyrazić, tej miękkości, deli-

katności, która pociąga, zobowiązuje... Tak mi się przynajmniej zdaje.

Siedziała zapatrzona w ścielące się na trawie drzew cienie. Widział, że słów jego z natężoną słucha uwagą.

— Pomimo całego jednak mego pobłażania, — ciągnął — cięży na Tomciu błąd, którego mu wybaczyć nie mogę

Ludwika spojrzała mu bacznie w oczy.

— Za wiele już może powiedział, i lepiej byłoby może wcale nie mówić o tem.

— Przestraszasz mię pan! Mów pan szczerze!

— Spełnię rozkaz pani, by ją uspokoić, jakoteż w imię położonego we mnie zaufania, które wierzą mi pani cenię, nad wszystko cenię. Otóż, wybaczyć mu nie mogę jego obojętności dla najlepszej, najprzywiązańszej z sióstr. Wdzięczności i przywiązania nie zdradza niczem; za to co otrzymuje tak hojnie, wypłaca się, o ile widzę, nader skąpo. To co siostra jego dlań poświęca i czyni, wymaga chyba sowitszej zapłaty jak ustawiczna zrzędność, złe humory? Cały chłód, jakim przesiąkły jestem, nie oslepia mię na te braki brata pani, nie dozwala traktować je z pobłażaniem.

Drzewa tańczyły w jej napelniających się łzami oczach. Łzy przyływały gdzieś z głębi, samej głębi jej serca, powstrzymywane nadludzkim niemal wysiłkiem woli.

— Słowem, — ciągnął — najgorętszem mem pragnieniem byłoby wpłynąć na Tomcia, by się poprawił z tego największego już grzechu. Ku temu skierowałem wpływ, jakie doświadczony niestety! na

wszystkich manowcach, od których bym go właśnie ustrzedz pragnął, mieć na niego mogę. Powiedziałem wszystko, więcej może niż winienem był powiedzieć... Wygląda to może jak gdybym się chciał stawić za lepszego niż jestem! Ale na honor, nie miałem tego zamiaru. Lecz oto, — wskazał na drogę w lesie — spostrzegam śród drzew Tomcia. Może pójdziemy na jego spotkanie, bo w tę właśnie dąży stronę. Przy-milkł jakoś, posmutniał, zblakował w ostatnich czasach. Dręczy go może sumienie — jeśli notabene sumienie istnieje. Za wiele o tem ludzie mówią, by to prawdą być miało!

Pomógł jej powstać z miejsca, podał ramię, wyszli na spotkanie Tomcia. Ten szedł zamyślony, ścinając łaską głowy leśnego kwiecia, lub odrapując mchy przydrożne, a tak był tem zajęty, że poczerwieniał cały gdy się doń zbliżyli.

— Nie spostrzegłem was — burknął niechętnie.

— Czyż imię, — pytał wesoło pan Harthouse, kładąc rękę na jego ramieniu i popychając go z lekka naprzód, — czyje imię ryłeś na mchu zielonym?

— Imię? jako imię! Myślisz pewnie, że jakiej dziewczyny?

— Posądzam cię właśnie o to, mój młody przyjacielu!

— To się pan grubo mylisz. Nie mówię, jeśli by w dodatku był porządny posag. Wówczas, chociażby szpetną była jak wiedźma, chwyciłbym się jej oburącz i wypisywał jej imię na wszystkich mchach leśnych, piaskach drożnych, ba! na morskiej fali.

— Niewiedziałem, żeś tak interesowny.

— Interesowny? Któż z nas nim nie jest, spytaj pan raczej Ludki.

— Czy mi to masz do wyrzucenia, — spytała go spokojnie, nie zwracając uwagi na jego rozdrażnienie?

— Jeśli ci z tem dobrze, to co mi do tego, — odparł mrukliwie.

— Tomcio nie w humorze! — zaśmiał się pan Harthouse, — zdarza się to każdemu kto ma troski. — Niech pani nie zwraca na to uwagi. Wiem co o pani myśli. Dajmy mu czas uspokoić się, zmięknąć.

— W każdym razie, — odparł Tomcio, mięknąć istotnie pod wpływem podziwu, jaki w nim budził elegancki jego przyjaciel. — W każdym razie możesz pan poświadczyć, żem jej nigdy nie oskarżał o interesowność. Przeciwnie. Oddawałem jej sprawiedliwość i gotów jestem oddawać gdy się nowa nastęrczy po temu zęcność. Tymczasem, nie mówmy o tem. Kwestya to dla pana obojętna a mnie nie miła.

Zbliżali się do domu. Ludwika opuściła ramię pana Harthouse i poszła naprzód. Przystanął, patrzył za nią jak wstępowała na schody, i znikła we drzwiach. Teraz opuścił rękę na ramię jej brata.

— Mam ci Tomciu powiedzieć słów parę.

Stali pomiędzy kłębami róż. W chelpliwej swej pokorze, pan Bounderby utrzymywał we wzorowym porządku parter założony przez „durnia“ Nickits'a. Tomcio przysiadł na baryerce, zrywając i mnąc pączki kwiecica. Nad nim, z nogą opartą o baryerę, stał jego geniusz, czy tam demon!

Można było obu ich widzieć z okna pałacyku. Może też i Ludka patrzyła na nich.

— Co ci Tomciu!

— To... to, — odrzekł, wybuchając, — że mam wszystkiego tego póty.

— Tak właśnie jak i ja.

— Pan! Ależ pan jesteś doskonałym obrazem najszcześniejszej niezależności! wyobrażenia mieć nie możesz do czego doszedłem... siostra mogłaby ratować mię, gdyby chciała.

Szarpał w zębach zerwaną różę a ręka mu silnie drżała. Towarzysz przypatrywał mu się uważnie przez chwilę, potem zawołał niedbale.

— Czy nie za wiele żądał od siostry? Tyleś już jej wyciągnął pieniędzy! Uf!

— Wiem to dobrze, lecz zkądże bym brał? Stary Bounderby tylko się chelpi, że w moim wieku żył kromką chleba... niech go jasne!... Ojciec ze swym systematem, do którego wdrażał mię od urodzenia. Matka! ta chyba nie nigdy nie miała własnego, oprócz utyskiwań wiekuistych. Zkądże mam brać, jeśli nie od siostry?

Płacząc niemal tłómaczył się, a różę rwał i miał w rękę niemilosiernie.

— Ale jeśli siostra twoja nie dostała pieniędzy?

— Alboż mówię, że dostała? W tem rzecz, że trzeba było, bądź co bądź trzeba było dostać. Mogła to zrobić, mogła. Po co ukrywać! Wiesz pan i tak aż nadto dobrze jak rzeczy stoją. Niby to ona darmo wyszła za tego starego osła. Może dla jego łysiny, czy chelpliwości, czy co? Jeśli wyszła, by mi dopo-

magać, niechże pomaga. Gdy zechce, potrafi od starego wyłudzić; niby to nie rozumiem? Ale nie! Zamiast przymilić się, przypochlebić, siedzi jak bałwan lodowaty. Nie wiem jak to pan nazwiesz, ja to nazywam poprostu brakiem serca.

Przed terasą zagłębiał się staw błękitny. Pan Harthouse miał nieklamaną chętkę zepchnąć doń, siedzącego nad nim na baryerce chłystka. Zachował jednak właściwą sobie zimną krew i wody rozstrzącały dalej same rzucane w nie przez Tomcia, zmiętych róż pęki.

— Pozwól, że zostanę twym bankierem.

— Na Boga, nie wspominaj pan o bankach! — zawołał Tom błędąc, co widoczniejszem jeszcze było przy róży, którą ogryzał.

Pan Harthouse nadto znał świat, by się dziwić czemubądź — nie należało to do programu szkoły, której był żarliwym adherentem, taksamo jak nie należało do szkoły, w której zasadach Gradgrind młodszy został wychowany.

— Mów ile ci potrzeba — dwa, trzy bilety? Co? mówże.

Ale Tomcio płakał już na dobre, i lzy te niech lepiej od czynów jego świadczą o nim.

— Zapóźno — wybełkotał — nie potrzebuję już... przedtem, nie mówię... teraz... nie potrzebuję... Wdzięchen jednak jestem panu! Dowód to prawdziwej przyjaźni.

— Przyjaźń! Oj smyku, smarkaczu, głuptasku, myślał pan Harthouse, uśmiechając się od niechcenia.

— Wdzięchen jestem za dobre chęci, wdzięchen, — powtarzał Tom, ściskając mu ręce.

— Udawaj się do mnie w potrzebie, a pewnie ci lepiej poradzę niż sam sobie radzić potrafisz.

— Dziękuję panu, panie Harthouse. Żałuję, że wcześniej pana nie poznał.

— Słuchaj Tomciu — kończył Dżems — sam zrywając róż parę i oskubując je od niechcenia — każdy człowiek działać zwykł we własnym tylko interesie, i niechęć uchodzić za lepszego niż jestem. Do desperacyi doprowadza mnie — co prawda, desperacya owa objawiała się samem wzmocnionem znużeniem — postępowanie twe z siostrą twoją. Postarałbyś się tak, chociażby przez wzgląd na mnie, być bardziej dla niej uprzejmym, serdecznym.

— Jeśli sobie pan tego życzy...

— Tylkoż, proszę cię nie odkładaj spełnienie dobrych postanowień na potem, na kiedyś. Chwytaj dzieńek póki czas.

— Postaram się. Ludka wkrótce zaświadczy o tem.

— Zatem dobiwszy targu — kończył, uderzając Tomcia po ramieniu z poufalością starszego przyjaciela i mentora — musimy się rozstać do obiadu.

Gdy Tom zjawił się przed obiadem w salonie, zdawał się weselszym i odświeżonym.

— No, nie gniewaj się Ludko! — mówił, całując siostrę — wiem, że pocziwie z ciebie dziewczę. Bądźmy w zgodzie.

Dnia tego na ustach Ludwiki błyszczał uśmiech nie dla samego Toma.

— Tem lepiej dla niej, jeśli nie o samego tego smyka dbać będzie — myślał pan Harthouse, przypominając sobie, jak jej z nowym tym uśmiechem było do twarzy. — Tem lepiej dla niej.

## ROZDZIAŁ VIII.

## Wybuch.

Nazajutrz rano był zbyt pogodny, by go spędzać w łóżku, to też pan Harthouse wstał wcześniej i siedząc w szerokim oknie swego pokoju, palił jedno z tych wybornych cygar, które działały tak upajająco na Tomcia. Oddychał świeżym powietrzem, puszczając przed siebie sine i wonne kółka dymu, obliczał nakształt wytrawnego gracza, wygranę dni ubiegłych. Nie czuł tym razem zmęczenia i odświeżony umysł poświęcał niepodzielnie rachunkom.

Udało mu się wreszcie pozyskać zaufanie Ludwika, zadzierzgnąć porozumienia, z których mąż jej najzupełniej był wyłączonym. Udało mu się chytrze lecz absolutnie przekonać ją, jak jasno czyta w jej sercu nie mającem dlań tajemnic. Wdarł się w jej zaufanie przez jedyną dotąd otwartą furtkę jej serca i uczuć. Przekroczył nieprzekraczalny mur graniczny. Bravo! gracko się spisał!

A jednak i teraz jeszcze nie miał wyraźnie niemych lub zdrożnych zamiarów. Lecz w publicznym i prywatnym życiu, lepiej, stokroć lepiej spotykać ludzi złych do gruntu, niż takich jak on i jemu podobni obojętnych lekkoduchów, nie robiących sobie nic z niczego,

żyjących bez zasad i celu. Tacy podobni do kry, którą potok popycha, niesie, a o którą rozbijają się okręty.

Szatan, w postaci smoka, z czerwonym językiem, rogami, na pół łokcia długimi pazury, straszy samych dzikich lub naiwnych! Ale szatan wymuskany, uczesany, wyperfumowany wedle ostatniej mody, zarówno oswojony ze złem jak i z dobrem, igrający niby z siarką z grzechem i cnotą, nie potrzebuje posługiwać się smołą i płomieniem, by spełnić szatańskie zadanie.

Tak tedy pan Dżems Harthouse wyglądał sobie przez okno, w pogodny letni poranek, puszczał kółka sinego i wodnego dymu i obliczał ile uszedł drogi, na gruncie którym przechodził wypadkiem, od niechcenia. Wiedział do czego to dowieść miało, ale po co suszył tem miał sobie głowę. Będzie co będzie i tyle tego.

Że zaś w dniu tym miał na planie wycieczkę w dalsze strony, w celu kaptowania politycznych zwolenników dla partyi pana Gradgrind'a, której został wypadkowym filarem, ubrał się i wcześniej zszedł do stołowego pokoju. Ciekaw też był jak ją zastanie po dniu wczorajszym, czy się nie cofnie znów czasem z zwykłą swą chłodną i rozważną powściągliwością? Nie! Tem lepiej! Obdarzyła go wdzięcznym spojrzeniem.

Dzień mu przeszedł jako tako, na spełnianiu jakich takich zadań, jedno w drugie jak mu przechodziły zwykłe dni życia. Pod wieczór wracał na obiad i wjechałszy w aleję posiadłości bankiera, powstrzymał rozpęd konia, gdy z za krzaków wypadł jak bomba Bunderby, aż się spłoszył wierzchowiec pana Harthouse'a.

— Słyszałeś! — zawołał, wymachując rękoma bankier — słyszałeś!

— Co? com miał słyszeć — spytał jeździec, uspakajając dłonią spłoszonego wierzchowca, a w duszy klnąc „starego błazna“.

— Więc nie nie słyszałeś?

— Słyszę głos pański, i nie sam nie słyszę, konia zaledwie utrzymać mogę.

Ale pan Bounderby wrył się na środku drogi i wyciągając rękę przed pysk konia, splunął...

— Bank mi okradli!

— Nie może być!

— Okradli, mówię, zeszedł nocy, w najbezpieczniejszy sposób, podrobionym kluczem.

— No ile?

Pan Bounderby zdetonował się. Szło mu o wywarcie wrażenia, a suma którą musiał oznaczyć, nie pomagała do tego.

— Wiele to nie, ale... mogli okraść wszystko...

— Ależ ile?

— No tak, jeśli ci o to idzie, sto, sto z czemś — odpowiadał zniecierpliwiony bankier. — Lecz nie o sumę idzie, o fakt, o sam fakt. Dziwi mię, że tego nie rozumiesz.

— Rozumiem doskonale mój kochany, — mówił Harthouse, zsiadając z konia i rzucając stangretowi cugle — rozumiem i jestem o tyle zdumiony o ile zdumionym mię mieć chciałeś. Pomimo to, pozwolę sobie powinszować ci, że dyskretny złodziej, czy tam dyskretni złodzieje, poprzestali na takiej drobnostce, mogąc cię porządnie obskubać.

— Dziękuję — odparł sucho Bounderby. — W kasie było najmniej dwadzieścia tysięcy funtów.

— I zostało dziewiętnaście tysięcy dziewięćset!

— Ale uważaj — tłumaczył, zaperzając się Bounderby — mogło być dwa, trzy razy więcej i nie wiadomo czy złodziej zadowolnilby się taką drobnostką, jeśli go nie spłoszono.

Nadchodziła właśnie Ludwika.

— Córka przyjaciela mego Gradgrind'a, — pochwalił się bankier, nie wzięła rzeczy tak lekko. O mało nie zemdląła, gdym jej powiedział. Pocziwa dziewczyna!

Wyglądała blada i zmieszana, Harthouse podał jej ramię i prowadząc z wolna i uważnie, jął rozpytywać o szczegóły kradzieży.

— Opowiem sam — przebił Bounderby, podając ramię pani Sparsit. — Sam opowiem. Gdybyś się tak nie cieszył małością skradzionej sumy, jużbyś się dawno o wszystkim dowiedział. Znasz tę damę? dama to całą gębą! pani Sparsit.

— Mam honor.

— Tak! więc do rzeczy. I odźwiernego, Bitzer'a znasz?

— Zdaje mi się.

Postępujący za panią Sparsit Bitzer uklonił się, tracąc ręką piegowate czoło.

— Do rzeczy. Słyszałeś może, że pani Sparsit i Bitzer mieszkają przy banku? Wiesz? dobrze. Otóż wczoraj pod wieczór, po zamknięciu biura, wszędzie zaprowadzony został zwykły porządek. W żelaznej szafie, przy której sypia Bitzer, było... Ale mniejsza

z tem. W szufladzie pod kluczem Tomcia, z sum na codzienne rozchody, zostało jak raz sto pięćdziesiąt funtów i coś tam drobnemi.

— Sto pięćdziesiąt pięć, siedem szylingów i jeden pens — odpowiedział zawsze ścisły Bitzer.

— Cicho bo! nie przeszkadzaj, nie mieszaj się w nieswoje — ofuknął odźwiernego przemysłowiec. — Dość, że mię okradli, wówczas gdyś chrapał gdzieś w najlepsze, a tu mi jeszcze dodawać będziesz swoje czterdzieści siedem szylingów. Kto cię prosi! W twoim wieku nie miałem czasu na sen, nie dość się obżerałem by chrapać.

Bitzer potarł ręką czoło, wzruszony zapewne myślą o tem, co w młodości swej pan Bounderby przecierpieć musiał.

— Sto pięćdziesiąt funtów z górą — ciągnął pan Bounderby. — Tomcio wychodząc z biura, zamknął był w wiadomej szufladzie. Zamek nie osobliwy, prawda! ale nie w tem rzecz. Wszystko tedy było w należyłym porządku. Wtem wieczorem, gdy ten hultaj chrapał sobie w najlepsze... Pani Sparsit, wszak pani słyzała jak chrapać?

— Panie! — odrzekła zagadnięta, — nie mogę tego twierdzić. Mówiłam tylko, że w zimowe wieczory zdawało mi się słyszeć szmery... tak szmery, coś na kształt, jakby to powiedzieć? — nakształt odgłosów zardzewiałego, starego zegaru. Nie mówię tego bynajmniej, by rzucić cię najlżejszy chociażby na charakter tego chłopaka. Przeciwnie! znam go z najlepszej strony i najlepsze wystawić mu mogę świadectwo.

— Do rzeczy — odchrząknął zniecierpliwiony do

ostateczności pan Bounderby. — Chrapał, sapał, zgrzytał jak stary zegar, pał go! mniejsza z tem. Dość, że gdy spał w najlepsze, ktoś, co się zapewne przedtem zakradł do biura i skrył za szafą, a może pod stołem, pod kanapą, czy ja wiem gdzie! dobrał się do szuflady Tomcia, otworzył, i — pochłonął jej zawartość. Coś go w tem spłoszyło, więc pocichu, pomalutku do drzwi, na ulicę i uważaj, drzwi zamknął za sobą na dwa spusty, jak zwykle, choć klucz krył się jak zwykle pod poduszką pani Sparsit. Klucz podrobiony znaleziono dziś o południu na ulicy, przy banku, a kradzież spostrzeżono dopiero dziś rano. Bitzer idąc zamiatać biura, spostrzegł biurko Toma rozbite, puste!

— Gdzież Tom? — spytał, oglądając się pan Harthouse.

— Pomaga policji w poszukiwaniach, pozostał w banku — odrzekł pan Bounderby. — Oho! spróbowałby kto zajrzeć do mego biurka, gdym był w jego wieku! Toby się dopiero złapał! Ale czy ja miałem biurko!

— Myślałeś może, — ciągnął — że można tak bezkarnie okradać Jozysza Bounderby z Coketown'u i ująć bez podejrzenia. Dziękuję.

Wypuścił ramię pani Sparsit i spocone wycierał czoło.

— Powiem wam — mówił zatrzymując się i podnosząc palec do góry — lecz pod sekretem, pod największym, żeby nie doszło do tych lotrów i nie spłoszyło złodzieja. Otóż tak...

Zatrzymał się i znów otarł spocone czoło.

— Mówcie co chcecie! — wybuchnął. — Widzę w tem jego sprawkę. Tego tam tkacza.

— Chyba — odrzekł obojętnie pan Harthouse — że nie tego tam, jak go: Blackpot'a?

— *Pool, pool nie pot* — poprawił bankier. — Otóż to, właśnie jego.

Nie! Ludwika temu wierzyć nie mogła! usiłowała zaprzeczyć.

— Pewien jestem — twierdził Bounderby, — pewien. Dość nabrałem z tymi gałganami doświadczenia, znam ich jak swoje pięć palców. Posłuchać, anioły, niewiniątka! wyłgać się potrafią zawsze. Nie żądają niczego jeno praw swych dochodzą, a ja wam mówię, że niezadowolony z tego co udziałem jego być winno robotnik, na wszystko gotów, na wszystko.

Wygłaszane z tak głębokiem przekonaniem przez przemysłowca zdanie, nie było jego wymysłem, znalazł je gotowe, dawno przedyskutowane w kołach, w których się obracał.

— Znam ich, znam, czytam po przez ich łgarstwa jak z otwartej księgi. Pani Sparsit, niech pani powie czy nie tak? Słyszała pani jak upominałem tego łotra za pierwszym razem, kiedy przyszedł był do mnie niby po poradę, a w rzeczy jak sądzicie, o co? Oto jak podejść, znieważyc, zdeptać religię, ustanowiony kościół i jego prawa. Pani Sparsit! pani co na równi stoisz urodzeniem i stosunkami z arystokracją zjednoczonych królestw, powiedz, powiedz proszę, czym się nie domacał odrazu prawdy, czym nie mówił „nie oszukasz mnie ptaszku!“ Tacy zawsze źle skończyć muszą!

— Pamiętam jak go pan upominałeś, jakie mu zdrowe dawałeś rady.

— A pamiętasz pani, jak panią zgorszył niesłychanym cynizmem.

Pani Sparsit pokiwała głową.

— Raziło to delikatność mych uczuć... wytrwałszą byłabym na wiele rzeczy, gdyby nie to, że niegdyś w innym niż obecnie bywałam położeniu.

Pan Bounderby zwrócił się tryumfująco do pana Harthouse'a.

— A co! — zdawał się mówić, — widzisz, a dziś dama ta, równa ci urodzeniem i stosunkami, służy *mnie* i jest własnością *moją!* — lecz, że pan Harthouse nie wiele sobie robił z tryumfujących min i przechwałek pana Bounderby, więc ten ostatni wołał rozmowę zwrócić na uprzednie tory.

— Harthouse! sam przecie pamiętać możesz com mu onegdaj, w twojej obecności mówił? Nie obwijalem przecież w bawełnę. Nie mam w zwyczaju złościć pigułki. Na trzeci dzień nie było go już przy warsztacie. Słyszysz! znikł jak kamfora, jak nieboszczka matka moja, z tą różnicą, że gorsze to jeszcze chyba od mojej matki ziółko. Co powiecie na to? Pan Bounderby trzymając w ręku kapelusz uderzał po nim wskazującym palcem w takt, za każdym słowem. — Co powiecie. Wieczorem, codzień otąd włóczył się w pobliżu banku, podpatrywał, podśluchiwał. Rzecz jasna, że nie w dobrych, chwalebnych zamiarach. Zauważyła to pani Sparsit, zauważył Bitzer, zauważyli, jak się dziś przy śledztwie okazało, sąsiedzi.

Doszedłszy do kulminacyjnego punktu, Bounderby



naksztalt kończącego taniec Araba, przykrył głowę kapeluszem, służącym mu dotąd za tamburino.

— Podejrzane, zapewne! — mruknął obojętnie pan Harthouse.

— Podejrzane! — zaperzył się Bounderby, — spodziewam się, że podejrzane. Ale to jeszcze nie wszystko. Szydło wylazi z worka, a oliwa wypływa na wierzch, tylko po czasie, po czasie. Zauważono jakąś babę, co się tu włóczy od czasu do czasu, gałganiarkę jakąś, czy ja wiem co! Tego dnia właśnie, tego samego dnia, w którym pamiętacie tkacz był u mnie, widziano babę tę przez cały dzień tu pod memi drzwiami, tu naprzeciw. Oka słyszę z drzwi i okien nie spuszczała, a potem poszła z nim razem knując coś, naradzając się nad czemś.

Ludwika zamyśliła się. Wieczoru onego widziała istotnie starszkę jakąś w izdebce tkacza, na poddaszu oszarpanego, w ciemnym zaułku, domu.

— Nie wszystko to jeszcze, nie wszystko! — twierdził Bounderby, kiwając energicznie głową — ale na teraz wystarczy. Proszę was tylko nie głośić o tem, nie wspominać przed nikim. Złowim ptaszka, złowim ptaszki... Policya rozstawia już sidła.

— I naturalnie ulegną srogiej, a zasłużonej karze — dorzucił pan Harthouse od niechcienia — chociażby dla przykładu. Gdyby nie prawo z całym swym nieodwołalnym arsenałem, wszyscy, ilu nas tu jest rozbijalibyśmy banki.

Łagodnie, z roztargnieniem, wyciągnął był z rąk Ludwika parasolkę, roztworzył i osłaniał nią swą to-

warzyškę, choć osłaniać nie było od czego — słońce się na drogę którą szli nie wdzierało.

— A teraz uważaj Ludko, — począł pan Bounderby, — uważaj, żeby pani Sparsit nie zbywało na niczem pod dachem moim. Delikatne naturalnie nerwy damy tej, zostały wypadkiem w banku, wstrząśnione, tak! wstrząśnione. Musi u nas odpocząć na wsi dni parę. Czuwaj proszę by na niczem jej nie zbywało.

— Jakżem wdzięczna panu! zawołała pani Sparsit, — nie chciałabym nikogo ambarasować, zadowolniam się lada czem, w obecnem mem, tak odmiennem od dawniejszego! położeniu.

Pokazało się jednak, że małe obecne wymagania pani Sparsit, przechodziły o wiele zwykłe wymagania chociażby żony pierwszego lorda. Przeznaczony jej pokój, chociaż ze wszech miar przyzwoity i wygodny, zdał się jej tak ohydny, że wołałaby, jak zapewniała, nocować w piekarni lub w praczkarni. Tak Powlers'owie jak Scadgers'owie, przywykli do wygod, do zbytków, jej to tylko, jej, potomkini Powlers'ów i Scadgers'ów dolać znosić wszystkie niewygody, wszystkie upokorzenia. Dzwoniła to ustawicznie nad uszami sług państwa Bounderby.

— Gdybym przynajmniej zapomnieć mogła, — utyskiwała, — że mąż mój spokrewniony był z Powlers'ami, a ja sama z Scadgers'ami? Gdybym to zatrzeć z pamięci mej i przeszłości mogła! łatwiej by mi było znieść to co teraz przenosić muszę.

Pod podobnych uczuć i tak zrozumiałej delikatności naciskiem, odmawiała u stołu wina, dopóki pan Bounderby nie nalał jej własną ręką. Zapraszać ją

trzeba było na potrawę każdą, gdyż, doprawdy, kawał baraniny, wystarczył by jej teraz. Przepraszała nawet gdy brała sól z solniczki, by zaś usprawiedliwić wniośki pana Bounderby o delikatności swych nerwów, często, wśród najpotoczniejszej rozmowy, odwracała się, by lży ocierać. Innym znów razem, mimowolne, wielkie, jak paciorki szklane, lży staczały się powoli i zawiślały na końcu jej spaścistego nosa.

Przedewszystkiem jednak i najwytrwalej ubolewała nad panem Bounderby. To, patrząc na niego kiwała smutnie a znacząco głową, to, pochwycona na tem biadaniu, usiłowała wpadać w przesadną wesołość, jak gdyby powiedzieć chciała... śmiejmy się, śmiejmy jeśli ci jeszcze dobrze! nie długo to potrwa. Jednego się też zanic oduczyć nie mogła, i dotąd jeszcze stale nazywała panią Bounderby... panną Gradgrind. Za każdym razem mieszała się, przepraszała lecz... tak naturalnem zdawało się jej mówić raczej Miss Gradgrind! nie mogła przywyknąć do tego by dziewczynka, którą znała od małości, mogła zostać istotnie i na długo panią Bounderby. A im więcej nad tem myślała, tem się to jej nieprawdopodobniejszem zdawało, przy takiej różnicy...

Po obiedzie pan Bounderby rozważał znów cały proces kradzieży, ważył szczegóły, zeznania świadków, poszlaki, gubił się w zawilosciach prawodawstwa, doszukując się kar najsurowszych. Po tem odesłał Bitzer'a do miasta, zleciwszy by natomiast Tomcio przyjeżdżał na wieś.

Gdy zapalono świece, pani Sparsit zbliżyła się do

bankiera na końcu palców, ostrożnie, cichutko, jak do chorego, lub złamanego niedołą.

— Niech się pan uspokoi, nabierze odwagi! Usłużę panu, zajmę się panem, zabawię, jak dawniej.

Pan Bounderby, na którego to nieproszone współczucie zaczynało działać rozmiękczejaco, westchnął głęboko.

— Nie mogę patrzeć na to wszystko! — utyskiwała kiwając z współczuciem głową, wdowa, — serce mi się kraje! A możebyśmy zagrali w maryasza, jak dawniej, gdym miała zaszczyt i szczęście zamieszkiwania pod jednym, z panem dachem?

Pan Bounderby westchnął jak na ląd wysadzony hipopotam.

— Od tego czasu nie grałem w maryasza.

— Czy być może! — załamała dłonie. Powinnam się była tego spodziewać! Naturalnie, pannę Gradgrind gra ta zajmować nie może! Jakże szczęśliwą będę zagrać znów z panem.

Grali, przysunawszy stół do otwartego na ogród okna. Noc była pogodna, choć księżyc nie świecił, wonna, duszna. Ludwika, z panem Harthouse, wyszła do ogrodu; głosy ich dolatywały do grających, ale nie słowa. Pani Sparsit, siedząc naprzeciw okna, wysyłała, z pod podjętych, gromowładnych brwi, spojrzenia przebijające zagłębie ogród cienie. Zdawała się roztargnioną.

— Co pani jest, — pytał co chwilę Bounderby, — pali się gdzie? Co?

— O nie!... myślę... o rosie.

— A co pani do rosy?

— Mnie nic, nic wcale... boję się o pannę Gradgrind, by się nie zaziębiła.

— Uspokój się pani! żona moja nie zaziębia się nigdy.

— Doprawdy! pewien pan tego jesteś? — pochrząkiwała pani Sparsit.

Przed rozejściem się, pan Bounderby kazał podać sobie szklanekę wody.

— Jakto! — wykrzyknęła wdowa, — wody! Dawniej pan pijałeś ciepły kseres z cytryną i gałką muszkatową.

— Zaprzestałem.

— Szkoda! wielka szkoda! odwykł pan od tylu rzeczy, wygod... Lecz niech pan nie traci odwagi, jakos to będzie! Przygotuję panu ulubiony jego napój, naturalnie jeśli panna Gradgrind zezwolić na to raczy.

Panna Gradgrind chętnie przystała na wszystko, co się podoba pani Sparsit i wdowa zabrała się z namaszczeniem do przygotowania, ulubionego niegdyś przez pana Bounderby napoju.

— Pomoże to panu, wzmocni, rozweseli, — upewniała, — powinien pan pić to codziennie, jak dawniej.

— A gdy pan Bounderby pił: „Za pani zdrowie pani Sparsit“! opuściła nos spaścisty, zaokrągliła brwi podniesione.

— Dziękuję panu! i za pańskie także... a zwłaszcza za pomyślność... spokój.

Wieczoru tego pan Bounderby kładł się z niezwykłym, mglistym jakimś rozrzwiniem, z niejasnym poczuciem wyrządzanej sobie jakiejś, gdzieś, przez ko-

goś krzywdy. Co, jak, gdzie? nie potrafił by powiedzieć, czuł, czuł wyraźnie ciężące na sobie współczucie pani Sparsit.

Ludwika rozebrała się i położyła, lecz nie mogła zasnąć. Czekwała powrotu brata. Wiedziała, że wcześniej jak po północy przyjechać nie może, lecz w ciszy wsi i nocy godziny wlekły się jej dziwnie pomalu. Wreszcie, w ciszy i ciemności usłyszała dzwonek przy bramie. Czowała, jak pragnie by dzwonił aż do świtu, lecz umilkł, umilkły ostatnie, coraz cichsze, w roztrąconem nocnem powietrzu, jego dźwięki.

Poleżała jeszcze chwilę, potem wstała, narzuciła szlafrok biały i nie zapalając świecy, po ciemku wyszła ze swego pokoju, zeszła ze wschodów kierując się do pokoju brata. Drzwi były zamknięte. Uchyliła je uważnie i zbliżyła się do łóżka Tomcia, wołając go cicho.

Nie odpowiedział. Przy łóżku opuściła się na kolana, objęła go za szyję, przyciągnęła twarz jego do swojej — pewną była, że udaje tylko że śpi, lecz nie mówiła nic.

Udał że się budzi, udał zdziwienie. Co? czego chce Ludka!

— Tomciu, — spytała go tak cicho, że słyszał raczej jej ciepły koło ucha swego oddech, — Tomciu! czy mi nic nie powiesz? Otwórz mi serce, zaufaj, otwórz, proszę cię w imię przywiązania mego do ciebie.

— Nie wiem czego chcesz, — odmruknął, — co ci się przysniło!

Położyła głowę na jego poduszce, włosy jej pokryły go zupełnie. Chciałaby go skryć przed światem

całym — Tomciu! braciszku mój, powiedz mi, powiedz — uspokój! powiedz prawdę!

— Nie wiem czego chcesz Ludko!

— Jak tu dziś leżysz, Tomciu mój, w tę noc ciemną, smutną, — tak samo leżeć będziesz kiedyś tam — gdzie chociażbym i żyła wówczas, nie będę obok ciebie. Tak jak tu jestem dziś przy tobie bosa, w bieliźnie, niewidzialna w mroku, tak jak przeleżę długą noc nieprzespaną, zanim się w proch rozsypię, w imię tej nieznanej a nieuniknionej ostatniej nocy naszej, powiedz mi, powiedz prawdę, całą prawdę.

— Co bo chcesz wiedzieć?

Objęła go i tuliła do piersi jak dziecko małe, słabe.

— Pewien bądź, że ci wyrzutów czynić nie będę, że cię nie zdradzę, wybaczę, wszystko pokryję przywiązaniem do ciebie, pomogę ci, mniejsza z tem jakim kosztem, pomogę. Tomciu! czyż mi nic, nic nie powiesz? Powiedz, w ucho, w samo... Powiedz „tak“! jedno „tak“ a już cię zrozumie...

Przykładała ucho do ust jego, lecz on milczał.

— Więc... nic mi nie powiesz Tomciu?

— Jakże chcesz bym mówił „tak“ lub „nie“, twierdził lub przeczył, jeśli nie wiem nawet o co ci idzie. Daj pokój Ludko! poczciwa jesteś siostra i za służujesz mieć lepszego odemnie brata. To ci tylko powiedzieć mogę. No! idź spać, idźże.

— Zmęczony jesteś, — spytała go spokojniej już.

— Do ostateczności!

— Tyle dziś miałeś i tak przykrych zajęć. Czy nie odkryto co nowego?

— Nie, oprócz tego o czem słyszałaś już od... niego.

— Tomciu! czyś wspomniiał przed kim bądź o naszej wspólnej wycieczce do tkacza i o tych którychśmy tam spotkali?

— Nie... albo co? wszak idąc tam jeszcze zleciałaś mi nie mówić o tem.

— Prawda! Nie wiedziałam wówczas co zajdzie.

— A ja jakże bym mógł wiedzieć, — odrzekł szorstko.

— Mamże teraz, — mówiła rozważnie powstawszy z kolan Ludwika, a postać jej nad łóżkiem Tomcia zarysowywała się w mroku, niewyraźną lecz prostą białą linią, — mamże teraz wyznać, — jesteście to moim obowiązkiem?

— Na Boga! Ludko, daj mi pokój! Nie zasięgałaś nigdy rad moich, sama najlepiej wiesz co masz robić. Jeśli zachowasz to przy sobie, i ja przy sobie zachowam. Powiesz... jak ci się podoba.

Ciemno było, więc nie mogli widzieć się wzajemnie, lecz oboje zdawali się ważyć każde słowo.

— Tomciu, — rzekła znów Ludwika, — czy sądzisz, że wyrobnik, któremu dałam pieniądze, może być istotnie sprawcą...

— Nie wiem. Czemu nie.

— Wydał mi się tak uczciwym.

— Ktoś inny może się zdawać nieuczciwym a być uczciwym.

Zaciął się, oboje milczeli.

— Ponieważ już o tem mowa, — począł zdecydowawszy się na coś Tomcio, — to znów na mnie nie

wywarł tak dodatniego wrażenia, skoro, jak to zapewne przypominasz sobie, wziąłem go był na stronę, upominając go, by nie nadużywał twej dobroci, a niespodziewaną i hojną pomoc użył na dobro... Nie świadczę przeciw niemu, nic o nim nie wiem! Może i uczciwy!

— Obraził się na ciebie, gdyś mu to mówił? — spytała rozważnie Ludwika.

— Bynajmniej! przyjął jak najlepiej. — Tomcio usiadł na łóżku, wyciągnął ramiona.

— Gdzieżeś Ludko!?

Przyciągnął ją do siebie, pocałował.

— Dobranoc, Kochanko! Dobranoc.

— I nic mi więcej nie powiesz? — szepnęła znów tuląc się do brata.

— Cóż bym ci miał powiedzieć? Nie chcesz przecie, bym ci łgał.

— Dziś mniej niż kiedybądź, w jakąbądź noc twego, czy mego życia. Oby wszystkie szczęśliwsze nam były od dzisiejszej.

— Dobrze Ludko. Takem zmęczony, że doprawdy nie wiem jak mi się język w gębie obraca. Idź spać! No idźże.

Raz jeszcze ją pocałował, odwrócił się do ściany, naciągnął kołdrę na głowę i umilkł tak głęboko jak gdyby zapadł już był w ów sen nieprzespany, na który go zaklinała, prosząc by wyznał jej prawdę. Chwilkę stała jeszcze przy łóżku brata. Potem zatrzymała się u drzwi... „wołałeś mnie Tomciu?“ Nic oprócz cichego jej pytania nie naruszyło ciszy nocnej. Zamknęła drzwi pomału, pomału wróciła do swego pokoju.

Wówczas niegodziwiec wychylił z pod kołdry głowę a przekonawszy się, że jej już nie ma w pokoju, wylazł z łóżka, obrócił klucz we drzwiach, i opadł znów na posłanie rwąc sobie włosy, spóźnione lzy roniąc, Kochając ją, niewolnie, gardząc sobą, nienawidząc siebie, lecz gardząc też i nienawidząc świat cały, niezdolony do tej skruchy, co najniżej upadłych podźwignąć może.

#### Rozdział IX.

#### Ostatnie słowo.

Pani Sparsit wzmacniając swe słabe nerwy pod wiejskim dachem pana Bounderby, rzuciła ustawicznie z pod brwi gromowładnych, tak przenikliwie i ostre spojrzenia, że gdyby nie dystygowana i dyskretna miękkość jej obejścia się, najmniej doświadczony sternik domyślał by się skał i topieli w pobliżu jej groźnie spaścistego nosa. Oczy jej tak żywe a biegające były, że nawet się wierzyć nie chciało, by je sen w nocy przymykał, a ustawiczne gładzenie i wygładzanie na rękę jedwabnych mitenek, uważne stawianie cichych kroków, przywodziło na myśl zakłęta we wronie pióra gołębicę.

Pani Sparsit była jedną z tych kobiet, co to umieją podkraść się, wśliznąć wszędzie. Wszędzie jej było pełno a wszędzie znajdowała się niepostrzeżenie, na tem, to owem piętrze domu, zjawiała się, to znikwała nagle. Damę tak wysoko urodzoną, spokrewnioną i wychowaną, trudno było posadzać o ześlizgiwanie się po poręczach wzdłuż wschodów, myśl tę dziwną

nasuwało jednak jej zjawienie się cichaczem w miejscach najmniej odpowiednich.

Drugą charakterystyczną cechą pani Sparsit było, że nie wyglądała nigdy na to, że się spieszy. Gdyby tysiącuroć wbiegła czy zbiegła ze schodów, oddech jej nie był przyspieszony a wygląd zachowywał zwykłą, arystokratyczną powagę. Nikt też nie widział, by przyspieszała kiedy kroku.

Zaznajomiła się z panem Harthouse, uprzejmą dlań była, rozmawiali często z sobą. Pewnego poranku, przed śniadaniem spotkali się w ogrodzie.

— Zdaje mi się, że nie dalej jak wczoraj — mówiła pani Sparsit — miałam przyjemność przyjąć pana w banku, gdy pan, przybywszy do Coketown, przyszedł tam po adres pana Bounderby.

— Okoliczność, która mi się głęboko wraziła w pamięć, upewniam panią, pani Sparsit — mówił najniezbalej pod słońcem elegant.

— Dziwny świat, w którym żyjemy — zauważyła pani Sparsit.

— Zgadzam się z panią, chociaż nie potrafiłbym myśli zamknąć w tak niepospolicie zwięzły i oryginalny okres.

— Dziwny świat — ciągnęła pani Sparsit z wdzięcznym skłonieniem głowy za oddaną sobie należność i najśłodszym na jaki się zdobyć mogła głosem — i dziwnie się zmieniają okoliczności! Ktoby powiedział, że pan, przy pierwszym z mną spotkaniu, zdawał się wystraszyć panią Gradgrind?

— Zdziwiająca masz pani pamięć! Raczyłaś zwrócić uwagę na to com wówczas mówił! Staralaś

się pani rozprószyć moje niepokoje, ośmielić oniesmielonego, pamiętam! i wzięłaś się do tego z właściwym swej niepospolitej inteligencji — a i urodzeniu, i urodzeniu i stosunkom, taktem.

Mówiąc przymrużał oczy, polykał ziewanie, zasypiał na poły, cedził słówka, dobierając pracowicie, jak gdyby odbiegł o sto mil od tej arcyzajmującej rozmowy.

— I pan zastał pannę Gradgrind — istotnie niepodobna mi nazwać ją panią Bounderby! niepodobna! równie młodą jak opisałam panu!

— Opis był wierny, żywy portret!

— I nader wdzięczny — przyznasz pan, że wdzięczny, uśmiechała się gładząc swe mitenki, pani Sparsit.

— O! zapewne!

— Zwykle zarzucają pannie Gradgrind brak ożywienia, chociaż, od pewnego czasu, widzę wielką, uderzającą w tej mierze, zmianę. Ach! oto i pan Bounderby! — wołała witając zbliżającego się gospodarza domu — jakże się pan dziś czuje? lepiej nieco, prawda, nieco panu lżej na sercu?

Troskliwość pani Sparsit, ustawiczne ubolewanie nad nim, zapobiegliwość w usuwaniu odeń trosk jakichś niepochwytnych, oddziaływały rozmiękczająco na bankiera. Nabierał dla wdowy szczególnej uprzejmości, odbijając się za to na innych, poczawszy od swej żony.

— Ah! pan pewnie głodny, mija godzina śniadaniowa. Miejmy nadzieję, że panna Gradgrind, zechce niebawem zasiąść do stołu.

— Gdybym miał czekać na żonę że pomyśli o mnie,

czekałbym do sądnego dnia — odmruknął skwaszony Bounderby. Chodź pani lepiej i nalej mi herbaty.

Pani Sparsit rozsiała się za stołem, lecz za zjawieniem się Ludwika powstała, tłumacząc pokornie, że miejsce jej zajęła na wyraźne żądanie pana Bounderby, choć dawniej zawsze miała honor nalewać mu herbatę, lecz odkąd pani Gradgrind! za przeproszeniem! panna Bounderby! ach! co też mówi! chyba że nigdy nie przywyknie do tego! odkąd panna Gradgrind, zajęła to miejsce... tylko, że się dziś spóźniła, a czas pana Bounderby drogi, minuty policzone i ona, pani Sparsit, wie jak mu dalece trzeba podawać w porę śniadanie. Przywykła do tego od lat tylu, ani razu chyba nie spóźniła się o minutę, o jedną?

— Dosyć pani! — krzyknął Bounderby — wnoszę, że żona moja bardzo zadowolona, że ją zastąpiono.

— O! niech pan nie mówi tego, rani to — pewna jestem — uczucia panny Gradgrind, a pan za dobry żeby kogo zasmucić.

— Niech się pani uspokoi, Ludka nie bierze takich rzeczy do serca. Prawda Ludko?

— Najpewniej — rzekła obojętnie żona — cóż to mnie może obchodzić.

— A co, słyzy pani, pani Sparsit — wrzasnął — co to kogo może obchodzić! Nie wszyscy tak myślą jak pani i jeśli tu pobędziesz dłużej odcyzysz się dbać o mnie. Zastarzałe masz pani wyobrażenia, zastarzałe! Uczyc się nam z panią w szkole dzieci Tomcia Gradgrind'a.

— O co ci idzie — spytała Ludwika chłodno męża, patrząc nań śmiało — za coś obrażony?

— Obrażony — ofuknął się bankier. Czy sądzisz, że się dam obrażać? Każdego, każdego potrafię utrzymać na właściwym mu miejscu. Nie będę się unosił delikatnością.

— Nikt cię o to nie posądza — odrzekła Ludwika — nie stawiałam ci tego zarzutu ani dzieckiem będąc, ani kobietą. Nie rozumiem czego ci się chce jeszcze.

— Czego mi się chce? Niby Jozyasz Bounderby z Coketown mógłby nie mieć tego co chce?

Odsunął z hałasem krzesło, łyżeczka zadzwoniła w jego filiżance, Ludwika spojrzała na niego dumnie lecz z żywym na twarzy rumieńcem.

— Więc i tak jeszcze i tak, ta piękna zagadkowa twarz kobieca mienić się umie — pomyślał przykajając oczy pan Harthouse.

— Nie rozumiem cię dziś — mówiła chłodno i spokojnie do męża Ludwika. Tylko się nie tłómacz, proszę, bynajmniej nie jestem ciekawa.

Rozmowę zwróciła na rzeczy bieżące. Pan Harthouse ożywił się też, lecz od tej chwili milczący pakt zawarty pomiędzy starym Bounderby a panią Sparsit, oddziałał na większe zbliżenie się Ludwika z Harthous'em. Wzmagało się wzajemne ich do siebie zaufanie, a to tak nieznacznie, łatwo, że teraz wycofać by się Ludwika nie mogła, gdyby i chciała. Czy chciała i chciałaby, to już pozostanie tajemnicą jej serca.

Panią Sparsit scena przy śniadaniu tak dalece wzruszyła, że pomagając panu Bounderby szukać kapelusza i pozostawszy z nim sama w sieni, ujęła jego rękę całując z wzruszeniem.

— O! mój dobroczyńco! — zawołała Izawo.

Kronikarska ścisłość każe jednak dodać, że zaledwie bankier drzwi za sobą zatrzasnął, pani Sparsit, we własnej osobie, z własnymi na ręku mitenkami, z własnym swem urodzeniem i stosunkami z Powlers'ami i Scadgers'ami wyciągnęła kulak ku wiszącemu na ścianie portretowi pana Bounderby:

— Ach! ty głupcze, ty stary! masz na coś zaślezy! — zawołała.

Zaledwie pan Bounderby dom opuścił, zjawił się Bitzer. Przybył koleją żelazną, z listem do Ludwiki, nadeszłym do banku ze Stone Lodge.

List był pilny, wzywano Ludwikę, gdyż pani Gradgrind zasłaбла. Od dawna słabą była, lecz w ostatnich czasach stan jej zdrowia pogorszył się szybko. Straciła siły. Teraz nie byłyby istotnie wstanie coś zrozumieć ani nawet czegobądź zapragnąć.

Ludka w towarzystwie oddźwiernego, pospieszyła do miasta. Na dworcu odprawiła Bitzera do banku, sama zaś udała się do rodzicielskiego domu.

Rzadko tu bywała od zamążpójścia. Ojciec jej najczęściej był nieobecny, przebywał w Londynie, przesypując przez parlamentaryzmu sito koszałki opalki. Matce sprawiałaby więcej ambarasu niż przyjemności. Młodsze rodzeństwo mało ją zajmowało, a Sissy nie okazywała nawet chęci zblżenia się do niej, odkąd ją zmroziło spojrzenie, jakim przyszła pani Bounderby spotkała jej pełne zdumienia i współczucia spojrzenie. Nie nie przyciągało Ludwiki pod dach rodzicielski, to też bywała tu rzadko.

Zbliżającą się do rodzicielskiego domu nie roz-

grzewały, zwykle tak potężne, wspomnienia dni dziecięcych, psot, marzeń, utrud niepowrotnych, całego tego czarodziejstwa, co świat ubiera różowo i złoto i nad najuboższych sierót głowami rozpościera królewskie baldachy. Nie przypominała sobie czarodziejskiej podróży z nieświadomości otchłani ku rzeczywistościom dojrzałej świadomości pod przewodnictwem fantazyi, dzięki której rzeczywistość wygląda jak uśmiechnięte bóstwo nie zaś jak potęga chłodna i nieubłagana, o której stopy, ofiary jej, rozbić się mają w rytmie postanowionym z góry, nieodwołalnym. Dziecięce jej wspomnienia ograniczały się na wspomnieniu obrywania w jej wyobraźni kielkujących tam pędów, wysuszania w sercu wzbierających w niem fal uczuć. Od razu postawiono ją na ścieżce życia, wśród samych cierni — bez kwiecica — samych pyłów niezliczonych faktów, bez kropli rosy poezyi.

Smutna, zniechęcona wchodziła w rodzicielskiego domu progi, do chorej matki pokoju. Odkąd wyszła za męża, Sissy stanęła w domu pana Gradgrinda na równi z innymi członkami rodziny. Obecnie znajdowała się przy chorej, Ludwikę spotkała jedynasto czy dwunasto letnia siostrzyeczka Johasia.

Dużo czasu przeszło zanim pani Gradgrind przyjąć mogła córkę. Leżała jak zwykle skulona na kanapie, niechcąc ani słyszeć o łóżku, bo, mówiła, jeśli się raz położy to już pewnie nigdy temu nie będzie końca!

Z pod chust i kołder, w które była owinięta, głos jej przychodził z tak daleka i zdawało się, że tyle czasu potrzebuje głos rozmawiających z nią by się



dostać do jej ucha, jak gdyby była już pogrążona w otchłani. Bliższą też jej była niż kiedybądź.

Posłyszawszy o przybyciu pani Bounderby, zaczęła rozpowiadać, że nigdy bankiera, odkąd się ożenił z jej córką, nie nazwała, ani po nazwisku, ani po imieniu, tylko J, po prostu J, zanim uda się jej znaleźć coś stosowniejszego. Ludwika długo siedziała przy niej, mówiła do niej, zanim się chora zorientowała, że to ona.

— Dobrze, kochanko — rzekła. Mam nadzieję, że ci dobrze. Wiesz! wszystko to było dziełem twego ojca, a ten wie przecie co robi.

— Mów mi matko o sobie, nie o mnie.

— O sobie! a to coś nowego, nikt się dotąd mną nie interesował. Cóż ci powiem o sobie? Żle się czuję, słabo mi, niedobrze.

— Co ci dolega?

— Mnie? Czuję, że jest w pokoju tym coś co dolega, ale nie mogę powiedzieć gdzie, co i komu.

Po dziwnych tych słowach leżała milcząc, a Ludwika trzymając jej stygnącą rękę, czuła jak puls ustaje. Za każdym jednak razem, jak rękę matki całowała, puls się nieco wzmagał.

— Rzadko widzisz swą siostrę — ozwała się słabym głosem chora — rośnie, podobna do ciebie. Sissy zawołaj Johasię.

Dziewczynka przysłała, podała rączkę starszej siostrze, lecz ramieniem otoczyła szyję pochylającej się nad chorą Sissy.

Ludwika to zauważyła.

— Dostrzegasz podobieństwo? — spytała matka.

— Tak, podobna do mnie, lecz...

— A! tak! właśnie o tem mówimy — zawołała głośniejsz niż się po niej spodziewać było można, pani Gradgrind! — Dobrze żem sobie przypomniała, to ci chciałam powiedzieć. Sissy, kochanko, zostaw nas na chwilę same.

Ludwika wypuściła z rąk rączkę swej siostrzyczki, w której twarzy uderzyło ją coś jasnego, łagodnego, czego pewną była, że na jej twarzy nikt nie wyczytał nigdy. Z pewnym też żalem zauważyła, że wyraz twarzy Johasi podobniejszym był raczej do wyrazu twarzy obcego dziewczęcia, do Sissy, pobladłej od czuwania nad chorą jej matką.

Pozostawiona sama z chorą, zauważyła znów na twarzy matki senność dziwną, ukojenie tych, co po daremnej walce zdają się na łaskę i niełaskę fal unoszących je w bezdenne tonie. Podniosła do ust cieni ręki chorej przywołując ją do przytomności.

— Miałś mi coś powiedzieć matko!

— Co? ja? tobie? aha? Widzisz — żaliła się gasnącym głosem — ojca twego nie ma tu. Nigdy go tu teraz niema, więc muszę doń o tem napisać chyba....

— O czem matko! uspokój się, powiedz mi, o czem?

— Niezapominaj, proszę, że jeśli się kiedykolwiek o czemkolwiek odezwała, nie było końca... przestałam też się odzywać.

— Mów, mów matko — zachęcała Ludwika, pochylając się nad mówiącą by pochwycić coraz cichsze na białych ustach, coraz trudniej wiążące się słowa.

— Uczylaś się wielu rzeczy, Ludwiko i ty i brat

twój. Ologie, przeróżne ologie słyszałam od rana do wieczora i jeśli jest jeszcze jaka pominięta ologia, to bym już przynajmniej słyszeć o niej nie chciała...

— Mów, mów matko! słucham!

Odemknęła zamykające się, senne, w wewnętrzny już świat wpatrzone oczy.

— Ale jest coś — żadna ologia, o czym ojciec wasz zapomniał, lub o czym nie wiedział może. Nie mogę ci powiedzieć co właściwie. Nieraz siedząc tu sama, myślałam o tem i łamałam sobie głowę. Przypomnieć nie mogę... ojciec to pewnie przypomni, on wie... a tak to mię męczy, spokoju nie daje... chcę pisać, daj mi pióro, daj!

Głowę już tylko ledwie obracać mogła, lecz wyobrażała sobie, że trzyma pióro, którego utrzymałby w rzeczy samej nie zdołała. I mniejsza z tem co drżące jej palce kreśliły na odlogach kołdry — zeszytniały, zgaśł błady promyk, co przeświecał przejrzystą jej postać, przeszła w grono cieni, których majestat owija zarówno wielkich i małych, silnych i słabych, fakty i tych co się ich końca doczekać nie mogli.

#### Rozdział X.

### Drabina pani Sparsit.

Że słabe nerwy pani Sparsit potrzebowały gruntownego wzmocnienia, czcigodna wdowa przedłużała pobyt pod gościnnym, wiejskim dachem pana Bounderby, gdzie, pomimo skromne swe, zastosowane do zmiany położenia potrzeby, opływała w dobrobyt jak pączek w maśle. Przez cały ten czas pozostawała wierną za-

daniu ubolewania nad gospodarzem domu w oczy, za oczy bowiem wygrażała pięścią jego portretowi nie nazywając go inaczej jak „głupcem, wielkim głupcem“!

Pan Bounderby, nabrawszy przekonania, że wdowa, ze swą wyższą inteligencją, dostrzegła krzyż — jaki? tegoby powiedzieć nie potrafił, ani też łamał sobie nad tem głowę! dość, że krzyż, który on, Bounderby, dźwigać musiał — i bojąc się by Ludka nie przykrzyła sobie za długim gościem — jeśli notabene kto bądź miał prawo sprzeciwić mu się w czembądz — nie spuszczał jej z oczu. To też w wigilię jej odjazdu do miasta, gdy perspektywa samotnych w banku podwieczorków, wprawiała w najwyższy stan żalości jej słabe nerwy — tak mówił u stołu.

— Powiem pani, pani Sparsit, że do końca lata pani powinna przyjeżdżać tu w sobotę i bawić do poniedziałku — na co wdowa odrzekła pokornie:

— Słyszę i słucham.

Nie była właściwie poetycznego usposobienia, lecz miała myśl pewną, obleczoną w szaty skończonej alegoryi. Im więcej śledziła Ludwikę, tem myśl ta stawała się wyraźniejszą i bardziej natrętną, zmieniając w prawdziwe natchnienie. Otóż pani Sparsit dźwignęła w twórczej swej wyobraźni olbrzymią drabinę, z przepaścią hańby i rozpaczy u dołu, a po tej drabinie wciąż widziała Ludkę zstępującą szczebel po szczebel, dniem i nocą widziała, a widzenie to rozświecało teraz wszystkie chwile jej życia. Przypatrywała się z lubością alegorycznej swej budowie. Widziała Ludkę zsuwającą się, zsuwającą coraz niżej, pomalej czasem, szczebel za szczeblem, to znów szybko przeskakując kilka

szezebli na raz, a zawsze w dół, a niżej zawsze. Gdyby raptem zawróciła się i poszła w górę, pani Sparsit umarłaby chyba z nudy i rozpaczki zawiedzionych nadziei.

Tymczasem nadszedł dzień, w którym odjeżdżająca do miasta wdowę, pan Bounderby, jakeśmy to słyszeli — zapraszał na niedzielę, do wiejskiej swej siedziby. Pani Sparsit pocieszona, okazywała się nader dnia tego rozmowną.

— Z przeproszeniem pana — mówiła — jeśli dotknę przedmiotu, którego pan, mając po temu zapewne najlepsze racje, unika. Z przeproszeniem pana! czy pan otrzymał jakie nowe, tyżące się kradzieży wieści?

— Nie pani! dotąd nie ma żadnych! niespodziewam się ich nawet tak prędko. Nie w jeden dzień Rzym zbudowano!

— O tak! tak! panie! — potakiwała pani Sparsit.

— Ani nawet nie w jeden tydzień.

— O tak! tak! panie!

— Muszę zatem czekać cierpliwie. Widzi pani, że muszę. Jeśli Romus i Romulus czekali, to czemużbym ja Jozyasz Bounderby, nie miał czekać? Ale tamci w młodości swej i niemowlęctwie co najmniej, szczęśliwsi byli odemnie! mieli przynajmniej mamkę wilczyęcę, a ja miałem babkę wilkołaczkę, bez kropli mleka, bez jednej. Tłukła mnie, szarpała, pożerała, jak ten tam król Olch, pani wie! ten tam!

— Ah! — wzdychała wdowa.

— Tak, pani, tak! Nicem odtąd o sprawie tej nie słyszał, lecz nie wypuszczam jej z rąk, o! nie! I Tomcio, widzi pani, gorliwiej jakoś pracuje, nie mała to nowość. Oho! gdybym to ja był odebrał takie jak

on wychowanie! Zasadą moją czekać, aż fala przyplynie: robić co trzeba, ale robić po cichu bo inaczej oliwa wyjdzie na wierzch i pomiędzy łotrami tymi wyrobnikami znajdzie się ktoś, co tamtego ostrzeże. Wszyscy oni dobrzy! idą ręka w rękę.

— Bardzo dowcipnie, głęboko obmyślane! A ta stara kobieta, o której pan wspomniał?

— Nie mam jej jeszcze w ręku — odparł niedbale pan Bounderby — ale może być pewną, niegodziwą, że i do niej się dobiore. Tymczasem, jestem tego zdania, aby jak najmniej o tem wszystkiem mówić.

Tegoż samego wieczoru, pani Sparsit spakowawszy swe rzeczy usiadła w oknie swego pokoju.

Widziała Ludwikę w ogrodzie, w wonnej altanie. Nad nią stał pochylony pan Harthouse, rozmawiali z sobą cicho, a twarz pochylającego się nad nią mężczyzny, dotykała niemal włosów siedzącej w altanie kobiety.

— Niemal! — powtarzała sobie z zadowoleniem pani Sparsit. Nie mogła niestety! słyszeć co mówili z sobą. Byli za daleko i mówili cicho a mówili właśnie:

— Pan go pamięta, panie Harthouse?

— Doskonale.

— Postać, głos, to co mówił?

— Wszystko! Wydał mi się ponury, chudy, szczupły, pospolity a wywiczony w szkole ulicznego krasomównictwa. Przerachujesz się, przerachujesz przyjacielu! myślałem słuchając go.

— Trudno mi źle myśleć o nim.

— Ludko kochana! — jak mawia Tomcio, —

wiedział dobrze, że Tomcio nigdy tak, przynajmniej z takim wyrazem pieśczołtliwej tkliwości, nie mawia, — cóż możesz wiedzieć o nim?

— Nic, zapewne.

— O nim lub jemu podobnych?

— Zapewne, odrzekła z dawniejszą swą, teraz co raz częściej odstupującą ją rozwagą, — co wiedzieć o nich wszystkich mogę.

— Za tem Ludko! droga! pozwól, oddanemu ci sercem całem przyjacielowi, służyć ci dawno nabytem doświadczeniem. Znam tych ludzi, jak znam wielu innych! Wszyscy od izby gmin do cel więziennych prawią i rozprawiają o moralności, rozprawiają do znużenia. Wierz mi, wszyscy. Jednego z takich pan Boucherby, nie odznaczający się zbytkiem taktu lub delikatnością, zbeształ. Obrażony, wyszedłszy ztąd spotyka on innych, jak on niezadowolonych. Naradza ją się z sobą i oto plan gotowy. Puste napelnia się kieszenie. Istotnie tkacz ten musiałby być nadzwyczajnym, nie zaś najzwyczajniejszym, jakim jest, człowiekiem, gdyby nie skorzystał z wybornej zręczności.

— Czuję, — mówiła Ludwika, — że złe robię przychyłając się do pańskiego zdania... zdejmuję to mi jednak wielki ciężar z serca...

— Idę za głosem rozsądku, prawdopodobieństw głosem. Rozmawialiśmy o tem z Tomciem. O! jesteście z sobą przecie na poufnej stopie! Tomcio podziela moje zdanie a ja jego. Możebyśmy się przeszli?

Chodzili, chodzili po łąkach zapadających w mrok wieczorny, ona wsparta na jego ramieniu, niebaczną

wcale, że się zsuwa niżej, coraz niżej, po szczeblach drabiny zbudowanej przez gienialną panią Sparsit.

Dniem i nocą dzieła swego pilnowała wdowa. Niech runie, niech się zawali nad Ludwiką, gdy ta ostatnich nad przepaścią doścignie szczebli, ale tymczasem drabina niech stoi w całej swej okazałości, tylko niech się Ludwika zsuwa niżej a niżej.....

Pańi Sparsit śledziła pana Harthouse i z nim razem badała twarz, której zmian tak był ciekawy? Zmiany te nie uszły ciekawości wdowy. Wiedziała teraz kiedy się zachmurza a kiedy wypogadza twarz Ludwika. Roztwierała szeroko czarne oczy, pod wzniesionych brwi łukiem, bez litości, względu, cała pogrążona w widoku mitycznej drabiny, po której szczeblach Ludwika zsuwała się niżej, coraz niżej.

Upadku tego pani Sparsit uprzędzić nie zamierzała, pomimo pozorny a tak wielki szacunek swój dla pana Boucherby. Owszem gorąco pragnęła chwili przekroczenia przez młodą kobietę ostatniego nad przepaścią stopnia lecz czekała cierpliwie, jak czekamy pełni dojrzałości wybornego, ze szczególną pieczołowitością hodowanego owocu. Czekala z wzrokiem utkwionym w drabinę, zacierając w cieniu nocnym ręce, czyli raczej wygładzając swe wieknie mitenki.

#### Rozdział XI.

#### Niżej.

Ludwika zsuwała się niżej, coraz niżej, jak przedmiot własnym ciężarem pociągany na dno otchłani. Pan Gradgrind dowiedział się o śmierci żony,

przybył pospiesznie z Londynu i pospieszniej jeszcze pogrzebał nieboszczkę, poczem, jak najprędzej wrócił do przesiewania plew i ziarn przez parlamentaryzmu sito, dochodzenia interesów, które przedstawiał, rzucanie piaskiem w oczy ludziom odmiennych przekonań, słowem do publicznego wrócił życia.

Pani Sparsit trzymała dalej straż i sprawiała czaty a tracąc z oczu drabinę swą przez tydzień cały, starała się zasięgnąć jak najwięcej wiadomości o Ludwice przez jej brata, męża, pana Harthouse, którego spotykała czasem w banku, przez opatrywanie szczelne listów, posyłek i tym podobnych przedmiotów. Wszystko to bowiem mogło pośrednio lub bezpośrednio odnosić się do wystawionego przez nią, tak pracowicie, dzieła.

— Postaw no tylko nóżkę na ostatnim szczeblu, a nie wymkniesz mi się już kochaneczko!

Panowanie nad sobą młodej kobiety mogło jednak zmylić mniej przenikliwe od pani Sparsit oko. Sam pan Harthouse nie zawsze był pewien swego. Były dnie, że się zamykała przed nim księga twarzy, którą czytać uczył się tak pilnie, i że samotna, samej sobie pozostawiona, młoda i niedoświadczona kobieta przedstawiała mu do rozwiązania zagadkę, jakiej nie przedstawiała pierwszorzędne, światowe, rojem satelitów otoczone gwiazdy.

Dnie mijały, aż razu pewnego pan Bounderby zagnalony interesem, zmuszony był opuścić dom na dni kilka. Właśnie, w piątek, po biurowych zajęciach, oznajmił to w banku pani Sparsit.

— Nieprzeszkadza to — dodał — zwykłej nie-

dzielnej wycieczce pani na wieś. Nieprzeszkadza bynajmniej.

— O! niech pan tego nie mówi — odparła z wyrzutem wdowa. Pan dobrze wie, jaką różnicę stanowić mi będzie nieobecność pańska.

Pochlebiło to, bądź co bądź panu Bounderby:

— No! no! rozumiem! jedź pani wszelako.

— Wola pańska jest mi prawem — odparła wdowa — gdyby nie to, wolałabym, znając niezbyt dla mnie laskawe usposobienie panny Gradgrind, nie narzucać się jej gościnności. Lecz stosując się do pańskiej woli, skorzystam z pańskiego, panie Bounderby wspianiałomyślnego zaproszenia!

— A któż inny oprócz mnie zapraszać może do mego domu — wyduł usta pan Bounderby, — że też pani nie wystarczają moje zaprosiny!

— O! proszę pana! niech pan tego nie mówi! niechże się pan raczy uspokoić, wypogodzić...

— Jak to pani rozumie, pani Sparsit?

— Pan potrzebuje sił, energii, odporności. Niech pan będzie wesołej myśli.

Pan Bounderby kiwał głową pod tą powodzią ubolewań i pociech, a później przez dzień cały wrzeszczał, o lada nie, czepiając się do lada kogo.

— Bitzer — mówiła pod wieczór, gdy biura były już zamknięte, pani Sparsit do odźwiernego — pozdrów odemnie pana Tomasza i poproś go by raczył wstąpić do mnie na chwilkę, na kieliszek wina z orzechowem ciastkiem.

A że Tomcio lubiał i wino i ciastka, wdzięcznie przyjął zaproszenie wdowy.

— Może byś pan przekąsił, — mówiła uprzejmie podsuwając mu nadto barani kotlet.

— Dziękuję pani! — i Tomcio zabrał się milcząc do jedzenia.

— Jak się ma pan Harthouse? pytała wdowa.

— Jak zwykle, wybornie.

— A gdzie bawi obecnie, — pytała od niechcenia w sercu klnąc młokosa za jego powściągliwość.

— Poluje w Yorkshire. Onegdaj przysłał Ludce kosz zwierzyny, wielki jak pół tego domu.

— Uprzejmy! O zakład pójdę że strzela celnie!

— Krak! i jest!

Od dawna Tomcio prosto w oczy ludziom nie patrzył, teraz zaś unikał staranniej niż kiedy bądź spotkania z czymbądź wzrokiem. Pani Sparsit mogła mu się tedy przypatrywać swobodnie.

— Podziwiam pana Harthouse, — rzekła, — wszystkim się zresztą podoba! Czy możemy mieć nadzieję widzenia go w krótkce?

— Pach! — jutro mam się z nim spotkać.

— Doprawdy!

— Umówiliśmy się, że go czekać będę na dworcu kolei żelaznej! z tamąd pojedziemy razem na obiad. Przez tydzień jaki lub i dwa, nie pojedzie na wieś do Ludki, bo zaproszony gdzieindziej. Tak przynajmniej mówi, lecz nie dam trzech groszy że zostanie tu na niedzielę i da się tam namówić.

— Oh to mi przypomina! Czy pozwoli mi pan panie Tomaszu! obarczyć siebie zleceniem do swej siostry.

— Dobrze, jeśli zlecenie nie długie i nie trudne.

— Bynajmniej! — oświadczy pan siostrze swej moje ukłony i powie, że czując się więcej jeszcze niż zwykle zdenerwowaną, nie będę jej nudzić towarzystwem mem w tym tygodniu. Wolę pozostać samą.

— O! i owszem! zresztą nie wielka bieda jeśli-bym i zapomniał bo Ludka pewnie się o to nie troszczy.

Odwdzięczywszy się za uprzejmy traktament, uprzejmymi słowy, Tomcio umilkł, siedząc jednak na miejscu dopóki było wino w butelce, poczem z lakonicznym:

— Pora już na mnie! — pożegnał panią Sparsit i wyszedł.

Nazajutrz, w sobotę, pani Sparsit dzień cały przesiedziała w oknie, przypatrując się przechodniom, roznosicielom listów, ulicznemu ruchowi, przeżuwając przeróżne myśli lecz zwłaszcza już na chwilę, na jedną nie tracąc z uwagi swej drabiny. Wieczorem dopiero nałożywszy szal i kapelusz wyszła z domu przekradając się małemi uliczkami do dworca przed nadejściem pociągu z Yorkshire. Na dworcu, okrążała ostrożnie kurytarze, arkady, trzymając się zawsze ocenionej strony, dopiero w „damskim pokoju“ odzyskując zwykłą swobodę ruchów.

Tom znajdował się w poczekalni aż do przybycia pociągu. Pana Harthouse nie było śladu. Tom czekał aż się dworzec opróżnił, poczem starannie przejrzał tablicę czasu, przybywania różnych pociągów, liczył kombinował, zasiągał informayi od urzędników i oddziwnych, odszedł wreszcie pomału, niechętnie. Na ulicy się jeszcze zatrzymywał, zrzucił to znów nasuwał kapelusz, poziewał, słowami zachowywał się jak „znużony“ „długiem“ i „daremnem“ [wyczekiwa-

niem. Drugi pociąg miał nadejść dopiero za godzinę minut czterdzieści.

— Wybieg, najzwyczajniejszy wybieg, — śmiała się w duchu, przebiegła wdowa, — wybieg by się go pozbyć. Harthouse jest gdzieś w tej chwili z Ludwiką. Z odznaczającą ją szybkością przedsięwziąć, przeniosła się na drugą stronę miasta gdzie był właśnie dworzec dla obsługi lokalnych pociągów. Czasu miała mało, drogi złe były, lecz wskoczyła i wyskoczyła tak prędko z doróżki, kupiła bilet, dobiegła do posuwających się już wagonów, że się znalazła w żądanym pociągu.

Przez całą drogę, zawieszoną w swej wyobraźni widziała mityczną drabinę i postać Ludwika zsuwającą się niżej, coraz niżej, po sam brzeg przepaści.

Wieczór wrześniowy zapadał pośepny gdy pani Sparsit wysiadła, przeszła stacye, kamienną drogę i znalazła się wśród gęstych zarośli. Parę późniejszych ptaków kwiliło jeszcze trzepocąc się na gałęziach a przerywający nad nią powietrze nietoperz był jedyną żywą duszą, którą spotkała po drodze. Wsunęła się do ogrodu, okrążyła dom parę razy ostrożnie we wszystkie zaglądała okna. Otwarte były jak zwykle latem, tylko nigdzie nie zapalono światła, wszędzie cicho było i pusto. Wróciła znów do ogrodu przejrzała wszystkie kąty. Nikogo. Wśliznęła się do pobliskiego lasu, niepomna rosy i traw wysokich, niepomna głógów ciemnych, robactwa, ślimaków, ostów. Z wysoko podjętymi brwiami i nosem wysuniętym na przód, przedzierała się przez zarośla z natężeniem uwagi takim, jak gdyby pod każdą gałęzią skrywać się miały węże i gady.

— Cyt!

Drobne ptaszyny zatrzepotały skrzydłami w gniazdach przerażone wzrokiem ślizgającej się wśród zarośli wdowy. Zatrzymała się, nastawiła ucha istotnie, dobiegły ją głosy: jej i jego. A co! zgadła! wszystko było ułożone z góry, by się pozbyć Tomcia. Siedzieli tam, pod drzewem, oboje.

Waż z lgnącą do ziemi piersią, nie prześlizguje się ciszej jak pani Sparsit wśród traw wysokich. Robinson Crusoe chowając się od dzikich, nie tak zręcznie okrążał drzewa. Dotarła wreszcie do celu! Jeden posuwisty a znalazłaby się obok nich.

Przybył sekretnie, konno, nie pokazał się w domu, koń stał uwiązany u drzewa, o parę kroków dalej.

— Ukochana! — mówił — wybacz mi. Wiedziałem żeś sama, nie mogłem się oprzeć pokusie.

— Co oni w niej widzą! — dziwowała się w duchu wdowa, podsuwając się coraz bliżej. — Ani się domyślasz koteczko! kto cię podpatruje: ani domyślasz!

Ludwika chciała by pan Harthouse odszedł, prosiła go o to, lecz nie podnosiła ni głowy ni twarzy i siedziała na miejscu. Na pozór spokojna, ręce złożyła na kolanach, podobna do posągu. Głos jej zdawał się nawet spokojny.

— Dziecko moje! — mówił pieścizliwie pan Harthouse, a pani Sparsit widziała rozblysem okiem jak ją siadając obok niej objął, — maleństwo lubie! czyż mi nie pozwolisz pozostać z sobą, chwilę, chwilę.

— Nie tu.

— Więc gdzież Ludwiko.

— Nie tu.

— Lecz tak mało mamy czasu, przybyłem z daleka. Kocham cię tak gorąco! Żaden niewolnik nie może być bardziej oddany swej pani, jak ja tobie. Spotkać twój idealny uśmiech, stało się jedynym celem mego życia. Mrozisz mię swym chłodem.

— Powtarzam, że chcę pozostać samą.

— Musimy się jednak spotkać. Kiedy, gdzie? Oboje powstali. Podsluchająca pani Sparsit cofnęła się też, gdyż jej się zdawało, że ma towarzysza. Były to tylko ciężkie krople deszczu, który raptem padać zaczął.

— Czy mam wsiąść na koń i jechać do domu i pytać tam czy mię pan Bounderby przyjmuje?

— Nie.

— Muszę ci być posłusznym, lecz nie masz do prawdy litości nademną! Sam sobie się dziwię! obojętny na wdzięki i zabiegi innych kobiet, dałem się podbić najpiękniejszej, najmilszej pod słońcem ale też najchłodniejszej, niewzruszonej. Ludko! ukochana! nie możemy się przecie tak rozstać.

Pani Sparsit widziała jak ją przytrzymał w silnem objęciu, przyciskał do piersi, słyszała słowa gorące i tkliwe: kochał ją, wszystko dla niej gotów był poświęcić; wszystko co mu się dotąd uśmiechało, zdawało godnym zabiegów, wszystko to dziś w porównaniu z nią, z nią samą, zdawało mu się marne. Jej samej wyrzec się nie mógł, gotów na wszystko: ucieczkę, tajemnicę, wszystko co rozkaże byle tylko z nią, z nią razem. Widział jej cierpienia, był świadkiem życia! Od pierwszej chwili spotkania zajęła go,

zachwyciła. Wszelkich starań dołożył, by pozyskać jej zaufanie — a mógłże poznając ją, nie pokochać?

To i więcej wiele, wśród ich drżących od wruszenia, przyciszonych głosów, wśród strachu by jej nie dostrzeżono, coraz większych, coraz gęstszych kropli deszczu, pani Sparsit skrzętnie notowała w pamięci, lecz że strach jej się wzmagał, deszcz także, przechodząc w ulewny, a słowa ich zniżały się do szeptu, nie dosłyszała, w ostatniej chwili, gdzie mianowicie naznaczyli schadzkę? Wiedziała tylko, że naznaczyli ją sobie tegoż jeszcze wieczoru.

Odwiązał konia, wskoczył nań lekko, odjechał.

Ludwika została sama. Do niej jak cień przyłgnęła wdowa.

— Mam cię koteczko! gołąbko! mam — myślała zacierając zmokłe ręce.

Szła krok w krok za wychodzącą z lasu, wchodzącą do domu. Co teraz będzie, myślała, cofając się pod drzewa? Deszcz lał ulewny. Białe pończoszki pani Sparsit zafarbowwały się wszystkimi barwy tęczy, wśród których przeważała zieleń wszystkich odcieni. Strzępy spodniczek wisiały, najdziwaczniejsze tworząc festony i dzierzgania. Potoki opływały jej przekrzywiony kapelus i nos spaścisty. W takim to stanie chowała się w zarośla, rozmyślając nad tem, co z tego będzie?

Wtem Ludwika wyszła z domu owinięta w płaszcz i woal gęsty. Ucieczka! niemal splasnęła w ręce pani Sparsit! Ofiara jej zbiegła na ostatni szczebel drabiny, runęła w przepaść!

Obojętna na deszcz i błoto, lekkim krokiem, lecz trzymając się ciągle zarośli, szła pani Sparsit krok



w krok za Ludwiką, a szybki chód tej ostatniej jako też wzmagające się ciemności, nie ułatwiały wdowie zadania.

Gdy Ludwika zatrzymała się, by cicho otworzyć i przymknąć bramę, pani Sparsit też przystanąła; gdy Ludwika szła dalej, pani Sparsit szła za nią w cieniu, w pewnej odległości. Szła drogą, którą przedtem przebiegła sama, przez łąki i pola, do dworca kolei żelaznej. Weszła na dworzec. Była to godzina odejścia pociągu do Coketown'u. Więc tam się miała na razie udać Ludwika?

Obmokła pani Sparsit nie potrzebowała troszczyć się o swój wygląd. Ktoby ją tam poznał, ktoby myślał o niej! Przystanąła jednak pod ścianą dworca, naciągnęła szal na zmokły kapelusz, i tak dopiero przebrana, weszła na stację i kupiła bilet. Ludwika czekając nadejścia pociągu siedziała w ciemnym kątku poczekalni, pani Sparsit usadowiła się naprzeciw w jeszcze ciemniejszym. Obie przysłuchiwały się wzmagającym grzmotom i piorunom, przypatrywały stokroć widzianym ścianom, z rozwieszonymi na nich afiszami, wiązaniami sufitu. Tu gaszono, tam zapalano latarnie i lampy. Wzdłuż drogi drżały i w dali ginęły dwa rzędy mętnych światel.

Zatrząśł się wreszcie mały dworzec, świst i zgrzyt oznajmił przybycie pociągu. Ogień i para, dym, odgłos dzwonka, znów świst i Ludwika wskoczyła do jednego wagonu, do drugiego pani Sparsit. Dworzec zniknął w nocy, rozdartych błyskawicą chmurach i deszczu smugach.

Chociaż zęby jej dzwoniły z zimna, pani Sparsit tryumfowała. Postać zsuwająca się z jej drabiny od

miesiące kilku niżej, coraz niżej zaprzepściła się w otchłani, a wdowa miała błogie uczucie czuwania nad jej zwłokami, postępowania za pogrzebem. „Przyjedzie do Coketown'u wcześniej od niego, — myślała, bo choć tamten ma dobrego konia nie zdąży, zwłaszcza w noc tak ciemną, burzliwą, po rozmokłych drogach. Ciekawam gdzie go czekać będzie? Gdzie się zjedzą? Dokąd udadzą? Cierpliwości! zobaczymy!”

Deszcz ulewny wywołał wielki zamęt na dworcu w Coketown. Ryny i rynsztoki wylały, ulice stały pod wodą. Wyskoczywszy z wagonu pani Sparsit, rzuciła się do stojących przed dworcem doróżek, które sobie rozrywano.

— Byle zauważyć numer tej, do której wsiądzie, myślała, — pochwycić wskazany doróżkarzowi adres.

Tylko, że się pani Sparsit przerachowała. Ludwika znikła jej z oczu. Baczne czarne oczy wdowy o jedno mgnienie zapóźno zwróciły się na drzwiczki wagonu z którego miała wysiąść. Były zamknięte. Przeszedłszy parę razy wzdłuż wagonu, pani Sparsit zdecydowała się otworzyć je. Zaglądnęła do środka. Wagon był pusty!

Przemokła do nitki, ze zmiętym wniwecz kapeluszem, ściekającymi włosy i twarzą, pełnemi wody i błota trzewikami, poszarpaną odzieżą, plamami rdzy i zieloności na plecach, bokach, wszędzie; czepiającemi się spodnic chwasty, zmokłemi trawy, pani Sparsit załamała ręce i rozplakała się na dobre.

— Wymknęła mi się! wymknęła!

## Na dnie przepaści.

Ojcowie narodu, po wielu głośnych utarczkach, zawiesili chwilowo swe czynności i pan Gradgrind przybył do domu na krótki wypoczynek.

Siedział właśnie za biurkiem w swym gabinecie, pod ze statystyczną regularnością idącym zegarem i pisał zapewne sprawozdanie o tem, że dobry Samarytanin nie był biegłym ekonomistą. Plusk deszczu mu nie przeszkadzał, podnosił jednak od czasu do czasu głowę i spoglądał przez okno na zachmurzone niebo i panujące na dworze ciemności, jak gdyby chciał przywołać do porządku nazbyt rozbujałe żywioły. Za każdym też głośniejszem uderzeniem piorunu rzucał niespokojnem okiem w stronę Coketown'u, gdzie tyle, tak wysokich fabrycznych kominów ściągać mogło gromy niebios.

Grzmot rozlegał się w powietrzu a deszcz bił gwałtownie o szyby, gdy nagle rozwarły się drzwi jego pokoju. Zdumiony, spostrzegł w nich starszą swą córkę.

— Ludwiko!

— Chcę pomówić z tobą ojcze!

— Co! co się stało? jak wyglądasz! na miłość Boga! jak mogłaś puszczać się w drogę, w podobną burzę?

Dotknęła przemokłych sukien.

Tak — rzekła, teraz dopiero spostrzegając, że je woda strumieniem ocieka. Zrzuciła niedbale swój płaszcz, woal, kapelusze i stała patrząc wprost na ojca, tak błada, zmieniona, z potarganym włosem, z takim

wyrazem wyrzutu i rozpaczony na twarzy, że aż się cofnął przerażony pan Gradgrind.

— Co! co się stało Ludwiko! Mów, błagam cię.

Opuściła się na krzesło naprzeciw ojca, lodowatą rękę położyła na jego rękę.

— Ojcze — rzekła z gorączkowym pośpiechem lecz sucho, wychowywałeś mię od kolebki.

— Tak, dziecko moje.

— Od chwili, w której się urodziłam. Przekłętą godziną.

Patrzył na nią wystraszony, zdumiony.

— Przekłętą godziną, — powtórzyła.

— Jak mogłeś ojcze, — ciągnęła, — dając mi życie, pozbawić wszystkiego, co mu wartość dać może? Gdzie są moje kobiece cnoty, kobiece serce i cele? Coś zrobił, o ojcze! coś zrobił, z oddaną pieczy twej duszą moją, gdzie kwiaty, które na jałowym tym dziś gruncie kwitnąć mogły, kwitnąć winne były?

Uderzyła się gwałtownie w piersi.

— Gdyby kwitły i odkwitły, same ich prochy ustrzedz by mię mogły jeszcze od przepaści, w której całe moje zaprzepaściło się życie. Niechciałabym budzić tych wspomnień, lecz czy pamiętasz ojcze, rozmowę jakąśmy tu, w tym pokoju, mieli z sobą?

Tak mało był przygotowany do tego, co go zaskoczyło, że odparł dopiero po chwili wahania.

— Tak, Ludko, przypominam sobie.

— To co dziś mam wyznać, wyznałabym wówczas, gdybyś mię był jednym zachęcił słowem, spojrzaniem jednym, pieszczotą. O! lepiej by mi było, stokroć lepiej, gdybyś mię był od kolebki zaniedbał!

Słyszac wymówkę tę, po całym staraniu, jakie poświęcił wychowaniu swych dzieci, starzec pochylał głowę i jęknął żałośnie.

— Gdybyś wiedział ojcze! co się działo ze mną, gdyśmy tu wówczas rozmawiali z sobą. Od dzieciństwa, od najwczesniejszego nauczona panować nad sobą, powstrzymywać wybuchy uczuć, nieśmiałałam popuścić im wodze, lecz, gdybyś wiedział ojcze! ile w tem sercu było tęsknoty tłumionej tkliwości, któraby się rozwinąć mogła i pragnęła, popędów, których nie obejmą żadne statystyczne tablice i które sam ich Stwórca obrachować tylko zdoła, gdybyś wiedział, możebyś mię i nie wydał za tego, za któregoś mię wyda! a który jest mi dziś wręcz nienawistnym.

— Zapewne, zapewne, biedne moje dziecię, — bełkotał złamany ojciec.

— Nie skazałbyś mię na chłody i upokorzenia, na bezowocne walki i nieuniknione upadki. Poczujesz ojcze odjął mi jedyne bogactwo życia, tę lotną, duchowną jego cząstkę, coby mi była puklerzem od otaczających mię wstrętów i rzeczy płaskich a twardych, szkołą w której nauczyłabym się pokory, pobłażania, rezygnacyi, zmieniania samego zła na dobre.

— Ludko! dziecko moje!

— Tak ojcze! jeślibym oslepla, i straciła zmysł dotyku, lecz pozostała swobodną i zachowała pamięć, szczęśliwszą byłabym, stokroć szczęśliwszą, rozumniejszą, bardziej kochającą, czystsza, lepszą, niż jestem z tem wszystkim czego mię uczono. A teraz posłuchaj ojcze, co ci powiem. Powstał i objął ją. Powstała też i z ręką opartą na jego ramieniu, z wlepionemi weń oczyma, mówiła zwolna.

— Zgłodniała, spragniona uczuć, któremi nie karmiono mię nigdy, rwąc się całą mą istotą w strefy, których obliczyć ani nawet przeniknąć niepodobna, wzrastalam w ustawicznej, choć głuchej walce z samą sobą i wszystkim co mię otaczało.

— Nie wiedziałem Ludko, że się czujesz nieszczęśliwą.

— Ale ja wiedziałam to, czułam. W walce tej anioł ustąpił przed szatanem. To czegom się tu uczyła nauczyło mię wątpić, gardzić, nie wierzyć i żalować tego tylko, czego mię nie uczono. Pocięszalam się jedynie myślą, że życie mija, szybko mija, to też nie warto bronić się, ni walczyć, nie warto!

— Ludko! w twym wieku! — jęknął przybity tem, co słyszał i wzruszony do głębi duszy starzec.

— Tak! w moim wieku! Alboż byłam kiedy młodą, byłamże dzieckiem kiedy? Dziś odsłaniam ci ojcze stan mojej duszy w chwili, gdy mi przedstawiłeś mego dzisiejszego męża. Przyjęłam.

— Wiedziałeś przecie ojcze, i on wiedział, że nie kocham go, nie udawałam, nie kłamałam. Wiedziałam, i tyś ojcze wiedział i on wiedział, dobrze, że nie kocham go, nie pokocham nigdy, a wychodziłam dlatego tylko by dogodzić Tomciowi. Wiedziałam że Tomciowi to będzie na rękę. Czegóżbym nie zrobiła dla niego! Lecz omyliłam się poświęcając i to zapewne niepotrzebnie, życie me całe, siebie, wszystko! spostrzegłam to. Cóż! Tomcio był jedynem mem ukochaniem! tak silnem dlatego może zwłaszcza, że się litowałam nad nim... Mówię o tem dla tego tylko ojcze, byś był pobłażliwy na jego błędy i...

Nie skończyła. Położyła drugą rękę na drugim ramieniu ojca i patrząc mu prosto w oczy, coraz bliedsza, ciągnęła:

Gdy wyszła za mąż, wszystko się we mnie wzburzyło przeciw więzom tym i wszystkie dawne zażalenia, tęsknoty, powstały żywsze, wywołane starciem się dwóch odmiennych natur. Czulałam, że nie tu nie pomocą ogólne prawa i prawidła, bo nóż anatomiczny trzeba by było zapuszczać w samą głęb mego serca.

— Ludwiko! — jęknął błagając ojciec, przypominając sobie, to co zapomniał był, pominął, w rachubę nie brał, przy rozmowie z córką ongi, w tym tu gabinecie.

— Nie czynię ci ojcze wyrzutów, nie skarżę się — nie. Nie po tom tu zresztą przybyła.

— Powiedz dziecko, powiedz! co uczynić mogę dla ciebie?

— Chwilę ojcze, a powiem. Przypadek rzucił na mą drogę człowieka, takiego jakiegom dotąd nie spotykała. Obeznany ze światem, wytworny, wymowny, bez przesady, przyznający się otwarcie do tego jak mało sobie waży to, co zdaje się istotnie nie mieć żadnej wagi, zbliżył się do mnie, pozyskał zaufanie... Jak, czem, powiedzieć już nie potrafię. Odgadł mię. Myśli moje dla mnie samej niejasne często, jak z otwartej czytał książki. Nie, nie znajdowałam by gorszy był odemnie. Istnieje pomiędzy nami powinowactwo! Dziwiło mię tylko, że ten niedbający o nie, tak badzo dba o mnie...

— O ciebie Ludko?

Pomimo woli rozwiązywały się ojcowskie ramiona

i rozwiązały by się może, gdyby nie czuł jak mu się ślania w rękę, gdyby nie dostrzegł jak się rozszerzają jej wlepione w niego żrenice.

— Nie mówię czem pozyskał zaufanie moje, nie mówię, nie zda się to tu na nic! Dość, że pozyskał. To coś się dopiero ojcze dowiedział z dziejów małżeństwa mego, odgadł on od dawna.

Twarz pana Gradgrind'a śmiertelnie pobladła.

— Niżej nie upadłam jeszcze, — ciągnęła bezdźwięcznym głosem Ludwika, — nie shałibiłam cię ojcze, lecz jeśli mię spytasz czy go pokochałam, czy kocham, odpowiem ci szczerze: być może, nie wiem!

Oderwała ręce z ramion ojcowskich i przycisnęła niemi serce. W zmienionej do niepoznania jej twarzy widać było wysiłek, wysiłek nadludzki wypowiedzenia się do końca. Długo stłumione uczucia wzbierały w jej piersi i ją rozrywały.

— Dziś wieczorem, — ciągnęła z wysiłkiem, — w nieobecności męża mego, który oddalił się z domu na dni kilka, przybył, wyznał mi bez osłon swą miłość, a zem się go inaczej pozbyć nie mogła, czy nie miała siły — czeka mię teraz... Nie wiem czy mi wstyd, żal, nie wiem nawet czy czuję swój upadek, wiem jeno, że to, czego mię uczono, uratować mię nie zdoła. Więc ratuj mię ojcze innym jakim sposobem.

Trzymał ją przyciśniętą do swych piersi, lecz krzyknęła, wysunęła mu się z objęć, i ojciec ujrzał dumę swą, podpórę starości, tryumf wychowawczego systemu, leżącą bez zmysłów u nóg swoich.

KSIĘGA TRZECIA.  
ZBIORY.

Rozdział I.

I to niezbędne.

Kiedy Ludwika ocknęła się z długiego zemdlenia, znalazła się w swym łóżku i w swym pokoju, w rodzicielskim domu i zdawało się jej zrazu że wszystko, co zaszło ciężkim snem było. Po kilku dopiero chwilach, zdała sobie sprawę z rzeczywistości.

Głowa jej ciężyła i bolała, oczy puchły i były zmęczone, czuła się słabą, a tak zobojętniała na wszystko, że nie zauważyła nawet zrazu, bytności w swym pokoju młodszej swej siostrzyczki. Nawet gdy ją spostrzegła i gdy Johasia zbliżyła się do jej łóżka, Ludwika leżała długo milcząc, z ręką w ręku dziewczynki. Po dłuższej dopiero chwili spytała:

- Odkąd tu jestem?
- Od wczoraj wieczór...
- Kto mię tu przywiódł?
- Sissy jak wnoszę.
- Dlaczego tak wnosisz?

— Bo ja tu zastałam dziś rano. Że nie przyszła obudzić mnie, jak zwykle czyni, szukałam ją po domu całym; nie była w swym pokoju i dopiero tu ją zastałam. Czuwała nad tobą, zimne ci na głowę robiła okłady. Czy chcesz widzieć ojca? Sissy zleciła mi oznajmić mu, gdy się obudzisz.

— Jak promienną masz twarzyczkę, — zauważyła Ludwika, gdy się Johasia pochyliła ku niej nieśmiało chcąc ją pocałować.

— Doprawdy! Miło mi, że ci się tak zdaje. Sądzę, że to zawdzięczam Sissy.

Ramię Ludwiki otaczające szyję dziewczynki, opadło.

— Poproś tu ojca, jeśli ci się podoba.

Johasia chciała odejść, lecz ją Ludka zatrzymała.

— Ty to Johasiu urządziłaś tak milutko mój pokój?

— O! nie! zastałam go już urządzonym. To... Ludwika odwróciła się do ściany, nie słuchając dalej Johasi. Dopiero gdy ta wyszła, odwróciła się nazad i otworzyła oczy. Wkrótce wszedł ojciec.

Wyglądał znużony bardzo i ręce mu drżały, gdy ujął jej rękę. Usiadł na łóżku, troskliwie dopytując jak się czuje i nakazując, by się zachowała jak najspokojniej, po wczorajszem wzruszeniu i wystawieniu na taką ulewę. Mówił głosem przyciszonym drżącym, odmiennym od rozkazującego głosu, którym dotąd zwykł był przemawiać. Słów mu często brakło.

— Ludwiko droga! biedne moje dziecko! — począł i zaciął się.

— Nieszczęsne dziecko! — i znów się zaciął.

— Nie potrafię wyrazić, jak jestem przybity tem, co spadło na mnie tak niespodzianie. Czuję, jak gdyby mi się grunt wymykał z pod nóg.

— To, na czem polegałem, co mi się zdawało niezawodnem runęło, rozsypało się w gruzy. Nie mówię o osobistych mych uczuciach... cios który spadł na mnie, przygniótł mię, złamał.

Jakże go pocieszysz, sama rozbitkiem będąc losu!

— Nie zaprzeczę, — ciągnął starzec, — jeślibyś szczęśliwym jakimś zbiegiem okoliczności zawiódła dawniej nadzieje moje, lepiejby z tem było tobie, mnie, wszystkim. Przyswoiwszy sobie wyobrażenia pewne i nabrawszy do nich zaufania, wcielałem je w życie to też dziś przyjąć muszę całą odpowiedzialność za zawód jaki mi wyrządziły. Chciałbym tylko, dziecko moje! żebyś wierzyła w najlepsze me chęci.

Mówił to szczerze: chęci miał zawsze najlepsze, postępował zgodnie z naboranem przekonaniem. Wierzył, że mierząc niezmiernie przepaści duszy i życia, krótkim faktów łokciem, wszechświat kompasem, wielkich dokona rzeczy. Powstrzymywany uzdą swych teoryj, tratował dokoła siebie kwiaty, w najlepszych w świecie zamiarach, szczerzy od wielu sobie podobnych.

— Nie wątpiłem ani na chwilę o dobrej twej woli ojcze, — odrzekła Ludwika. Wiem nadto, żeś była twem ulubionem dziecięciem, żeś gorąco pragnął mego szczęścia, żeś na nie pracował. Nie czyniłam ci nigdy wyrzutów i czynić pewnie nie będę.

Pan Gradgrind ujął jej rękę.

— Droga Ludko! Całą noc przesiadałem w wym

pokoju, myśląc o tem co zaszło, co oboje nas złamało. Gdy się zastanawiam nad twym charakterem; nad tem co mi w twej urobionej przezemnie tak starannie na modłę mych zasad duszy, było przez lat tyle niedostępne a odsłoniło się wczoraj dopiero; nad tem co cię zmusiło do zwierzienia mi się, tracę resztki wiary w samego siebie.

Mógłby dodać, że mu się serce kraje, gdy widzi ją tak zmienioną, zbolałą, lecz nie dodał tego, tylko obcym jej i sobie dotąd ruchem, odgarnął pieścizotliwie opadające na jej czoło włosy. Córka odgadła co pieścizota ta zawierała.

— Lecz, — ciągnął wahając się pan Gradgrind, jeśli się tak zawiódł w przeszłości, możeż ufać danej chwili lub przyszłości? Nie, Ludko! nie mogę. To co zaszło wczoraj, zachwiało wszystkie moje tyloletnie przekonania i nie czuję się w siłach godnie odpowiedzieć zaufaniu, jakieś we mnie położyła — nie wiem czy posiadam instynkt — jeśli takowy istnieje? — ku wsparciu ciebie, kierowaniu dziś tobą.

Leżała z twarzą zagrzebaną w ramionach, której ojciec dojrzeć nie mógł. Nie płakała, pomimo rozrywającej piersi burzy. Uspodobienia jednak pana Gradgrind o tyle uległy zmianie, że wolałby widzieć ją tonącą we łzach.

— Niektórzy, — mówił z cicha, — utrzymują, że dwie są mądrości, dwie miary: mądrość i miara głowy i mądrość a miara serca. Nie mogłem zrozumieć tego rozdwojenia, lecz mamże ufać sobie? Głowa zdawała mi się zawsze aż nadto wystarczającą. Możeż to dziś utrzymywać jeszcze? A jeśli by wypadkiem

druga ta, zaniedbana przezemnie mądrość i miara, były właśnie temi, które by się w danym wypadku zdać mogły?... przypuśćmy... gdyby wypadkiem...

Wątpił, niechętnie stawiał przypuszczenie niezgodne z wyznawanymi przez życie całe teoriami. Któż się starych naleciałości pozbyć zdoła odrazu..

Ludwika milczała. Leżała na łóżku w pół odziana jeszcze, tak jak wigilią runęła była zemdlona u nóg ojca.

— Ludko, — ciągnął starzec kładąc znów rękę na jej włosach, — w ostatnich czasach mało przesiadywałem w domu, i zdawało mi się, że wychowanie twej siostrzyczki nie zupełnie tak idzie jakem tego pragnął? Zauważyłem rozluźnienie pewne mego, — tu się zająknął, — mego systematu. Wnoszę, że się to stało dzięki pewnym wpływom, na które była wystawioną od wczesnego dzieciństwa. Jak sądzisz Ludko — jak na tem wychodzi Johasia?

— Ojczy, — odrzekła, nie odkrywając twarzy Ludwika, — jeśli w sercu Johasi powstał nastrój, którego mi brakło, na miłość Boską pozostaw ją z tem a pewnie szczęśliwszą odemnie będzie.

— O biedne! biedne dziecko! — rzekł starzec złamany głosem. — Najnieszczęśliwszym jestem z ojców! Możesz mi nie czynić wyrzutów, sam je sobie czynię.

Spuścił głowę nisko na piersi a po chwili ciągnął cicho:

— Zdaje mi się, że jakieś zmiany pod nieobecność moją zachodziły w domu moim, dokonywane przez wdzięczne serce, które w cichości wypełniało tu to właśnie, co dotąd pozostawało niewypełnionem. Jak ci się zdaje?

Ludwika milczała.

— Duma moja, — ciągnął ojciec, — srodze ukorzona duma, zgodzić się musi na oczywistość. Jakąż bym zresztą mógł zachować pychę wobec ciebie lub ty wobec mnie Ludko? Jak ci się zdaje dziecko moje! czy mam rację?

Lecz i tym razem starzec nie doczekał się odpowiedzi. Długo patrzył na leżącą nieruchomie córkę, wreszcie wyszedł, nie dodając już ani słowa. Wkrótce po jego wyjściu, szczelina wpuszczając do ocienionego pokoju smugę światła przez drzwi cicho uchylone, kazała domyślić się leżącej nieruchomie Ludwice, że ktoś znów wszedł do jej pokoju. Nie podniosła jednak głowy. — Myśl, że oko zwrócone niegdyś na nią z współczuciem i zdumieniem, zmierzy teraz całą głębię przepaści, w jaką się stoczyła, napełniała ją gniewem głuchym. Powstrzymywane gwałtem żywioły mściły się zwykły na nakładane sobie wędzidła. Tak jak potrzebne powietrze i woda, łamiąc stawiane sobie zapory, sprowadzają klęski i zniszczenie, tak i w sercu Ludki wrodzone a długo tłumione zalety, zmieniły się w niechęć wznoszącą przegrody pomiędzy jej bólem a zbliżającą się do niej współczującą duszą.

Na czole poczuła dotknięcie świeżej, drobnej dłoni. Udała że śpi, lecz chłodząca ręka nie cofnęła się, owszem spoczywała na jej czole budząc uśpione w duszy uczucia. Ludwika czuła jak się coś w niej pod dotknięciem tem łamie, taje. Łzy nabiegły jej do oczu. Z pochylonej nad nią twarzy spadały też na jej czoło łzy gorące. Ludwika czuła, że to tak płaczą nad nią. Udała

że się budzi, Sissy cofnęła się i stanęła przy łóżku jak gdyby dopiero co weszła.

— Może zbudziłam, — spytała nieśmiało, — przyszedłam zobaczyć, czy jestem potrzebną.

— Tu? po co? — spytała niechętnie Ludwika, — siostra moja może cię potrzebować, gdyż zdajesz się być jej niezbędna.

— Doprawdy! — wstrząsnęła głową Sissy, — chciałabym być użyteczną.

— W czym? — spytała sucho Ludwika.

— W czym zdolam. W każdym razie chciałabym być na twe zawołanie... o! nie narzucam się, nie będę nudzić, pozostanę na uboczu. Czy mogę?

— Ojciec mój cię tu przysłał?

— O nie! powiedział mi tylko, że mogłabym się dowiedzieć co tu słyszać. Dziś rano, chciałam raczej... — zawałała się.

— Raczej co? — spytała patrząc jej prosto w oczy Ludwika.

— Uchylił się, gdyż obecność moja mogła by ci być niemiłą.

— Czym ci okazała aż tyle niechęci?

— O nie! kochałam cię zawsze bardzo panno Ludwiko, i zawsze chciałam, byś wiedziała o tem, lecz... zmieniłaś się dla mnie w..., na krótko przed opuszczeniem domu. Nie dziwiłam się nawet temu. Uczoną byłaś a ja tak mało czego nauczyć się mogłam i naturalnem było, że się uchylasz odemnie przy zmianie życia. Nie miałam ci tego bynajmniej za złe. Sissy mówiła szybko, rumieniając się, Ludwika wzruszona, pochyliła głowę.

— Czy mogę spróbować zostać ci użyteczną, — spytała nagle Sissy, ośmielona milczeniem Ludki do

tego stopnia, że aż podjęła ramiona gotowa objąć pochylającą się mimowoli ku niej młodą kobietę.

Ludwika ujęła ją za rękę.

— Czy mię znasz Sissy, czy znasz dobrze, — spytała? — Czy wiesz jakem dumna i twarda a zarazem zawstydzona i upokorzona, nie rada sobie i wszystkim i wszystkiemu, zgorzkniała, ponura? Czy cię to nie odstrasza?

— Nie, — odrzekła łagodnie Sissy.

— Czuję się tak nieszczęśliwą, pozbawioną wszystkiego co może pocieszyć, podnieść, wzmocnić, że mi na nic to co umiem, czego mię uczono. Nie czuję nawet potrzeby dźwignąć się do spokoju, zadowolenia, godności, tego com straciła bez powrotu. Czy i to cię nie odstrasza?

— Nie!

W całej niewinności swego kochającego serca Sissy promieniała nad pochyloną, złamaną Ludwiką.

Ludwika objęła jej rękę obu swemi dłońmi i podnosząc wzrok podziwu i rozrzewnienia na córkę kłowna i cyrkowego ujeżdźacza, zawołała:

— Przebacz mi! ulituj się nademną, wspomogaj, bom słaba, złamana, zwichrzona! Utul mię siostrzanem objęciem.

— O dobrze! dobrze! droga moja, — zawołała zanosząc się od płaczu Sissy.

Rozdział II.

Śmieszny.

Pan Dżems Harthouse spędzał noc całą i dzień następny w tak gorączkowym stanie, że niktby w nim



chyba nie poznał wielce obiecującego brata, wielce zasłużonego członka parlamentu. Był po prostu wzbudzony. Zdarzało mu się nawet przemawiać z patosem, obcym ludziom dobrze wychowanym. Miejsca, jak to mówią nie zagrzał, włóczył się bez celu jak ulicznik lub rozbójnik, słowem taki go opanował niepokój i niesmak, że zapomniał na razie o nudzie i o tem jak się przy niej zachowywać wypada.

Goniąc w noc burzliwą do Coketown'u, z szybkością dżokeja pragnącego wygrać pierwszą nagrodę wyścigu, nie kładł się potem noc całą, co chwila budząc gwałtownym szarpnięciem dzwonka hotelową służbę i dopominając się o depesze, to o listy, które miały nadejść pod jego adresem. Lecz noc przeszła, przeszło świtanie, ranek minął, dzień dobiegał do południa a wyczekiwane listy czy depesze nie nadchodziły. Popołudniu wyjechał na wieś, do pana Bounderby. Tu dowiedział się o tem, o czem dobrze wiedział, a mianowicie że bankier był nieobecnym a pani Bounderby w mieście. Nikt nawet w domu nie spostrzegł jej nieobecności aż do nadejścia depeszy, ze zleceniem, by jej powrotu, jak na teraz, nie oczekiwano.

Pozostawało panu Dżemswi wrócić do miasta. Udał się wprost do domu bankiera. Nikt tu jego żony nie widział. Przeszedł do banku. Ani tu także. Nawet pani Sparsit była nieobecną. Jakto! nieobecną! Kto by się spodziewał, że mu tak zależy na widzeniu smoka!

— Tak! — puścił dym z cygara Tomcio, sam mając powody do pewnego zaniepokojenia, — wyniosła się gdzieś baba ze świtem. Zawsze tajemnicza! Ścier-

pieć jej nie mogę! ani też tego bladego ryżaka, wiecześnie wytrzeszczającego na każdego wyblakłe ślepiea.

— Gdzieś spędził wczorajszy wieczór, — spytał gorączkowo pan Harthouse?

— Gdzieś spędził wczorajszy wieczór! a to doskonale, — odmruknął Tomcio, — gdzie, jeśli nie wyczekując pana? Mnie to raczej pytać, gdzieś pan spędził wczorajszy wieczór?

— Miałem przeszkodę... zostałem zatrzymany.

— Zatrzymany! doprawdy! Obaj tedy byliśmy zatrzymani, bo nie doczekawszy się pana ostatnim pociągim, nie mogłem puszczać się na wieś omnibusem w taką jak wczoraj burzę i nocować musiałem w mieście.

— Gdzie?

— We własnym łóżku, u starego.

— Więc widziałeś swą siostrę?

— Dobre! mówię przecie panu, że zostałem w mieście. — Klnąc w duszy młokosa, któremu okazywał tyle pozornej przyjaźni, pan Harthouse, gubił się, po raz niewiadomo już który, w domysłach, co to wszystko ma znaczyć i co też zająć mogło? Jedno jasnem było to, że, czy to Ludwika znajduje się obecnie czy nieznajduje w mieście, czy się rozmyśliła — a czegoż po niej nie można było się spodziewać! — czy też zabrakło jej odwagi, natrafiła na przeszkodę nieprzewidzianą — a może tajemnica ich zdradzoną i wykrytą została? — Obowiązkiem tedy jego, pana Dżemsa Harthouse, czekać w pogotowiu na wszystko. Wypadało mu wrócić do hotelu, w którym zamieszkiwał, czekać cierpliwie aż się rozprószą pokrywające całą tę rzecz nieprzenikliwe

ciemności. Powinien wrócić do hotelu. — A dalej? A no, dalej, będzie co będzie!

— Tak tedy, — myślał sobie, — zanim otrzymam wyjaśnienie, wskazówkę nowej schadzki, czy spowiedź wyrzutów sumienia, czy bogdaj najmniej upragnione odwiedziny mego przyjaciela Bounderby, uzbrojonego w rewolwer, mnszę zjeść obiad temczasem. Owszem. Jesliby przyjść miało do czegoś z Bounderby, lepiej mi nie być naczczo.

Zadzwoił i rzucając się niedbale na sofę, rozkazał służącemu podać:

— Obiad na szóstą, coś pożywnego, bifstek.

Wydawszy to praktyczne rozporządzenie, przepechał pozostający mu do obiadu czas, jak mógł. Nie szło mu to. Dręczył go wzmagający się z godziny na godzinę niepokój, chociaż rzeczy brał o tyle chłodno o ile najchłodniejszy potrafi brać człowiek. Czasem czuł potrzebę wprawiania się w coś, ot tak:

— Gdyby to, — myślał, — dać pięć szylingów fagasowi któremu, — mógłbym za tę cenę mierzyć do niego.

— Albo też, — myślał znów, — nając na dwie godziny potężnego chłopca...

Pomimo to czas dłużył mu się strasznie. Do obiadu daleko jeszcze było, więc co chwilę wstawał, wyglądał przez okno, nasłuchiwał we drzwiach, czuł, że się rumieni za każdym rozlegającym się po korytarzu krokami, a gdy zapadła szara godzina i noc nadeszła z kolei, czuł się podnieconym i podrażnianym do najwyższego stopnia. „Prawdziwe tortury!“ — mruczał, — inkwizycya lepszych wymyślećby nie mogła!

Opanowywał się jak mógł, zadzwonił żądając światła i gazet.

Przez pół godziny daremnie usiłował czytać. Po pół godzinie służący uchylił ostrożnie drzwi i zajrzał dyskretnie do pokoju.

— Co tam? — porwał się gwałtownie pan Harthouse.

— Za pozwoleniem pańskim. Ktoś potrzebuje widzieć pana.

Pan Harthouse przypomniał sobie, że w ten zwykły sposób policya wywołuje upatrzone przez się ofiary, więc skrzywił się pytając.

— Potrzebuje?

— Za przeproszeniem, ciągnął zawsze przez uchylone drzwi służący — dama jakaś..

— Dama! gdzie?

— Tu, za drzwiami...

Służący był już odepchnięty a pan Harthouse na kurytarzu. Przed nim stała młoda, lecz zupełnie mu nieznaną kobieta. Bardzo ładna, bardzo spokojna, odziana ubogo. Wwiódłszy ją do pokoju i przysuwając fotel do stołu, na którym palily się świece, zauważył że o wiele jest ładniejszą niż mu się zrazu zdała. Twarz miała nadzwyczaj młodą, niewinną i pociągającą. Nie zdawała się ani przestraszona, ani nawet zmieszana, tylko zajęta tem co ją tu sprowadziło. Zapominała rzekłbyś o samej sobie.

— Mówię z panem Harthouse? — przemówiła gdy zostali sami.

— Z panem Harthouse, — myślał sobie, — i to tak jak gdybyś mówiła z pierwszym lepszym z brzegu! tyle spokoju w oczach, w ciepłym głosie.

— Chociaż nie wiem dobrze, — poczęła, — bo i z kądże bym wiedzieć o tem mogła? — zaczerwieniła się cała, — na czem polega honor dżentlemana, sądzę, że pan zechce zachować przy sobie i bytność tu moją i to co powiedzieć zamierzam? Czy mogę liczyć na pańską dyskrecję?

— Upewniam panią, że możesz, w zupełności.

— Młodą jestem jak pan widzi... samą... a kierując tu me kroki, nie zasięgałam niczyjej rady, oprócz własnego serca i nadziei...

— To kapitalne! — myślał, nie spuszczać z niej oka pan Harthouse. — Po tak obiecującym wstępie, czegoż się spodziewać nie można!

— Wnoszę, — mówiło dziewczę, że się pan już domyślił o co idzie?

— Daruj mi pani. Przez ostatnią dobę — a zdaje mi się, że trwała lata całe! byłem wzburzony i wzruszony w niezwykły sposób, z powodu... damy pewnej. Czy się mylę, czy też pani przybywasz z czemś, co się damy tej tyczy.

— Właśnie opuściłam ją przed godziną.

— Gdzie?

— W domu jej ojca.

Twarz pana Harthouse'a przedłużyła się, niepokój wzmożł.

— Niech ją! — pomyślał, jeśli rozumiem co to znaczy.

— Przybyła tam wczoraj wieczorem, — ciągnęła Sissy, — późno już, w burzę, wzburzona bardzo. Zemdląła i leżała bez zmysłów noc całą. Mieszkam

tam, więc czuwałam nad nią i mogę powiedzieć panu, że już jej pewnie pan nie zobaczy nigdy więcej.

Pan Harthouse zaczerpnął powietrza. Jeśli kto kiedy, to on teraz nie wiedział co odpowiedzieć. Dziecinna niemal naiwność siedzącego naprzeciw niego dziewczęcia, odwaga i spokój, zapomnienie widoczne samej siebie, wobec zadania jakiego się podjęła, absolutna ufność w dane sobie przez pana Harthouse'a i którego już się wstydził przyrzeczenia zachowania tajemnicy; przedstawiało mu coś tak nowego, niespodziewanego, coś przeciw czemu znane mu sposoby zdawały się zupełnie bezużyteczne, że istotnie nie mógł przyjąć do słowa.

— Tak nagle a stanowcze postanowienie, — począł wreszcie, — i to z podobnych ust... może zmniejszać do najwyższego stopnia. Pozwolę sobie spytać, czy słowa owe nieodwołalne pochodzą wprost od damy, o której mówimy?

— Nie dała mi żadnego zlecenia, — odrzekła z prostotą Sissy.

— Tonący chwytą się brzytwy! zatem nie ubliżając przekonaniom pani, nie wątpiąc o szczerości jej zamiarów, pozwolę wątpić o nieodwołalności wyroku, skazującego mię na wieczyste wygnanie z przed oblicza... wiadomej nam damy.

— Niech pan nie wątpi o tem. — Przybyłam tu, by upewnić pana, że niema żadnej nadziei byś ją mógł spotkać kiedy. Jest ona odtąd tak dla pana obcą jak gdyby umarła.

— Mamże w to wierzyć? A jeśli nie mogę, nie chcę, jeśli uparty, starać się będę zmienić to postanowienie?

— Nie! nie ma nadziei. Żadnej.

Dżems Harthouse z powątpiewającym uśmiechem patrzył na upewniającą. Nie wywarło to jednak pożądanego efektu, gdyż Sissy pogrążona była w tem co ją tu przyniosło. Zagryzł tedy usta pan Dżems Harthouse, zastanawiając się nad tem co ma mówić.

— Zapewne, — rzekł po chwili, — jeśli bym się nawet mógł zgodzić na wyrok tak srogi, a nie mógł bym pewnie zastać prześladowcą rzeczonyj damy, wolno mi spytać raz jeszcze, co panią upoważnia do stawienia mi tak ciężkich warunków?

— Nic, oprócz głosu prawdziwego przywiązania. Nic oprócz tego, żem nie odstąpiła jej odkąd wróciła pod dach ojcowski i że mi się ze wszystkim zwierzyła. A i to jeszcze, że ją znam. Wiem coś o jej charakterze i małżeństwie. O panie! wszak i pan posiadał jej zaufanie! Cichy ten wyrzut wzruszył coś w miejscu gdzie mogło być serce Dżemsa, gdzie się mogły gnieździć lepsze, starannie wypłenione uczucia, coś nakształt wstydu.

— Nie żywię, — rzekł, — pretensyi do szczególnej moralności i uczciwości, owszem, jestem równie niemoralny i zepsuty, jak niejeden z tych co na moralnych pozują, lecz, odnośnie do damy o której mówimy, o tem czym miał lub nie nieszczęście ją skompromitować, wyrażając jej uczucia moje niestety niezgodne z jej — jakżeby to powiedzieć? z jej obowiązkami, o tem czym skorzystał z tego, że ojciec jej jest statystyczną tablicą, mąż niedźwiedziem, a brat smykem nieznośnym; upewnić mogę, żem nie działał nigdy w zły wierz, ani w myśl z góry powziętych zamysłów. Zsuwałem

się po naturalnej, nieuniknionej pochyłości, sam nie czując jak i kiedy i anim się spostrzegł, jak dalekom zabrnął...

Chociaż mówił niedbale, widocznie chciał się usprawiedliwić i po chwilowem milczeniu ciągnął z większą jeszcze swadą, chociaż z widocznymi ślady niezadowolenia.

— Po tem, co mi obecnie było przedstawione, w sposób tak przekonywający — a wątpię doprawdy, czybym rzecz tę mógł tak łatwo przyjąć z ust innych — czuję się zobowiązanym wyznać tej, co się raczyła zwrócić do mnie z taką ufnością, że nie odmawiam wzięcia pod rozwagę tego, co mi pani proponuje. Żałuję tylko, że rzeczy taki wzięły obrót i dodać muszę, — kończył tracąc panowanie nad sobą, — że bynajmniej nie wpłynię to na rzekome moje umoralnienie. Co prawda, w żadną moralność nie wierzę.

Z twarzy Sissy wyczytał, że nie skończyła z tem, z czem przysła.

— Pani ma mi jeszcze coś powiedzieć?

— Tak panie. Mam.

— Słucham.

— Panie Harthouse, — poczęła z obowiązującą prostotą i łagodnem przeświadczeniem że się domaga najsluszniejszych pod słońcem rzeczy, i to go właśnie stawiało w trudnem i nie awantozownem położeniu, — panie Harthouse, jedynem zadosyćuczynieniem za to co zaszło, będzie, jeśli ją pan pozostawi w spokoju. Pewną jestem że pan to zrozumie? Nie mówię, że to złemu zaradzi, lub że to rzecz wielka i trudna, zawsze będzie to już coś.... Toteż, choć mię nikt do tego nie

upoważnił, choć to musi pozostać pomiędzy panem i mną, prosić będę pana, byś dziś jeszcze opuścił to miasto z przyrzeczeniem niewrócenia tu nigdy.

Jeśli by Sissy zdradziła brak wiary w to, o co się tak stanowczo i z taką prostotą domagała, jeśli by się zawahała, okazała, że czuje i spostrzega całą śmieszność jego sytuacji, przypuszcza zdziwienie jego lub opór, mógłby być pan Harthouse do czegoś się przyczepić, lecz wiedział, że całe jego zdumienie działa na nią tyle ile spojrzenia oczu ludzkich na jasnych niebios tonie.

— Lecz czy pani rozumie, — pytał przychodząc do słowa, — doniosłość stawianego żądania? Może i niewiadamo pani, że pozostaję tu w charakterze oficjalnym poniekąd, związanym ze sprawą publiczną, niedorzeczną, jeśli się pani tak podoba, lecz z którą wiąże mnie zobowiązania, którą bądź co bądź popychać muszę. Pani o tem nic nie wie, lecz upewniam panią, że tak jest. Fakt pani!

Fakt czy nie fakt, nieobchodziło to zgoła Sissy.

— Zresztą, — ciągnął, niespokojnym krokiem przebiegając pokój, — ucieczka taka, nagłe wycofanie się, będzie śmieszne, do ostateczności ośmieszyć mię może! co powiedzieliby o tem ci, którym znane są zasady moje i zadania.

— Pewną jestem, — utrzymywała z niezwruszonym spokojem i przekonaniem Sissy, — że to jest jedyną możebną z pańskiej strony naprawą tego, co zaszło i że pan powinien to uczynić. Gdybym niemiała tego przeświadczenia, nie byłabym tu.

Spojrzał na nią i znów się przeszedł po pokoju.

— Na honor, nie wiem, co pocznę! Ależ to śmieszne! do niedarowania śmieszne!

Teraz to już jemu szło o sekret.

— Jeśli bym, — począł wahając się, — i opierając o komin, — zdecydował na narażający mię na śmieszność odjazd, musiałoby to chyba pozostać największą tajemnicą....

— Tak jakem zaufała panu, możesz mi pan zaufać, — odrzekła Sissy.

Stojąc przy kominie pan Harthouse przypomniał raptem sobie pierwszy wieczór tu spędzony, w towarzystwie Smyka. Tylko tym razem on to sam na sobie robił wrażenie blazna. Zabrął bo w położenie bez wyjścia!

— Zdaje mi się, mówił patrząc w dół, to w górę — śmiejąc się, to brwi ściągając, — że nikt nigdy chyba nie był w podobnem memu położeniu. Jak tu wybrnąć... A no! niech tam sobie będzie jak chce! Mniejsza z tem! wnoszę, że muszę się na wszystko zgodzić i... zgadzam się ostatecznie.

Sissy powstała. Nie była wcale zdziwioną, tylko zadowoloną bardzo, co się też malowało na jej wdzięcznej twarzy.

— Pozwolę sobie dodać, — rzekł kłaniając się przed nią pan Harthouse, — że nikt chyba inny, żaden wysłannik czy wysłannica, nie potrafiłby wymódz na mnie to, co pani wymogła. Nie tylko uważam się za postawionego w najśmieszniejszym położeniu, w jakim mężczyzna znaleźć się może, lecz wyznaję, że pobity co się zowie. Niechże mi pani da przynajmniej możliwość zapamiętania imienia mojej zwyciężkiej nieprzyjaciółki!

— Jakto imienia? mego?

— Jest to jedyne o które mi obecnie idzie.

— Sissy Jupe.

— Daruje pani moją ciekawość względem rodziny której....

— Ubogą jestem dziewczyną, — przerwała mu ze zwykłą swą prostotą Sissy, — rozłączoną z swym kochanym ojcem, dżokejem cyrkowym. Pan Gradgrind, przygarnął mnie z litości. Mieszkam u niego.

Mówiła to we drzwiach już, dygnęła i wyszła.

— Tego tylko brakowało! — mruknął pan Harthouse opadając na sofę. — Tego! Ależ zostałem pobity, pobity co się zowie! Ubogie dziewczę.... proszę.... tylko! Córnka dżokeja!.... patrzcie ją! a pobiła mnie Dżemsa Harthouse, i jestem jak roztrącona piramida!

To mu nasunęło na myśl podróż do Egiptu. Porwał za pióro i nieczytelnym swem pisaniem skreślił pod adresem brata, członka parlamentu, następną lakoniczną kartkę:

„Kochany bracie! Dość mam Coketown'u. — Znużony jestem śmiertelnie. Wyjeżdżam po wielbłądy. Twój Dżemsa“.

— Zadzwoił.

— Zawołać mego służącego.

— Śpi od dawna.

— Wyciągnąć z łóżka. Niech pakuje rzeczy.

Napisał dwa jeszcze listy, oba lakoniczne bardzo: pierwszy do pana Bounderby, oznajmując muswój wyjazd i dając adres na najbliższych dni kilka, drugi słowo w słowo taki sam do pana Gradgrind'a. Zanim atrament zasechł na adresach, opuścił hotel, Coketown,

i już przypatrywał się przez okna wagonu, pogrążonym w nieprzeniknione nocne cienie krajobrazom.

Zdawałoby się może komu, że pan Harthouse skruszony rozmyślał nad sobą i tem co zaszło? Bynajmniej. Czuł jeno że był śmiesznym, jakby to zapewne czuł niejeden w jego położeniu, i tej najlepszej może w całym swem życiu karty nie odsłoniłby nigdy, za nic, przed nikim. Jedyna to też była, za którą się rumienił.

### Rozdział III.

#### Zdecydowany.

Niezmordowana i niezem niezrażona pani Sparsit, zakatarzona, bez głosu, tak drżąca na całym ciele, że bać się trzeba było czy się czasem nie rozpadnie w kawałki, póty uganiała się za swym chlebobdawcą, aż go dościgła, w stolicy. Tu, wytropiwszy go w hotelu, gdzie się był zatrzymał, od razu i bez ogródek wyładowała wszystko co ją rozsadzało. Poczem zemdląła, porwana za gardło silną dłonią bankiera.

Pan Bounderby powaliwszy babę na ziemię i kopnąwszy ją jeszcze nogą, wziął się z kolei do cucenia jej, używając zwykłych sposobów: trąc pulsa, dłonie, oblewając obficie wodą, wysypując soli do ust i gdy te i tem podobne troskliwe starania przywróciły ją do życia, co nastąpiło niebawem, niewdając się w żadne wyjaśnienia, porwał wpół żywą, wpakował do doróżki, powiózł na dworzec i najpośpieszniejszym pociągiem nazad do Coketown'u.

Gdybyśmy ją uważać chcieli jako starożytną ruinę, pani Sparsit wyglądałaby wcale zajmująco u końca

szybkiej podróży, lecz w innym widziana świetle, nie wywoływała bynajmniej podziwu, jaki wywołać pragnęła. Nie zważając na jej przemokłą, poszarpaną odzież, pan Bounderby, przybywszy do Coketown, wpakował ją znów do doróżki i wioził prosto do Stone Lodge.

Tu, wtargnął bez ceremonii do gabinetu pana Gradgrind'a, wlokąc za sobą wdowę.

— Masz Tomciu, — wrzeszczał z progu, — masz damę tę. Znasz ją przecie? pani Sparsit. Słuchaj co ci powie, słuchaj! jest od czego ogłuchnąć, oniemić.

— Rozminąłeś się z moim listem, — zawołał zdziwiony nagle zjawieniem się bankiera, starzec.

— Z listem, z jakim? — pienieł się Bounderby — pal go! Jak raz czas na korespondencyą. Jak raz, Jozyasz Bounderby z Coketown czytałby w obecnej chwili, czyje bądź listy.

— Ależ, — miarkując go mówił Gradgrind, — list to szczególnie ważny: idzie o mą córkę.

— I ja mam ci właśnie Tomciu Gradgrind, — wołał pan Bounderby uderzając pięścią w biurko, — opowiedzieć coś o twej córce! Potom tu właśnie przywiózł panią Sparsit. No! pani, naprzód, mów co wiesz.

Lecz powołana na świadectwo tak była ochrypla, krzywa, płacząca, niejasna, że zniecierpliwiony Bounderby porwał ją za ramię i odepchnął.

— Jeśli nie jesteś pani w stanie tłómaczyć się jasno, dobitnie, mnie to zostaw. Nie pora na zawiloście, chociażbyś tam nie wiem jak była urodzoną i spokrewnioną. Słuchaj Tomciu Gradgrind co ci powiem: jasno, dobitnie, w dwóch słowach. Tu obecna pani Sparsit, wypadkiem zapewne, podsłuchiwała w lesie gruchanie

twej córki z tym tam! a no! wiesz przecie, boś mi go sam naraił; z tym, tam, twoim Harthous'em.

— Czy tak, — zauważył chłodno Gradgrind?

— A tak właśnie! — wołał zaperzając się coraz bardziej Bounderby, — chcesz, to ci powiem o czem gruchano.

— Byłoby to zbyt cieżnym. Wiem wszystko.

— Wiesz! — cofnął się zbity z toru bankier, — wiesz wszystko? więc i to wiesz zapewne, gdzie się obecnie twa córka znajduje?

— Niewątpliwie. Pod moim znajduje się dachem.

— Tu!

— Przedewszystkiem proszę cię Bounderby, miarkuj wybuchy swego głosu. Ludwika jest tu. W chwili, gdy się pozbyła natręta, któregom ci zlecił był istotnie, czego się też odżalować nie mogę, przybyła do mnie szukając opieki. Przed kilku dopiero godzinami sam wróciłem był do domu. Przyjąłem ją tu, w tym pokoju, zmokłą, zmienioną do niepoznania, zrozpaczoną. Odtąd jest pod moim dachem. Proszę cię zatem Bounderby byś się miarkował przez wzgląd na nią i na samego siebie.

Bounderby przymilkł, patrzył chwilę występującymi oczyma na pana Gradgrind'a, wodził po całym pokoju wzrokiem, unikając jeno wzroku pani Sparsit, wreszcie napadł na tę ostatnią.

— A widzi pani! Ciekawym bardzo, co teraz pani wymyśli na swe usprawiedliwienie? Latać i to aż do Londynu, pośpiesznym pociągiem, z garścią wiatru w rękę! Kto słyszał coś podobnego!

— Panie! — szeptała wygasłym głosem wdo-

wa, — zanedo jestem wyczerpana, znerwowana, straciłam zdrowie służąc panu i całą mą ucieczką lży, które przelewam.

— Pal je..., — tak pani! nie ubliżając damie wysoce urodzonej i spokrewnionej, radzę pani wsiąść napowrót do doróżki, która nas tu przywiozła i jazda! do banku. Tam pomocz nogi w ukropie i przed położeniem się wypij szklanę gorącego rumu z łyżką świeżego masła. Słyszysz pani! Rozumiesz?

Mówiąc to pan Bounderby porwał za ramiona płaczącą i kichającą, wiodąc ją przyspieszonym krokiem do doróżki. Po chwili wrócił sam.

— A teraz porozmawiajmy z sobą, — mówił, — do pana Gradgrind'a, — gdyż widzę, że masz mi jeszcze coś do powiedzenia, tylko uprzedzam, nie jestem w humorze słuchania koszałek opalek. Cała ta sprawa nie-podoba mi się i na ogół przyznać muszę, że córka twoja nie traktowała mię z uległością i uprzejmością należną mnie Jozyaszowi Bounderby z Coketown'u. Jeśli ty coś wiesz to i ja wiem cośkolwiek, więc jeśli masz co przeciw temu, com dopiero mówił, zostawmy to lepiej na inny raz.

Widząc pana Gradgrind'a przybitym, miękkim, Bounderby, jak się tego od niego należało spodziewać, tym przykrzejszym był i ostrzejszym.

— Kochany Bounderby, — począł pan Gradgrind, lecz mu bankier przerwał.

— Nie chodzi mi wcale o kochanie, to pierwsze i główne. Przekonałem się, że gdy mię kto zaczyna nadto kochać, to pewnie chce podejść. Nie bawię się w czułość i wyrażam się może szorstko, lecz — wia-

domo pochodzenie moje, zwyczaję, zamiłowania! Schowaj tedy grzeczności i czułości dla swych przyjaciół, dzentlemenów takich, owakich. Z tamtymi zbierzesz, co posiejesz i jeszcze z procentem! ale nie tu, nie tu.

— Bounderby, — począł pan Gradgrind, — każdy z nas omylić się może...

— Sądziłem, że się masz za nieomylnego!

— Możem tak i sądził, lecz teraz wiem, że po-dlegamy omyłkom i byłbym ci wdzięczny bardzo je-ślibyś miał na tyle delikatności by się powściągnąć od docinków co do Harthouse'a. Wolalbym usunąć go z rozmowy jaką tu mieć mamy.

— Nie ja przecie wymienilem jego nazwisko!

— Dobrze, dobrze, — odparł łagodnie, niemal pokornie pan Gradgrind i umilkł na chwilę, — widzisz Bounderby, rzekł po chwili, — doszedłem do wniosku, żeśmy nie rozumieli Ludwiki.

— *My!* Kto *my?*

— Ja, jeśli chcesz. Wątpię, czym ją rozumiał i czym pokierował stosownie jej wychowaniem.

— O! co w tem, to ci przyznaję najzupełniejszą słuszność! Dopieroś się spostrzegł! Wychowanie! Chcesz, to ci powiem na czem polegać winno: na wypychaniu dzieci za drzwi, i skąpienia im wszystkiego, oprócz, pięści. To mi dopiero najlepsze wychowanie!

— Sądzę, — odparł łagodnie starzec, — że bądź co bądź podobne, nie da się chyba zastosować do dziewcząt?

— Pal je! dziewczęta! wielka mi osobliwość!

— Ale zostawmy kwestyę tę na uboczu, upewniam cię Bounderby, że nie mam ochoty sprzeczać się z tobą



Chciałbym raczej zreperować to co się zepsuło, o ile się da; i chciałbym byś mi w tem dopomógł. Widzisz jakim strapiony.

— Nic nie widzę i nie nierozumiem, to też nie mogę zobowiązywać się na ślepo, do niczego.

— W ciągu godzin kilku, — zaczął łagodnie, pokornie niemal starzec — wniknąłem w istotę charakteru Ludwiki lepiej, niż przedtem przez lata całe. Świadomość tę nabyłem w nader bolesny sposób i nie sam ją wywołałem. Widzisz Bounderby, przyszedłem do przekonania, że Ludka posiada zalety, wielkie zalety, pozostawione odłogiem, zaniedbane, spacone! To też, chciałem właśnie podsunąć ci myśl — czy nie pozwolibyś mi, przez czas jakiś, postarać się sprowadzić zalety te niewątpliwe na odpowiedniejszą drogę... Chciałbym działać na córkę teraz przez czułość, szacunek... na lepsze by to wyszło nam wszystkim... Ludka, wiesz, była zawsze najukochańszem mojem dzieckiem.

Słyszac to chełpliwy Bounderby poczerwieniał, i zachłysnął się tak, jak gdyby miał paść rażony apopleksją. Poczzerwieniało mu czoło, szyja, uszy. Powstrzymał się jednak.

— Jak to rozumiesz, — spytał, — chcesz ją zatrzymać.

— Tak, właśnie, — bełkotał Gradgrind, — chciałbym byś mi ją zostawił... na czas dłuższy. Pielęgnowałbym ją troskliwie, ja i Sissy — to jest, chciałem powiedzieć — Cecylja Jupe, która doskonale rozumie Ludkę i do której Ludka ma zaufanie.

— Czy mam wnosić z tego co słyszę, — spytał

pan Bounderby, wydymając piersi i wsuwając do kieszeń obie ręce, — że przypuszczam istniejącą pomiędzy mną a twą córką, tak zwaną niezgodność temperamentu.

— Boję się istotnie, że niezgodność pewna istnieje pomiędzy Ludką i... zgoła stosunkami, wśród jakich ją postawiłem.

— Słuchaj! — zagrmiał nie miarkując się już wcale Bounderby, czerwony jak piwonia, z rękoma w kieszeniach, rozstawionemi szeroko nogami a włosom tak najeżonym jak gdyby wszystkie naraz wichry przeleciały nad jego łysiną. — Wypowiedziałeś, coś miał do powiedzenia, teraz moja kolej. Jestem proch z prochu, kość z kości tej ziemi: Jozyasz Bounderby z Co-  
ketown'u. Znam tu na pamięć cegłę każdą, kamień każdy, każdy zwój dymów tutejszych a i robotników, tych gałganów, znam na wskrós, na wylot. Gdy mi kto bądź zawraca głowę jakimis tam przymiotami duszy, zasługami, potrzebami serca, wiem od razu do czego zmierza: Pachnie to zupą żółwiową, szynką i to na srebrze, na szczerem! Tak i z twoją córką. Przewróciło się jej w głowie. Niancz że ją sobie stary, bo u mnie, mówię ci, nie nie wskura.

— Miarkuj się Bounderby! — upomniał pan Gradgrind.

— Poczekaj! Nie skończyłem jeszcze. Dałem ci wypowiedzieć wszystko coś chciał, teraz moja kolej. Słuchaj. Nie wydaj się na pośmiewisko, nie popadaj w sprzeczności, w których widzę brniesz, tracąc głowę na starość. Jeśli jest jaka niezgodność, jak mi to chcesz wmówić, pomiędzy twą córką a mną: Jozyaszem

Bounderby z Coketown'u, to chyba w tem: że córka twoja niechce, nieumie ocenić zasług swego męża, ocenić jak winna, honor, jaki spadł na nią z tego połączenia. Jasno? Co?

— Dziwaczysz, Bounderby.

— Dziwaczę? Dobrze! wybornie! trafiłeś jak kulą w płot. Sluchaj, aż dopowiem do końca co mam powiedzieć a zobaczysz, kto z nas dwóch zdziwaczał: ja czy ty! ty czy ja! zobaczymy. Znasz moje pochodzenie i wiesz, że przez lata, przez długie, chodziłem bosi, obdarty, a jednak — możesz wierzyć lub nie wierzyć, jak ci się podoba! są kobiety, a i jakie jeszcze, damy, prawdziwe damy, z urodzeniem, stosunkami! gotowe proch mi z pod pięt zmiatać, nogi całować!

— A córka twoja, — ciągnął, — może urodzona, spokrewniona, co? Nie to, żebym dbał o te rzeczy; wiem że funta właków nie warte, lecz fakt faktem, a sam wiesz przecie co znaczy fakt, pozytywny fakt! A wiesz po com to wszystko mówił?

— Domyślam się, że nie aby mię oszczędzać, — odrzekł cicho pan Gradgrind.

— Tylko, nie przerywaj mi proszę i czekaj cierpliwie na swą kolej. Nie przerywałem ci przecie, paplałeś ile ci się podobało. To com powiedział, to dla przekonania cię, że damy, wysoce urodzone i spokrewnione damy! oddziwić się nie mogły brakom uwagi, starań, niedbałości o mnie córki twej a żony mojej: Ludki Bounderby. I oddziwić się nie mogły żem to cierpliwie znosił. Prawda! — uderzył się wskazującym palcem w czoło, — sam się temu teraz dziwię.

— Przestań Boundorby, — upomniął pan Gradgrind — zawiełeś już i tak o tem mówili.

— Owszem, za mało, skoro mam jeszcze coś do powiedzenia a przystąpię wprost do pytania, które wszystkiemu koniec położy. Coś miał na myśli, stawiając mi propozycję taką?

— Zatrzymanie tu córki.

— Myślałem, — tłumaczył łagodnie pan Gradgrind, — że mi tu na czas jakiś zostawisz moją córkę. Wypocznie, zastanowi się, wniknie w siebie, pogodzi może z losem swym i obowiązkiem, co na lepsze w każdym względzie wyjść nam może.

— Na lepsze względem tejtam — niezgodności? Co?

— A tak, jeśli już chcesz.

— Na czem zasadzasz te przypuszczenia?

— Jużem ci mówił. Boję się, żeśmy nie zrozumieli Ludwika, przerachowali.... Będąc tak bardzo od niej starszym, może i nie mógł wniknąć w jej charakter, usposobienie, sposób myślenia a przyjął na się odpowiedzialność na złe i dobre losy.... — Bounderby słyszał słowa jakie sam niedawno mówił Stefanowi, przedstawiając mu, że żeniąc się, przyjął odpowiedzialność na złe i dobre, związał na wszelakie losy, nie dosłuchał do końca i przerwał brutalnie.

— Nie potrzebujesz mi powtarzać, wiem na com ją brał i sam wiesz na co. Moja to zresztą rzecz.

— Chciałem tylko powiedzieć, — odparł p. Gradgrind, że każdy z nas w tej sprawie mniej więcej winien, nie wyłączając ciebie, a z twej strony, zachowanie należnych względów i pamięć na ciążącą na tobie a dobrowolnie wziętą odpowiedzialność, byłyby

nie zasługą, lecz po prostu spełnieniem zaciągniętego względem Ludki długu.

— Myślę przeciwnie — wybuchnął znów Bounderby i sprawę tę załatwię nie wedle twoich, lecz swoich wyobrażeń. Nie chcę się z tobą kłócić, bo przedmiot nie wart kłótni. Nie zgadza się to z moją godnością, ani mem położeniem. Co do tego tam... cananego przyjaciela, coś mi do domu wprowadził, pal go! Niech się wynosi do stu dyabłów, bo jeśli mi stanie na drodze, nauczę panicza! Jeśli nie stanie, pal go! szukać nie będę. Co do twej córki, z której zrobiłem panią Bounderby, choć lepiej by mi było pozostawić ją tem, czem była, co do Ludki Gradgrind, jeśli jutro, punkt w południe, nie wróci do mnie, to pal ją! może pozostać, gdzie jest. Odeślę stanowiącą jej własność szmaty. Sam odtąd mój kochany troszczyć się będziesz o nią i jej zalety. Co do mnie, oto, co powiem wszem wobec i każdemu z osobna, o tej, jak tam! niezgodności temperamentów pomiędzy mną a córką twoją. Powiem: jestem Jozjasz Bounderby z Coketown i wychowany byłem, wiecie, tak i tak, a córka Tomcia Gradgrind'a, tego, wiecie, staro, wychowaną była tak i tak. Trudno dwom znarowionym koniom zgodnie iść w zaprzęgu. Trudno! więc trudno! Wiem dobrze, że nie jestem pospolitym człowiekiem i niejeden to wie, lecz dla ocenienia takiego jak ja człowieka, niepospolitej też trzeba kobiety. Oto co mówię i wręcz każdemu powiem.

— Zastanów się, zastanów dobrze, — upomniał go pan Gradgrind, — zanim przedsięweźmiesz coś stanowczego.

— Zawsze bywam stanowczy, — odrzekł Bounderby, wkładając kapelusz na głowę. — Zawsze i nieodmiennie. Dziwi mnie nawet mocno, że Tom Gradgrind znając od lat tyłu Jozjasza Bounderby z Coketown'u, wątpił jeszcze o tem. Jozjasz Bounderby z Coketown'u raczej dziwić się powinien w jakie, na starość, Tom Gradgrind wpada głupstwa i bzdurstwa. Powiedziałem ostatnie słowo. Dobranoc.

Wyszedł i szedł prosto do domu i łóżka. Nazajutrz o pierwszej po południu kazał starannie złożyć i spakować to, co pod jego dachem było własnością córki Gradgrind'a i odesłał do Stone Lodge. Tegoż samego dnia wystawił na sprzedaż wiejską posiadłość i wrócił do kawalerskiego trybu życia.

## Rozdział IV.

## Stracony.

Sprawy kradzieży w banku pan Bounderby nie zaniedbywał przeto. Człowiek przechwalający się ustawicznie tem, że sam sobie wszystko zawdzięcza, przemyślowiec przedziwniejszy od samej Wenery, bo gdy tamta powstała z piany morskiej, ten się wywodził z kału i błota, nie mógł pozwolić, by go z tropu choć na dzień, na jeden, zbiły rodzinne jakbądź drażliwej natury sprawy. Interesa przedewszystkiem. To też w pierwszych tygodniach zerwania stosunków rodzinnych zajął się ze zdwojoną energią dochodzeniami kradzieży, tak dalece, że dokuczał policji samej.

Któż bo był winien, że dotąd na upatrzony trop policya nie wpadła? Po wstępnych dochodzeniach sprawa zdawała się skończoną. Poszlaki pozostawały po-

szlakami, lecz tkacz i staruszka, na których padało podejrzenie, zaprzepaścili się gdzieś. Stefan Blackpool zginął bez wieści, a tajemniczą staruszkę owijała ta sama co przedtem tajemniczość.

Wobec tego pan Bounderby umyślił przedsięwziąć energiczniejsze kroki. W tym celu kazał wywiesić na rogach ulic opis szczegółowy Stefana Blackpool, byłego tkacza w Coketown, począwszy od włosów, nosa, odzieży, a kończąc na tem, kiedy i jak opuścił to miasto. Obiecywał dwadzieścia funtów temu, kto udzieli wskazówek o miejscu pobytu tegoż Stefana Blackpool'a, posądzonego o kradzież, dokonaną w banku. Ogłoszenie wydrukowano olbrzymiemi literami, na olbrzymich arkuszach papieru, rozlepiono przededniem, na roгах ulic, tak, by uderzyło rozbudzoną ludność.

To też dzwony fabryk dzwoniły dłużej niż kiedybądź poranku tego, zwołując robotników gromadzących się przed plakatami i pożerających je chciw m okiem. Najchciwsze były te właśnie oczy, co nie umiejac czytać, uderzone wyglądem niezwykłych ogłoszeń, oderwać się od nich nie mogły. Zawsze ktoś się znalazł, co tłómaczył zawartość plakatów. Oczy i uszy pełne były dobranych kluczy, wytrychów, łomów i Bóg wie czego, a gdy robotnicy wyszli powtórnie, w południe z fabryk, powtórzyło się zbiegowisko na rogach ulic. Że zaś Slackbridge miał wieczoru tego znowu przemawiać na ludowym zgromadzeniu, uzbroił się w jeden z plakatów, drukowany czarnem na białem.

— O! bracia moi i ziomkowie! o! członkowie związku robotników w Coketown, o! towarzysze współpracownicy — wołał, rozwijając „przeklęty dokument“,

wywijając nim niby zwyciężkim sztandarem. — O! bracia mili, ziomkowie! towarzysze, patrzcie jakiegośmy się to pozbyli zdrajcy w stosunkach, które wzmacnia zgoda i sprawiedliwość. O bracia, zgięci pod jarzmem tyranów, wprost zdeptani żelazną nogą przemocy, patrzcie, jak nieprzyjaciele nasi cieszyć się, tryumfować będą! — O! bracia i wy siostry także! co powiecie o Stefanie Blackpool, co was na taką wydał poniewierkę? Widzicie ohydny ten dokument, osłepiający afisz, haniebne ostrzeżenie! Z jakimże majestatem niewinności każdy z was wydać winien w ręce sprawiedliwości niecnego zbrodniarza. Z jaką dumą szczyścić się możemy, żeśmy gadzinę tę wyrzucili z naszego łona, że nie plugawi zebrań naszych. Tak bracia! ziomkowie! odrzuciliśmy go od szlachetnych, uczciwych piersi naszych. Czy pamiętacie, jak tu właśnie, na tem miejscu stał przed wami, a jam z nim walczył, oko w oko, krok za krokiem. Czy pamiętacie, jak się nikczemny czołgał, wykręcał, rozbijał, aż pokonany ustąpić musiał, czując, że mu się grunt z pod nóg wymyka. Przedmiot wzgardy i ohydy! Niech go mściwe zgruchocą pioruny. Deptać go, pomiatać nim ma dziś prawo każdy prawy i uczciwy człowiek. O bracia! dumny jestem braterstwem naszym i nazwą! czy pamiętacie, jak piętnowałem go, gdy stał tu przed nami kłamstw i wykrętów pełen? Czy pamiętacie? Wówczas, przeczącem tknięty, wołałem już nań: „Zdrajco! zbroju! zlodzieju! zbiegu! banito! kajdaniarzu! plago i hańbo rodzinnego miasta, plago i hańbo twych braci robotników, ich i ich dzieci!“ To też, bracia moi! w najświętszym braterstwa związku, do któ-

regoście przystali, wy, dzieci wasze i dzieci dzieci waszych, te co choć nie wiekowe, nie narodzone jeszcze, już są związane ze związkim... wnoszę w imię zarządu związku, zawsze dobro wasze mającego na celu, dbałego o interesy wasze, korzyści, wnoszę zagajenie obecnego zgromadzenia uchwałą, by tak, jak opublikowany tu oto Stefan Blackpool, wydalony został z łona ludności robotniczej Coketownu, tak i czyny jego i hańba nie plamiły byłych jego towarzyszy pracy.

— Slackbrigde otarł czoło czerwoną chustką; kilka głosów zawołało „nie!“ inni krzykali: „słuchajcie!“ „słuchajcie!“ „Slackbrige nie stulił jeszcze gęby“. Nie śpieszcie z potępieniem! lecz były to głosy mniejszości, większość stanęła po stronie krzykacza.

Wyrobnicy rozchodzili się do domów, gdy Sissy wysłana przez Ludwikę na miasto wróciła się ode drzwi.

— Kto tam? spytała Ludwika?

— Pan Bounderby, i brat twój Tomcio, i jeszcze jakaś młoda kobieta, nazywająca się Rachela, która utrzymuje, że ją znasz.

— Czegóż chcą?

— Widzieć się z tobą. Kobieta płacze i gniewa się o coś.

— Ojciec, — zwróciła się do obecnego ojca Ludwika, nie zdaje mi się, bym mogła uchylić się od spotkania z... powody moje potem ci wyłuszczę. Czy mogę przyjąć? Na twierdzący znak pana Gradgrind'a, Sissy wwiiodła gości. Tom, niechętny zatrzymał się u drzwi samych, w najciemniejszym kącie.

— Pani Bounderby, — począł przemysłowiec z chłodnym i pełnym napuszouej godności ukłonem,

— przepraszam panią, jeśli jej przeszkadzam, lecz oto, tej tu obecnej wyrobnicy, zeznania, zmusiły mnie do tego. Ponieważ brat pani, a syn twój Tomcio Gradgrind, tu obecny Tomcio Gradgrind junior, odmawia wyjaśnień, upierając się w niewytłomaczonym milczeniu, zmuszony jestem przeprowadzić oczne stawki, pomiędzy tą oto wyrobnicą a obecną tą tu panią Bounderby.

— Widziałś mię już pani! — rzekła wyrobnica, zbliżając się do Ludwiki i patrząc jej śmiało w oczy. Tomcio odchrząknął przy drzwiach.

— Widziałś mię już raz, prawda? — powtórzyła Rachela.

— Tak jest.

Rachela zwróciła się do pana Bounderby.

— Niechże młoda pani powie, gdzie, kiedy, jak? spotkała się ze mną, kto tam był więcej? Ludwika mówiła spokojnie i wyraźnie.

— Byłam u Stefana Blackpool tegoż samego wieczora, gdy stracił miejsce w fabryce. Tam to widziałam tą kobietę. Stefan był w domu. Była i jakaś stara kobieta też, ta się nie odzywała i jak umyślnie pozostawała w cieniu. Brat mój był ze mną.

— Czemuś o tem dotąd nie wspomniał, — zwrócił się Bounderby do Tomcia.

— Obiecałem siostrze sekret.

Ludka pośpieszyła to potwierdzić.

— Zresztą, — ciągnął z goryczą młokos, — potrafi ona sama opowiedzieć wam całą tę historję, ładnie i składnie. Poco mam jej przeszkadzać.

— Powiedz młoda pani, powiedz, — dopominała

się z żalem w głosie Rachela, — po coś naszła nas w ten wieczór nieszczęsny?

— Tkacz ten obudził zachowaniem się swem moje współczucie, chciałam się dowiedzieć co wydalony zamierza począć z sobą, pomóż mu chciałam.

— Zobowiązany! — mruknął przemysłowiec.

— Powiedz im młoda pani, powiedz, czyś mu ofiarowała pieniężną pomoc?

— Tak — bilet bankowy, którego nie przyjął, zadawałnając się dwoma funtami, które mu dałam złotem.

Rachel zwróciła się z dumą do pana Bounderby.

— O! rozumiem, — mruknął ten ostatni, — muszę przyznać, że to com uważał za bajkę, zostało tu przez panią stwierdzone jako fakt, fakt dokonany.

— Czy wiesz pani, — mówiła Rachel nie spuszczać oka z Ludwika, — że Stefan Blackpool został ogłoszony, czarno na białem, za złodzieja. Wywieszono ogłoszenia na rogach ulic. Dopiero co, na zebraniu robotników, zarzucono mu kradzież publicznie. Jemu! Stefanowi! najuczciwsiemu, najlepszemu z ludzi.

— Wzruszenie przerwało jej głos, szlochała.

— Przykro mi, żałuję... mówiła Ludwika.

— O! Pani! młoda pani! chciałabym, byś mówiła prawdę, lecz nie wiem, czy ci mam wierzyć, bo zwykle wy panowie niedbacie o nas, o honor nasz, serce, życie, duszę! Nie wiem, pociś przychodziła do nas tamtego wieczoru, lecz pewną jestem, żeś miała cel ukryty, choć i nie przypuszczałaś może, jaką niedolę wnosisz pod dach biedaka, nie mającego nic prócz spracowanych rąk i imienia czystego, uczciwego, sza-

nownego. Bóg Ci zapłać, mówiłam ci wówczas wdzięcznem sercem, bo mi się zdawało, że czytam współczucie w twej twarzy, lecz Bóg raczy wiedzieć... co było wówczas w twem sercu!

— Czy nie waryatka to, — mruknął ze swego ciemnego kąta Tomcio, przyjsz tu, takie wyprawiać sceny. Warto ją precz wyrzucić, bo nie umie się w przyzwoitym domu zachować!

Rachela milczała. Słysząc tylko było jej ciche szlochanie. Ciszę przerwał Bounderby.

— Dość tego. Mów pociś przyszła.

— Nie chciałam, — rzekła, — płakać, ni wyrzekać... Pani, zwróciła się do Ludwika, — gdy przeczytałam to, co tam drukowane stoi, a co taką jest prawdą, jak gdyby wydrukowano to o tobie pani, poszłam wprost do banku powiedzieć, że wiem, gdzie się on znajduje i przyrzec za niego mogę, że się tu stawi najdalej za dwa dni. Pana Bounderby nie było w banku a brat pani kazał mi precz odejść. Pytałam o panią, lecz i pani tam nie było. Wróciłam tedy do warsztatu, lecz wieczorem, wychodząc z fabryki dowiedziałam się, co się po mieście rozniosło o Stefanie i pewna że przyjdzie oczyścić się z niesłusznych a okrutnych zarzutów, ndałam się znów do pana Bounderby, zastałam go w domu, powiedziałam wszystkim, a że mi wierzyć nie chciał, przywiódł mię tu.

— Prawda, — powiedział pan Bounderby włączając kapelusz na głowę a ręce do kieszeń, — tylko — znam was wszystkich! i wiem jak łatwo wam język w gębie obracać. Radzę ci też mniej gadać a więcej robić. Coś przedsięwzięła dotąd? Co?

— Napisałam do Stefana popołudniową pocztą i pewna jestem, że za dwa dni tu będzie.

— A teraz powiem ci coś, — zaczął pan Bounderby. — Może i niewiesz że i na tobie cięży podejrzenie, bo kto z kim przystaje, takim się staje. Na poczcie podjęto odpowiednie zwiady i okazuje się, że rzeczony list pod adresem Stefana Blackpool'a nie był wcale wrzucony, do żadnych z miejskich skrzynek? Cóż się stało z tym niby listem? Co, może ci się tylko śniło, żeś pisała? Co?

Rachel zwróciła się do Ludwika.

— W tydzień po wyjściu ztąd, — tłumaczyła, — Stefan pisał do mnie, jedyny to list jaki miałam od niego, pisał że się widzi zmuszonym starać o robotę, pod przybranem nazwiskiem.

— O! wyborne! — roześmiał się Bounderby, — Zmienione nazwisko! Ależ kochanko! policya ma oko na niewiniątka, zmieniające wraz z miejscem pobytu, nazwiska!

— Powiedz, powiedz sama młoda pani! — mówiła ze łzami w oczach i głósie Rachel, ciągle zwracając się do Ludwika, — powiedz co miał biedak począć? Tu przemysłowcy przeciw niemu, tam wyrobnicy, a on tylko pragnie pracować, na kawałek chleba najcięższy bodaj, byle w spokoju. Czyż człowiek nie ma własnej duszy, serca! Czyż i tu i tam, wszędzie i zawsze, wszystko zwałać będą na jego barki — tropić niby zwierze dzikie?

— Żal mi go, żal z całego serca, — mówiła Ludwika, — i mam nadzieję, że się oczyści z zarzutów.

— Pewna tego być możesz, młoda pani!

— Tem pewnością, — wtrącił pan Bounderby, — że niechcesz wyjawić jego adresu.

— Po co! niech wróci z własnej woli, nie przymuszony, oczyścić się z zarzutów, zawstydzić tych, co godzą na dobre jego imię. Napisałam mu wszystko jak jest. Za dwa dni tu będzie.

— Bądź co bądź sprowadzony wcześniej, prędzej też zdołałby się uniewinnić, — upewnił pan Bounderby. — Przeciw tobie nic niemam. To coś zeznała, okazało się prawdziwym, więc i koniec pomiędzy nami. Życzę dobrej nocy całej kompanii, bo muszę jeszcze popchnąć gdzie trzeba tę sprawę.

Tomcio wyszedł za panem Bounderby z ciemnego kąta, z którego się przed tem nie wysuwał. Wyszedł, życząc lakonicznie dobranoc ojcu a jeszcze krócej siostrze. Gradgrind ust nie otworzył. Teraz siedział milcząc, zadumany.

— Rachelo, — rzekła do wyrobnicy Ludwika, — przestaniesz niedowierzać mi, gdy mię poznasz lepiej.

— Wierz pani, że mi nie miło niedowierzać ci, — odrzekła łagodniej już Rachel, — coś kiedy i mnie niedowierzają, niedowierzają nam wszystkim. Przepraszam cię, młoda pani, jeśli obraziłam. Wzburzona jestem. — Nie mogę myśleć o wyrządzonej biednemu Stefanowi krzywdzie.

— Czyś mu napisała, — wtrąciła Sissy, że podejrzenie pada na niego, gdyż widziany był wieczora tego w pobliżu banku? Wiedziałyby przynajmniej, jak się tłumaczyć!

— Tak, kochanko! odrzekła łagodnie Rachel, — lecz to mię właśnie zastanawia, co on mógł robić

w pobliżu banku? Włóczyć się bez celu, nie miał w zwyczaju. Nie tamtędy jego droga. Jego droga była tam, gdzie i moja.

Sissy stała przy niej, rozpytując, gdzie mieszka i czy pozwoli jej przyjść jutro wieczorem spytać o wieści o Stefanie?

— Wątpię, — odparła Rachel, by mógł tu być prędzej jak za dwa dni.

— Więc pojutrze zajdę, jeśli pozwolisz, — rzekła Sissy.

Gdy Rachel wyszła, pan Gradgrind podniósł głowę i spytał Ludwika.

— Ludko, zdaje mi się, żem nigdy nie spotkał tego tkacza. Widziałaś go? Jakże ci się zdaje, czy mógł należeć do tej kradzieży?

— Była chwila, — odrzekła Ludwika, — żem uwierzyła w to, chociaż z trudnością. Teraz przekonana jestem że nie, nie należał.

— To jest, — pytał ojciec, — uwierzyłaś w obec rzuconych na niego podejrzeń. Lecz jakże wygląda? uczciwy?

— Robi wrażenie bardzo uczciwego.

— I pewność tej kobiety, świadczy na jego korzyść, — zauważył pan Gradgrind. — Pytam też siebie, czy istotny winowajca wie, na kogo pada podejrzenie? I kto istotnym winowajcą być może? — Włosy starca pobielały w ostatnich czasach. Widząc go złamanym, smutnym Ludwika zbliżyła się do niego. Wzrok jej w tej chwili spotkał się z wzrokiem Sissy. Sissy zaczerwieniła się i cofnęła, Ludwika patrząc na nią, położyła palce na ustach.

Nazajutrz wieczorem, gdy Sissy wróciła od Racheli — szepem oznajmiła Ludwice, że Stefana jeszcze nie ma. Na drugi dzień, mówiąc to samo, bardziej jeszcze głos zniżyła. Zdawała się przestraszona. Od chwili zamienienia spojrzenia z Ludwiką, wobec pytania pana Gradgrind'a, kto może być istotnym winowajcą? nie mówiły z sobą o kradzieży, a samo imię Stefana wymawiały przyciszoną głosem.

Przeszły dwa dni, przeszedł i trzeci, Stefana jak nie było, tak nie było. Czwartego dnia Rachel, zawsze swego pewna, bojąc się tylko, czy jej list nie zaginął, przyszła do banku i pokazała list Stefana, otrzymany dawniej, ten, o którym wspominała, a w którym był jego adres. Osada fabryczna o mil sześćdziesiąt w bok od głównego gościńca. Wysłano tam natychmiast umyślnych gońców i miasto całe, z wrastającym niepokojem czekało na odpowiedź.

Przez cały czas Tomcio trzymał się pana Bunderby niby cień jego, pomagając w dochodzeniach. Był podniecony, rozgorączkowany, ustawicznie gryzał paznogie, odzywał się chrapliwym głosem, a usta miał spieczone. W godzinach, w których spodziewano się tkacza, chodził na dworzec kolei i szedł o zakład z każdym, że oczekiwania okażą się próżne, Stefan Blackpool pewnie się nie zjawi. Miał rację. Wysłańcy wrócili sami. List Racheli doszedł swego przeznaczenia, został wręczony Stefanowi, ten wydalil się natychmiast z miasta i tyle wiedziano tam o nim. Teraz powstała wątpliwość, co do Racheli samej, czy działała w dobrej wierze, czy też wspólnie ze Stefanem, ostrzegła go, do ucieczki nagłąc? Opinie były rozdwojone.



Przeszło dni sześć, siedm, drugi się zaczął tydzień. Smyk nabrał odwagi. I możnaż było wątpić o winie tkacza? Gdyby był niewinny, stawilby się przecie, oczyścił z zarzutu!

Istotnie, gdzież był Stefan i czemu się nie zjawiał? Rzucone w dzień przez smyka ze swadą słowa, wracały doń wśród nocnej ciszy, nocną zmorą i ciężyły do dnia białego.

## Rozdział V.

## Znaleziony.

Dnie mijały, Stefana jak nie było, tak nie było. Gdzież przebywał, czemuż nie wracał?

Co wieczór Sissy chodziła do Racheli i późno w noc przesiadywała w izdebce wyrobnicy. Dzień cały Rachelą stała za warsztatem, pracując pomimo trawiącego ją niepokoju. Parowe maszyny nie dbają, czy tam kto zaginął, czy nie, żyw czy umarły, byle miały potrzebną sobie ilość pary i dymu, idą, pracują, z monotonna, niczem nie przerywaną akuracnością, dzień po dniu, jednostajnie, codziennie. Już i niezjawianie się Stefana schodziło z porządku dziennego, ludzie przestawali tem się zajmować...

— Wątpię, — mówiła Rachelą, — czy w całym mieście pozostało dwudziestu, wierzących w niewinność biedaka.

Mówiła to do Sissy, siedząc z nią w swej izdebce na poddaszu, oświeconej tylko wpadającym przez okno światłem palącej się na rogu ulicy latarni. Sissy tu przyszła była wieczorem i czekała powrotu Racheli z fabryki. Rozmawiały siedząc przy oknie.

— Pan Bóg zlitował się nademną, przyselając mi ciebie, mówiła Rachelą — bo myślę czasem, że zwaryuję. Dodajesz mi odwagi, wierzysz, że pomimo pozorów, Stefan okaże się niewinnym.

— Wierzę, z całego serca wierzę, — odparła Sissy, — tak mię upewnia twoja ufność, że wierzę w uczciwość Stefana, tak, jak gdybym go sama znała przez długie lata doświadczeń, przez któreście oboje przeszli.

— Przez długie te lata, — mówiła z lekkim drżeniem głosu Rachelą, znałam go zawsze wiernym, pocziwym, dobrym, to też do ostatniego technienia i chociażby się nigdy nie miał już zjawić, będę twierdzić, że jest niewinnym.

— Wszyscy w Stone Lodge wierzymy, że prędzej, czy później oczyści się z zarzutów.

— Im więcej o tem myślę, ciągnęła Rachelą — tem wdzięczniejszą ci jestem, że przychodzisz pocieszać mię, pokazujesz się zemną na ulicy, chociaż i na mnie ciężą podejrzenia, tem bardziej żałuję tego, com mówiła w żalu młodej pani, a jednak...

— Czyż nie przestałaś niedowierzać jej, spytała żywo Sissy?

— Chciałabym ufać, nie mogę jednak otrząść się...

Tu głos jej opadł do szeptu, tak dalece, że aż Sissy musiała się pochylić ku niej, by lepiej słyszeć.

— Nie mogę, — mówiła, — otrząść się z podejrzeń pewnych... przeciw komu? nie wiem, lecz pewną jestem, że jest ktoś, komu zależy na tem, by Stefan nie wrócił, prawda się nie wyklarowała.

— Straszna myśl! — odrzekła blednąc Sissy.

— Straszna! Pomyśl! Może go zamordowano!

Sissy cofnęła się, blednąc.

— Gdy mi to przychodzi na myśl, — ciągnęła Rachelę, — a przychodzi, chociaż się z całych sił bronię, powtarzając szeregi liczb, to znów pacierze, które umiałam w dzieciństwie, gdy mi to na myśl przychodzi, wpadam w taką rozpacz, taki palący niepokój, że chciałabym iść gdzieś, przed siebie, bez przestanku. Pod wieczór, gdy wiem, że cię tu zastanę, lżej mi się robi na sercu.

— Może zachorował w drodze, — pocieszała ją Sissy, — może zaszedł do kogo.

— Szukano go wszędzie, — wstrząsała głową Rachelę, — nigdzie go niema.

— Tak! — potwierdziła niechętnie Sissy.

— Drogi, na piechotę, miał na dwa dni. Jeżeli by był chory na nogi, jak mu się to zdarza, przyjechałby, bo wiedząc, że oszczędzić jeszcze nic nie mógł, posłałam mu w liście trochę pieniędzy.

— Może jutro przyniesie nam co lepszego — westchnęła Sissy. — Wyjdźmy kochanko trochę na świeże powietrze.

Łagodną dłonią przykryła głowę Rachelę chustką i wyszły razem. Wieczór był pogodny. Tu i ówdzie stali robotnicy, na trotoarach i progach domów, nieliczni już zresztą, gdyż była godzina wieczery.

— Uspokoiłaś się nieco Rachelę i dłonie twe nie tak rozpalone.

— Chwilami lżej mi, gdy chodzę i oddycham świeżym powietrzem. W domu myśli mi się mąca.

— Bądź odważną kochanko! może przyjsć chwila,

w której będziesz potrzebną Stefanowi. Jutro mamy sobotę. Jeśli i jutro jeszcze nie będzie żadnej od niego lub o nim wieści, w niedzielę wyjdziem razem za miasto, to cię wzmocni.

— Dobrze.

Rozmawiając tak, doszły do ulicy, przy której stał dom pana Bounderby. Przeszły dalej. Była to godzina przyjsia któregoś z mnogich, przychodzących do Coketown'u pociągów. Na ulicy panował ruch wielki; mijaly się dorożki, pojazdy i właśnie u samych drzwi mieszkania bankiera jeden podjechał tak szybko, że się mimowoli oglądnęły. Pod światłem latarni ujrzały panią Sparsit, dobijającą się gwałtownie do drzwi. Spostrzegła je i zatrzymała.

— A to pomyślny zbieg okoliczności! — wołała w wysokim podnieceniu, — prawdziwe zrzęczenie Opatrzności. Wsiadajże pani! — zwróciła się do kogoś siedzącego jeszcze w pojeździe, — wysiadaj, bo cię wyniosą, jeśli się będziesz dłużej opierać.

Z pojazdu wysiadła tajemnicza staruszka. Pani Sparsit ciągnęła ją za sobą.

— Puście! niech jej nikt nie rusza! do mnie, do mnie należy! — wołała rozpychając przechodniów i ciągnąc opierającą się starowinę — no! prędzej, wchodźże pani, a nie, to każę wnieść gwałtem.

Widok damy, o klasycznym wyglądzie, wlokącej gwałtownie za sobą drzącą staruszkę, do domu jednego z najwybitniejszych mieszkańców miasta, sam przez się pobudziły ciekawość przechodniów, cóż dopiero, gdy zjawisko to pozostawać mogło w związku z powszechnie znaną sprawą kradzieży w banku? Zebrało się też

sporo świadków ulicznej sceny i wiele ciekawych wtargnęło do sieni domu pana Bounderby, za panią Sparsit, staruszką, Sissy i Rachelą. Najciekawszi pchali się naprzód, włązili na krzesła i stoły, by nic z niezwykłego nie stracić widowiska.

— Zawołajcie pana Bounderby! niech zejdzie! — wołała rozgorączkowana pani Sparsit. — Rachelo — zwróciła się do wyrobnicy — znasz tę kobietę? Jak się nazywa?

— Misstres Pegler.

— Pewną tego byłam! Pewną tego byłam! — wołała tryumfując pani Sparsit. Niechże zejdzie pan Bounderby. Ustąpcie wszyscy.

Tu pani Pegler zsuwając chustkę na czoło i drżąc na całym ciele, próbowała raz jeszcze wymknąć się ze szpon pani Sparsit, ale daremnie.

— Nie puszczę cię! — wołała dystygnowana dama. Nie puszczę, aż cię sama do niego doprowadzę.

Na schodach ukazał się pan Bounderby wraz z panem Gradgrind'em i jego synem. Pan Bounderby z większym zdziwieniem niż gościnnością spoglądał na tłoczących się do jadalni nieproszonych gości.

— A to co znów! co! — zawołał — pani Sparsit, co to znaczy?

— Panie — tłumaczyła z zapalem zacna matrona — udało mi się znaleźć istotę, na odnalezieniu której najbardziej panu zależy. Podtrzymywana pragnieniem dogodzenia panu, nie szczędziłam sił, ni zabiegów, udając się w okolicę wskazaną przez tu obecną wyrobnicę Rachelę, jako miejsce zamieszkania tajemniczej a ze sprawą kradzieży w naszym banku ściśle

związanej staruszki. Odszukałam ją, przywiodłam, pomimo oporu. Kosztowało mię to nie mało, lecz czas mój, zdrowie, siły, poświęciłam od dawna panu i głód, chłód, zmęczenie, są mi prawdziwą przyjemnością.

Pani Sparsit powstrzymała potok słów i wynurzeń, gdyż twarz pana Bounderby zmieniła się do niepoznania, na widok nieznamomej, wypychanej naprzód przez panią Sparsit, staruszki.

— Co! co! pani masz na myśli — zawrzeszczał, zwracając się gwałtownie do wdowy. Po co to? W co się mieszasz?

— Panie — jąkała się wystraszona kuzynka lady Scadgers — panie!..

— Po co się mieszasz w nie swoje! — krzyczał Bounderby — po co nos wścibiasz w moje osobiste sprawy?

Wzmianka o nosie, zbiła z nóg szlachetną damę. Opadła na najbliższe krzesło i wyprostowana, sztywna, zacierając ociągnięte mitenkami ręce, patrzyła, rozszerzoną źrenicą na pana Bounderby.

— Jozjaszu! chłopcze mój, synku! — bełkotała zrozpaczona pani Pegler — nie moja w tem wina! błagałam panią, by mię pozostawiła w spokoju, tłumaczyłam, że ci tem nie dogodzi! próżno! nie dała się przekonać...

— Po coś się dała aż tu przywlec — wyrzucił ostro bankier staruszcze — czyś nie mogła zerwać jej z głowy kapelusz, perukę, zęby wybić, a nie dać się.

— Synku! Jozjaszu! straszyla mię policją, żandarmami, czy ja wiem czem! — tłumaczyła się, drżąc

staruszka. Bałam się wywołać skandal w tak porządnym, pięknym domu...

Pani Pegler z mimowolnem zadowoleniem obejrziała się do koła.

— W takim pięknym domu! — ciągnęła — nie wiń mię, synku! kochany! mądry mój, dobry! stateczny chłopcze! Wiesz przecie, jakim cicha, pokorna! tam w ukryciu, nigdy ci w drogę nie lażałam, nikt nie wiedział, żem twoją matką, ukrywałam to tak starannie, podziwiałam cię zdala, błogosławiłam, cieszyłam się twem powrotem, rzadko, ledwie raz do roku, przybywałam do miasta, by okiem rzucić na dom ten, twój dom, synku!

Pan Bounderby, z rękoma wsuniętymi w kieszenie, zły i upokorzony, biegał wzdłuż stołu w jadalni. Świadczenie dziwnej sceny chciwie uchem łowili drżące, ciche słowa staruszkę, a pan Gradgrind poczuł się w obowiązku wmiśzania w tę sprawę.

— Dziwi mię — począł zwracając się do pani Pegler — że na starość rościsz pretensje do macierzyństwa, po wyrodnem, nieludzkiem traktowaniu syna w jego niemowlęctwie.

— Ja, wyrodna! nieludzka matka! — oburzyła się staruszka — wyrodna, dla ukochanego mego jedynaka!

— Ukochany! — powtórzył surowo pan Gradgrind — ukochany teraz, gdy opływa w dostatki, które sam sobie zawdzięcza, a w niemowlęctwie opuszczony, oddany na pastwę rozpustnej wiedzy, babki pijaczki.

— Ja! ja to niby opuściłam mego synka? —

wołała splasnawszy w dłonie pani Pegler. — Nie, panie, pan się myli i niech nieba panu wybaczą okrutne te słowa, niech wybaczą, zwłaszcza oszczerstwo mej dobrej, zacnej matki, zmarłej na mem rękę, przed urodzeniem Jozysza. Obyś pan mógł odpokutować wyrażoną nam krzywdę.

Mówiła to z takim przejęciem się, szczerem oburzeniem, że pan Gradgrind na polu przekonany, opowiadał łagodniej.

— Zaprzeczasz pani, żeś opuściła syna, wrzuciłaś do rynsztoku?

— Jozysz, mój Jozysz w rynsztoku! Ależ panie! syn mój wie dobrze i zaświadczyć może, że choć się urodził w domu ubogim, lecz z rodziców uczciwych, kochających go, odejmujących sobie od ust, by starannie go wychować, wyuczyć czytać, pisać ładnie! Oj! mam jeszcze książki, na których się uczył! Syn mój wie i poświadczyć może, jak po stracie mego męża — a Jozysz miał wówczas lat ośm, — kurczyłam się, oszczędzałam — było to zresztą obowiązkiem mym, zadaniem życia, szczęściem całem! by mu na niczem nie zbywało, by go wyprowadzić na człowieka. Dobrym był, statecznym, pracowitym chłopcem, chlubą wdowy matki, to mu też nieba pobłogosławiły, ludzie dopomogli a przy pracowitości i oszczędności dobił się fortuny, oj! nie lada fortuny! — Pani Pegler dumną była ze swego jedynaka.

— I powiem jeszcze panu, — ciągnęła dalej z dumą, — czego syn mój sam nie powie, bo mu skromność nie dozwala... pamiętał o starej matce, chociaż jestem tylko sklepiciarką w małym miasteczku,

ha! w wiosce. Płaci mi regularnie, płaci trzydzieści funtów szterlingów rocznie. — Więcej nie potrzebuję, odkładam! Płaci pod jednym warunkiem, że mu się na oczy nawijać nie będę, ani go nudzić, ani trudzić, Wiem o zobowiązaniu, raz na rok przybywam tu, by zdała, niedojrzana przezeń, oglądać mego synka, jeden rzut oka! to mi wystarczy! A jak to wszystko dobrze, rozumnie obmyślano! Cobym tu robiła w tym pięknym, pańskim domu? Rady bym sobie nie dała, obrócić nie potrafiła. Dobrze mi z tem co mam, cieszę się dołą mego syna, dumną nim jestem, kocham go dla przyjemności kochania, bezinteresownie. A co, widzi pan, — kończyła zwracając się do pana Gradgrind'a, — jak niesłuszne, niegodziwe są pańskie oskarżenia, domysły, zarzuty. I dziś pewnie bym tu, wbrew woli mego syna nie była, gdyby mię gwałtem nie przywieziono, nie wciągniono, a pan ośmielasz się oskarżać mię, że jestem wyrodną matką i to wobec mego syna, co ci może jednym słowem zaprzeczyc.

Śród ciżby ciekawych świadków tej sceny, powstały szmery uznania i sympatii dla staruszki, i sam pan Gradgrind czuł się zmieszany i zawstydzony, gdy, biegający ciągle do koła stołu, czerwony po uszy Bounderby, stanął nagle.

— Nie wiem czemu i komu mam zawdzięczać to liczne zgromadzenie, — zawołał z tłumioną złością, — mniejsza z tem! W każdym razie pora rozejść się nieproszonym gościom. Jeśli czekać wyjaśnień w moich rodzinnych sprawach, to się mylicie grubo! Wyjaśnień nie udzielę, nikomu — zwłaszcza już Tomaszowi Gradgrind. To nie jego rzecz, ani niczyja. Co do

kradzieży, zaszła pomyłka. Naturalnie, że matka moja nie może podlegać posądzeniom. Ci, co mi sprawili tę szopkę, niedźwiedzią oddali mi usługę a niedźwiedzich usług nie znoszę. Dobranoc.

Chociaż pan Bounderby przemawiał ostro, sam otwierając drzwi i wskazując obecnym wyjście, zmieszany był, gniewny, upokorzony, co dziwnie nie licowało ze zwykłymi jego przechwałkami i nadętością pokory, z jaką zwykł był rozvodzić się nad niskością swego pochodzenia, opuszczonem dzieciństwem i tem z jak niska jak wysoko, o własnej sile się dźwignął. Prawda, uczciwa prawda ciążyła mu wobec szeregu kłamstw i przechwałek, któremi się nadymał. Zdawało się, że technienie prawdy rozwiło mydlaną tę bańkę. Sama pani Sparsit strącona ze szczytu tryumfu, w przepaść niełaski swego chlebobdawcy, nie wyglądała w tej chwili tak złamaną, jak ów król humbugu, Joziasz Bounderby z Coketown'u, syn uczciwej matki, co go miłością swą i poświęceniem wyprowadziła na — bogacza.

Rachela i Sissy, pozostawiając starą panią Pegler w domu bogatego syna, którym tak dumną była, odeszły razem i rozstały się dopiero u wrót Stone Lodge. Pan Gradgrind dogonił je niebawem, rozpytujać o Stefana, na którego korzyść, jak mu się zdawało, wyjść mogło zajście z panią Pegler.

Co zaś do Tomcia, trzymał się, jak zwykle, jak najbliżej Bounderby. Zdawało się, jakoby się czuł bezpieczniejszym, będąc wraz z nim obecnym w każdym wypadku, odnoszącym się do dokonanej w banku kradzieży. Nie odwiedzał teraz nigdy siostry. Raz ją

widział, odkąd wróciła do domu, to jest tego wieczoru, gdy, nazajutrz po katastrofie, był tam z Bounderby'm.

W myśli Ludwika utkwiło głębokie, niejasne przeczucie czyli raczej zwątpienie i posądzenie nie-wdzięcznego i nieuprzejmego brata. Toż samo mroczne przypuszczenie powstało w myśli Sissy od rozmowy z Rachelą. Był chyba ktoś, zainteresowany w niewytłómaczonym niezjawianiu się Stefana? Ludwika nie mówiła z nią o swych niepokojach i podejrzeniach. Milczała i Sissy. Raz tylko porozumiały się spojrzeniem zamienionem po nad pochyloną w zadumie siwą głową nieszczęsnego pana Gradgrind'a, odtąd obie wiedziały, co każdą gniotło i gryzło a było to coś tak potwornie straszego, że jedna i druga, omroczone cieniem tej zmyry, myśleć o tem nie chciały. Smyk nie tracił przybranej swady. Jeśli Stefan Blackpool niewinien, niechże się zjawi, uniewinni? Czemuż wieść o nim przepadła?

Minęła noc, i jeszcze dzień i noc — Stefana jak nie ma, tak nie ma. Gdzież się podział? Czemuż się ociąga?

#### Rozdział VI.

#### W noc gwiazdzistą.

Jesienna niedziela pogodną była, chłodną, lecz jasną, gdy wczesnym rankiem — Sissy z Rachelą wyszły za miasto.

Że zaś Coketown podobne w tem do świętoszków zwalających za własne grzechy pokutę na barki innych,

rozsypuje popioły swe i sadze nie tylko na własne dachy, lecz i na dalekich przedmieść murawę, pragnący odetchnąć świeżem powietrzem, co zresztą nie jest chyba wygórowanem wymaganiem, zmuszeni są wyjechać z miasta koleją, by wysiąść gdzieś dalej śród łąk i pól. Sissy z Rachelą zastosowały się do tego zwyczaju, wysiadając na stacyi pomiędzy miastem a wiejskim pałacykiem pana Bounderby.

Chociaż i tu widzieć się dawały płachty sadzy, krajobraz nabierał zieleni, drzewa posiadały świeżość, niebo błękit przezroczy, skowronki śpiewały pomimo dnia świątecznego. Miasto tonęło w oddali w mgłę sinej. Po jednej stronie falowały wzgórza zielone a tam dalej rysowało się morskie wybrzeże. Sissy i Rachelą czuły pod stopami świeżość murawy, na którą padały drżące cienie gałęzi drzew rozłożystych. Gąszcz krzewów nęciła zielenią, spokój błogi rozlany był w przyrodzie całej.

Nie było zgrzytu i świstu maszyn. Stare, kulawe szkapy, wyprężone z jarzma, skubały trawę. Wszystkie odpoczywały koła i samo wielkie nie zatrzymujące się nigdy koło świata zdawało się toczyć spokojniej i wolniej, bez wstrząśnień, szumu, huk, tak jak się toczyło niegdyś.

Sissy z Rachelą szły przez pola i łąki, wzdłuż zagród starych, rozwalonych, spróchniałych, stosów cegły rozbitej, trawą porosłej, śladów zaniechanych lub w gruzu rozpadłych budowli. Przechodziły przez wąskie ścieżki i nierówne drogi, unikając nasypów porośniętych bujną trawą, siecią głogów i ostów, dziewanny rzędami, gdyż w okolicy rozprawiano wiele

o zdradzieckich i głębokich jamach, kryjących się pod zielską gęszczęą.

Słońce było wysoko, gdy usiadły spocząć. Nie spotkały nikogo i nie nie zakłócało samotności.

— Tak tu spokojnie, — zauważyła Sissy — nawet ścieżka porosła trawą, nie wydeptana. Pewnie tu nikt przed nami nie był.

W tem spostrzegła złamaną w pobliżu zagrodę. Podeszła, by się jej lepiej przypatrzeć.

— Myliłam się! — zawołała! — był tu już ktoś, i to niedawno. Drzewo świeżo złamane, są ślady stóp... O Rachelo!

Chwyciła wyrobnicę za rękę. Ta powstała.

— Co ci! co ci Sissy?

— Nie wiem! Tam, wśród traw kapelusz jakiś leży. Podeszły razem, Rachelo podjęła kapelusz i wybuchła głośnym płaczem. Na podszewce wypisane było, własną ręką Stefana, imię jego i szawisko.

— O biedny! kochany Stefan! zamordowano go tu, zamordowano!

— Czy... czy są ślady krwi? — spytała blada i drżąca Sissy?

Pomimo ogarniającej je śmiertelnej trwogi, ogłądały starannie kapelusz. Nie, nie było na nim śladów gwałtu. Tylko widocznie leżał od dni już kilku, przemokły deszczem i rosą, spłaszczony, bezkształtny. Obejrzały się do koła milcząc, nieśmiając słowa przemówić.

— Rachelo! — szepnęła wreszcie Sissy, — pójdę sama, poszukam...

Chciała odejść, gdy ją Rachelo pociągnęła gwałtownie za rękę. Krzyk rozpaczny rozdarł ciszę leśną.

Przed niemi, u samych ich stóp w trawie skryta roztwierała się głęboka, przepaścista jama. — Cofnęły się, upadły na kolana obejmując się i kryjąc twarze w wzajemnem objęciu.

— O Pani! On tam leży, — bełkotała wybladłemi usty Rachelo, niezdolna myśli zebrać. — Wpadł tam, wpadł. Niepodobna było ją uspokoić i trzeba było silnie trzymać, by się sama nie rzuciła w głąb ciemną, wyłaniającą się poszarpanym krajem, z pośród traw bujnych.

— Rachelo! kochana Rachelo! — wołała Sissy, uspokój się! nie krzycz tak rozpacznie. Myśl o Stefanie! o Stefanie! o Stefanie!

Powtarzając z naciskiem imię Stefana potrafiła przywołać do przytomności wyrobnicę. Rachelo spojrzała na nią suchem palającym okiem. Stała teraz nieruchoma, skamieniała, cicha.

— Myślmy o nim, nalegała Sissy, — żyje może jeszcze. Musimy go ratować. Nie chciałabyś go porzucić bez ratunku, na dzień tej przekłętą przepaści.

— Nie! nie! nie! mówiła Rachelo.

— Nie rusz się, zaczekaj. posłucham.

Drżała, lecz podpełzła na kolanach do kraju jamy, głośno wołając Stefana po imieniu. Nic nie odpowiedziało. Powtórzyła raz i drugi — daremnie, wołała coraz głośniejsz i po raz nie wiem już który, brała grudki ziemi i rzucała w otwór wązki, — próżno, chciwem uchem łowiąc odgłos ich na dzień jamy — nic pochwycić nie mogła.

Krajobraz tak piękny przed chwilą w ciszy osa-

motnienia, napełniał ją teraz rozpaczą. Z nikąd bowiem nie mogły spodziewać się pomocy.

— Rachelo, — rzekła wreszcie stanowczo? Nie traćmy chwili, bo każda chwila droga. Musimy się rozejść i szukać każda ze swej strony pomocy. Wracaj drogą, którąśmy tu doszły, ja pójdę dalej, tam. Każdemu kogo spotkasz opowiadaj co zaszło. Myśl o Stefanie, myśl o nim!

Teraz widziała z twarzy Racheli, że się wyrobnicza obudziła do życia i przytomności. Mogła tedy liczyć na nią. Chwilę jeszcze patrzyła na oddalającą się z załamaniami rozpacznie dłońmi. Zrzuconą z ramion chustkę przywiązała na krzaku, dla oznaczenia miejsca, zrzuciła kapelusz i zaczęła biec tak szybko, jak nigdy dotąd nie biegła.

Biegnij Sissy, spiesz, czas nagli! Nie wstrzymuj się, chociażby dla zaczerpnięcia powietrza! Biegnij! spiesz! Popędzając sama siebie tą myślą, mijała wzgórza, zagony, ścieżki, aż dopadła do jakiegoś szałas, pod którym dwóch ludzi spało w trawie.

Z trudnością rozbudziła ich. Uszło sporo czasu, zanim zrozumieli o co idzie, lecz gdy objęli wreszcie grozę położenia, okazali się chętni w niesieniu pomocy. Jeden z nich pijany był zupełnie, lecz gdy mu towarzyszył wszystko wytłomaczył, zanurzył głowę w kałużę mętnej wody i wytrzeźwiał nagle.

Z ludźmi tymi, Sissy biegła jeszcze tu i tam, zanim znaleziono konia. Wysłała jednego z nich na stację kolei i do miasta, z szybko skreśloną kartką do Ludwiki. Tymczasem cała pobliska wioska dowiedziała się o wypadku, ludzie zbrali się w gromadki

z łopatami, powrozami, latarnią, pochodniami dążąc w wskazanym kierunku, do piekielnej jamy.

Sissy zdawało się, że wieki przeszły, odkąd pozostawiła Stefana żywcem zakopanego. Na powrót biegła ze zdwojoną szybkością, z uczuciem jakgdyby opuściła konającego. Za nią biegło sześciu rolników, licząc w to wytrzeźwionego i jak się okazało najużyteczniejszego w danym razie pijaka. Zbliżając się do oznaczonego, miejsca zastali tam uprzednią ciszę i samotność. Przykładali ucho do brzegu jamy, wołali, nasłuchiwali, jak przedtem czyniła to Sissy, oglądali miejscowość, gubili się w przypuszczeniach, każdy utrzymywał co innego; usiedli wreszcie wyczekując mających nadejść posiłków.

Ruch skrzydeł owadów w powietrzu, liści drgania, szepcący każdy obecnych, napełniał Sissy drżeniem, gdyż naprężonem uchem pragnęła złowić dźwięk bogdaj najsłabszy, w głębi jamy. Po jakimś czasie zaczęli schodzić się ludzie z różnych stron, gdyż wieść o wypadku rozeszła się po okolicy. Nadeszły też i spodziewane posiłki. Wróciła Rachelo, wiedząc z sobą lekarza z opatrunkami. Śród obecnych jednak słaba była nadzieja znalezienia żywym, wpadłego niewiedomo kiedy w przepaścistą jamę człowieka.

Wytrzeźwiony pijak objął dowództwo akcji ratunkowej, rozciągnął kordon dokoła piekielnej jamy i tylko Sissy i Rachelo pozostały w kole. Nieco później, wpuszczano przybyłych z miasta: Ludwikę, panów Gradgrind i Bounderby, jakoteż Tomcia.

Słońce zniżyło się o cztery godziny, odkąd Sissy i Rachelo spostrzegły leżący na trawie, w pobliżu nie-



zgiętej jamy, kapelusza Stefana. Trudności w zarządzaniu akcją ratunkową i sporządzeniu aczkolwiek prostych narzędzi, zabrały dużo czasu. Była już piąta po południu, gdy wpuszczono do jamy pierwsze światło, dla wypróbowania powietrza. Pochylone nad czeluścią twarze, w naprężeniu trwogi i niepokoju śledziły za światłem. Nie zgasło. Lichtarz miał natomiast ślady wody. Podano kosz. Zarządzający akcją ratunkową wytrzeźwiony pijak zawołał: „W bok!” — wszyscy się rozstąpili, zaskrzypiały windy, wyprężyły się powrozy i odtąd czas tak się dłużył wyczekującym, że już niektóre obecne kobiety zaczęły biadać, czy akcja ratunkowa nie pociągnęła nowej ofiary, lecz lekarz skonstatował, że nie ubiegło pięć minut od spuszczenia kosza z dwoma ludźmi, zalecał surowo milczenie. Kosz podnosił się istotnie w górę, tylko doświadczeni wińdziarze czuli, że się jego ciężar umniejszył. Z kosza wyskoczył wytrzeźwiony i akcją ratunkową zarządzający pijak. Ze wszystkich piersi wyrwało się pytanie:

— Żyw czy umarły!

A po wybuchu tym, grobowa zapanowała cisza.

— Żyw! — odrzekł wciągnąjąc powietrze.

Wszyscy odetchnęli głęboko. Łzy oszklify niejedno oko.

— Żyw — mówił — lecz potłuczony bardzo — tak bardzo — ciągnął zwracając się do lekarza, że nie wiemy jak go podnieść.

Wszystkie źrenice utkwiono teraz w lekarza, stawiającego ciche pytania? Słońce zachodziło rzucając

jaskrawe światło na gromadę ludzi i trwożą wyczekiwania, wyrytą na każdej twarzy.

Znów dano znak windziarzom, i wytrzeźwiony pijak znów siadł do kosza, z winem i zleceniem lekarza jak się zachować. Tymczasem z kijów i drągów składano nosze, wyścielano ściągniętą z pleców obecnych odzieżą, chustki do nosa i szale kobiet darto na bandażę. Wywindowano z kolei drugiego człowieka. W świetle latarni, którą trzymał nad sobą z ręką opartą o żerdź, wodząc wzrokiem po obecnych, to znów zatapiając go w przepaść, do której miał zstąpić za chwilę, przestał być najmniej wybitną postacią ponurej sceny. Ściemniało zupełnie i zapalono pochodnie.

Z tego co opowiadał najbliższym, a co się powtarzało do koła, widać było, że Stefan upadł na gruzy zasypujące na polu wywiercony w ziemi otwór opuszczonego szybu, w głębi którego leżał teraz na wznak z ręką podwinętą, której nie mógł poruszyć. Drugą, jak sam opowiadał, mógł był sięgnąć do kieszeni, gdzie miał trochę chleba i mięsa. Wody było też tam nieco. Otrzymałszy list Racheli, rzucił fabrykę i wyszedł natychmiast do Coketown'u, zbaczając z drogi do pałacyku pana Bounderby, z którym przedewszystkiem chciał się widzieć. Spieszył pragnąc jak najprędzej się uniewinnić z rzuconego na się podejrzenia. Noc nadchodziła, skracał sobie drogę... Istotnie „piekielna“ to była jama, gdyż — dodawał człowieczek, Stefan żył jeszcze, lecz pewno nie na długo.

Zaczęto spuszczać kosz. Obladowany bandażami człowieczyna zagłębił się, znikł. Po chwili zatrzymały się windy, lecz windziarze ręk z nich nie odjęli, gotowi

wyciągać ciężar. Wreszcie! wparli w ziemię nogi, wyprężyli ramiona, naciągnęły się powrozy i winda zakrzywiła... A nuż powróz pęknie?... Nie pękł. Z głębi wynurzyli się dwaj ratujący uczepieni liny której się chwycili, pod niemi wahał się troskliwie przez nich podtrzymywany kosz, z pobitym, połamanym czołwikiem.

W ciżbie rozległ się szmer współczucia, niektóre kobiety zaszlochwały. Z żelaznego kosza wyjmowano ostrożnie biedaka, kładziono na murawie. Zrazu sam lekarz doń przystąpił, ułożył, przykrył i wówczas dopiero przyzwał Rachelę a z nią i Sissy. Śmiertelnie blada twarz chorego zwróconą była ku mroczącym się nocą niebiosom. Ręka mu zwisała, prosząc się niby, by ją łagodnie ujęła litościwa ręka.

Napoili go, twarz mu obmyli, podali wino i wzmacniające krople. Leżał nieruchomy, patrzył w niebo, uśmiechnął się boleśnie i wymówił imię Racheli.

Pochyliła się nad nim, oczy jej zakrywały mu niebios toń ciemną.

— Rachelo, kochana!

Ujęła zwisającą jego rękę.

— Tak! dobrze! nie wypuszczaj jej!

— Bardzo cierpisz, drogi mój Stefanie?

— Cierpiałem, lecz to przeszło... długo, strasznie cierpiałem... ale już przeszło, przeszło. Ale Rachelo, co za męty. Zawszem ci mówił: męty! same męty. Od początku do końca męty.

Oczy mu zaświeciły dawnym, ciemnym błyskiem.

— Wpadłem widzisz do jamy, oplaconej już ży-

ciem setek ludzi, ojców, mężów, synów, braci. Gorszej od wojny, chłodu i głodu. Czytałem odezwy, prośby górników, ludzi pracujących pod ziemią, w których zaklinają pracodawców na Chrystusa rany, by zaradzili ich biedzie i nędzy, by praca ich przestała być morderczą, by myśleli o zabezpieczeniu i zachowaniu żonom mężów, dzieciom ojców. Widzisz! Kopanie tego szybu zabiło i bez potrzeby, nie wiem ilu ludzi. Opuszczony czyha jeszcze na życie ludzkie — zabija. Widzisz, ginie jak muchy marnie, codziennie w mętach...

Mówił cicho, łagodnie. Do nikogo nie miał żalu, konstatawał fakt, fakt pozytywny.

— Czy pamiętasz, Rachelo, małą twą siostrzyczkę? Nie zapomnisz jej i mnie nie zapomnisz — wiem to! Biedna moja, droga, cierpliwa Rachelo! Pamiętam jakże ciężko pracowała dla małej a ona siedziała w oknie bledziutka... Umarła z braku powietrza, w izbie dusznej. Męty, mówię ci, męty.

Ludwika zbliżyła się do konającego. Nie widział jej, patrzył wysoko, w niebo.

— Gdyby to wszystko — ciągnął cicho, łagodnie — co się do nas odnosi, nie było tak mętmem, nie doszedłbym do tego, co tu widzisz. Gdyby nie męty, nie byłoby nieporozumień gorzkich pomiędzy mną a braćmi mymi tkaczami. Nie potępiłoby mnie, nie odwrócili się odemnie. Pan Bounderby wiedział żem uczciwy, potulny, a jednak obraził się na mnie, Bóg raczy wiedzieć za co? Gdyby nie męty, wysłuchał by, nie gniewał się, nie posądzał!.. Lecz... spójrz Rachelo, droga! spójrz! tam! w górę, wysoko.

Wzrokiem wskazywał jej gwiazdę.

— Patrz! Świeciła mi, gdym leżał na dnie wężkiej jamy w męce osamotnienia, konania. Świeciła a jam myślał o Tobie, Rachelo! i męty osiadały na dnie mego serca i jaśniej mi się robiło na duszy. Zrozumiałem, że w całym tem nieporozumieniu i mnie brakło zrozumienia. Gdy otrzymałem list twój, pomyślałem zrazu, że pomiędzy tem co młoda pani mi wyświadczyła, a tem, co jej brat, zachodził związek jakiś, że się zapewne porozumieli z sobą, umówili... Opanował mnie żal i gniew, tak samo jak ich tam na mnie gniew był opanował. Teraz widzę, że w sądach, uczuciach i czynach naszych, winno być więcej cierpliwości i wyrozumiałości. W smutku, w cierpieniu, w męce, leżąc w głębi przepaści i patrząc w górę, z tą tam przyświecającą mi gwiazdą, przejrzałem jaśniej i w ostatniej przedśmiertnej modlitwie, prosiłem Boga by ludzie porozumieć się wreszcie mogli, nie sądzili jedni drugich w nieporozumieniu wzajemnem, jakem ja sądził i jak mnie sądzono.

Teraz Ludwika po drugiej stronie chorego pochyła się nad nim. Dostrzegł ją.

— Słyszałaś pani, — rzekł po chwili milczenia — i o tobie pani myślałem w modlitwie mojej.

— Słyszałam, — odrzekła cicho, — i łączę się z twą modlitwą.

— Masz pani ojca... chciałbym ci dać zlecenie...

— Ojciec mój jest tu obecny, zawezwę go.

— Dobrze.

Ludwika przywiodła ojca. Z dłonią w dłoni starca stanęła przy konającym.

— Panie, — rzekł z siłą wyrobnik — oczyść imię moje od niesłusznych a krzywdzących oskarżeń. To ci zlecić chciałem.

Pan Gradgrind zmieszał się. Jakże się miał ze zlecenia wywiązać?

— Syn pański powie to panu, — odrzekł Stefan. — Spytaj go. Nie chcę oskarżać nikogo. Raz tylko mówiłem z synem pańskim... wieczoru tego... raz... spytaj go... Oczyść proszę imię moje, pamięć... ufam że to uczynisz.

Lekarz już się zbliżył z tymi, co go nieść mieli. Otoczono go. Ludzie z pochodniami ustawili się w ordynku. Zanim podnieśli Stefana, mówił do Racheli, wciąż patrząc w górę.

— Gdym odzyskał przytomność i dostrzegł świecącą nademną, żywcem pogrzebaną gwiazdę, wziąłem ją za tę, co wiodła do Zbawiciela naszego. Ciągłem to myślał.

Podnieśli go. Ucieszył się, że go nieść będą za gwiazdą przewodniczką.

— Rachelo! kochana moja, — mówił — nie wypuszczaj mej ręki, idźmy dziś dłoń w dłoń...

— Bądź spokojny, Stefanie. Jestem przy tobie, nie odejdę od ciebie.

— Bądź błogosławioną! Niech mi kto, z łaski swej, twarz przykryje. Bądź Rachelo błogosławiona!

Nieśli go przez pola, przez łąki, przez drogi. Rachelo szła przy nim, nie wypuszczając z dłoni jego ręki. Za niemi postępowali inni, w ciszy, w skupieniu, jak za pogrzebem. Gwiazda wskazywała drogę do Pana

Zastępów, ojca ubogich, smutnych, pokrzywdzonych. Cichy, pokorny i ukojony, zbolały i przebaczący Stefan odszedł do swego Zbawcy.

## Rozdział VII.

## Obława.

Zanim łańcuch ludzi otaczający piekielną jamę został przerwany, jeden z obecnych ulotnił się bez wieści. Pan Bounderby i Tom stali w pewnem oddaleniu od Stefana, Ludwika i pana Gradgrind'a. Gdy ten ostatni wezwanym został przez córkę do konającego, baczna na wszystko Sissy, zwróciła zwrok na Toma i widziała występującą na jego czoło bladość. Zbliżyła się doń niepostrzeżenie i szepnęła mu coś na ucho. Chwilę rozmawiali z sobą cicho, poczem Tom wycofał się z koła, ulotnił, nie zwróciwszy niczyjej uwagi.

Pan Gradgrind zaraz po powrocie do domu, posłał po syna do pana Bounderby. Ten ostatni, straciwszy Tomcia w tłumie, wnosił właśnie, że się Tomy znajduje w Stone Lodge.

— Wątpię, — zauważyła Ludwika, — żeby się dał wam dziś widzieć.

Pan Gradgrind opuścił w milczeniu głowę

Nazajutrz rano sam poszedł do banku, a zdobywszy się na odwagę, wszedł do pokoju zajmowanego zwykle przez syna. Nie zastał Toma. Wyszedł tedy starzec a spotkawszy pana Bounderby, oświadczył mu, że w sprawie, o której nie chce obecnie mówić, potrzebował wysłać syna na czas jakiś, za miasto. Powiedział mu też o włożonem na się przez konającego Stefana obowiązku, oczyszczenia zmarłego z rzuconych

nań posądzeń i oskarżeń. Długo po odejściu teścia, bankier stał na miejscu jak wryty, zmieszany, zawstydzony niby, lecz zawsze nadęty, jak bańka mydlana, nie tak tylko jak opalowa bańka ładny.

Po powrocie do domu, pan Gradgrind zamknął się na dzień cały w swym pokoju. Na pukanie córki i Sissy odpowiadał: „nie teraz, nie! wieczorem“, a gdy wróciły wieczorem, rzekł wyczerpanym głosem:

— Jutro! dziś nie mam jeszcze siły!

Nie jadł, nie pił dzień cały. Wieczorem nie chciał, by zapalono świece, pozostał w ciemności, chodząc bezustannie wzdłuż i wszerz pokoju. Nazajutrz rano przyszedł do śniadania i zasiadł na zwykłym swem miejscu. Wyglądał zestarzały, złamany, a jednak, wyglądał jednocześnie tak, jak gdyby porozumiał, stał się lepszym, niż za czasów pewności samego siebie i zaufania ślepego w faktach, pozytywnych faktach. Odchodząc od śniadania, zlecił córce i Sissy, by przyszyły niebawem do jego gabinetu. Odszedł ze spuszczoną siwą głową.

— Kochany ojcze, — rzekła Ludwika, zbliżając się do biurka, przy którym siedział — pozostaje ci jeszcze troje dzieci. Będziemy inni, lepsi... Ja ci przynajmniej obiecuję, że z pomocą niebios stanę się lepszą, niż dotąd byłam

Ujęła Sissy za rękę, jak gdyby i jej przyzywając pomocy.

— O, niegodziwy brat twój! — mówił cicho starzec. — Jak sądzisz, czy idąc wówczas z tobą do tkacza, żywił już nieczne zamiary kradzieży?

— Boję się, że tak. Tyle potrzebował zawsze pieniędzy, tyle ich wydawał!

— Widząc, że biedak ten zmuszony jest opuścić Coketown, uplanował zrzucić nań podejrzenie?

— Zapewne... musiało to mu przyjść na myśl, gdy rozmawiałam ze Stefanem. Nie on jednak umyślił te odwiedziny. Ja go wezwałam, by mi towarzyszył.

— Czy rozmawiał z biedakiem tym na osobności?

— Tak. Wywiódł go był nawet z izby, a gdy go potem pytała, co mu miał do powiedzenia, udzielił mi prawdopodobnych wyjaśnień... Odtąd, przypominając sobie to wszystko i widząc we właściwym świetle, wyobrażam sobie łatwo, co zająć pomiędzy nimi musiało... jakich użył sposobów...

— Opowiedz mi, opowiedz wszystko, — nalegał, nie podnosząc głowy, ni oczu pan Gradgrind.

— Boję się ojcze, czy nie domagał się w swoim, a może i w mojem imieniu, by pod takim czy owakim pretekstem, biedak wyczekiwał w przed dzień opuszczenia miasta, przed bankiem, jakichś zleceń lub tem podobnie.

— Tak! jasne to! nazbyt jasne!

Starzec skrył twarz w dloniach i milczał czas jakiś.

— A teraz, — mówił z cicha, — gdzie go znaleźć, jak ukryć przed sprawiedliwością? Przez krótkie godziny pozostawione nam, zanim wyjawię prawdę, całą prawdę, czy go znajdziemy, my sami! — czy uprzedzimy sprawiedliwość rękę?

— Sissy już to uczyniła, — odrzekła Ludwika. Pan Gradgrind spojrział na stojącą przed nim dziew-

czynę, co niby wróżka dobra zamieszkała pod jego dachem.

— Sissy! zawsze Sissy — rzekł z wdzięcznością.

— Już przed dniem onegdajszym — tłómaczyła Sissy — spoglądając nieśmiało na Ludkę, — miałyśmy posądzenia pewne, poszlaki, toteż, przedwczoraj, gdy m spostrzegła pana przy noszach i posłyszała ostatnie zlecenia biednego Stefana — stałam ciągle obok Racheli sądząc, że się jej przydać mogę w tej ciężkiej chwili — zaraz zbliżyłam się do stojącego na uboczu, pańskiego syna, zaklinając go, by przedewszystkiem, przez wzgląd na ojca i na samego siebie, uciekł, skrył się. Drżał cały. Nie mógł przyjść do siebie. „Gdzie się skryję, — mówił, — pieniędzy mam mało, któż mi dopomoże?“ Wówczas przypomniał mi się nasz cyrk. Nie zapominałam gdzie się zwykł był na jesień znajdować, zresztą, gazety odświeżyły mi przed paru dniami pamięć. Powiedziałam mu tedy by się tam udał i w mojem imieniu prosił pana Sleary o przytułek za nim się sama zgłoszę. Master Tom, w bezpiecznem znajduje się teraz miejscu.

— Chwała Bogu! — zawołał ojciec, — będziemy mogli wysłać go za granicę.

Było to tem prawdopodobniejsze, że miasto wskazane Tomciowi przez Sissy, leżało o trzy godziny drogi od Liwerpolu, skąd łatwo było wyprawić w świat zbiega. Trzeba tylko było zachować pewne ostrożności, przy widzeniu się z nim, gdyż podejrzenia mogły się lada chwilę zwrócić na niego i nikt nie mógł ręczyć, czy nie podoba się samemu panu Bounderby zagrać, w całej tej sprawie tchnącą rzymską bezwzględnością rolę mści-

ciela pokrzywdzonego tkacza. Skoro postanowiono tedy by Ludka z Sissy udały się do wiadomego tej ostatniej miejsca, gdzie nieszczęsny ojciec miał przybyć inną dłuższą i dalszą drogą, nie pokazując się zresztą odrazu u pana Sleary, by nie spłoszyć Toma. Ludka, a zwłaszcza już Sissy miały sprawę zagaić, uprzedzić Tomcia o przybyciu ojca i jego względem przestępnego syna zamiarach. Po omówieniu wszystkich szczegółów i ewentualności, zaraz po południu, pan Gradgrind wyszedł z domu, na odległą stację drogi żelaznej, którą zamyślał jechać, a pod wieczór udały się w drogę Sissy i Ludwika, nie spotkawszy szczęściem nikogo ze znajomych. Jechały noc całą, tracąc sporo czasu na stacjach węzłowych, przesiadając z wagonu do wagonu, aż dopiero nad ranem, wysiadły nad moczarem o milę czy dwie od miejsca, gdzie dążyły. Tu, dostały się po trudnościach wielu do wózka pocztarza, i wjechały do miasteczka śród wcale nie malowniczych a jednak główną drogę okalających chlewów.

Pierwsza rzecz jaką ujrzały był rozrzucony z płacht odarty budynek cyrku. Towarzystwo wraz z dyrektorem, panem Sleary, odjechało do drugiego miasteczka o dwadzieścia mil dalej, gdzie właśnie dnia tego dawano pierwsze przedstawienie. Komunikacja pomiędzy obu miasteczkami utrudnioną była błotnistemi, rozmokłemi w jesieni drogami, to też chociaż Ludka i Sissy spieszyły i nie odpoczęły wcale — mogły zresztą zażyć odpoczynku w podobnych okolicznościach? — słońce dobiegało już południa, gdy ujrzały wreszcie w oddali powiewające flagi cyrku. Była już godzina pierwsza po południu gdy wysiadły z wózka na miejskim rynku.

Właśnie dzwon cyrkowy obwieszczał rozpoczęcie popołudniowego przedstawienia. Sissy doradziła nabyć bilety wnijścia, co dozwoliło przybyłym uniknąć zapytań i dociekań. Jeśli by sam Sleary był przy kasie, poznał by ją lecz zachował dyskretnie. W przeciwnym razie, zastaną go wewnątrz cyrku i porozumieją z nim łatwo.

Z bijącym sercem zwróciły się do budy, nad którą czernił olbrzymi nadpis, i u wnijścia której olbrzymi piętrzył się afisz. Była i stara gotycka wieża, tylko nie było w niej pana dyrektora. Zastępował go pan Kidderminster, podstarzały i nie zdolen już, w oczach najłatwowiejszych i najmniej wymagających bogdaj widzów udawać Amorka. Obok siebie miał bęben skracający mu z pożytkiem cyrku przydługie nieraz wyczekiwania. W baczności zwrócony na przyjmowanie pieniędzy, zdawanie reszty, nie poznał Sissy.

W cyrku, sam jegomość cesarz japoński, na starym, białym, czarno nakrapianym koniu wywijał ognistemi wstęgami. Zajęcie to jakoby ulubione monarchów dalekiego wschodu. Sissy, chociaż dobrze oznajomiona z grą tą nie знаła osobiście obecnego cesarza. Z kolei wywołano pannę Józefinę Sleary, mającą odtanńczyć na koniu słynny taniec kwiatów. Weszła wprowadzona za rękę przez ojca.

Pan Sleary raz tylko smagnął biczem kłowna na co ten odrzekł: „Ostrożnie bo rzucę na cię konia“, gdy i ojciec i córka poznali już Sissy, chociaż ruchome oko pana Sleary nie dłużej nad jedną chwilę zatrzymało się na starej znajomej. Taniec kwiatów wydał się

niewielkim Ludwice i Sissy zwłaszcza że dyrektor odpowiadał krótkim „tak, panie!“ na wszystkie face-cye klowna: o trzech nogach które popędza noga czwarta, popędzana sama przez pierwszą i drugą, tak że jazda cała zasadza się na jednej nodze, i tem podobne. Równie zajmujące były anegdoty o rzeźniku, stołku na trzech nóżkach, psie, łopatce baraniej i tem podobnych bzdurstwach.

Wreszcie panna Józefina zeskoczyła z konia przesyłając publiczności ukłony i uśmiechy, klown uczeplił się grzywy rumaka wołając, że wreszcie przyszła jego kolej, Sissy uczuła się trąconą w ramię.

Weszły tedy z Ludwiką, w wążki, okalający budę kurytarz i wkrótce znalazły się obie w ciasnym prywatnym przybytku pana dyrektora, obciążonym, jak i cała buda, płótnem napiętym na żerdzie.

— Cecylio! — powitał Sissy pan Sleary, mając pod ręką nieoddzielny kieliszek, — cieszę się z tego spotkania. Zawsześmy cię tu lubiali — o czem spodziewam się nie wątpisz. Musisz się duszko, widzieć i przywitać ze wszystkimi, z każdym z osobna, bo by każdy żał mieć mógł do ciebie. Widzisz, Józefina wyszła za męża za E. W. B. Childerth'a, i mają już chłopca, co choć nie odrósł od ziemi, ma dopiero trzy lata, czepia się grzywy każdego pony, którego dopadnie. Zowią go Mały Podziw Scholastycznej jazdy. Wkrótce da się poznać światu całemu. Pewnie czytać o nim będziesz w francuskich gazetach. — Zdziwi Londyn, Paryż zdziwi! A czy pamiętasz Kidderminster'a? Miał on na ciebie chrapkę. Ożenił się. Wziął wdowę starszą od siebie, matką by mu być

mogła. Mają dwoje dzieci. Możesz to widzieć w „podróży na około świata“, gdzie tracą ojca i matkę, odnalezione przez wuja, zbierają jagody, którymi się żywią a wszystko z konia! Ot! tak! Pyszna rzecz, mówię ci, pyszna! Niepodobna widzieć coś pyszniejszego, bardziej wruszającego. A pamiętasz Emmy Gordon, co to matczyne miała dla cię serce? Pewnie jej nie zapomniała? Straciła widzisz męża. Spadł ze słonia u wrót pagody, grając sułtana Indii, spadł, nie wyzdrowiał i Emmy wyszła powtórnie za męża za handlarza serów, co się w niej na zabój w cyrku zakochał. Oho! wielka to dziś pani.

O wszystkich zaszyłych zmianach pan Sleary opowiadał Sissy jednym tchem, z naiwnością zadziwiającą w zestarzałym pijaku, poczem przyzywał Józefinę, E. W. B. Childers'a o widocznych w świetle dziennem zmarszczkach, ich syna co to się zwał: cudem scholastycznej jazdy, słowem wszystkich starych i nowych znajomych Sissy. Dziwnem zdawało się całe to towarzystwo Ludwice. Tyle bielida i różu, tak ocięte szatki, obnażone ramiona i kolana! Dziwnem. A jednak jakże serdecznie witali oni Sissy, która rozrzewniona nie mogła się od łez powstrzymać.

— A teraz — zakomenderował dyrektor, — gdy już Cecylio powitała wszech razem i każdego z osobna, dalej do budy! niech dzwonią na drugi oddział.

Gdy odeszli, Sleary głos zniżył.

— O nic nie pytam Cecylio, lecz wnoszę, że to syn tego tam, pamiętasz, starego?

— Oto jego siostra, — wskazała Sissy na Ludkę.

— Aha! córka starego, pamiętam. Jak się ma szanowna pani? Jak zdrowie jej szanownego ojca?

— Ojciec mój wkrótce sam tu będzie. Czy bratu memu nic nie grozi.

— Bezpieczny! bezpieczny. Rzućcie panie okiem na scenę. Cecylió wiesz gdzie są szpary?

Spojrzały we wskazanym kierunku. Dyrektor udzielał objaśnień.

— Jakób, — mówił, — pogromca obrów — sztuka komiczna. Tam dom, w którym kryje się Jakób a klown jest jego sługą. Patrzcie oto on sam w bogatej zbroi, a u drzwi pałacu widzicie! dwaj czarni niewolnicy. Tam? a oto i wielkolud, tam! patrzcie!

— Widzim, — odrzekły jednogłośnie obie.

— Widzicie? dobrze! — przysunął im ławkę, — usiądźmy! Stary pan, ojciec szanownej pani miał swoje zdanie, ja swoje. Co się zaś tyczy brata pani, wołę nie o tem nie wiedzieć, wiem tylko, że stary pan rozciągnął opiekę nad Cecylią, za co mu wdzięczny jestem. A teraz patrz pani na tych tam czarnych niewolników. Ktoby powiedział, że jednym z nich jest brat pani? Trudno zgadnąć który.

Ludwika zdziwiła się nie mało. Przeległa i ucieszyła zarazem.

— Prawda, trudno go poznać. Niech ojciec przybędzie. Niewolnika zatrzymam tu po przedstawieniu a i rodzony nie pozna go ojciec. Nagadacie się z sobą do woli, po przedstawieniu. Widzicie, żem go skrył dobrze. — Sleary śmiał się.

Ludwika z lżejszym sercem dziękowała mu — dała

zlecenie do brata i z oczami pełnymi łez odeszła w towarzystwie Sissy.

W parę godzin potem przybył pan Gradgrind. I temu udało się nie spotkać nikogo ze znajomych. Spieszo mu było widzieć występnego swego syna i z pomocą dyrektora cyrku wysłać do Liwopolu tej samej jeszcze nocy. A że nikt z obecnych, by go nie zdradzić, towarzyszyć Tomciowi do portu nie mógł, ojciec skreślił list do korespondenta, któremu mógł zaufać, zaklinając go by oddawcę wyprawił bądź co bądź, do Ameryki, północnej czy południowej, byle jak najdalej, najprędzej i sekretnie. Po napisaniu listu pan Gradgrind chodził w pobliżu cyrku, wyczekując nietylko rozejścia się publiczności lecz i linoskoków i koni. Gdy się wszyscy rozeszli pan Sleary, wyniósł przed budę krzesło i rozsiadł się pałac cygaro. Było to hasłem, zbliżenia się doń dla pana Gradgrind'a.

— Sługa pański, — powitał starca, niech to pana nie obraża, że się syn jego przebrał w teatralną liberyę.

Weszli do budy. Pan Gradgrind pogiębiony opadł na krzesło w arenie. W głębi cyrku, w najciemniejszym kątku stał nieszczęsny chłopiec, którego zwał swym synem.

W jaskrawej kurcie, z przesadnie bufiastemi rękawami, w obcisłych jasnych spodniach i długich północzochach, o błyszczących klamrach w śpiczastym kapeluszu z jaskrawym pióropuszem, w odzieży pożyczanej, teatralnej zużytej, zwiędłej, zmiętej, z umalowaną czarno twarzą, po której pot ściekał, stał zawstydzony wylekły Tomcio, którego rodzony ojciec poznać w prze-



braniu tem nie mógł. I trudno było panu Gradgrind uwierzyć, że jego to, jego syn doszedł do takiej ostateczności. Trudno, a jednak fakt to był, spełniony fakt, nieodwołalny.

Długo Tom się zbliżał. Wreszcie na prośby Sissy — na Ludwikę nie zwracał bowiem nawet uwagi — zbliżył się do ojca siedzącego na krześle pozostawionem w arenie przez kłowna.

— Jak się to stało, — spytał surowo pan Gradgrind.

— Co jak się stało, powtórzył smyk niechętnie.

— Kradzież, — odrzekł surowo ojciec.

— Rozbiłem biurko, i przymknąłem odchodząc.

Klucz od drzwi miałem przygotowany od dawna. Podrzuciłem go. Nie wziąłem odrazu wszystkich pieniędzy, zamierzałem brać co wieczór, lecz nie brałem więcej. Oto i wszystko.

— Piorun spadły z nieba nie raziłyby mię tak gwałtownie.

— Nie rozumiem, — przerwał lotrzyk — tylu przecie ludzi zawodzi zaufanie. Tylekroć słyszałem jak ojciec sam to mawiał, jak o ogólnem, stwierdzonem przez statystykę prawidle. Jakżem się mógł wymknąć z pod ogólnego prawidla? Pocieszałeś tem ojcie tylokrotnie innych, pocieszaj się sam teraz.

Ojciec zagrzebał twarz w dłoniach, syn stał przed nim w dziwnym przebraniu a poczernione jego ręce miały w sobie coś małpiego. Cienie wieczorne zalegały pustą cyrkową arenę. W zmroku połyskiwały białka oczu niegodziwca, zwracające się ze stłumioną wście-

kłością i niepokojem na ojca. W pomalowanej twarzy same oczy dawny zachowały wyraz.

— Musisz jechać do Liwerpolu a ztamtąd do Ameryki.

— Widzę dobrze że muszę — odmruknął smyk, — zresztą, wszystko mi jedno. Nigdzie mi już gorzej nie będzie.

Pan Gradgrind powstał z miejsca. Po chwili wrócił z dyrektorem cyrku umawiając się z nim, jak dostawić do Liwerpolu wstrętnego chłopca.

— Właśnie myślał o tem, — mówił Sleary, — nie ma czasu do tracenia. Do najbliższej stacyi drogi żelaznej mamy mil dwadzieścia i omnibus odchodzi za pół godziny.

— Lecz spojrz pan na niego, — zauważył pan Gradgrind, czyż go przyjmą w tym stroju do omnibusu.

— To też nie myślę go tak wysłać. Przejdziem do garderoby i w kilka minut zrobię zeń wcale przyzwoitego kawalera.

— Co? — spytał pan Gradgrind.

— Kwakera naprzykład. Przyniosę tylko piwo, bo nic tak czernidla nie zmywa jak piwo.

Pan Gradgrind zgodził się na wszystko. Dyrektor wyniósł z garderoby długi surdut i miękki filcowy kapelus, Smyk zmieniał odzież za przepierzeniem, pan Sleary obmył go przyniesionem pośpiesznie piwem.

— Dobrze, — mówił rad z operacyi Sleary, — biegnij i wskocz zręcznie do omnibusu. Odprowadzę cię. Będą myśleć, że należysz do cyrkowego towarzystwa. Pożegnaj rodzinę i w drogę. — Mówiąc to dyrektor uchylił się dyskretnie na stronę.

— Oto masz list, który wręczysz wedle adresu, dawał synowi ostatnie zlecenia pan Gradgrind. — Będzie ci dostarczonem to, czego będziesz koniecznie potrzebował. Popraw się i zmyj plamę którąś się zbrukał. A teraz, daj mi rękę biedny mój chłopcze i niech ci nieba przebaczą jak ja przebaczam.

Winowajca uronił łez kilka, skłaniając się nad ramieniem ojca, lecz odepchnął chcąc go uściskać siostrę.

— Nie! nie ciebie, mówił. — Tobie, nie nie mam do powiedzenia.

— O Tomciu! — zawołała z wyrzutem Ludwika. Takem cię kochała!

— Patrzcie ją! kochała! piękne mi kochanie. Rzucić starego Bounderby, dać odprawę przyjacielowi memu panu Harthouse i to wówczas właśnie gdy mi ten i tamten użytecznymi być mogli. Piękne mi kochanie! Rozповідаć o naszej wycieczce do tkacza w chwili, gdy na mnie zastawiano sidła. Piękne! nie ma co mówić! Uchowaj mię Boże od takiego kochania. Wydałaś mię, zgubiłaś, nigdyś nie dbała o mnie.

— Prędzej, spieszmy, napędzał odedrzwi pan Sleary.

Wyszli. Ludwika płacząc mówiła bratu że mu przebacza, kocha go bądź co bądź nad wszystko i przyjdzie chwila w której Tom pożałuje że ją tak zranił, przypomni sobie ostatnie jej słowa, szukając w nich pociechy. Pan Gradgrind i Sissy odeszli już, a Ludwika nie mogła się jeszcze oderwać od niegodziwego swego brata.

W tem, drogę im zastąpił Bitzer we własnej osobie. Tchu mu brakło, wążkie blade wargi miał rozwarte, nozdrza rozdęte, blade rzęsa trzepotały mu się nad blademi źrenicami na kształt skrzydeł émy płowej. Zbladł w biegu i pośpiechu, tak jak inni czerwienieją.

— Przykro mi, — mówił, — zepsuć plany państwa, lecz nie mogę przecie dać się wywieść w pole jakimś linoskokom. Muszę mieć pana Tomasza, do mnie należy, nie zdmuchną mi go jacyś tam cyrkowi dojeżdżacie.. Oto on, wiem, poznaję w tym długim surducie... trzymam pana panie Tomaszu.

Porwał Tomcia za kołnierz, trzymał go istotnie.

#### Rozdział VIII.

#### Filozoficzny.

Wrócili wszyscy nazad do budy. Sleary zamknął starannie drzwi za sobą. Bitzer nie wypuszczał z rąk przerażonego winowajcę, spoglądając nań złośliwie w mroku areny.

— Bitzer, — począł złamany boleścią pan Gradgrind, — czy masz serce!

— Bez serca, — odrzekł fagas, — nie byłoby krążenia krwi i nikt znający ogłoszone przez Harvey'a fakty, wątpić nie będzie że mam serce.

— Nie podatne uczuciom litości, odparł gorzko pan Gradgrind.

— Ale podatne rozumowaniu — samemu rozmowaniu.

Stali naprzeciw siebie. Twarz nieszczęsnego ojca była równie bladą jak twarz zuchwalca Bitzera.

— Jakie motywy, bogdaj rozumowania jakie podsuwają ci obecny postępek, — mówił pan Gradgrind, — jaki interes mieć możesz w przeszkadzaniu w ucieszczeniu memu synowi, w znęcaniu się nad złamanym starcem? Patrz na siostrę nieszczęśliwego tego chłopca! Miej litość nad nami.

— Panie, — począł z najzimniejszą krwią Bitzer, — ponieważ pan pyta mię o pobudki moje w danym wypadku, obowiązkiem jest moim wyjawić je panu. Od początku posądzenia moje padły na pana Tomasza. Od dawna miałem go na oku i wiedziałem co się święci. Nie zwierzałem się z tem nikomu lecz wiedziałem com wiedział. Teraz mam w ręku dostateczne dowody. Ucieczka pana Toma, zeznanie któregoś był świadkiem, gdyż od wczoraj pilnowałem ściśle pana, dążąc krok w krok za panem. Teraz, gdy pan Tom wpadł mi w ręce, odstawię go do Coketown'u, oddam do rozporządzenia panu Bounderby. Jak pan sądzi, panie Gradgrind, czy mi po tem wszystkiem pan Bounderby nie odda zajmowane dotąd w banku przez pana Tomy miejsce? Zasłużyłem chyba na nie? Posunę się o krok wyżej, o duży krok! Nie jestże to dostateczną pobudką?

— Za jaką sunę zgodziłbyś się odstąpić od promocji?

— Dziękuję panu, panie Gradgrind, — za tę delikatną uwagę, ale na razie o zamianie nie myślę. Przypuszczałem że mi praktyczność pańska przedstawi powyższą propozycję i obliczyłem zawczasu korzyści i straty dochodząc do wniosku, że zdrada mego pryn-

cypała, najswowiej bogdaj opłacona, mniej ma dla mnie obecnie wartości, niż awans w banku.

— Bitzer, mówił starzec wyciągając ręce jak gdyby miał dodać: „patrz jakem nieszczęsny!“ Bitzer jedno ci jeszcze powiem. Przez lata, przez długie pozostawałeś w mej szkole. Jeśli pamięćłożonych na cię starań może zmiękzyć twe serce, odwołuję się do twej wdzięczności: zostaw w spokoju mego syna.

— Dziwi mię doprawdy brak zastanowienia w panu, panie Grangrind... Szkołę opłacałem. Rzecz była umówioną: skończenie nauk umowie koniec położyło.

Cała właśnie dotychczasowa teoria pana Gradgrind'a zasadzała się na wymianie usług i zapłaty. Wszystko w niej było przedmiotem targu, kwestyą ceny, a w systemie tym nie pozostawało miejsca na wdzięczność i tym podobne sentymenty. Każdy krok życia, od kolebki do grobu, piędź każda miała być przedmiotem umowy pomiędzy zainteresowanemi stronami, a jeśli nie była to najprostsza droga do nieba, mniejsza z tem. Ekonomia polityczna nie brała nieba w rachubę, nie zahaczała nawet o nie.

— Nie przeczę, — ciągnął Bitzer, — że opłata szkolna nie była wygórowaną; lecz to nie wpływa jak pan wie, na istotę rzeczy. Kupić jak najtaniej, odsprzedać jak najdrożej, w tem rzecz.

Zmieszał się nieco Ludwika i Sissy plakały.

— Po co to, po co, — perswadował, — może się paniom zdaje, że mam jaką złość ukrytą do pana Toma, lub coś podobnego? Ależ nie, upewniam panie, że nie. Działam z wyż przytoczonych pobudek. Dostawię pana Toma do Coketown'u a jeśli zechce mi umknąć

zmuszony będę wołać: trzymajcie go! złodziej! ho! no! wszak nie dojdzie do tej ostateczności! Pan Tom za rozsądny by się miał narażać na coś podobnego.

Sleary, słuchający dotąd z rozwartą gębą i znie-ruchomionem nawet ruchomem swem okiem wywodów Bitzera, teraz uznał za stosowne głos zabrać.

— Panie, — zwrócił się do pana Gradgrind'a, — wie pan dobrze i córka pańska wie dobrze, lepiej nawet od pana gdyż mówiłem to jej przedtem — że nie wiem i nie chcę wcale wiedzieć co syn pański splątał, to do mnie nie należy. Teraz jednak wychodzi na jaw jeśli się nie mylę kradzież w banku. Rzecz poważna! Za poważna dla nas „linoskoków“, jak to ten nowo przybyły młodzian wyraził się przed chwilą. To też niech się pan na mnie nie obraża, jeśli stanę w obecnym wypadku po stronie nowo przybyłego młodzieńca. Nie ma na to rady! Powiem też panu bez ogródek co zamierzam uczynić! Obu tych młodzieńców, pańskiego syna i tego nowego przybysza, sam odwiodę na stację drogi żelaznej, bacząc by nie zaszło w drodze nic szczególnego. Oto wszystko co mogę zrobić w danym razie dla pana i to zrobić.

Łzy Ludwiki i głębsze jeszcze pogrzebienie pana Gradgrind'a, odpowiedziały na to ultimatum odstepującego ich ostatniego przyjaciela. Lecz znającą go lepiej Sissy, po zamienieniu z nim szybkiego spojrzenia domyśliła się jaki obrót rzeczy biorą. Zatrzymała ją też chwilę we drzwiach, gdy wszyscy wychodzili z cyrkowej budy.

— Cecyljo! szepnął jej do ucha, — stanęłaś po stronie starego pana i jego rodziny, a co zatem

idzie ja staję po twojej stronie. Powiem ci więcej, ten nowo przybyły młodzian to lotr skończony, taki, jakich my „linoskoki“ wypychamy za drzwi, wyrzucamy oknem. Noc będzie dziś ciemna jak smoła. Mam konia co umie wszystko — nawet milczeć. Mam pony zdolnego zrobić pod Childerth'em, piętnaście mil<sup>1)</sup> na godzinę i mam psa zdolnego wytrzymać w zębach, na jednym miejscu, tak, że ani rusz, to, co mu wskażę, przez dobę całą. Szepnij słówko synowi tego staruszka. Niech się nie przestraszy, gdy konia puszczę w tany, lecz ogląda się za wózkim zaprzężonym w pony, a gdy ten nas dogoni niech przeskoczy z mego wózka na tamten i... będzie spokojny. Ten, nowo przybyły będzie tymczasem w zębach mego psa a koń potańczy na miejscu, że ani rusz, do samego rana. Masz moje słowo, Cecyljo Jupe.

Czas nagle i w pięć minut potem, przechadzający się w pantoflach po rynku pan Childers otrzymywał stosowne zlecenia i wszystko gotowe było do drogi. Ciekawy był widok psa skaczącego z radośnem szczekaniem przed końmi, a okazującego szczególną nieufność Bitzerowi, którego mu dyrektor wskazał mrugnięciem swego ruchomego oka. Odjechali. Pies nie spuszczał z oka Bitzera, biegnąc po jego stronie, tuż obok wózka, gotów go pochwyć za pierwszą próbą wyskoczenia.

Pan Gradgrind, Ludwika i Sissy spędzili noc w nie-spokojnem wyczekiwaniu.

Dopiero o ósmej rano zjawił się dyrektor ze swym psem, obaj w świetnych humorach.

<sup>1)</sup> Mil angielskich.

— To mi się udało! — wołał, śmiejąc się Sleary. — Syn pański musi już być na pełnym morzu, bo go Childers dowiózł do portu w półtora godziny po naszym ztąd odjeździe. Koń mój tańczył polkę — tańczyłby walca, gdyby nie chomąt! aż miło! a gdy ten tam przybysz łotrzyk wyskoczył, pies jak mu skoczy na kark a powali go, uczepli się jego poły i warczy wytrzeszczywszy nad nim ślepią. Nie było rady. Musiał nazad wleść do wózka, w pustem polu. A koń jak tańczył tak tańczył na miejscu. Dopiero o wpół do siódmej rano udało mi się zawrócić tu napowrót.

Pan Gradgrind zasypał dyrektora szczeremi podziękowaniami, nadmienając coś o brzęczących wyrazach wdzięczności.

— Nie potrzebuję sam pieniędzy — odrzekł dyrektor, — lecz Childers, człek żonaty i pięćdziesiąt funtów przydałoby mu się niewątpliwie. Jeślibyś pan zechciał przytem sprawić nową obróżę dla psa i siodełko dla mego konia, wielkąbyś mi tem zrobił przyjemność. A że zawsze pijam *brandy* z wodą, — miał już szklanekę w ręku, — gdybym się nie bał być niedelikatnym, nadmienilibym coś o poczęstunku dla całej kompanii.

Pan Gradgrind zastosował się chętnie do życzeń dyrektora, które istotnie uważał za nader skromne wobec wyświadczonej sobie usługi, łaski raczej.

— Zatem panie, — kończył Sleary — jeślibyś rzucił nadto od czasu do czasu słówko pochlebne o naszym przedsięwzięciu, o szlachetnej cyrkowej sztuce, rachunki nasze byłyby skończone.

— Za pozwoleniem pańskim i pańskiej tu obecnej

córki — dodał po chwili, — chciałbym jeszcze na odjeźdem powiedzieć panu słówko, na osobności.

Ludwika i Sissy wyszły do drugiego pokoju. Pan Sleary popijając wodę z brandy, lecz stojąc, począł tajemniczo przewracać ruchome swe oko.

— Musiał pan słyszeć o tem jak przedziwnem jest pies stworzeniem?

— Istotnie, posiada zadziwiający nieraz instykt — zauważył pan Gradgrind.

— Instykt czy nie instykt, kto tam wie! dość, że zadziwiający! Jak to umie odszukać swoich, śród jakich warunków i przestrzeni. Osobliwość.

— Ostry ma węch.

— Węch czy nie węch, kto tam wie! Ot, powiem panu wydarzenie, jakie miałem. Tak to wygląda, jak gdyby pies każdego spotkanego psa pytał: czy nie wiesz czasem kochanku, gdzie jest teraz nijaki Sleary, dyrektor cyrku, Sleary, taki: słusznego wzrostu, jednooki, kary raczej. A pytany pies odpowiadał: „sam nie widziałem, lecz zdaje mi się znam psa, co go spotkał... i tak dalej. Sleary, a przypominam sobie, Sleary, coś o nim słyszałem, zaraz się dowiem“. Bo to widzi pan, nie mało psów zna mię tu i ówdzie, odkąd się włóczę po różnych jarmarkach.

Pan Gradgrind zdawał się być zdumiony całym tym z głębokich przekonań pochodzącym wywodem.

— Otóż — ciągnął dyrektor — będzie temu miśięcy czternaście, piętnaście może — byliśmy w Chester. Właśnieśmy przedstawiali słynną naszą „podróż na około świata“, a tu przez główne drzwi wchodzi na scenę pies. Zmęczony, zziąjany, chudy, głodny, ślepy,

nędzarz, pożał się Boże! Obwąchał wszystkich, począwszy od dzieci, szuka kogoś i znaleźć nie może. Kulejąc na dwie łapy, słańając się przyczolgał do mnie, polizał rękę, zdechł. Jak pan widzi, ducha wyzionął u stóp moich. Co pan powie! był to Merrylegs.

— Pies należący do ojca Cecylii?

— On sam. A teraz przy mojej znajomości psów na ogół, a tego w szczególności, przy mem doświadczeniu, przysiądz mogę, że jeśli Merrygles wrócił do nas, to pewno pan jego już nie żył i był pochowany. Długośmy z córką moją Józefiną i zięciem Childers'em, rozmyślali czy pisać o tem do Sissy, czy nie pisać? Zdecydowaliśmy się nie pisać. Nie mając nic pomyselnego do zakomunikowania, lepiej milczeć. Po co ją biedactwo martwić i zasmucać. Czy ojciec jej opuścił ją podle, czy mu też serce pękło z bólu widząc, że lepiej zrobi nie wiążąc jej ze swym niewesołym losem, nie wiadomo. Wiadomo tylko, że po śmierci swego pana, Merrygles wrócił do nas, by skonać u stóp moich.

— Sissy, — rzekł pan Gradgrind, — przechowuje dotąd ów balsam, po który był ją ojciec wieczoru tego wysłał. Do końca zaś życia wierzyć będzie niezachwianie w ojcowskie serce i przywiązanie do siebie.

Dwa się z tego wyciągnąć dadzą wniośki — mówił zamyślony i w głębi szklanki natchnienia szukający dyrektor, — raz, że światem rządzi nie sam interes, nie egoizm lecz i miłość, rzecz wcale od egoizmu różna! Powtóre, że serce ma swoje wywody, których dróg nie znamy, lecz których cele widoczne.

Pan Gradgrind milcząc wyglądał oknem.

Sleary napelnił znów szklankę i przyzwał panie z przyległego pokoju.

— Cecylio! duszko! — mówił, — pocałuj mię raz ostatni i pożegnajmy się. Nie małą mi jest pociechą wiedzieć, że pozostajesz z ludźmi, co cenią cię i kochają i którym ufać możesz sercem całym.

— Żegnam panią — ciągnął, zwracając się do Ludwiki. — Żywię nadzieję, że brat pani poprawi się i będzie ci pociechą. I pana też żegnam. Niech mi pan poda rękę, i nie ma o nas, cyrkowcach, złego wyobrażenia. Niech nam pan naszego sposobu zarobkowania na kawałek chleba za złe nie bierze. Ludzie potrzebują zabawy. Nie mogą ciągle się tylko uczyć, tem mniej pracować bez wytchnienia. Muszą się śmiać i bawić, a my śmieszmy i bawim. Nie sądź pan nas gorzej niż na to służujemy.

Odchodzili. Sleary wyglądał za nimi przez drzwi uchylone.

— Nie przypuszczałem żebym był tak znakomitym mówcą! — mówił sam do siebie.

Rozdział IX.

Ostatni.

Odętusy nie lubią by ich ktokolwiek, w czemkolwiek przedził. Bounderby nie mógł darować pani Sparsit jej zbytnią gorliwość w tyczących się go sprawach. Nie mógł darować zwłaszcza wyciągnięcia na jaw staruszki matki, owej pani Pegler, zadającej żywy kłam wszystkiemu, co o swem dzieciństwie zwykł był opowiadać, przechwalając się urojoną nędzą, jak się

niejeden przechwała urojonych znakomitych przodków i zasług szeregami. Odtąd z niedowierzaniem spoglądał na zależną od siebie i w służbie u niego pozostającą kuzynkę lady Scadgers. W sercu jego niezadowolone rosło niby kula śnieżna, zwiększająca się codziennie tysiącem płatków, drobnych a nie tających uraz. Doszło do tego, że możność wydalenia tej wielkiej a przyrosłej niby do jego osoby damy, zaczął uważać za szczyt rozkoszy, a zarazem upokorzenia dla niedyskretnej pani Sparsit.

Pełen tej myśli, szedł poranku pewnego na śniadanie, zabierając zwykle miejsce w sali jadalnej, na przeciw wiszącego na ścianie swego portretu. U kominka siedziała jak zwykle pani Sparsit z drutami w rękę, nogą przytrzymując kłębek bawełny.

Od pamiętnego zajścia z panią Pegler, gospodyni pana Bounderby, odcieniem skruchy i smutku łagodziła uprzednią swą taktykę litościwego współczucia względem swego chlebobawcy. Przybrała wzrok żalony i taki właśnie, z pod brwi gromowładnych po nad rzymskim swym spuścistym nosem, skierowała teraz na bankiera.

— Co! co tam znowu? — ofuknął się pan Bounderby,

— Panie! niech tylko pan z łaski swej nie trąca mego nosa...

— Trącać nos pani! co się pani przysniło!

Pan Bounderby ukroił sobie chleba i rzucił ze stukiem nóż na stół.

Pani Sparsit zdjęła nogę z kłębka i wyprostowała się.

— Panie Bounderby...

— Co, co znowu? — pytał opryskliwie?

— Czy mogę spytać pana, czy pan był czem znów zirytowany dziś rano?

— Tak pani, byłem.

— Czy mogę spytać pana — skarżyła się dalej pokrzywdzona kobieta — czem się znów mogłam narazić panu?

Pan Bounderby wyszedł z siebie.

— Czem? Raz wreszcie powiem pani bez ogródek. Niechcę, żeby ze mnie drwiono. Możesz pani być spokrewnioną z całym światem, z samym królem Salomonem nieboszczykiem, nie daje to ci jeszcze prawa drwić sobie z takiego jak ja człowieka. Nie zniosę tego, nie! nie zniosę!

Bounderby trzymał się ogólników, bojąc się zostać pobitym w szczegółach.

Pani Sparsit wysoko podniosła brwi gromowładne, złożyła w koszyczku robotę i powstała z godnością.

— Panie, — raczyła się odezwać, — zdaje mi się, że zawadzam w czemś panu obecnie, to też odchodzę do mego pokoju.

— Pozwoli pani, że jej drzwi otworzę.

— Dziękuję panu. Sama potrafię.

Lecz pan Bounderby położył już rękę na klamce.

— Chwilkę pani, — mówił czerwony, cały — mam jeszcze coś do powiedzenia pani. Może się pani zdaje, że ją gwałtem tu zatrzymuję? Otóż, myli się pani. Drzwi mego skromnego domu stoją na oścież otwarte dla damy umiejącej zanadto wtrącać się w cudze sprawy.

Pani Sparsit spojrzała wzgardliwie na bankiera, z całej wysokości swych brwi wzniesionych.

— Czy tak?

— Myślałem już o tem od dawna, — mówił szybko, — zdawało mi się w rozumieniu mem skromnem...

— O! panie! — przerwała wdowa z nagłą żartobliwością — po co tyle skromności! Któż nie zna rozumu pana Bounderby, kto ceny jego zdania nie wypróbował! Rzeczy to nadto dobrze znane. Nie umniejsza to zasług pańskich.

Pani Sparsit śmiała się, Bounderby czerwienił się i mieszał.

— Otóż — bełkotał — w skromnem mem rozumieniu dom mój przestał być odpowiednią areną dla popisów tak wysoce urodzonej i spokrewnionej damy. Salony lady Scadgers, to co innego! Zapewne i tam pani znajdzie, w co się mieszać i nos swój wtykać? Co?

— Przyznam się panu, — odrzekła z godnością pani Sparsit, — że się nie zastanawiałam nad tem dotąd. Zapewne, znalazłabym...

— Więc spróbuj pani, spróbuj, — zawołał Bounderby wrzucając do koszyka z robotą wdowy kopertę z asygnacjami. — Spróbuj na miłość Boską! Naturalnie wydalisz się pani ztąd wówczas, gdy to ci będzie najdogodniej, lecz tymczasem przyjemniej zapewne będzie osobie tak dystygowanej i edukowanej, spożywać śniadanie i obiady osobno, zdala od prostaczkiej osoby Jozyasza Bounderby z Coketown'u, którego długie obcowania z wysoce urodzoną i spokrewnioną damą, wypolerować nie zdołało.

— Po co wywoływać nazwisko — uśmiechnęła się pobłaźliwie wdowa. — Gdyby portret ten — wskazała na wiszący na ścianie, — mógł przemówić a szczęściem dla uszu naszych nie jest obdarzony krasomówstwem tu obecnego oryginału, — zaświadczyłby od jak dawna zwracając się doń nazywam właściwem imieniem: kpie, głupcze! Nic też z tego, co taki głupiec zrobi lub powie, dziwić lub gniewać nie może. Wszystko obudza wzgardę samą.

To rzekłszy, podobna do profilu medalu wybitego na pamiątkę skruszenia dumy i przechwałek bankiera, obrzuciła go od stóp do głowy szyderczem spojrzeniem, wyminęła i weszła na wiodące do jej pokoju schody. Bounderby drzwi zatrzasnąwszy, podniósł pięści, wygrażając własnemu swemu portretowi i — przyszłości.

Co też przyniosła przyszłość?

Czy widziała panią Sparsit uzbrojoną we wszystkie niewieście podejścia, wojującą z życiem o chleb powszedni ze skąpstwem, gniewem, cierpieniami lady Scadgers nie opuszczającej łóżka, lecz przenoszącej swą biedę z ulicy na ulicę, z dziedzińca na dziedziniec, do izdebek za ciasnych dla jednej osoby, prawdziwych ciup dla dwóch.

Czy widziała wzrost Bitzera, oddanego bankierowi duszą całą i zajmującego opuszczone przez Tomcia miejsce, czy też tegoż samego Bitzera widziała prześcigającego i w czem innem Tomcia?

Czy widziała wielu jeszcze podobnych Bounderby odętusów, przechwałających się jak tamten, podраста-



jących w tamtego pierza, gdyż w pięć lat zaledwo po wygnaniu ze swego domu pani Sparsit, autentyczny Bounderby padł na ulicy rodzzonego swego Coketown'u, apopleksją rażony. Portret jego dotąd istnieje. Naśladowców ma też sporo.

I pan Grandgrind w Stone Lodge, siedząc w swym gabinecie rozmyślał o przyszłości. W jakiejże mu się zjawiała postaci? Czy spostrzegał sam siebie, siwym, zgarbionym, złamanym, biorącym rozbrat z tem co mu miało przewodniczyć w życiu, czemu zaufał ślepo, co go zawiodło tak srodze, że teraz gotów był podporządkować fakty, najpozytywniejsze fakty, nie uznawanym przez się niegdyś: Wierze, Nadziei i Miłości. Czy widział się odrzuconym wzgardliwie przez swych byłych politycznych zwolenników i wielbicieli? Czy dostrzegał ich natrzęsających się nad abstrakcją „Ludem“ zwaną, którą on, Gradgrind teraz dopiero poznał, w ona noc spędzoną pod cyrkową szopą.

Ludwika po powrocie do Stone Lodge, zasiadła wieczorem przed ogniem, zapatrzona w gasnące w popiele iskry. Jakiej przyszłości biegały jej tam odbłyски? Przybite na rogach ulic, a szanownem imieniem jej ojca podpisane ogłoszenia, obwieszczające wszem razem i każdemu z osobna, niewinność zmarłego Stefana i hańbę własnego jej brata, były ponurą terażniejszością. Terażniejszością, tragiczną terażniejszością był kamień grobowy, położony przez jej ojca na mogile

Stefana. I okręt unoszący występnego, czule kochanego, niewdzięcznego Toma, ku nowym wybrzeżom i brzaśkom dni nowych, był terażniejszością, pełną łez i gorczy.

Wyrobница, imieniem Rachel, po długiej i ciężkiej chorobie, wracająca do tkackich warsztatów, piękna jeszcze, lecz smutna i zamyślona, zawsze w czarnej odzieży, zawsze łagodna i cierpliwa, uśmiechająca się nawet w potrzebie, sama, wśród całej wyrobniczej ludności Coketown'u, wspierająca wstrętą pijaczkę zjawiającą się od czasu do czasu na ulicach miasta, zawsze cierpliwa i pogodna, choć śmiertelnie smutna, wytrwale i niezmiordowanie pracująca, dopóki ręce nie wymówiły jej posłuszeństwa — wiernie wyprorokowaną była przez przyszłość niezbadaną.

I jeśli wskazała jej ona ukochanego jej brata, czytającego chciwie na drugiej półkuli i zraszającego łzami żalu jej listy, tęskniącego za jednym na nią spojrzeniem: jeśli wskazała zbliżającego się krok za krokiem do niej i domu a potem powalonego chorobą na szpitalne łóżce, konającego z żalem za popełniony występek i jej imieniem na ustach... wiernie prorokowała przyszłość tajemniczą...

Lecz jeśli ludziła ją własnym jej obrazem w objęciach ukochanego małżonka, nad kolebką drobnego niemowlęcia, w gronie własnych dzieci, które pomna smutnych doświadczeń swego dzieciństwa, usiłowała wychować odmiennie, w swobodzie i bujnej fantazyi dziecięcego wieku, będących nieraz jedyną cenną rzeczą uniesioną przez człowieka na życia drogę, kłamała

zwodnica, kłamała! Żadna już przyszłość dać tego Ludwice nie mogła.

Sissy, to co innego. Szczęśliwą i kochającą, otoczyć miała szczęśliwą, kochającą rodziną. Ta wiedziała jak przemawiać do dzieciennego serca i umysłu, odgraniczyć rzeczywistość od czarodziejskich złudzeń, przez które dziecię rośnie i wzmagą się na człowieka, a wśród których miłość, braterstwo, współczucie i obowiązek stroją się w szaty wyobraźni i poezji, a w serca rzucają nieśmiertelnych uczuć korzenie.

K O N I E C.

## SPIS ROZDZIAŁÓW.

### KSIEGA I: POSIEW.

|                                     | str. |
|-------------------------------------|------|
| I. Jedyna rzecz użyteczna . . . . . | 3    |
| II. Rzeź niewiniątek . . . . .      | 4    |
| III. Szczelina . . . . .            | 12   |
| IV. Pan Bounderby . . . . .         | 18   |
| V. Kamerton . . . . .               | 28   |
| VI. Cyrkowe towarzystwo . . . . .   | 35   |
| VII. Mrs. Sparsit . . . . .         | 52   |
| VIII. Bez podziwu . . . . .         | 61   |
| IX. Postępy Sissy . . . . .         | 68   |
| X. Stefan Blackpool . . . . .       | 78   |
| XI. Bez wyjścia . . . . .           | 85   |
| XII. Stara kobieta . . . . .        | 94   |
| XIII. Rachela . . . . .             | 100  |
| XIV. Wielki przemysłowiec . . . . . | 110  |
| XV. Ojciec i córka . . . . .        | 116  |
| XVI. Mąż i żona . . . . .           | 125  |

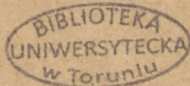
### KSIEGA II: ŻNIWO.

|                                   |     |
|-----------------------------------|-----|
| I. Inwentarz bankowy . . . . .    | 134 |
| II. Pan Dżems Harthouse . . . . . | 151 |
| III. Smyk . . . . .               | 161 |

|                                       | str. |
|---------------------------------------|------|
| IV. Ludzie i bracia . . . . .         | 166  |
| V. Wyrobnicy i przemysłowcy . . . . . | 176  |
| VI. Więdnąc . . . . .                 | 184  |
| VII. Podkop . . . . .                 | 200  |
| VIII. Wybuch . . . . .                | 216  |
| IX. Ostatnie słowo . . . . .          | 233  |
| X. Drabina pani Sparsit . . . . .     | 242  |
| XI. Niżej . . . . .                   | 247  |
| XII. Na dnie przepaści . . . . .      | 258  |

KSIĘGA III: ZBIORY.

|                                 |     |
|---------------------------------|-----|
| I. I to niezbędne . . . . .     | 264 |
| II. Śmieszny . . . . .          | 271 |
| III. Zdecydowany . . . . .      | 283 |
| IV. Stracony . . . . .          | 293 |
| V. Znaleziony . . . . .         | 304 |
| VI. W noc gwiazdzistą . . . . . | 314 |
| VII. Oblawa . . . . .           | 326 |
| VIII. Filozoficzny . . . . .    | 339 |
| IX. Ostatni . . . . .           | 347 |

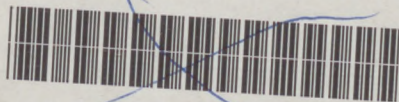


## Wyciąg z Katalogu Biblioteki Mrówki.

|   |    |
|---|----|
| Nr. 1—337.  |    |
| Bliziński. Mąż w drodze (Nr. 256)                       | 10 |
| — Wyprawa pana Prota. Rekreacye Zefirka (Nr. 176)       | 10 |
| Bogusławski. Cud czyli Krakowiacy i Górale (Nr. 217)    | 10 |
| Bret Harte. Nowelle (Nr. 324—327)                       | 40 |
| Brodziński. Wiesław (Nr. 29)                            | 10 |
| Buloz. Krótki podręcznik Języka Włoskiego (352—356)     | 50 |
| Byron. Giaur. Pożegnanie Child Harolda i inne (Nr. 227) | 10 |
| — Manfred (Nr. 221)                                     | 10 |
| Czacki. Rozprawa o żydach i karaitach (Nr. 198—199)     | 10 |
| Daleka. Obrazki i Myśli (Nr. 332—334)                   | 30 |
| Dickens. Ciężkie czasy (Nr. 343—349)                    | 70 |
| Finkelhaus. Z podróży po Norwegii (Nr. 128)             | 10 |
| Foe. Robinson Kruzoe (Nr. 44)                           | 10 |
| Fredro. Damy i huzary (Nr. 273—274)                     | 20 |
| — Dożywocie (Nr. 312—313)                               | 20 |
| — Gwałtu, co się dzieje! Nr. (303—304)                  | 20 |
| — List (Nr. 281)  | 10 |
| — Mąż i żona (Nr. 278—279)                              | 20 |
| — Nikt mnie nie zna (Nr. 305)                           | 10 |
| — Nocleg w Apeninach (Nr. 310)                          | 10 |
| — Nowy Don Kiszot (Nr. 280)                             | 10 |
| — Odlutki i poeta (Nr. 291)                             | 10 |
| — Pan Jowialski (Nr. 308—309)                           | 20 |
| — Pierwsza lepsza (Nr. 290)                             | 10 |
| — Przyjaciele (Nr. 301—302)                             | 20 |
| — Śluby panieńskie (Nr. 306—307)                        | 20 |
| — Zrzedność i przekora (Nr. 277)                        | 10 |
| Goethe. Faust (Nr. 84—86)                               | 20 |
| Gogol. Rewizor z Petersburga (Nr. 184—185)              | 20 |
| Goszezyński. Anna z Nabrzeża (Nr. 50)                   | 20 |
| — Oda (Nr. 49)  | 10 |
| — Sobótka (Nr. 42)                                      | 10 |
| — Zamek Kaniowski (Nr. 37)                              | 20 |
| Gutzkow. Uriel Akosta (Nr. 275—276)                     | 20 |
| Hausner. O pojedynku (Nr. 90)                           | 10 |

|  |    |
|--|----|
| Hofmanowa. Jan Kochanowski w Czarnolesiu (Nr. 202—209)                   | 80 |
| Ibsen. Mistrz Solness (Nr. 282—284)                                      | 30 |
| — Dziką kaczka (Nr. 340—342)   | 30 |
| Kamiński. Zabobon czyli Krakowiacy i Górale (Nr. 196—197)                | 20 |
| Klonowicz. Flis (Nr. 79)   | 20 |
| — Worek Judaszów (Nr. 116—117)   | 20 |
| Kochanowski. Odprawa posłów greckich (Nr. 35)                            | 10 |
| — Pieśni (Nr. 14—15)   | 20 |
| — Szachy. — Mickiewicz. Warcaby (Nr. 43)                                 | 10 |
| — Treń (Nr. 34)  | 10 |
| Kornel. Cyd (Nr. 218)  | 10 |
| — Cynna (Nr. 220)  | 10 |
| — Horacyusze (Nr. 219)   | 10 |
| Kościakowska. Bajki Archaiczne i Nowelle                                 | —  |
| Krasicki. Bajki i przypowieści (Nr. 33)                                  | 10 |
| — Monachomachia i antimonachomachia (Nr. 48)                             | 20 |
| — Satyry (Nr. 47)  | 20 |
| Kureyusz. O kwestyi kobiecej (Nr. 335)                                   | 10 |
| Lam. Humoreski (Nr. 173—175)   | 30 |
| Lange. Studya z literatury francuskiej (Nr. 314—316)                     | 30 |
| Lazarewicz. Mój ojciec (Nr. 285—286)                                     | 20 |
| Lermontow. Laik klasztorny (Nr. 17)                                      | 10 |
| Malczewski. Marya (Nr. 53)   | 10 |
| Maupassant. Nowelle (Nr. 336—337)  | 20 |
| Mazuraniec. Śmierć Agi Izmaela Czengisa (Nr. 23)                         | 10 |
| Mérimée. Mozaika (Nr. 322—323)   | 20 |
| Mickiewicz. Grażyna (Nr. 228)  | 10 |
| — Konrad Wallenrod (Nr. 264)   | 10 |
| — Sonety. — Ballady i romanse (Nr. 226)                                  | 10 |
| — Tłumaczenia: Byrona Giaur. — Pożegnanie Child Harolda i inne (Nr. 227) | 10 |
| — Warcaby. — Kochanowski. Szachy (Nr. 43)                                | 10 |
| — Żywila. — Karylla (Nr. 24)   | 10 |
| Modrzewski. O poprawie Rzeczypospolitej (Nr. 156—160)                    | 60 |
| Molière. Świętoszek (Nr. 179—180)  | 10 |
| Morgenbesser. Myślący Burmistrz (Nr. 99)                                 | 20 |
| — Palestra (Nr. 81)  | 10 |
| Naruszewicz. Satyry (Nr. 70)   | 10 |

Biblioteka Główna UMK



300000847884

12

10. VII. 68

147504

Biblioteka Główna UMK



300048927649

2

Biblioteka  
Główna  
UMK Toruń

1237544

Biblioteka Główna UMK



300048927649